

Andriej Astachow

Leodan syn Lwa: Kolebka cienia

Przekład: Tadeusz Rubnikowicz

Korekta: Maria Palichleb

Adnotacja:

Trzy lata poniewierki w obcych krajach skończyły się i Kasta, która stała się wojowniczką Zapomnianych Bogów, powraca do rodzinnej Seltonii. Ale i tu musi wypełniać wolę Zapomnianych i stawić czoła ciemnym mocom Strony Cienia. Aby otrzymać zaczarowaną zbroję bogini Łaeki, jeszcze jedną z relikwii Zapomnianych, musi razem z odważnym magiem La Marem i tajemniczą dziewczyną Wiolą, wydać walkę złu, które już od wielu wieków - wraz z Bractwem Wampirów, gnębi ziemie północne, zmierzając do przywrócenia magicznej mocy starożytnej świątyni Cienia. Musi wyruszyć w niebezpieczną, pełną niespodzianek wyprawę do porzuconego miasta Monsalidar, bez jakiegokolwiek nadziei na powrót.

Po trzech latach poniewierki, Kasta powraca do rodzinnej Seltonii. Jednak wola Zapomnianych odnajduje ją także tu. W Seltonii rozgrywają się zdarzenia złowieszcze i pełne grozy. Nadworni kapłani i magowie, uwikłani są w polityczne rozgrywki, które nie mają pokojowego charakteru. Tajni agenci magów Pucharu Cienia, przy pomocy krwawych rytuałów, próbują zawładnąć niezbadanymi Darami Otchłani. Odważni samotnicy, ogłoszeni heretykami, prowadzą ukrytą wojnę z tymi, których, ze względu na swoje korzystne interesy, ochrania władza – z Bractwem Wampirów. Aby wypełnić nowe zadanie Zapomnianych, musi udać się do starodawnej świątyni Cienia i udaremnić ekspansję ciemnych sił na Seltonię.

Andriej Astachow

KOLEBKA CIENIA

Dedykuję moim kolegom,
niech Bóg im błogosławi!

**Jestem sam. Chociaż
Jestem odważny szalenie,
Lecz z wrogami swoimi
Nie wygram na pewno.
Ale kiedyś – w to wierzę,
- przy mym boku druh stanie,
I przedrzemy się wspólnie
Przez piekielne otchłanie.
Podzielimy jak bracia – i ból,
I nieszczęścia,
Za odwagę - nagrody
I radość zwycięstwa.**

Roklener – Błogośpiewak

„Dedykacja mojemu nieznanemu przyjacielowi”

PROLOG

Chłodny jesienny wiatr, wiejący od wzgórz, zrywał z drzew żółte i czerwone martwe liście, sypiąc je pod nogi Waldura. Szelest działał na niego niczym grom – od chwili, gdy wszedł do lasu, każdy dźwięk wywoływał dreszcze. Zdawało mu się, że natura jest wrogo do niego usposobiona, bo przyszedł po życie jednego z mieszkańców. Ale za każdym razem pokonywał strach i szedł dalej, dlatego, że dał sobie słowo – dziś koniecznie odnajdzie zdobycz.

To był trzeci dzień polowania. Dwa poprzednie nie przyniosły rezultatu: wprawdzie widział ślady niedźwiedzia, ale go nie spotkał. Widział sarny, przy Spokojnej rzece natknął się na bobrzą rodzinę i nawet strachliwy łoś pokazał się w pewnym momencie na ścieżce przed nim. Zwierzęta, jakby wyczuwały, że Waldur, syn Lanneka, jest lichym myśliwym. Bez strachu patrzyły na chłopca i uciekały dopiero, kiedy podchodził zbyt blisko. Nawet nie próbował zdobyć żadnego z tych wspaniałych zwierząt, chociaż mięsa na stole ich domu dawno nie było. Rozumiał, że nie zdoła zabić ofiary swoją ciężką włócznią. Nie potrafił podkraść się do czujnych saren lub łosia na odległość, pozwalającą celnie i mocno wyrzucić włócznię. W przeszłości nigdy nie rzucał włócznią. Nie miał smykałki myśliwego, a własny pomysł wydawał mu się szaleństwem. Mimo wszystko miał nadzieję, że bogini myśliwych, Nataja, pomoże mu i w pierwszym polowaniu swego życia, osiągnie sukces. Nie miał innego wyboru. Musiał wytropić i zabić niedźwiedzia i dokonać tego jak najszybciej.

Wszyscy od dawna byli przekonani, że w jego domu zamieszkała śmierć. Na początku, nieoczekiwanie dla wszystkich, umarł Lannek, ojciec chłopca – nigdy niechorujący, krzepki chłop. Zranił w pasiece rękę i zwykle zadrapanie zamieniło się w gangrenę. Od jego śmierci minęło zaledwie dwa miesiące i nieszczęście znów zawitało, do tego niegdyś szczęśliwego i tętniącego życiem domu. Matka, Arleta, przeżyła się i zapadła na suchoty. Z rozpaczą obserwował, jak ukochana matka staje się cieniem wesołej niegdyś i szczęśliwej kobiety. Jesienią, całkiem straciła siły, przestała prawie wstawać z łóżka i kaszlała krwią. Wtedy to, usłyszał od wędrownego handlarza ziołami, że chorej może pomóc łój niedźwiedzi w połączeniu z pewnymi ziołami. Postanowił uratować matkę za wszelką cenę. Poza nią nie miał nikogo. Zioła zdobył bez specjalnych trudności, ale łój niedźwiedzi... Słyszał, że oczyszczone niedźwiedzie sadło można kupić w Agrianumie od alchemików, ale nie miał pieniędzy, a łój był drogi. Dlatego postanowił, że sam zabije zwierzę. W okolicy było dużo niedźwiedzi: często widział ich ślady w ojcowskiej pasiece, ale nigdy nie próbował polować. Ich pasieki, koślawce nigdy nie ruszały i nieboszczyk Lannek nawet nie wspominał o polowaniu na nie. Dużo opowiadał synowi o niedźwiedzych zwyczajach, bo przyszły pszczelarz powinien o nich wiedzieć. Teraz przypominał sobie te opowieści. Czekał cierpliwie, kiedy rozpoczną się jesienne chłody – właśnie o tej porze, niedźwiedzie, przygotowując się do snu zimowego, gromadzą najwięcej tłuszczu. W tajemnicy przed matką, przygotowywał się do polowania, nocami majstrował włócznię ze starego dyszla i kawałka kosi. Wsłuchując się w matczyne kaszel, był gotowy biec na jej słabe zawołanie, aby podać wodę, lub poprawić zsuwający się pled. A przed trzema dniami, spojrzawszy w oczy matki, ze strachem zrozumiał, że nie ma już czasu. Jeszcze trochę i żadne cudowne zioło nie pomoże. Szybko podjął decyzję, bo włócznia była prawie gotowa.

Znów powiał wiatr ze wzgórz. Był lodowaty i przeszywający. Waldur poczuł dreszcze na całym ciele. Wyliniały barani półkożuszek, włożony na płócienną

koszulę, był słabym zabezpieczeniem przed jesiennym wiatrem. Skąpy obiad, zabrany z domu, dawno został zjedzony i nie było czym podbudować siły. Chłodne, jesienne słońce coraz bardziej zbliżało się do wierzchołków drzew – jeszcze chwila i zapadnie zmrok. Trzeci dzień znów zakończy się niczym. Tym razem nawet nie widział śladów niedźwiedzia. Rozpacz w duszy chłopca wzbierała tak szybko, jak mrok między drzewami.

Nie wolno wracać do domu z pustymi rękoma. Nie potrafi tak wrócić. Nie będzie mógł wytrzymać spojrzenia matki, pełnego bólu, śmiertelnego smutku i nadziei. Nie wyjdzie z lasu, dopóki...

Ogromna, ciemna tusza, zjawiała się przed nim niespodziewanie, w jednej chwili wieczorny półmrok zgęstniał i przyjął zarysy ogromnego, burego niedźwiedzia. Zwierzę zaryczało, wściekle błysnęło oczyma i ruszyło na młodzieńca z niezwykłą zręcznością.

Zdażył wystawić włócznię. Jednakże przełamał ją jednym uderzeniem łapy i Waldur zrozumiał, że zginie. Nawet nie próbował uciekać - wszystko jedno i tak nie ma szans na ucieczkę. Siły go opuściły i ciało stało się nieposłuszne, jak w koszmarnym śnie.

Rzucił się na chłopaka, wzniosł pazurzystą łapę do uderzenia, ale nagle coś błysnęło i gigantyczne zwierzę z żalosnym rykiem runęło na ziemię. Potoczyło się po zboczu pagórka, rozrzucając opadłe listowie i zalewając się krwią. Drugi błysk rozjaśnił zbocze, ranne zwierzę szarpnęły skurcze i wyzionęło ducha. Waldur stał w odrętwieniu, nogi mu się trzęsły, ale uświadomił sobie, że jest uratowany. A potem, zobaczył swojego wybawcę.

Nieznany wojownik, obleczonego w skórzaną kurteczkę, spodnie i wysokie buty, z zapięciem, do konnej jazdy, stał dwadzieścia kroków od młodzieńca. Trzymał w lewej ręce długi, piękny łuk z elektronu, wykończony kością słoniową i macicą perłową. Twarz łucznika skrywał zielony, aksamitny kaptur. Waldur jeszcze raz popatrzył na martwego niedźwiedzia, potem nagle pomyślał, że zachowuje się nieuczciwie.

- Panie! - zrobił krok w kierunku nieznajomego, opuścił się na jedno kolano. – Z całego serca dziękuję. Uratowałeś mi życie. Jestem twoim dłużnikiem.

- Wybaczam ci ten dług.

Ze zdziwieniem uniósł twarz - rozmawiał z dziewczyną. Tymczasem, nieznajoma zrzuciła kaptur i zdziwienie przekształciło się w zdumienie. Wybawczynią okazała się Sidka. Najprawdziwsza, ze spiczastymi uszami i ogromnymi, niebieskimi oczyma, jakimi pieśniarze legend zawsze obdarzają przedstawicieli zagadkowego, Pierwszego Narodu. Z tajemniczo piękną twarzą, z zadartym noskiem i wspaniałymi włosami koloru ciemnego srebra, zaplecionymi w ciężki warkocz.

- Odważny chłopiec! - powiedziała, uśmiechając się zalotnie. - I głupi! Kto idzie samotnie na okazałego niedźwiedzia?

- Masz rację, pani - z trudem się opanował: kręciło mu się w głowie i to nie tylko od przeżytego wstrząsu, ale jeszcze i od cudownego piękna wybawczyni. – Tylko, nie mogłem inaczej. Musiałem upolować niedźwiedzia.

- Aż, tak? Po co, jeśli można wiedzieć?

- Wiem, pani, że wasz naród bardzo nie lubi, kiedy my, ludzie, zabijamy zwierzęta. Miałem powód. Moja matula jest ciężko chora. Żeby przygotować dla niej lek, potrzebny jest tłuszcz niedźwiedzia. Dzięki twojej celnej strzale, teraz go uzyskałem. Dziękuję, także za to.

- Jesteś bardzo uprzejmy, chłopcze.

- A ty, zdumiewająco piękna, pani. Nigdy nie widziałem Sida... Chcę powiedzieć, że w naszej wsi ich nikt nie widział, ale natychmiast poznałem...

- Nie nazywaj mnie panią. Jestem Ennid ap-Glennsid.

- Ennid z Doliny Sidów? - ukłonił się. - Teraz wiem, jakie imię nosi moja wybawczyni.

- A ty, jak masz na imię, chłopcze?

- Jestem Waldur, syn Lanneka.

- Mieszkasz we wsi Kornal?

- Tak, pani, to znaczy - Ennid.

- Powiedziałeś, że niedźwiedzi tłuszcz potrzebny ci do przygotowania uzdrawiającego leku. Twoja matka, prawdopodobnie, cierpi na chorobę płuc?

- Tak, ma suchoty. Choruje już prawie trzy miesiące i jest z nią coraz gorzej. Ostatnio pojawił się krwawy kaszel i nasz znachor...

- Krwawy kaszel? - dziewczyna przestała się uśmiechać, jej lazurowe oczy ściemniały. - Choroba rzeczywiście posunęła się daleko. Trudno ci będzie ją wyleczyć.

- Uczynię wszystko, żeby ją wyleczyć. Tej wiosny już pochowałem ojca i oprócz matki nie mam nikogo. Jeśli umrze, zostanę zupełnie sam.

- Nie masz żadnych krewnych?

- Mam. Mój ojciec ma brata, a matka - dwie przyrodnie siostry. Ale oni nie lubią nas, ponieważ mój ojciec był dobrym pszczelarzem i żyliśmy bogato.

- Bogato? A teraz życie biednie?

- Żyjemy dobrze, pani Ennid - odpowiedział i zaczerwienił się. Nie wypada opowiadać wspaniałej Sidce, jak im się żyje z matką po śmierci ojca - po jego znoszonej, łatanej-przelatanej odzieży i tak wszystko widać. A poza tym, o Sidach mówią, że nie znają litości. Są wyniośli i nienawidzą ludzi...

Sidka dmuchnęła w srebrny gwizdek, który wisiał na szyi. Waldur nie usłyszał jego dźwięku, ale po kilku sekundach rozległ się tętent kopyt i brzdękanie uprzęży. Zza drzew wyszedł ładny, gniady konik, pod drogim siodłem i wzorzystym czaprakiem. Ennid podeszła do niego, otworzyła jeden z juków przy siodle i wydobyla stamtąd nieduże, metalowe pudełko.

- Weź to - powiedziała, otwierając je i podając trochę grudek żywicznej substancji, podobnej do ciemnego wosku. - Kiedy przyjdiesz do domu, podziel każdą grudkę na trzy części i włóż każdą do trzech szklanek z wodą. Lekarstwo powinno naciągać przez dobę. Twoja matka powinna wypijać po szklance o wschodzie słońca, w południe i o zachodzie. Trzeba tak postępować przez cztery kolejne dni.

- I wyzdrowieje? - poczuł przyływ niezwykłego szczęścia i wzruszenia.

- Nie wiem. Ale to bardzo dobry lek, znacznie skuteczniejszy, niż niedźwiedzi tłuszcz. Zresztą, jeśli nie ufasz, zabierz sobie tego niedźwiedzia. Nie jest mi potrzebny.

- Pani, jesteś taka dobra dla mnie! - oczy zaszły mu łzami. - Najpierw uratowałaś mnie, teraz - moją matkę.

- Poczekaj, nie spiesz się z dziękowaniem. Lek jest rzeczą niezbędną, ale i dobre jedzenie nie zaszkodzi. Trzymaj - dziewczyna podała trochę srebrnych monet. - Nie jest tego dużo, ale na dobre mięso, wino i owoce wystarczy.

- O, pani Ennid! - oczy Waldura zaokrągliły się. - Ty... mi!

- Żegnaj, Waldurze! I proszę - nikomu nie mów o naszym spotkaniu, dla twojego dobra.

Sidka zręcznie zarzuciła wspaniały łuk na plecy, wskoczyła na gniadą i odjechała. Stał i patrzył za nią, jak zaczarowany, ściskając w pięści monety i otrzymane lekarstwo. Oczy były przepełnione szczęściem. Dopiero zmierzch uzmysłowił mu, że nadciągająca noc lada chwila zaskoczy go w lesie. Ostrożnie zawinął drogocenny prezent w szmatkę, schował węzełek do skórzanej torby, którą zabrał ze sobą na niedźwiedzi tłuszcz i bezgranicznie szczęśliwy, udał się w powrotną drogę - do domu, do Kornalu.

Wielebny Lajem Chout próbował bezskutecznie opanować się. Zdradzały go ręce - cały czas niespokojnie szurały po blacie stołu, jakby żyły swoim życiem, niezależnym od reszty ciała. Człowiek w czerni to zauważył.

- Coś cię niepokoi, mój przyjacielu? - zapytał.

Przeor drgnął. To wszystko z powodu rąk, pomyślał. Popatrzył na stół i zobaczył na polerowanym blacie wilgotne plamy, pozostawione jego dłońmi. Z jakiegoś powodu zrobiło mu się nieswojo, jakby czarny gość przyłapał go na czymś niewłaściwym.

- Myślę ciągle o tej dziewczynie - mruknął Chout, podniósłszy spojrzenie na czarnego. - O tej, co opowiadał na spowiedzi chłopiec.

- Jestem skłonny uwierzyć, że chłopak nie kłamie - zauważył czarny. - Wszystko się zgadza. Wdowa Arleta szybko wraca do zdrowia i cały Kornal jest porażony tą okolicznością.

- To naprawdę cudowne uzdrowienie.

- Niczego w tym cudownego. Sidowie albo, jak ich nazywają na ziemiach zachodnich, elfy, to wielcy mistrzowie magii Uzdrowiania. Chłopiec opowiedział, że elfijka dała mu jakieś lekarstwo dla chorej matki. Wiem, o czym mowa. To elfijska żywica Ognistej Krwi, najsilniejszy lek, uzdrawiający liczne dolegliwości. Dziwi mnie tylko, dlaczego to uczyniła. To niezwykle rzadko spotykana substancja i elfy bardzo ją cenią. Prawdopodobnie, musiał ją czymś mocno wzruszyć.

- Wierzycie jednak panie, że to była rzeczywiście elfijka?

- Muszę w to wierzyć. Można, oczywiście, porozmawiać z tym waszym Waldurem przy udziale naszego Śledczego, ale to niczego nie zmieni. Chłopiec i tak powiedział wam wszystko, jak było. Jest dobrym wierzącym i spowiedź, oczywiście, była pełna. Mnie zadziwia coś innego - skąd tu, na ziemiach, od wieków zamieszkanych przez ludzi, wziął się elf? To bardzo nieostrożne i nierozważne z jego strony.

- Być może, ta elfijka zajrzała tu przypadkowo?

- Nie znasz elfów, Choucie. Ten naród posiada liczne talenty, o których my, ludzie, możemy tylko marzyć. Właśnie dlatego elfy – to nasz najniebezpieczniejszy wróg. I z jakichś nieznanych nam przyczyn, zjawia się prawie pod ścianami Agrianumu! Co sprowadziło tę elfijkę? Dlaczego tak ryzykuje? To właśnie powinniśmy wyjaśnić wspólnie, drogi Choucie! Chciałbym się mylić, mój przyjacielu, ale jej pojawienie się na pewno nie jest przypadkowe.

- Może, wykorzystać do tego Waldura?

- Dziewucha szybko go rozgryzie. Słyszeliście o Głosie Elfa?

- O umiejętności elfów czytania myśli rozmówcy?

- Coś w tym rodzaju. Proszę zostawić chłopaka i jego mamę w spokoju. Mam nadzieję, że uprzedziliście go, aby nic więcej nie mówił?

- Oczywiście, tutorze. Chłopiec mnie zrozumiał - wszystkim mówi, że to niedźwiedzi tłuszcz cudownie uzdrowił jego matulę.

- Mądry chłopak. A my mamy zadanie do wykonania. Już nawiązałem kontakt z Salemem de Fortanem, wielkim marszałkiem Trybunału - przyśle do waszej diecezji oddział Orków-myśliwych. Dziewucha im nie umknie. Powinienem wiedzieć, dlaczego ona tak ryzykuje. W tym mi właśnie pomożesz. Trzeba rozpytać miejscową ludność. Szczególną uwagę zwrócisz na wszystkich przyjezdnych - handlarzy, myśliwych, minstreli, innych włóczęgów. Zbierz dla mnie informacje, a jak to zrobisz, twoja sprawa.

- I co dalej, tutorze?

- Powiesz mi o rezultatach śledztwa. Interesują mnie nawet drobne szczegóły.

- Tutor Kolegium położył na stole przed Choutem Pierścień Śledczego. - Proszę wykorzystać ten artefakt. Jestem przekonany, że ktoś w waszym okręgu spotykał się z elfijką albo zamierza się spotkać. Jak ma na imię ta dziewczyna?

- Waldur powiedział, że Ennid ap-Glennsid.

- Czyli, nie podała swojego imienia. Ennyd ap-Glennsid, w języku Pierwszego Narodu oznacza, „Królowa z Doliny Sid”. Nie jest tak głupia, żeby podawać swoje prawdziwe imię. Rozumie, że każdy mag, znając jej imię, będzie w stanie śledzić ją za pomocą magii Odnajdywania i równie łatwo na nią wpływać. Ale, pomimo zrozumiałej ostrożności, wszystko jedno, zachowuje się bardzo-bardzo dziwnie. Nie sądzisz, Choutrze?

- O, jestem zaledwie skromnym wywiadowcą i nie mogę...

- A mnie dziwi. Dziwi, że elf zrobił taki głupi błąd. Ukazał się człowiekowi, przy czym, nie nałożył na niego czaru Milczenia. Albo, rozmyślnie wykorzystwała kontakt z Waldurem, doskonale rozumiejąc, że chłopak wygada się, więc o pojawieniu elfa w seltońskich ziemiach, dowiedzą się w Kolegium. Dlaczego tak się zachowuje?

- Mnie pytacie, tutorze?

- Nie, pytam samego siebie - człowiek w czerni potarł podbródek. - Powinniśmy rozwiązać tę zagadkę, Choucie. W każdym razie, wracam natychmiast do Ergałoty, żeby spotkać się z Protektorem Trybunału i z jego światłością, księciem Aszlerem. Kontynuuj śledztwo w Kornale i jego okolicach. Jeśli dowiesz się coś nowego, natychmiast zakomunikuj. Będę czekać.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

La Mar, jeszcze raz z satysfakcją obejrzał swoje znaleziska. Dzisiejszy dzień był chyba udany - wraz z Mądrąłą odszukali w bukowym gaju aż sześć korzeni mandragory. Alchemicy w Ergałocie i pozostałych miastach Seltonii, nie targując się, płacą złotego za korzeń; w centralnych obwodach kraju mandragora stała się rzadkością. Sześć korzeni, to sześć złotych tulonów. W przeciągu dwóch tygodni, nie będzie musiał troszczyć się o chleb powszedni. Wystarczy na jedzenie, hotel i nawet na nowy płaszcz - stary tak się zużył, że nie chroni ani od deszczu, ani od chłodu. Oczywiście, można było w Menajerze wydać część pieniędzy, otrzymanych jako zadatek od Salmira i kupić płaszcz, ciepłe buty, ale wtedy ryzykowałby pozostanie bez niezbędnych składników - ceny na zioła i komponenty do nich u alchemików Ergałoty cały czas rosną. To jest gorsze, niż zostać bez płaszcza - nawet na początku jesieni. A pieniądze można znaleźć wprost na ziemi, wystarczy tylko uważniej przypatrywać się trawom i kwiatom.

- Obliczasz zyski? - zapytała, merdając ogonem.

- Myślę, jak sprzedać nasz skarb z dobrym zyskiem - odpowiedział, przebijając korzenie. - Ten korzonek jest szczególnie dorodny, pociągnie na ćwierć funta. Poproszę za niego półtora złotego. Dodatkowa garść srebra nigdy nie zawadzi.

- I znów wydasz wszystkie pieniądze na lppa. - Siano, jęczmień, nowe podkowy i różne inne drobiazgi. A mi nic się nie dostanie, chociaż to ja znalazłam korzenie.

- Nie martw się, moja radości - pieszczotliwie pogłaskał psa po karku. - Będę sprawiedliwy. Chociaż i oszczędny. I ty i ja dzisiaj zarobiliśmy na dobry kawałek udźca, jelenią polewkę i kufel konchobaru.

- Już się ściemnia, a do Ergałoty jeszcze daleko. Mam nadzieję, że nie zamierzasz nocować w polu?

- Za stary jestem na podobne noclegi. Nie przeżywaj, jeszcze za dnia będziemy w Ergałocie. Stąd niedaleko, nie więcej ligi. Tuż za tym laskiem, już miasto. Jeśli uda się sprzedać nasze znalezione dzisiaj rzeczy, zanocujemy w dobrym hotelu, z kominkiem i miękkimi piernatami na łóżkach.

- Ale trzeba jeszcze je sprzedać! - wyszczerzyła zęby w psim uśmiechu. - Podnoś tylek. Nie mogę się doczekać, by pojeść i pospać po ludzku.

Przytaknął. Sam dobrze wiedział, że Mądrala ma rację. Przez ostatni tydzień, przeszli po ziemiach Norringi i Seltonii około stu pięćdziesięciu lig i siły ich były na wyczerpaniu. Ale list od Ardelina wyraźnie dawał do zrozumienia, że czas nagli. Także kontrakt zawarty z Salmirem, tak czy owak, przyprowadziłby ich do Ergałoty.

- Jeźdźcy! - usłyszał głos Mądrali.

Po kilku sekundach, zza drzew wyłoniła się kawalkada. Natychmiast poznał chejlańskich Orków, lecz to go wcale nie zmartwiło. Tym bardziej, że zagrożenia żadnego nie ma – wygląda zbyt żałośnie, żeby bać się tych zbójów. Chyba ich nie oczaruje podarty płaszcz, stary koń i zabiedzona, ruda, długoucha suka z przestraszonymi oczyma, kuląca się do jego nóg.

Orkowie podjechali bliżej - wszyscy na potężnych koniach, w ciężkich zbrojach z czarnego brązu albo polerowanej stali, uzbrojeni po zęby. Jako pierwszy jechał ciemnolicy, czerwonoooki wojownik, z długą czarną grzywą, zaplecioną w drobne warkoczyki. Na plecach jeźdźca wisiał ciężki, ostry dwupałaks - dwuręczny topór. Sądząc po pięcioogonowym buńczuku, który wiozł za nim jeden z wojowników, nie był prostym najemnikiem, a ga-chartem, wojskowym wodzem Orków. La Mar wyszedł na spotkanie jeźdźcom, uprzejmie się uklonił.

- Wasz pokorny sługa, lordzie ga-chart - powiedział.

Ork podniósł rękę, zatrzymując swoją świtę.

- Ktoś ty? - szczechnął.

- Moje imię Bono Majl Dewro, rodem z Menajeru, lordzie ga-chart - odpowiedział z ukłonem, starannie imitując północny akcent. - Jestem wędrownym lekarzem, lordzie ga-chart. Idę do Ergałoty na jarmark, lordzie ga-chart.

- Z Menajeru? - ciemnolicy błysnął oczyma. Mówił zadziwiająco czysto w języku seltońskim. - Mieszkaniec Północy, coś podobnego. Daleko zawędrowałeś od domowego ogniska.

- Cóż robić, dobry lordzie! Bogowie rozporządzają naszym losem według własnych upodobań. Już dwadzieścia lat wędruję po ziemi i nigdzie nie zatrzymuję się dłużej niż tydzień. Ciebie służba też rzuciła daleko od błogosławionych skał Orsiany.

- Moja służba nie powinna cię interesować, mieszkańcu Północy. Odpowiedz lepiej, czy nie spotykałeś w drodze elfijskiej kobiety?

- Elfijki? - La Mar był szczerze zdziwiony. - Tu, w centrum Seltonii? Prawdopodobnie, żartujesz, dobry lordzie. Każdy wie, że ponad trzysta lat, ani jeden Sid nie pokazał się na ziemiach ludzi. Nawet w najbardziej zapadłych miejscach mojego rodzinnego Norringu, Sida teraz nie spotkasz.

- Odpowiadaj, mieszkańcu Północy!

- Rozumie się, że nie widziałem elfijki, dobry lordzie. Dziś na drodze całkiem pusto. Nie zgrzeszę, jeśli powiem, że od samego Menajeru spotkałem tylko kilku włóczęgów i parę chłopskich furmanek.

- Mam nadzieję, że nie kłamiesz, lekarzu - uśmiechnął się złośliwie. - Co masz w worku?

- Zioła, dobry lordzie. Uzdrawiające trawy. Świetlik, dziewięciśń, arnika, bagno, werbena, kora dębu i kruszyny, szereg...

- Daj popatrzeć!

La Mar pokornie podał swój worek. Ork zajął, pogrzebał w zawartości worka ręką w łatnej rękawiczce, po czym rzucił go La Marowi.

- Idź do Ergaloty! - powiedział. - Jeśli będziesz potrzebny, moi wojownicy cię znajdą.

- Zawsze do usług lorda ga-charta - pokornie odpowiedział.

Oddział zawrócił konie i szybkim cwałem odjechał w stronę miasteczka. Odprowadzał ich spojrzeniem i na duszy, z jakiegoś powodu, zrobiło mu się ciężko.

- Masz ci los! - odezwała się Mądrała. - Teraz nie powinniśmy iść do Ergaloty.

- Dlaczego? Oni nie są dla nas groźni. Po prostu, szajka najemników na służbie seltońskiej, chyba, że ktoś ich nasłał. Słyszałaś, co powiedział?

- O elfijce? Prawdopodobnie, zażartował. Mają specyficzne poczucie humoru.

- Nie, oni rzeczywiście szukają elfa. Dziwne jest to wszystko. W ostatnich latach Sidowie ani razu nie pojawiali się w Seltonii. Na północy, gdzieś w Norringu, można czasami ich spotkać, ale tu... Być może, Orkowie zostali wysłani tu przez Święty Trybunał - skulił się: po plecach przebiegły mu dreszcze i nie wiadomo, co było przyczyną - wieczorny chłód, czy też wspomnienie Trybunału? - Czas w drogę. Do zmierzchu zostało niewiele czasu.

Na placu targowym trwał jeszcze handel, chociaż większość sklepików została zamknięta i kupujących było już niewielu. La Mar nie tracił czasu na obchód spożywczych i rzemieślniczych kramów, natychmiast skierował się do odległego zakątka targowiska, gdzie znajdowały się czarodziejskie składziki i kramy magów. Prawie wszystkie były otwarte - w Ergalocie, największym i najbogatszym mieście Seltonii, które pod rządami księcia Ajri znów odzyskało status stolicy - już od niepamiętnych czasów oferowały magiczne towary przez całą dobę. Szedł wzdłuż jasno oświetlonych witryn, oglądając wystawione w nich amulety, talie kart do wróżenia, słoiki z ziołami, czarodziejskie pałeczki i laski, magiczną odzież, akcesoria do wywoływania lub odprawiania duchów i pozostałe atrybuty magicznego rzemiosła, wdychając zapachy wonnych olejków i ostrą woń traw. Połowa z tych towarów była podróbiona i La Mar dobrze o tym wiedział, także o tym, że Kolegium Magna nigdy nikogo nie karze za sprzedaż falsyfikatów, dlatego nieuczciwi handlarze otwarcie zbywają je. Są one przeznaczone dla dyletantów, prawdziwy mag zawsze odróżni oryginalną, magiczną rzecz lub zioło, od taniej podróbki.

Na samym końcu czarodziejskich sklepików, zobaczył grupkę ludzi ze spuchniętymi i posiniaczonymi fizjonomiami - zgromadzili się przy kramie z szyldem:

„Mistrz Etilius. Przekształcanie martwej wody w żywą”. Ściskali w rękach dzbany, butelki i wielkie kubki. Uśmiechając się, poszedł dalej. Jego celem był nieduży sklepik o nazwie „Kwintesencja czarów i inne cuda”, znajdujący się za instytucją mistrza Etiliusa.

Gospodarz, niziutki, czarnobrody kobold w czerwonej kurtce, klasnął w dłonie na jego widok.

- Doktor? - krzyknął, mrużąc oczy. - Przysięgam na Panteon, to ty! Ile lat, ile zim, mój przyjacielu! Już myślałem, że nigdy cię nie zobaczę.

- Mogę ci odpowiedzieć ty samym - uściśnął rękę kobolda. - Jak się miewasz, Dejkinie?

- Jak widzisz, trzymam się - Dejkin Buszemi wytarł toczącą się, sentymentalną łzę. - Moje życie, to sklep i będę żyć, póki on jest otwarty.

- Wobec tego, masz po co żyć.

- Wielka Szante, co z twoją twarzą? - zauważył długą bliznę na policzku.

- Nieudany eksperyment.

- Musisz być ostrożniejszy, mój przyjacielu. Chcesz coś kupić?

- Okaże się. Co masz?

- Wczoraj otrzymałem nową partię towaru z południa. Jest logaryjska żywica błotna, dwa razy oczyszczona magicznym ogniem. Idealny lek na rany, zadane zaczarowaną bronią. Krasnobutonnik, w Ergałocie, jest teraz bardzo modny. Mówią, że pozwala zobaczyć wieszczę sny. Mogę zaproponować maść z darnackich dzikich róż - moja firmowa receptura, znacznie lepsza od tych zamorskich ziół od wypadania włosów i chorób skórnych. Jest eliksir przenikliwości, najprawdziwszy, przygotowany według oryginalnej receptury. Wszystkie zioła certyfikowane, żadnych podróbek. A to - i Buszemi pokazał kryształową fiolkę z jakimś zielonkawym płynem, - prawdziwa „Noc Tysiąca Westchnień”. Elixir prawdziwego mężczyzny. Nie wierzysz? Wetrzyj tylko cztery krople w... no, wiesz gdzie i będziesz w stanie zaspokoić przez noc dwie dziesiątki najgorętszych pańienek! Próbowałem na sobie, to coś nieprawdopodobnego. A kosztuje tylko osiem złotych tułonów za flakon. Niewielka cena za takie czarodziejskie zioło.

- Dejkinie, nie zamierzam dokonywać pościelowych wyczynów. Przyszedłem w innej sprawie.

- Rozumiem - Buszemi westchnął. - Pozostałeś tym samym diabelskim pustelnikiem i wrogiem kobiet, jakim byłeś dziesięć lat temu. Nie rozumiem cię. Miłość jest cudownym zajęciem. Jestem żonaty już drugi raz i powiem ci, że nie ma nic lepszego od dobrego seksu. Lekceważysz piękno i przyjemności. Uważaj, bo pewnego razu boska Szante rozgniewa się i twoja męskość bezpowrotnie utraci swoją siłę.

- Możliwe, ale porozmawiamy o mojej sprawie. Po pierwsze, czy potrzebujesz mandragorę?

- Mandragora wszystkim jest potrzebna. Ile chcesz za korzeń?

- Złotego - wyjął woreczek z korzeniami, rozłożył je na ladzie, jeden z korzeni wziął do ręki. - A za tego proszę półtora.

- Dobry towar. Biorę. Po starej przyjaźni, godzę się na twoją cenę.

- Dziękuję, Dejkinie. Wiedziałem, że na ciebie można liczyć. Po drugie, potrzebne mi są pewne składniki.

- Wystarczy na razie o interesach! Co z ciebie za człowiek: Nie widzieliśmy się tak dawno, a rozmawiasz ze mną tak, jakbyśmy się rozstali dopiero wczoraj! Powiedz lepiej, gdzie przepadłeś. Nie widziałem cię cztery lata. Gdzie cię demony nosiły?

- Tu i ówdzie. Ale wrócić do Ergałoty zawsze przyjemnie. Widzę, że tu niewiele się zmieniło.

- Masz rację. Książę Aszler – niech go zachowa Hawan i cały święty Panteon, nie lubi zmian. Ergałota kwitnie i inne miasta Seltonii też. To dobrze dla handlu, a więc i dla mnie. Na kawałek chleba i kielich dobrego wina zawsze zarobię. - Kobold popatrzył rozmarzonym wzrokiem. - Jak dobrze, że przyszedłeś! Wydaje mi się, że wróciły czasy, kiedy studiowaliśmy na Uniwersytecie!

- Okazałeś się mądrzejszy od mnie. Zająłeś się handlem i wzbogaciłeś się, a ja pracowałem zgodnie ze specjalizacją, nie dorobiłem się i teraz mi w potylicę oddycha uboga starość.

- Jeszcze nie za późno, by wszystko zmienić. Byłeś jednym z najzdolniejszych studentów. Potem, na katedrze staruszka Chelanusa Dortani nieźle się prezentowałeś. W Kolegium Magna powinni cię pamiętać. Magister Karrak chętnie przyjmie cię na służbę.

- Karrak Łysy? Od kiedy jest magistrem Kolegium i rektorem Uniwersytetu?

- Pst! Więcej szacunku, Arenie, więcej szacunku! Karrak, to nie tylko magister - mówią, że ma wielki wpływ na księcia Aszlera.

- To nic dziwnego. Zawsze umiał dostać się bez mydła do tyłka. Ale, to jego sprawy. A Kolegium, jest dla mnie zamknięte. Nie sądzę, że zapomnieli o moich dawnych przewinieniach.

- Szkoda. Chociaż w grzechach można się pokajać.

- Jesteś o tym przekonany?

- Dla dobra sprawy, ukorzyłbym się, doktorze. To tylko parę minut wstydu i słabości. Natomiast, jakie korzyści! Dzisiaj Kolegium Magna posiada ogromną władzę. Dorównuje prawie panowaniu. Od czasu, gdy zniknął stylus Carikata, wszyscy pokładają nadzieję tylko w magach Kolegium.

- Stylus Carikata zniknął?

- Nie wiedziałeś? Co ty, z Księżyca spadłeś, doktorze?

- Słowo honoru, nie wiedziałem. Zważ, że dopiero tydzień jak porzuciłem Norringę. Dla mnie, to jest nowina. Trzykrotne „hura” dla ergałockich złodziei, że dobrali się do królewskiej skarbnicy!

- Prawdę mówiąc, dowiedziałem się o wszystkim przypadkowo. Mniej więcej miesiąc temu. Często w moim sklepie bywają wykładowcy naszego Uniwersytetu – znają mój towar i chętnie kupują do swoich alchemicznych wprawek. Kiedyś przyszedł do mnie mistrz Waldis z katedry demonologii. Pamiętasz go?

- Jakżebym mógł zapomnieć! Dzięki staraniom jego żonusi, omal nie zostałem bez dyplomu.

- Waldis, to teraz ważna osoba. Otrzymał posadę tłumacza w Kolegium i korzysta z protekcji samego księcia Aszlera. Ledwie go poznałem: ubrany jak spod igły, płaszcz z purpurowego aksamitu o sobolowym podbiciu, ogolony, na szyi – półfuntowy, złoty łańcuch. „Poznajesz mnie, miłościwy Buszemi?” - zapytał z charakterystyczną złośliwością, którą na pewno pamiętasz? Głowa przechylona, lewe oko przymrużone, na wargach gadzi uśmieszek. Z takim uśmieszkiem, na egzaminach, stawiał „bardzo zły” - pamiętasz? „Poznaję, a jakże - mówię - profesor Waldis we własnej osobie. Prawdziwy zaszczyt dla mnie!” Zaświecił się, jak świeżo wybity złoty tulon. „Dowiedziałem się, że prowadzisz tu coś w rodzaju sklepu z magicznymi towarami” - zakomunikował. - „Zgadza się, milordzie-profesorze, malutki handelek. Na chleb, chwała bogom i księciu Aszlerowi, wystarcza”. „Zdolny z ciebie przedsiębiorca, miłościwy Buszemi - mówi. – Masz może zioło, które zawsze było dostępne, a teraz rzadko pojawia się w sprzedaży?” „Milordzie-profesorze - mówię -

w moim sklepie, nie chcę być zarozumiały, można kupić wszystko. Proszę wymienić nazwę, a dostarczę składnik, albo gotową miksturę. O jakie zioło pytasz?" „Potrzebny mi jest dwuletni korzeń orchidei salwaria florata. Koniecznie dwuletni. Masz taki?"

- I co?

- Nie miałem - westchnął.

- Chciałbym wiedzieć, po co mu potrzebny korzeń.

- Tego, nie wiem. W starodawnych traktatach z alchemii czytałem, że skoncentrowanego wyciągu z korzenia salwarii używało się do przygotowania - oczywiście, w mieszance z innymi komponentami - bardzo silnej mikstury, niwelującej skutki trucizn i chorób, wywołanych urokami i magią.

- Wiem. Salwarię używało się także w mieszance, przeznaczonej do leczenia ukąszenia wampira lub wilkołaka. Wprawdzie nie spotkałem recept z tym ziołem, ale na opisy trafiałem. Rzadki korzonek i nietani. Podsumujmy: Waldis zajmuje się demonologią i różnym diabelstwem. Jeśli ktoś interesuje się specyfiką, chroniącym od wampiryzmu i wilkołactwa, wydaje się logiczne, że mógł zwrócić się do Waldisa o poradę.

- A Waldis zaczął szukać składników? - Kobold chrząknął. - Dostyc, doktorze, wiesz tak samo jak ja, że w wampiry wierzą tylko paranoicy. Umarlacy-krwiopijcy, są tylko folklorystycznymi postaciami i niczym więcej.

- Prawdopodobnie. Jednakże przypuszczenie jest interesujące. Mówiłeś o zniknięciu stylusa Carikata.

- Oczywiście, właśnie chciałem o tym opowiedzieć. Kiedy powiedziałem Waldisowi, że nie mam korzenia salwarii i, że musi poczekać około ośmiu-dziewięciu tygodni, nim dostarczą go moi dostawcy z Saissy, mistrz natychmiast skulił się i nadał wargi, niczym kapryśne dziecko. Korzeń ten jest mu pilnie potrzebny, dlatego gotów zapłacić za niego każdą cenę.

- I co?

- Sprzedałem mu korzeń falasii za siedemdziesiąt pięć tulonów.

- Oszalałeś? Czy zostałeś wytrawnym aferzystą? Tylko idiota nie odróżni salwarii od falasii.

- Ty potrafisz, wiem, być może jeszcze dwóch-trzech magów. Na Uniwersytecie nikt nie odróżni. Dziś alchemicy są wyjątkowo niedouczeni.

- Rzykujesz swoją reputacją, Dejkinie.

- A jak miałem postąpić? Nie wolno tracić marki najlepszego handlarza alchemicznymi składnikami i ziołami w Ergalocie. W moim sklepie, w sprzedaży, powinno być wszystko, o czym zamarzy klient. Do tego, falasija w pewnych przypadkach, nieźle zastępuje salwariję.

- Mów o stylusie.

- Otóż, Waldis kupił korzeń i natychmiast poweselał. Podziękował w swoim imieniu i Kolegium. A potem nagle powiedział: „Być może, będę potrzebować dużo takich korzonków. Proszę rozesłać swoich ludzi na poszukiwanie ich, miłośnicy Buszemi. Honorarium za nie, wynagrodzi włożony trud i zwróci poniesione koszty”.

- No i co?

- Słuchaj dalej. Kiedy Waldis poszedł, udałem się do sklepiku naprzeciw, do staruszka Tjuga - ma dobrych dostawców w Południowych ziemiach. Pomyślałem, że byłoby nieźle wykorzystać jego możliwości, tym bardziej, że Tjug jest moim dalekim krewnym i nie odmówi. Staruszek wysłuchał i mówi cicho, ze znaczącą miną: „Na twoim miejscu, synku, nie wiązałem się z Waldisem. Słyszałem, że go wyznaczili Śledczym Trybunału w Ergalocie po tym, jak z królewskiej skarbnicy zniknął stylus Carikata”.

- Prawdziwe są te wiadomości?
- Prawdziwszych nie ma. Tjug zna wszystkich. Jest na bieżąco. Jak je poznaje, tylko niebo wie. Czasami wydaje mi się, że ma dziesiątki tajnych informatorów w Seltonii i okolicznych ziemiach, poczynając od Logaru na południu, a kończąc na Reszu i ziemiach Sidów na północy.
- Interesująca historia.
- Powiedziałbym - paskudna historia, doktorze. Tjug mówi, że od dnia, w którym wydała się kradzież, minął tydzień, a w Kolegium nadal wrze. Księżę Aszler jest rozgniewany. Stylus Carikata jest jedną z relikwii królów Seltonii, starodawną i tajemniczą. A najważniejsze, drogocenny, niczym brylant. Nikt, co prawda, nie wie, do czego jest potrzebny, ale jego zniknięcie, to zły znak.
- Mylisz się, mój przyjacielu; okazuje się, że ktoś zna jego przeznaczenie, inaczej by go nie kradziono. Chyba nie jest to sprawka zwykłego złodziejaska. Pospolity złodziej wolałby ukraść coś mniej cennego, niż rzucającego się w oczy. Jeśli, oczywiście, jest rozumnym złodziejem albo nie kradł na czyjeś zamówienie. No i w porządku, nie nasza w tym głowa. Wróćmy do moich problemów - wyjął z torby przy pasie zwitek pergaminu, podał koboldowi. - To lista składników, które będą mi potrzebne najdalej pojutrze. Zdązysz?
- Hm - przebiegł spis oczyma, utkwiał wzrok w suficie, podliczając wartość zamówienia. - Dziesięć tulonów.
- Zgoda. Tylko pieniądze dam, kiedy przyjdę po zamówienie.
- Zwykle żądam zadatku, ale tobie ufam. Przychodź za dzień - wszystko będzie przygotowane.
- Dziękuję, Dejkinie - uściśnął handlarzowi rękę. - Obowiązkowo wstąpię po zamówienie. Jestem pewien, że jeszcze się zobaczymy.

Wyszedł ze sklepiku Buszemiego z przekonaniem, że jeszcze przed nocą, wiadomość o tym, że Aren La Mar wrócił do Ergalotu, dojdzie do uszu jednego z kontrmagów Trybunału. Do wiadomości będzie dołączona lista, którą dał Buszemiemu. Rzecznicy Trybunału będą, co najmniej tydzień ją studiować, by zrozumieć, jaką miksturę i do czego zamierza przygotować zleceniodawca. Zdąży więc, by uwinąć się z kontraktem Szuretczyka Salmira i dowiedzieć się, po co Ardeline wezwał go do stolicy. A dalej... Dalej się zobaczy. Dawne grzechy mu już zapomniano, a nowych jeszcze nie popełnił.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dom, którego szukał, znajdował się na rogu Nadwornej i Żołnierskiej. Drzwi nie miały dzwonka i dość długo trzeba było stukać. Wreszcie, usłyszał zgrzyt zasuw i drzwi otworzyły się.

- Aren?- gospodarz domu, chudy, wysoki mężczyzna z zapadniętymi oczyma, patrzył na niego, jak na zjawę. A potem radośnie krzyknął i serdecznie objął gościa. – Na moc bogów, to ty! Nareszcie! Oczekiwałem cię już na początku Miesiąca Plonowania. Wchodźże, szybciej wchodź!

- Bardzo się cieszę, że cię widzę, Ardeline.

Udał się za gospodarzem do domu, przeszli z przestronnego holu, ozdobionego głowami zwierząt, do wielkiego, mocno ogrzanego salonu. Umeblowanie było proste, ale wykwintne - nieduży rzeźbiony stół, puszysty logaryjski dywan na podłodze, wzdłuż ścian szafy z książkami, parę taboretów. Przy płonącym kominku siedział mikry staruszek, w skromnej, czarnej odzieży.

Niewidzące oczy były zwrócone na tańczące w kominku płomienie. Widząc go, natychmiast podszedł i uklęknął na jedno kolano.

- Mistrzu Barnasie!

- Aren! - uśmiechnął się, przeprowadził suchymi palcami po twarzy gościa. - To ty, synku! Jak dobrze, że jesteś. Już straciłem nadzieję, że dożyję twojego powrotu.

- Wróciłem, mistrzu. Jestem szczęśliwy widząc cię.

- W moich oczach już nie ma światła - powiedział z goryczą. - Nawet nie mogę zobaczyć twojej twarzy. Prawdopodobnie, zmieniłeś się. Minęły cztery lata. Gdzie byłeś w tym czasie?

- Na północy, w Reszu i Norrindze. Ale tam doszły mnie słuchy o wydarzeniach w waszym kraju, więc postanowiłem wrócić. List Ardelina zastał mnie już w Menajerze.

- Dobrze - twarz staruszka rozpromieniła się. - Nastaly surowe czasy i potrzebujemy wszystkich naszych zwolenników. Co słyszałeś na północy?

- Nie wiem, ile prawdy w tym, co mówili przyjezdni, ale ich opowieści o zdarzeniach ostatnich miesięcy zaniepokoiły mnie. Szczerze mówiąc, czekałem, że wezwiecie mnie i nie pomyliłem się.

- Ardelinie, podaj naszemu gościowi wina - polecił gospodarzowi, który przysłuchiwał się rozmowie. - Aren na pewno zmęczony podróżą. Kiedy przybyłeś?

- Dzisiaj, o zachodzie słońca. Stolica, na pierwszy rzut oka, nie zmieniła się. Wszędzie ten sam brud i tłok na ulicach. Ale niedaleko od miasta spotkałem oddział Orków. Widok ich tu, w samym sercu królestwa, zdziwił mnie. Powiedzieli, że poszukują jakiejś Sidki. Słyszałem jeszcze o zniknięciu stylusa Carikata.

- W ostatnich miesiącach miały miejsce dziwne zdarzenia, Arenie – odezwał się Ardelin. - Zewnętrznie Ergałota nie zmieniła się, masz rację. Ale teraz tu wszystkim zarządza Kolegium Magna.

- Nie widzę w tym wielkiego zła – zauważył La Mar. - Magowie w Seltonii zawsze byli oparciem tronu.

- Masz słuszność, synku - powiedział Barnas. - Wiem, że moje słowa pachną zdradą, ale nasz młody książę Aszler zupełnie nie przypomina swego ojca, wspaniałego króla Ledaniera - Wieczne Światło jego duszy! Aszler, to aktor i bard, a nie polityk. Zajęty końmi, grą w kości, układaniem ballad i flirtowaniem ze śliczniutkimi szlachciankami, nie ma czasu zajmować się państwowymi sprawami, dlatego wszystko przekazał Kolegium. Tylko, że Kolegium nie jest takie, jak dawniej. Kiedyś byłem wśród tych, którzy popierali decyzję króla Serwiena, by poszerzyć pełnomocnictwa kolegium kapłanów. Wtedy wydawało mi się, że czasy wojowników minęły. Byłem młody i uważałem, że kraj potrzebuje zmian. Myślałem, że wiedza i mądrość, obronią nasz świat lepiej niż miecz. Teraz widzę, że myliłem się. Ludzie, obdarzeni dużą wiedzą, Arenie, nie zawsze są szlachetni. Dzisiaj w Kolegium zapomnieli o Pergaminie Wiary i jej świętych zasadach, szczególnie o wolności myśli. Panuje w nim brak tolerancji. Wszystko zaczęło się w dniu, kiedy przyjęto Kodeks o herezji i utworzono Święty Trybunał. Od tego czasu minęły zaledwie trzy lata, a jak się wszystko zmieniło, Arenie! Po co zresztą o tym mówić - sam poznałeś hipokryzję i podłość Kolegium na własnej skórze. Supermagister Solanus Brok, wcześniej nie wyróżniał się rozległymi horyzontami umysłowymi, a dzisiaj uważa się za nieomylnego. Pozbył się z Kolegium wszystkich utalentowanych magów i obsadził ich miejsca szarlatanami i pochlebcami, gotowymi całować go w tyłek. W najstraszniejszym śnie nie mogło mi się przyśnić, że Karrak pewnego dnia zostanie rektorem uniwersytetu! Ale to fakt, Arenie. Dzisiaj w stolicy nie ma miejsca dla

utalentowanych i niezależnych ludzi – mówił Barnas z goryczą. - Nie oczekiwałem tego od Solanusa! A przecież, właśnie ja, rekomendowałem kiedyś królowi Serwienowi wybranie go do Kolegium.

- Smutno to słyszeć, mistrzu. Ale przecież twój autorytet...

- Mój autorytet nie wart złamanego grosza, Arenie. Jestem tylko starym, ślepym nieszczęśnikiem, którego Trybunał oficjalnie ogłosił heretykiem. Moje traktaty usunięto z bibliotek i spalono, nazywa się mnie „szalonym Barnasem”. Zabroniono mi wstępu do budynku Kolegium Magna i przyjmowania u siebie innych magów. Jestem heretykiem, Arenie! Sam nie wiem, co przeszkodziło Brokowi w doprowadzeniu sprawy do wyroku śmierci. Może, jednak pamięta, że łaskę supermagistra, w jakimś stopniu, zawdzięcza mi. Przyjaźń ze mną stała się niebezpieczna, Arenie. Ci z moich przyjaciół i uczniów, którzy utrzymują, pomimo zakazów i gróźb, kontakty ze mną, znajdują się pod obserwacją Trybunału. Kiedyś król Ledanier słuchał i cenił moje rady. Dzisiaj władca Seltonii słucha innych doradców.

- Kogo, mianowicie?

- Właśnie Broka. Magistra Karraka. Jakiegoś prowincjonalnego maga Awiera La Bantjena, który ostatnio zjawił się w Ergałocie i po około pół roku zrobił zawrotną karierę. Zwykły studencina trafił od razu do Protektoratu Trybunału. Mówią, że Solanus Brok mu po prostu do ust zagląda. Aszler także mu bardzo sprzyja.

- Rozumiem - La Mar przyjął z rąk Ardelina puchar z gorącym winem, nad którym unosił się cudowny aromat traw i przypraw korzennych. Z rozkoszą wypił kilka łyków. - Teraz powiem, o czym słyszałem na północy. O morderstwach.

- Zamierzałem porozmawiać z tobą o tym - powiedział Barnas. - Dlatego właśnie, Ardelin, na moją prośbę, znalazł cię i wezwał do Ergałoty. Wiemy o pięciu podobnych wypadkach. Wszystko zaczęło się trzy miesiące temu. W mieście Kanałów znaleziono ciała - chłopca i dziewczynki. Ktoś brutalnie zabił dzieci, a potem wrzucił do kanału. Pierwszy o tym dowiedział się przyjaciel Ardelina i opowiedział nam o przestępstwie. Potem był wypadek na zachodnim przedmieściu, gdzie w gaju znaleźli okaleczone ciało młodej kobiety. Trzecie przestępstwo zostało dokonane w Starym Mieście - tam znowu zabito dzieci.

- Masz niesamowitą pamięć, mistrzu Barnasie.

- Niestety, nie tak dobrą, jak jeszcze pięć lat temu, ale podobne rzeczy trwale zapisują się w pamięci. Miesiąc temu popełniono jeszcze dwa morderstwa w slumsach. Tym razem zostały zabite dwie „wesole” dziewczyny, według pogłosek, będące w lesbijskim związku. Tydzień przed twoim powrotem, kolejny mord. Na starym cmentarzu oddział straży znalazł okaleczonego trupa dziewczyny-kwiaciarki.

- Dlaczego jesteś przekonany, że to niezwykle morderstwa?

- Nad ciałami odprawiano jakieś potworne obrzędy. Opowiedz o tym, Ardelinie.

- Nie widziałem trupów w mieście Kanałów i na przedmieściu, ale widział je mój człowiek - odkastłując, powiedział gospodarz domu. - Wiljen przysięga, że o czymś podobnym czytał w dawnych książkach o magii. Jest przekonany, że wszystkie zabójstwa są sprawką jednego człowieka, albo jakiejs sekty. Nieszczęśnicy nie byli zabici zwyczajnie - zamordowano ich okrutnie i z premedytacją. W każdym przypadku, ofiara miała wycięty jeden z organów. Gdy mordowano jednocześnie dwoje ludzi, łotr zabierał im po jednym z parzystych organów. Dzieciom w mieście Kanałów zabrał po jednym oku, kobiecie z przedmieścia wyciął serce, a po jednej nerce - ofiarom ze Starego Miasta. Dziewczynom, zabitym w slumsach, wyciął genitalia i mleczne gruczoły. Cięcia były wykonane bardzo dokładnie, powiedziałbym - profesjonalnie. W ostatnim przypadku, na cmentarzu, morderca zdjął skórę z głowy zabitej dziewczyny, razem z twarzą.

- To sprawdzone wiadomości? – La Mara, przywykłego do wielu rzeczy, zemdliło od przytoczonych szczegółów.

- Absolutnie. Czasami dopłacamy śledczym i ci dzielę się z nami sekretną wiadomością. Poza tym, mój informator Wiljen wydaje w Ergalocie tygodnik „Kurier Krajowy”. Umie dowiadywać się tego, czego chce.

- W jakiej książce Wiljen czytał o podobnych obrzędach?

- Lepiej sam z nim porozmawiaj. Mieszka tu, w mieście Kanałów, przy ulicy Kotlarzy, kamienny dom z zielonymi okiennicami, obok fontanny. Jest najwspanialszy w okolicy, więc od razu trafisz.

- Rzeczywiście, straszne sprawy – mruknął La Mar, czując dreszcze od słów Ardelina. – Nie wiedziałem o tym. Teraz myślę, że dobrze zrobiłem, wracając do Ergaloty.

- Ja także jestem zadowolony, synku - powiedział Barnas. - Zawsze byłeś jednym z lepszych moich uczniów. Pomożesz nam zorientować się w tym, co się dzieje?

- Najpierw powinienem zrealizować jeden kontrakt, mistrzu. Właściwie, wróciłem do stolicy także i z tego powodu.

- Podobno pracujesz samotnie?

- Nie, mistrzu. Mam pomocnika.

- Kto to jest? Wybacz, że pytam, ale chyba rozumiesz, że muszę to zrobić. Obecnie nikomu nie można ufać.

- Swojej pomocnicy ufam całkowicie, mistrzu Barnasie.

- Pracujesz z kobietą?

- Z dziewczyną, mistrzu - postawił pusty puchar na stole. - Nazywa się Wiola de Wai.

- Dobrze, synku. Wreszcie w twoim sercu przestał wiać lodowaty wiatr samotności.

- Wiola nie może być moją ukochaną, mistrzu. Jest znacznie młodsza ode mnie. Do tego - zamilkł, jakby zbierał się w duchu – Wiola, to nie zupełnie zwykła dziewczyna. Jest wampirem.

- Święty Panteonie! - wykrzyknął Barnas, którego słowa maga poraziły do głębi duszy. - Zawsze nienawidziłeś wampirów, a teraz zawiązałeś z nimi przyjaźń? Chyba wiesz, dokąd może to cię zaprowadzić?

- Oczywiście, mistrzu. Jak dawniej nie cierpię wampirów, nawet bardziej niż kiedyś i póki żyję, będę ich niszczyć. Ale tak się złożyło. Wiola została moją towarzyszką i nie mogę zostawić jej na pastwę losu.

- Rozumiem. Ale bardzo ryzykujesz, synku. Sam wiesz, jak bezwzględnie postępuje Kolegium i jego Trybunał z tymi, którzy choćby raz mieli do czynienia z Pozaziemskimi. Tym bardziej - wybacz, że o tym przypominam - miałeś już pewne przykrości. Chcę cię uprzedzić: obecnie Kolegium jest inne, niż osiem lat temu. Pamiętasz, że Solanus Brok nie był do ciebie życzliwie usposobiony. Od tego czasu bardzo się zmienił, Arenie.

- Przyzwyczailem się do ryzyka - rzucił szybkie spojrzenie na Ardelina i zobaczył na twarzy gospodarza nieukrywany strach. – Poza tym, Wiola jest nieocenionym pomocnikiem. I ufam jej całkowicie.

- Gdzie ją znalazłeś, w imię Światła?

- W Norrindze. Realizowałem kontrakt miejscowego maga. Odkrył gniazdo wampirów w starym, porzuconym forcie. Tam ją znalazłem. Dranie trzymali dziewczynę jako brankę. Na nieszczęście, zdążyli ją zarazić. Nie chciałem jej zabijać i wcale tego nie żałuję. Już nieraz pomagała mi w pracy i troszczyła się o mnie.

Chociaż jest wampirem, ale jej dusza jest jasna. Nie chcę się z nią rozstawać i pluje na to, co o tym napisano w Kodeksie o herezji.

- Mam nadzieję synku, że wiesz, co robisz. Jeśli potrzebujesz jakiegokolwiek pomocy, pomożemy. Wszystko, co mamy, jest do twojej dyspozycji. Tylko proszę, zorientuj się w sprawie tych morderstw. Mam niedobre przeczucia i Ardelin też uważa, że wszystkie te przestępstwa są prologiem do czegoś okropnego.

- A pojawienie się elfijki?

- Chwilowo, to tajemnica dla wszystkich. Wiadomości niepotwierdzone. Ja, w to nie wierzę. Sid, to Sid. Uważają nas za najniższe istoty. Tak było zawsze i tak będzie. Naturalnie, że ludzie płacą im wzajemną nienawiścią. Dlatego, chyba żaden z nich, nie zaryzykowałby ujawnienia się na ziemiach zamieszkałych przez ludzi. Być może, żadnej elfijki nie było.

- Hm... Wydawało mi się, że Orkowie, spotkani na drodze do Ergałoty, byli przekonani o jej istnieniu.

- Nie gorzej od mnie znasz mentalność Orków, synku. Te istoty, są do szaleństwa odważne, ale bardzo głupie. Może, ktoś ich błędnie poinformował. Pożyjemy - zobaczymy. Chociaż, może jest jakiś związek między elfijką, morderstwami i stylosem Carikata. Ale to zaledwie przypuszczenie.

- Wobec tego, ostatnie pytanie, mistrzu. Co się stało ze stylosem Carikata? I do czego, komuś mógł być potrzebny?

- O tym nikt, nic nie wie. Chodzą tylko pogłoski, którym nie ufałbym. Jedno powiem - jeśli rzeczywiście zniknął, to nie wróży nam nic dobrego. Mnie, teraz, znacznie bardziej niepokoją dziwne morderstwa. Czy pomożesz nam?

- Oczywiście, mistrzu. Rozpocznę swoje śledztwo - przykleknął i ucałował rękę staruszka. – Uważaj na siebie, mistrzu Barnasie. Będę rad widzieć cię ponownie.

- Słuchałem cię, La Marze i myślałem o tym, że pewnego dnia sprawiedliwość zatriumfuje i jakiś mądry i kochający swój kraj władca, podobny do wielkich królów starożytności, naprawi błąd imperatora Serwiena i rozgoni szajkę, nazywającą się Kolegium Magna - powiedział. - Nie doczekam tego dnia, wiem. Ale ty... dożyjesz. I wówczas zdarzy się to, co powinno - ty, Arenie La Mar, podejmiesz moje dzieło. W każdym razie, bardzo tego bym chciał.

Ulica Hutników znajdowała się zaledwie o dwa kwartały od domu Ardelina. Doszedłszy do jej końca, obejrzał się – czy ktoś go nie śledzi? - A potem zastukał do drzwi małego, zniszczonego domku, osiadłego tak, że okna znajdowały się równo z ziemią. Otwierający drzwi gospodarz, był podobny do swego mieszkania – zgarbiony, zniszczony kobold, o łzawiących oczach. Pachniał siwuchą i zaniedbaną starością.

- Poznajesz mnie, Wambuła? - zapytał, kiedy staruszek podniósł do twarzy gościa kopnącą lampę, żeby trochę lepiej go obejrzeć.

- Czyżby, mistrz La Mar? - wymamrotał kobold. - Pamiętałeś jednak o mnie, che-che-che! Dawno, dawno ciebie nie widziałem! Wchodź, wchodź, skoro przyszedłeś...

- Mój worek w porządku? - zapytał, kiedy kobold wpuścił go do brudnej i zagraconej izby, przesiąkniętej najbardziej niespodziewanymi i alkoholowymi zapachami.

- Caluteńki. Tylko sam musisz zejść do piwnicy – nie jestem sprawny jak dawniej. Od rana łamie mnie w kościach, siły nie mam.

- Dobrze.

Kobold, stękając i klnąc, otworzył zamknięcie pokrywy piwnicznej i La Mar zszedł po chwiejących się schodach, niebezpiecznie skrzypiących pod nogami. Lampa nie była potrzebna, używał zaklęcia Nocnego Podróżnika, więc pomieszczenie oświetliło miękkie, różowe światło. Ciężki, skórzany worek leżał w jednej z dwóch skrzyń, w kącie piwnicy. Rozwiązał rzemień, który ściągał gardziel worka i zaczął rozkładać zawartość na wieku skrzyni.

Było w nim wszystko: krótki miecz, z lekko wygiętym ostrzem z elektronu - ciemnego elfijskiego srebra, należący do kompletu sztylet, dwie małe, dźwigniowe kusze z oksydowanej stali i dwa kolczany ze strzałami. Broń była zawinięta w natłuszczone szmaty i panująca w piwnicy wilgoć nie zaszkodziła im, chociaż minęły cztery lata. Były tu jeszcze dwie kolczugi - jedna kroju elfijskiego, o drobnym wiązaniu, z płytkowymi wstawkami na piersiach i ramionach, druga gnomska, o dużych sześciokątnych oczkach, a także kolcze rękawiczki. Jednym słowem - wszystko, czego potrzeba, by zacząć bitwę i zwyciężyć. Uśmiechnął się: kiedyś ten arsenał nabył za skromną sumę, teraz wart był niejeden tysiąc złotych. Sam miecz może sprzedać za trzy setki tulonów każdemu zbrojmistrzowi. Może, trzeba tak zrobić? Zbyć od ręki cały ten arsenał, a za uzyskane pieniądze kupić dom, ożenić się, wychować dzieci i zapomnieć o minionym życiu, jak o strasznym śnie?

Potrząsnął głową, próbując odpędzić diabelskie podszepty. Zdjął płaszcz, włożył elfijską kolczugę i rękawiczki, narzucił okrycie na ramiona, wydobył ostatnią rzecz - ciężkie, podłużne pudełko z ciemnego drewna. Jedną przegródkę wypełniało 6 szklanych kul o wielkości drobnych jabłek, drugą - kryształ podobny do kwarcu. Kule były wypełnione zapalającym płynem, kryształ zaś służyły do przygotowania szczególnej, alchemicznej mieszanki - soli Eszera, zgubnej dla wampirów. Gdy obejrzał ekwipunek i przekonał się, że wszystko jest w porządku, włożył z powrotem do worka, a sztylet przypiął do pasa. Zarzucił sak na ramię i zaczął wspinać się po schodach, uważając, by nie załamały się pod nim. Zwichnięcie lub złamanie, były najmniej pożądane w tym momencie.

- Dziękuję, Wambuła - powiedział do kobolda i rzucił na stół jeden złoty. - Pozostań w zdrowiu!

- Jeśli będziesz czegoś potrzebować, przychodź - staruszek sprawdził monetę jednym z dwóch zębów, uśmiechnął się zadowolony. - Ja zawsze, gdyby, co...

- Na pewno.

Opuściwszy chałupę, pokrażył, dla bezpieczeństwa, po nocnych ulicach i wrócił do hotelu „Garść srebra”, gdzie po przybyciu do miasta wynajął pokój. Hotel, chociaż znajdował się niedaleko rezydencji księcia Aszlera w Górnym Mieście, był ubogi, ale La Mar przyzwyczał się do podobnych miejsc - im mniej rzucasz się w oczy, tym lepiej. Niewłaściwe zachowanie może zwrócić uwagę, zwłaszcza w Ergałocie, gdzie Trybunał ma wszędzie oczy i uszy. Właściciel, za dodatkową opłatą, pozwolił wziąć do pokoju Mądrałą. Ippa, mag ulokował w stajni, dodatkowo płacąc za to.

Mądrała, spotkała go radosnym skowytom i podskokami. Kiedy pozwolił jej mówić, suczka natychmiast zakomunikowała, że gospodarz przygotował na kolację nieświeżą wieprzowinę.

- Nie będziemy jeść tego, co przygotował - odpowiedział. - Odwiedziłem Ardelina i przyniosłem trochę prowiantu.

- A to, co? - zapytała Mądrała, patrząc na worek.

- Moje pędzle i farby, miła. I coś dla ciebie. Wszystko, co nam teraz potrzebne. Musimy szybko rozliczyć się z Salmirem. Od jutra pracujemy dla moich przyjaciół.

- Ardelin proponował nowe zadanie?

- I to straszne, powiedziałbym.

- Opowiesz?

- Obowiązkowo. Gdyby nie ty, nie zabrałbym się za nie. Wygląda na to, że zetknęliśmy się z czymś bardzo niebezpiecznym.

- Zaintrygowaleś mnie.

- Najpierw zjedzmy - rozwiązał węzelek od Ardelina i wyłożył na stół suchą, wędzoną kiełbasę, pszenny chleb, kawałek sera i słoik z pasztetem, wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcz płaską flaszkę z konchobarem. - Pasztet dla ciebie, miła.

- Nie chcę jeść jak pies. Mogę stać się sobą?

- Poczekaj, zamknę drzwi. Trzeba przygotować dla ciebie odzież.

- Szybciej. Od tych zapachów żołądek mi ściska.

- Moment, sznurek na worku zasupłał się... Już w porządku! - odwrócił się i głośno wypowiedział zaklęcie Pierwotnego Wyglądu.

- Uf! - z ulgą westchnęła Wiola.

- Dobrze być człowiekiem – powiedział z ironią. - Chociaż dla odmiany, chciałbym czasem przez chwilę być psem.

- Jest w tym coś upokarzającego - ubierała się szybko, nie chciała zmuszać La Mara do czekania. - Rzuć na siebie czar. Zostań psem. Dlaczego nie miałbyś spróbować?

- Niestety, nie mogę! Nie jestem przecież z Zaświatów.

- Powiedz, proszę, kto wymyślił to obrzydliwe słowo - Zaświaty? - narzuciła koszulę, zręcznie uporowała się z tasiemkami przy kołnierzu i rękawach. - Brzmi, jak przekleństwo. Przecież wiesz, że jestem zwykłą kobietą.

- Nie wiem - chrząknął. - Nigdy nie widziałem cię gołej. Może, chowasz pod odzieżą ogon albo łuski?

- Dureń! - ubrała się, zebrała długie włosy w ogon na karku. - Możesz patrzeć.

Mag odwrócił się do towarzyszki. To niesprawiedliwe, że taka dziewczyna musi ukrywać swój prawdziwy wygląd. Nawet przed sobą nie chciał się przyznać, że nie zabił kiedyś dziewczyny tylko dlatego, że poraziło go jej piękno. I zakłopotalo: Wiola była Seltonką, jak on, ale typ piękna miała jakby elfijski – migdałowe, zielonkawe oczy, pod uniesionymi do skroni brwiami, wystające kości policzkowe, mały podbródek, pełne usta, cienki nos, złocista aksamitna skóra, jasne włosy z odcieniem srebra. Prawdziwa ślicznotka, od której trudno oderwać oczy. Straszne piętno wampiryzmu dotychczas w żaden sposób nie odbiło się na wyglądzie dziewczyny i to też dziwiło La Mara - tylko uśmiech mógł wydać jej przynależność do przeklętego ludu Dzieci Nocy. Ale uśmiechała się bardzo rzadko.

- Teraz można jeść - westchnęła. - A ty, jednak nie kupiłeś sobie nowego płaszczu. Nie podoba mi się, że zaniedbujesz. Nie golisz się i pachniesz nieprzyjemnie.

- Gdy otrzymamy pieniądze od Salmira, doprowadzę się do porządku – popatrzył pieszczotliwie na dziewczynę. – Jesteś moją... ślicznotką.

- Pochlebca! - pocałowała maga i usiadła przy stole. - Czemu stoisz? Jedzmy kolację.

Przytaknął. Nagle, wyraźnie, we wszystkich szczegółach, przypomniał sobie dzień, kiedy spotkał się z nią. Stoczył wówczas prawdziwą bitwę. Widocznie, bogowie zdecydowali pokazać mu, że o szczęście trzeba walczyć. Główne trofeum, zdobyte w porzuconej twierdzy w Norrindze, było najlepszą nagrodą, jaką kiedykolwiek otrzymywał.

ROZDZIAŁ TRZECI

Skąd mag Etsel dowiedział się o jego pojawieniu się w Norrindze, nie miał najmniejszego pojęcia. Początkowo sądził, że jego klienci nie trzymali języka za zębami - i pomylił się. Odwiedził go w hotelu piątego dnia pobytu w mieście i bez żadnego wstępu wyłuszczył sprawę. Wysłuchał go - kontrakt był niezwykle. Dotychczas proponowali mu niszczenie wampirów-samotników; magowie-wojownicy nazywali ich wampirami-włóczęgami. Etsel zaś, proponował kontrakt na zniszczenie całego klanu krwiopijców. Z jego słów wynikało, że osiedli oni w starej twierdzy na granicy Norringi i Seltonii i z dnia na dzień sprawiają władzom księstwa coraz większy kłopot. Od razu zrozumiał, że przyszedł do niego nie z własnej inicjatywy i nie pomylił się – kończąc opowieść, dodał:

- O nic się nie musisz martwić, Seltończyku. Książę Aksel Wielki jest poinformowany o wszystkim. Nie będziesz miał żadnych problemów z powodu zabicia tych drani.

- Przecież wiesz, przyjacielu, że oficjalnie żadnych wampirów nie ma - odpowiedział. - Jeśli pogłoski o zdarzeniach w Norrindze dotrą do Kolegium Magna - a wcześniej czy później tak się stanie - nieuchronnie wypłynie moje imię. Znow będę musiał ukrywać się, jako morderca uczciwych obywateli.

- Mój przyjacielu - odpowiedział Etsel - obaj nie należymy do pospólstwa i dlatego wszystko, co jest tajemnicą dla prostych ludzi, nie jest tajemnicą dla nas. Kolegium jest poinformowane o tym, co musi się wydarzyć. Co więcej, powiem ci, że polecił mi ciebie właśnie człowiek Kolegium.

- Hm! - La Mar nie potrafił ukryć niezadowolenia. – Śledzą mnie. Dobra wiadomość. Po prostu cudowna wiadomość - pomyślał.

- Wybacz moją szczerość, ale w Kolegium masz skrajnie złą reputację, heretyka, libertyna i pyszałka, nieuznającego autorytetów. Jednakże wszystko to uchodzi ci na sucho, ponieważ jesteś wspaniałym magiem-wojownikiem i umiesz robić to, czego nie potrafią inni, nawet o większych umiejętnościach. Jesteś w swoim fachu jednym z najlepszych.

- Czyli są inni magowie-wojownicy?

- Opowiadał mi przyjaciel o jednym chłopaku z Resza. Podobno, przez pewien czas, przyjmował zamówienia na likwidację wampirów, ale potem porzucił to zajęcie. Jak to mówią, poszedł inną ścieżką. W rezultacie, został jeden prawdziwy zawodowiec w kwestii wampirów - ty.

- Poza tym umiem zabijać - uśmiechnął się. - To chciałeś powiedzieć, Etsel?

- Właśnie to, mój przyjacielu - z rozbijającą szczerością powiedział mieszkaniec Północy. - Mam pewne znajomości w kręgach zbliżonych do Kolegium Magna, więc nie musisz się o nic martwić. Książę Aksel ma także do ciebie zaufanie, chociaż jesteś obcy. Tylko jeden warunek - powinieneś zabić wszystkich w twierdzy.

- O tym mógłbyś nawet nie mówić. A zapłata?

- Zapłacimy ci za każdy kiel wampira czterdzieści ardzenów.

- Żartujesz? - uśmiechnął się pogardliwie. - Za takie pieniądze sam udaj się na polowanie.

- Dobrze, wymień swoją cenę.

- Siedemdziesiąt pięć ardzenów za kiel, plus pięćdziesiąt w nagrodę, po wykonaniu kontraktu.

- To bardzo drogo.

- Wobec tego żegnaj, Etsel! - ziewnął. - Przyjemnie było porozmawiać.

- Dobrze, jesteś górą - Etsel pokornie rozłożył ręce. - Przyjmuję twoje warunki. Ilu czasu potrzebujesz na wykonanie kontraktu?

- Tydzień.

- Czekaj, a zadatek? - zapytał odchodzącego. Etsel, po chwili wahania, rzucił na stół ciężką sakiewkę.

- Ile?

- Sto ardzenów. Więcej przy sobie nie mam.

- Więcej nie trzeba.

- Odnoszę wrażenie - powiedział Etsel, uśmiechając się krzywo - że mam do czynienia z najemnym mordercą, a nie z magiem-wojownikiem.

- I masz rację, przyjacielu. Czy twoi znajomi z Kolegium nie powiedzieli ci, kim jestem?

- Powiedzieli, ale nie wierzyłem. Myślałem, że żartowali.

- Magowie Kolegium wiedzą, co mówią. Cieszę się dotychczas wolnością tylko dlatego, że jestem mordercą i moje rzemiosło komuś jest potrzebne. Czyż nie zabawne?

Umówili się, że za tydzień, w południe, Etsel przyjdzie z pieniędzmi i glejtem od księcia Aksela do hotelu „Kieł jednorożca”. Po jego odejściu, La Mar natychmiast rozpoczął przygotowania. Zdawał sobie sprawę, że wmieszał się w bardzo niebezpieczne przedsięwzięcie, bo jeszcze nigdy nie musiał wykonywać podobnych zadań. Kiedyś wreszcie, trzeba zacząć niszczyć krwio pijców nie pojedynczo, a całymi klanami. Nie warto się rozdrabniać.

Pięć dni trwały przygotowania, zanim udał się do twierdzy, położonej na zachód od Norringi, o której mówił Etsel. Miejsce było istotnie przerażające - ze starej budowli została tylko główna wieża, otoczona ruinami, a dookoła pierścień bagien. Cały dzień szukał pewnej ścieżki wśród trzęsawisk i oznaczył ją palikami. Potem zajął się bronią i eliksirami. Niezbędny ekwipunek zamawiał i kupował u różnych mistrzów, by nie wzbudzić żadnych podejrzeń. Niewykluczone, że wampiry mają w mieście informatorów. Kolczugę i miecz wziął ze swego schowka w krasowej jaskini, niedaleko miasta. Kuszę kupił od handlarza-kobolda w Szylei, a strzały zamówił u kowala w Norrindze. Stary przyjaciel-aptekarz zgodził się udostępnić mu laboratorium do przygotowania potrzebnych mikstur. Szóstego dnia, o świcie, wyjechał z Norringi, by wykonać zadanie. Tak długie i skrupulatne przygotowania były usprawiedliwione. Zbyt dobrze znał zwyczaje wampirów, by lekceważyć je.

Cel znajdował się trzydzieści lig od Norringi. Połowę odległości przejechał wierzchem. Druga część drogi prowadziła przez bagna. Zostawiwszy konia na szczycie niedużego pagórka, zszedł do dolinki i ruszył na południowy zachód, starając się omijać otwarte miejsca, chowając się w zagajnikach i krzakach. Do twierdzy dotarł późnym popołudniem. W gęstej leszczynie, przygotował się do dzieła. Na początku zdjął ubranie, krzywiąc się i klnąc, dokładnie posmarował się maścią, maskującą zapach - zawsze to robił, wiedząc, że wampiry mają szczególne psy, strzegące ich siedziby. Specyfik ten, miał ciężki zapach rozkładu i środka do balsamowania. Włożył zbroję, długą kolczugę i kaptur z podwójnym wiązaniem na szyi, rezygnując z rękawiczek, bo każdy metal mocno osłabiał magiczne passy. Zarzucił długi miecz na plecy, do pasa przypiął kołczan ze strzałami. W starodawnych księgach o demonologii mówiło się, że przeciwko wampirom najbardziej skuteczne jest srebro, ale sam dawno odkrył, że drogie srebro ma tanią i potężną namiastkę – siarczan miedzi. Każda z dwudziestu strzał w jego kołczanie miała na drzewcach, od końcówki do upierzenia, głębokie podłużne bruzdy, które wypełnił mieszanką tych kryształów i trującej pasty, wywołującej natychmiastowe

gotowanie się krwi. Jedną z nich załadował kuszę. Torbę z niezbędnymi specyfikami powiesił na piersi. Teraz był odpowiednio przygotowany.

Dwie godziny przed zmierzchem wszedł do twierdzy. Zniszczona brama była otwarta na oścież, a podwórze puste. Rozglądał się wolno, próbując znaleźć ślady bytności wampirów. Wiedział, że nie znoszą one roślin o ostrym zapachu, mięty albo gorczycy. Wkrótce znalazł to, czego wypatrywał - w głębi, przy zmurszałym drewnianym płocie, ktoś wyrwał i rozdeptał kilka kępek mięty. Rośliny jeszcze nie zdążyły zwiędnąć, wyrwano je niedawno.

- Jeśli tak było, gospodarze powinni być w domu - wyszeptał, patrząc na potężne drzwi donżona.

Chwilę przed wejściem do wieży, wypił Elikzir Węża, pozwalający widzieć aurę istoty. Wampiry, które mutowały się pod działaniem Cienia, mają bladzieloną poświatę, a nie czerwono-pomarańczową, jak zdrowy człowiek. Był prawie pewien, że jego klienci śpią teraz gdzieś w podziemiach wieży, ale w takim niebezpiecznym przedsięwzięciu każdy drobiazg może albo uratować, albo zgubić. Psów w twierdzy nie było, co nie wyklucza, że któryś z wampirów chroni dzienny sen swoich współbraci.

Nie pomylił się. Ledwie wszedł do przestronnej sali parteru, zobaczył po lewej stronie, na galerii, migocącą zielonkawą plamę. Wykorzystanie zaklęcia Magicznego Oprzędu było spóźnione - wampir go zauważył, sfrunął w dół jak nietoperz. Był to straszny mężczyzna w czarnej skórzanej zbroi, z krzywym krótkim mieczem.

Z krzykiem rzucił się na La Mara, który wystrzelił z kuszy. Strzała, z przytłumionym dźwiękiem, przebiła pierś wampira i upadł, nie zdążwszy zbliżyć się na długość miecza. Zielonkawa poświata wokół wampira zmieniła się w winno-czerwoną i mag wyraźnie usłyszał, jak ranny krwio pijca zgrzyta zębami - siarczan zaczął wypalać jego wnętrze. Zmienił kuszę na miecz, podbiegł do pokonanego, przebił go, obrócił w ranie ostrze, ten zawył przeciągle i strasznie, potem zachrypiął, wypływając czarną krew. Teraz należało wsypać do rany garść soli Eszera. Wampir zadrgał w konwulsjach. Po chwili uniósł się nad nim żrący dym i w krótkim czasie pozostał tylko zwęglony szkielet, pokryty skurczoną, zwichrowaną zbroją.

Począł, aż zwłoki przestaną tlić się, wyjął z torby kleszcze i wyrwał ze szczęki kły.

- Będziesz jeść kaszkę mannę - powiedział na pożegnanie.

Początek był niezły. Z załadowaną kuszą, ostrożnie wspiął się na galerię i odszukał drzwi do pomieszczenia. Unosił się tu specyficzny zapach: myszy, kurzu i stęchlizny. Pod nogami poniewierały się baranie i wieprzowe kości, skorupy glinianego naczynia, odłamki mebli, butwiejące szmaty, ale żadnych śladów wampirów nie zauważył. Po krętych schodach wszedł na szczyt wieży - wszędzie było czysto. Należało sprawdzić podziemie.

Drzwi były zamknięte od wewnątrz, więc cała kompania dotychczas nie opuszczała swojego schronienia. Otworzył zamek przy pomocy zaklęcia i zaczął ostrożnie schodzić po stromych, wąskich schodach. Przestrzeń wypełniała sucha, biaława mgła. Oznaczył wyjście świecącą runą i ruszył tunelem w głąb, otoczywszy się Magicznym Oprzędem. Na końcu wynurzyła się wyciągnięta zielonkawa plama. Wycelował i wystął w nią strzałę. Po chwili usłyszał stłumiony krzyk, a potem ciężki, bolesny charkot.

Porażony wampir okazał się kobietą. Kiedyś, prawdopodobnie, była bardzo piękna, ale teraz, przekleństwo Nocy uczyniło jej twarz podobną do nieboszczyka – szara, sucha skóra, zapadnięte policzki, podkrążone oczy, głębokie zmarszczki dokoła posiniątych warg. Zwijiała się na podłodze, konwulsyjnie otwierając purpurowe

usta, z których falami chlustała krew i patrzyła na La Mara z nienawiścią. Strzała z kuszy rozerwała arterię płucną. Mag dobił ją mieczem i solą, poczekał, aż można będzie usunąć kły. Na szyi szkieletu zobaczył drogi medalion, ze szmaragdowym kaboszonem oprawionym w jasne złoto.

- Tobie, miła, więcej się nie przyda - szepnął i zdjął medalion.

Przez następne pół godziny rozprawiał się z kolejnymi wampirami. Jeden z nich ostrzył sztylet i był tak pochłonięty zajęciem, że nie zauważył skradającego się myśliwego: drugi drzemał w fotelu. W kieszeni jego kamizelki, znalazł pogniecioną notatkę, na której przeczytał:

PRZEKAZAŁEM KOLIEROWI POZDROWIENIA OD CIEBIE. ON JUŻ ZABRAŁ DWIE SETKI ZA KRÓWKĘ W SCHOWKU PRZY CHŁODNYM ŹRÓDLE. JEŚLI POTRZEBUJESZ JESZCZE MLECZKA, POWIEDZ GAPIE. JEST W KURSIE DZIEŁA.

- Przyjmiemy do wiadomości - mruknął, chowając kartkę do torby.

Na pierwszym poziomie podziemia, żywych wampirów więcej nie było, więc zszedł jeszcze niżej, do dawnych piwnic i zamkowego więzienia. Gęsta mgła wszystko otulała. Wyraźnie słyszał pisk szczurów. Było zimno, ale czuł, jak mu płonie twarz i pot ścieka po czole. Skradając się długim korytarzem, wzdłuż otwartych cel, w których kiedyś trzymano uwięzionych, znalazł się przy kolejnych schodach, prowadzących w dół, do masywnych drzwi z czarnego dębu, okutych żelazem. Serce zabiło mu mocniej - prawdopodobnie, znalazł to, czego szukał. By wypowiedzieć zaklęcie Ochrony i Oporu, potrzebował mniej niż minutę. Skoncentrował się i pchnął drzwi. Otworzyły się nadspodziewanie łatwo, ze słabym skrzypnięciem, a on znalazł się w przestronnym pokoju, oświetlonym lampami olejowymi. Pomieszczenie było prawie puste. Stał tu tylko drewniany stół ze stosem książek, dwa krzesła i dwuskrzydłowa szafa. Z sufitu zwieszały się grube zardzewiałe łańcuchy. Pachniało balsamicznymi maściami i stęchlizną. Przy stole siedział bardzo wysoki, chudy i siwowłosy mężczyzna. Ubrany był w ciemną, kapłańską szatę. Na rękach miał skórzane rękawiczki ze stalowymi kolcami. Patrzył na niego i uśmiechał się.

- Witaj, Arenie La Mar! - pomachał magowi ręką. - Byłem pewny, że przyjdiesz właśnie dzisiaj.

- Kim jesteś? - zatrzymał się w progu, trzymając nieznanego na celowniku kuszy.

- Rejonowym przywódcą tej małej wspólnoty. Księciem, jak przyjęto nazywać nas w starodawnych księgach. Teraz możesz strzelać, czy też, pragniesz trochę porozmawiać?

Zupełnie prawidłowa reakcja zaskoczonego znienacka wampira, pomyślał. Teraz krwio pijca zacznie się kajać, wzbudzać litość, tłumaczyć wszystko swoją chorobą i oddziaływać sugestią hipnotyczną, by potem nagle zaatakować. Ale, płonne nadzieje, przyjacielu - mentalna tarcza, nałożona magią Oporu, dla ciebie, nie do przebicia...

- Nie mamy, o czym rozmawiać - spokojnie powiedział, nie opuszczając kuszy.

- Na próżno tak myślisz - wampir rozłożył ręce. - Widzisz, nie mam żadnej broni. Nie pragnę cię zabić, chociaż na pewno wykończyłeś nieszczęśników, którzy próbowali cię zatrzymać. Nie wiedzieli, z kim mają do czynienia, a ja nie wyprowadzałem ich z błędu. Zabiłeś Sławena, Roksi, Elima i Tarksa, czyż nie tak? Możesz nie odpowiadać. Najzabawniejsze, że nie jestem rozgniewany z tego

powodu. Wręcz przeciwnie – jestem ci nawet wdzięczny za to, że uwolniłeś mnie od nich. Ci czterej głupcy, ostatnio, działali mi na nerwy. To z ich powodu jesteś tu.

- Z ich powodu?

- Widzisz, La Marze, wampiry nie są doskonałe, chociaż nieśmiertelne. Niektóre z nich ulegają obłędowi, który rozwija się stopniowo i nieodwracalnie. Sidowie nazywają to krwawą wścieklizną. Ja - ichoromanią - manią krwi. Doznają szczególnej rozkoszy, napadając na swoje ofiary i wysysając z nich krew. Naturalnie, ich pragnienie krwi tak wielkie, że pozbawia je rozumnej ostrożności, która jest nam niezbędna, La Marze.

- Po co mi o tym mówisz?

- Chcę, żebyś pojął istotę problemu. Zabici przez ciebie bracia wpadli w obłęd i zaczęli naruszać pewne niepisane reguły naszego Braterstwa. Na przykład, Tarks. Dołączył do szajki rozbójników, zabijał dla samego mordy, a nie dla przetrwania. To ściągnęło na nas uwagę.

- Nie rozumiem, o czym mówisz. Podstawiłeś swoich koleżków-krwiopijców, a teraz próbujesz przekonać mnie, że postąpiłeś słusznie. Coś jest w tym nikczemnego, rejonowy przywódco.

- Dobrze, La Marze. Będę z tobą szczery, ponieważ wiem, po co przyszedłeś i wiem, co się zdarzy, jeśli mi nie uwierzysz. Jesteś, jednym z niewielu wtajemniczonych w nasze sprawy. Nawet nie wiem, jak to ci się udało - może, twoi opiekunowie o wszystkim opowiedzieli? Ale, nie to teraz najważniejsze. Dla całego świata, my, zwolennicy kultu Zacienionej Czaszy, jakbyśmy nie istnieli. Przez długie wieki prześladowali nas magowie i łowcy głów wampirów. Ocalały tylko jednostki, chytre, ostrożne i cierpliwe. Ci, którzy zdołali okiełznać swoje krwiożercze instynkty i nauczyli się żyć obok zwykłych ludzi, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Udało nam się dokonać najważniejszego - zachować nasze Braterstwo i święty kult. Potem ludzie uwierzyli, że koniec z wampirami i mogliśmy odetchnąć. Ale było nas za mało, można powiedzieć, jednostki. Pięciu-sześciu najwyższych wampirów w całej Seltonii, Norrindze i Reszu. Potrzebowaliśmy nowych sił. Zdecydowaliśmy, że czas rekrutować nowych, cha-cha-cha! Z początku braliśmy tylko odszczepieńców: przestępców, włóczęgów, dziwki - każdy nowy Wtajemniczony podlegał bardzo poważnym próbom. Każdy, kto łamał nasze reguły, podlegał natychmiastowemu wydaleni. Była to najstraszniejsza kara, ponieważ, bez poparcia wspólnoty, taki wampir był skazany na unicestwienie. Bardzo szybko przyciągał uwagę myśliwych, takich jak ty, wszystkich tych magów-pechowców i emerytowanych najemników-zbójów, doskonale znających nasze słabe punkty.

- Wampir-włóczęga?

- Właśnie. Idę o zakład, że w swoim życiu zniszczyłeś wielu takich biedaków - uśmiechnął się - surowa dyscyplina ma swoje plusy, La Marze. Odsiewa słabych i niezdatnych. Pozostają najlepsi.

- Jednak jestem tutaj, a to znaczy, że nie byliście lepsi.

- Wszystkiemu winni Bracia, o których ci opowiedziałem. Powiedzieć uczciwie? Ta czwórka nawet ucieszyła się, kiedy kazałem im zatrzymać cię. Liczyli, że zjawi się jakiś tępą dyletant, zarozumiały magiczek, w rodzaju tego nadwornego gaduły, Etcela. Oczywiście, słyszeli o tobie, ale uważali, że pokonają bez wysiłku. Nie powiedziałem im prawdy. Bardzo chciałem cię poznać, mówię szczerze. Chciałem zobaczyć, jak wygląda prawdziwy mag-wojownik.

- Skąd twoje zainteresowanie mną?

- Stąd, że nienawidzisz Kolegium Magna.

- Ciekawe.

- Pomyślałem, że możemy zawrzeć porozumienie. Nie-nie, nie śpiesz się z odmową! Znam twoje niesnaski z Kolegium Magna. Wiem, że masz tam bardzo niewielu przyjaciół i bardzo licznych wrogów. I tak powinno być - jesteś utalentowanym magiem. I diabelnie sprytnym sukinsynem. Nie pochlebiam ci, mówię, jak jest. Z kogo składa się Kolegium? Jeszcze wczoraj powiedziałbym - z chętnych, zadowolonych z siebie, sprzedajnych karierowiczów, którzy nienawidzą i boją się mądrych, utalentowanych i zdolnych ludzi. Ale teraz w Kolegium zjawili się tacy, którzy posiadają bardzo dużą moc. Bardzo dużą, La Marze.

- Po co mi to mówisz?

- Nadchodzą wielkie wstrząsy, które zmienią oblicze tego świata.

- Posłuchaj, nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną?

- Nie wyobrażasz, jakie moce mogą wyrwać się spod kontroli. Żyjemy wszyscy oczekując burzy, która wkrótce się rozpęta. Potężnej, ożywczej, której setki lat oczekuje nasze Braterstwo. Teraz wypada szukać sojuszników nawet wśród tych, których uważasz za wrogów. Mogę pomóc ci, a ty pomożesz mi.

- Czym możesz pomóc mi, krwiopijco?

- Jest coś, o czym nie wie Kolegium Magna. A ja wiem. Mógłbyś wykorzystać wiadomość, którą ci przekażę.

- Co za wiadomość?

- O pewnych zmianach w Braterstwie. O tym, co może złamać zasady, według których graliśmy dotychczas. To cenna informacja, La Marze. Bardzo cenna. Jestem gotów ci ją przekazać. A ty wykonasz moje zadanie. No, jak, umowa stoi?

- Przypuścimy, że zgodzę się ci pomóc. I co dalej?

- E, nie, La Marze, tak nie da rady! - rejonowy gospodarz roześmiał się. - Muszę być absolutnie pewny, zanim powierzę ci TAKĄ tajemnicę.

- Więc co powinienem zrobić, by zasłużyć na twoje zaufanie? Oddać ci życie?

- Zostać jednym z nas. Stań się częścią Cienia.

- Niezwykle wspaniałomyślna propozycja. Ale ja nie jestem na nią przygotowany.

- Pomyśl dobrze, magu. Otrzymasz wieczne życie, nieprawdopodobną władzę nad ludźmi i będziesz znał najbardziej skryte tajemnice naszego Braterstwa.

- Nie potrzebuję znać ich.

- To znaczy, że nie byłem przekonujący. Wobec tego umrzesz, La Marze. Szkoda.

Uderzenie nieprawdopodobnej mocy zważyło się na La Mara, niczym celnie puszczony pocisk z katapulty: książę atakował zaklęciem Niewidocznej Pięści. Wytrącona magicznym atakiem kusza, wypadła z rąk myśliwego. Zobaczył tuż przed sobą zniekształconą twarz rejonowego przywódcy - trupioblada, z kłami w paszczy w miejscu ust. Ogarnął go potworny chłód, serce zamarło, lodowate przerażenie obezwładniało świadomość. Wampir z drapieżnym rykiem machnął ręką: pięść, w kolczastej rękawiczce, rozdarła twarz od skroni do podbródka, zmuszając maga do bolesnego krzyku. Bardziej, dzięki instynktowi samozachowawczemu niż rozumowi, wyrzucił do przodu obie ręce. Nie był w stanie wypowiedzieć Zaklęcia Ognia, język odmówił posłuszeństwa, ale aktywowane myślowym rozkazem, zadziało. Ognista kula ugodziła w pierś wampira, więc cofnął się z krzykiem, rozsypując iskry. W następnej chwili La Mar oprzytomniał. Na wydobywie miecza nie było czasu i mag z rozmachem uderzył przywódcę pięścią w skroń. Książę uchylił się, wpadł na stół z książkami i lampą, która rozbiła się, a oliwa zapaliła się. Płomienie popęły po połach książęcego płaszcza. Wampir wrzasnął i od jego przeszywającego, wibrującego krzyku magowi zatkało uszy. Potrzebował jeszcze chwili potrzebował, by

wysłać drugą ognistą kulę prosto w twarz krwio pijcy. Przeciwnik umilkł i ogarnięty płomieniem bezwładnie zwał się na podłogę. Żrący dym, wypełniający pokój, zmusił La Mara do kaszlu i ucieczki na korytarz. Odczekał wystarczająco długo - by nabrać tchu i oprzytomnieć na tyle, że mógł kontrolować swoje ciało i swoje myśli. Potem zajął się swoją raną. Twarz była rozcięta od skroni do dolnej szczęki. Pomyślał, że miał bardzo dużo szczęścia – gdyby uderzenie nastąpiło bardziej w prawo, straciłby lewe oko. Po opatrzeniu rany przeciwkrwotocznym zieleń i odtrutką, wrócił do pokoju, gdzie z trzaskiem, dopalały się zwłoki księcia.

Innych drzwi w pomieszczeniu nie było, ale po krótkich poszukiwaniach odnalazł w ścianie dźwignię, otwierającą tajemne przejście. Zanim ruszył dalej, podniósł swoją kuszę i przeszukał dopalający się szkielet księcia, ale nie znalazł niczego interesującego - tylko trochę złotych monet i pierścieni z pieczęcią. Grawerowany wzór przedstawiał gwiazdę z szesnastoma ramionami. Po krótkim namyśle, schował go do torby razem z kłami księcia .

Przejście w ścianie bardziej przypominało szczurzy właz: La Mar zmuszony był przesuwać się nim na czworakach. Kiedyś był to tajny podkop z twierdzy, wygrzebany w ziemi. Okazał się bardzo długi - przy końcu drogi rozboleły go plecy, a ręce i nogi jakby płonęły. W końcu, cały uwalany gliną, znalazł się w ogromnej, krasowej jaskini, z jeziorkiem wapiennej wody w centrum. W kącie jaskini świeciła słabym, niebieskawym światłem gazowa pochodnia, a za nią widoczne były półokrągłe drzwi. Sprawdziwszy kuszę, skierował się do nich.

Stwierdził, że nigdy nie były zamykane, albo zmarły przywódca zostawił je otwarte, bo nie musiał mocować się z zamkiem. W niedużej krypcie, za drzwiami, znajdowało się schronienie wampirów - osiem starodawnych kamiennych sarkofagów, pokrytych rzeźbionymi wzorami. Takich jeszcze nie widział, to było coś nowego i nieznanego magowi-wojownikowi. Ból wykrzywił jego twarz, więc wypił jeszcze jeden flakon Eliksiru Węża. Ujrzał słabe świecenie w trzech najdalszych sarkofagach - pozostałe pięć, należały do księcia i zabitych wampirów, w wieży i podziemiu. Teraz musiał wymyślić, jak otworzyć sarkofagi, nie niepokojąc właścicieli. Przez chwilę zapomniał, że rana na twarzy jeszcze krwawi i wampiry mogą zwęszyć zapach przelanej krwi.

Zdażył zrobić zaledwie parę kroków, jak rozbrzmiało głośnie, wściekłe syczenie - ciężka pokrywa najbliższego sarkofagu odskoczyła, jak wierzchołek góry, zerwany wulkanicznym wybuchem. „Lokator”, obudzony zapachem krwi, wyskoczył z sarkofagu, usiadł na jego brzegu, niczym drapieżny ptak na skale, świdrując przybysza krwiożerczym spojrzeniem. La Mar zwolnił spust kuszy, strzała ugodziła wampira w czoło. Cuchnący mózg opryskał ścianę krypty za jego plecami: Odrzucony uderzeniem strzały, krwio pijca upadł z powrotem do sarkofagu. Ledwie zdażył załadować kuszę, a otworzyły się dwa inne sarkofagi i ich właściciele, mężczyzna i kobieta, rzucili się na niego równocześnie. Strzała dosięgła ramienia mężczyzny, prawie urywając stworowi rękę, ale wampir-kobieta wytrąciła kuszę i zamachnęła się na niego szerokim sztyletem. Uchylił się przed ciosem, rzucił w nią ognistą kulą, ale chybił. Zasyczała, owiało go zgnilizną, zepsutą krwią, rozpadem. W następnej chwili skoczyła na maga: żeby ochronić gardło, zasłonił się lewą ręką i kły wampira drasnęły rękaw kolczugi. Błada, zniekształcona wściekłością i pragnieniem krwi twarz kobiety, była tuż przed nim, więc uderzył prawą pięścią, celując w górną wargę. Celny cios zmusił stwora do cofnięcia i to wystarczyło, by zdażył wyciągnąć miecz z pochwy. Długie, sieczne uderzenie, z chrzęstem otworzyło klatkę piersiową wampira, stwór zawył z wściekłości, odskoczył - i po chwili znów rzucił się na myśliwego. Zatrzymał go w locie uderzeniem miecza, odrzucając w kąt krypty, a

potem, podbiegł i przygwoździł do gliniastej ściany. Skończywszy z kobietą, dobił dwoje rannych wampirów i dopiero po tym przysiadł na zerwanej pokrywie sarkofagu, łapiąc oddech i wycierając z twarzy pot i sadzę. Na szczęście kły nie były w stanie przegryźć jego kolczugi, ale, opatrzył miejsce ukąszenia silną odtrutką i dopiero po tym zajął się zbiorom trofeów. Na prawej ręce jednego z zabitych, zauważył taki sam pierścień-pieczątkę, jaki nosił książę. To nie mógł być zbieg okoliczności, ale był zbyt zmęczony, by snuć jakiegokolwiek domysły. W wolnej chwili, będzie rozmyślał o tych znakach, teraz zajął się kłami zabitych stworów. Szesnaście zębów, po siedemdziesiąt pięć ardżenów każdy, to tysiąc dwieście srebrnych monet, pieniądze, których nigdy w rękach nie trzymał, do tego złote pierścienie i szmaragdowy kaboszon. Dzisiejszy dzień uczynił go bogatym. Kontrakt wypełnił, z norringskimi wampirami zrobił porządek.

Ledwie skończył z kłami, z jeszcze dymiących się zwłok, kiedy usłyszał dźwięk - cichy, podobny do ostrożnego postukiwania. Dochodził z ciemnego rogu krypty, zasłoniętego pustymi sarkofagami. Ze zdziwieniem, zobaczył w kącie jeszcze jedno niskie drzwi, zamknięte na zasuwę. Dziwne, że nie zauważył ich od samego początku. Za nimi znajdowała się mała celda, bardziej podobna do niszy w ścianie jaskini, a w niej - młoda dziewczyna, prawie dziecko, z twarzą pobrudzoną błotem, w rozerwanej płóciennnej tunice i z jakiegoś powodu obuta tylko w jeden trzewiczek. Odzwyczajona od światła mrużyła oczy, próbując dostrzec La Mara. Serce maga boleśnie się skurczyło - zauważył na szyi dziewczynki złowieszcze, fioletowe plamy. Ślady ukąszenia.

- Zabiłeś ich? - zapytała, odrzucając z twarzy, zlepione brudem, jasne włosy.

- Zabiłem.

- Jesteś myśliwym, prawda?

- Zgadza się - nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

- Masz całą twarz we krwi. Pogryźli cię?

- Nie. Tylko zranili.

- Mnie też zabijesz?

- A jak myślisz?

- Dobrze - powiedziała dziewczyna. Oczy jej były puste, jakby mówiła nie o sobie, a o kimś innym. - Wszystko jedno zdechłabym tu z głodu. Tylko zrób to szybko, dobrze?

- Dobrze - z trudnością przełknął wstrętą grudę w gardle.

Dziewczyna zamknęła oczy, podniosła twarz do sufitu, podstawiając szyję pod uderzenie. Powoli wyciągnął z pochwy miecz. Serce zabiło gwałtownie, po ciele przeszła gorąca fala. Nagle zauważył, że nieszczęśliwa dziewczyna jest niezwykle piękna. Straszna zaraza jeszcze nie przekształciła jej miłej twarzyczki w potworną maskę. Miała nie więcej niż siedemnaście lat. W czasie wieloletnich, utajionych polowań, zabił dziesiątki wampirów, mężczyzn i kobiet. Ale jeszcze nigdy nie musiał zabijać dziecka.

- Nie zwlekaj - powiedziała udręczonym głosem, jakby odczytując jego myśli. - Nie przysparzaj mi cierpień. Wiem, co ze mną będzie. Nie chcę stać się podobną do nich.

- Jak masz na imię?

- Czy to nie wszystko jedno?

- Nie zabiję cię - ogarnięty niezrozumiałym postanowieniem, wsunął miecz do pochwy. - Zabieraj się stąd.

- Nie, proszę! - dziewczyna wypetziła z niszy, objęła La Mara za nogi. - Nie chcę, rozumiesz? Wiem, że lekarstwa na to nie ma. Lepsza śmierć. Zrób to, proszę.

- Nie mogę - z trudnością wyksztusił. - Nawet nie prosz.

- To przez Koljera - powiedziała, nie patrząc na maga. - Myślałam, że to po prostu zwykły złodziej. Bardzo podobały mi się jego historie o tym, jak wystrychnął na dudka detektywów, wychodził z najgorszych opresji. Jestem sama sobie winna. Zakochałam się po uszy, jak głupia. A okazało się... Przyprowadził mnie tu i wówczas poznałam, kim jest naprawdę. Nazywali mnie swoją dojną krówką. To mój koniec. Nie chcę żyć. Pomóż mi.

- Idziemy - nie myśląc o niebezpieczeństwie, wziął ją za rękę, pomógł wstać. - Trzeba wydostawać się stąd.

- Chcę mi się pić - powiedziała dziewczyna. - Najchętniej łyk wina.

- Nie mam wina - powiedział, wzdrygnawszy się: póki co, prosi wina, a nie krwi. Ale co będzie jutro? Sam nie mógł uwierzyć w to, co czyni. – Masz imię?

- Wiola - odpowiedziała. - A jak się zwracać do ciebie?

- La Mar. Chodźmy, Wiolu. Powinniśmy jeszcze znaleźć coś dla ciebie do przebrania. W takich łachmanach i w jednym trzewiczku, nawet wampiry nie chodzą.

- O czym myślisz?

Drgnął, spojrzał na dziewczynę. Wiola dokładnie smarowała pasztetem kawałeczki chleba i rozkładała na talerzu.

- Ładnie ci to wychodzi - powiedział.

- Wydawało mi się, że myślałeś o czymś bardzo smutnym.

- Przypomniatem sobie, jak spotkaliśmy się.

- Być może, kiedyś, będziesz miał swój dom - powiedziała. - Weźmiesz mnie do siebie na służbę. Będę przygotowywać ci śliwkowe i jabłkowe budynie. Siostry w schronisku nauczyły mnie. Zobaczysz wtedy, jak wygląda naprawdę piękne i apetyczne jedzenie. A jeśli wypędzisz, nie rozżłoszczę się.

- Nie mów tak. Za nic teraz z tobą się nie rozstanę.

- Ach, La Marze, po co mi to mówisz? Chcesz, abym bardziej cierpiała?

- Mówię to, co myślę. Co kryje się w moim sercu. - wziął dziewczynę za rękę, która była ciepła i serce trwożnie drgnęło: Przyjdzie dzień i ta miękka dłoń stanie się lodowata i sucha, jak kiść mumii, a zadbane, okrągłe paznokcie na cienkich, wytwornych paluszkach, przekształcą się w długie, ostre pazury. Wiola jakby odczytała jego myśli.

- Nie będziesz lubić mnie takiej, jaką się stanę pewnego dnia - powiedziała.

- To nie będzie prędko. Mamy czas, by pokonać los. Obiecuję, że znajdziemy odtrutkę.

- La Marze, kocham cię! - wzięła w ręce dłoń maga, przycisnęła do swojego policzka. – Dlaczego, co dobre w życiu, przychodzi zbyt późno?

- Powinniśmy się pośpieszyć - szybko zmienił temat. - Do północy zostało niewiele czasu. Praca czeka.

- Masz rację. Pójdę z tobą.

- Oczywiście, miła - przechylił się przez stół i pocałował w policzek. - Już nigdy i nigdzie bez ciebie!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dwór „Wodny dom”, z bliska, wyglądał tak, jak powinno wyglądać klasyczne legowisko wampirów. Ogromne, dawno porzucone przez mieszkańców gmaszysko,

ze szczelnie zamkniętymi na fasadzie oknami i wysokim płotem. Znajdował się o trzy ligi na zachód od Ergałoty, obok niedużego, malowniczego jeziora, którego brzegi zarosły trzciną i młodymi wierzbami. Wiola podjęła się zbadania podejścia do dworu - w ciemności widziała tak samo dobrze, jak za dnia. La Mar mógłby skorzystać z zaklęcia Nocnego Drapieżnika albo eliksiru Sowy i przeprowadzić rozpoznanie sam, ale zgodził się z propozycją dziewczyny: W końcu, jeśli Wiola stanowczo zdecydowała się polować z nim na wampiry, to jest jej potrzebna praktyka. La Mar pozostał, a dziewczyna poszła w stronę dworu.

Na pierwszy rzut oka, w kontrakcie, który zaproponował znany w Ergałocie szurrecki handlowiec Salmir, nie było nic nadzwyczajnego. Syn Salmira Dżuljar, osiemnastoletni bęcwał i lekkoduch, związał się z obrotną dziewczyną o imieniu Ełoni. Wynajęty przez Salmira agent śledził młodzieńca i odkrył, że ten spotyka się ze swoją przyjaciółką w porzuconym dworze „Wodny dom”, zawsze w nocy. Było to dziwne i niejasne, więc Salmir zaniepokoił się nie na żarty, chociaż dawno już przyzwyczał się do wybryków swojego potomka. Zwrócił się o radę do adwokata, znanego w Ergałocie specjalisty od ciemnych spraw Chejwiera-Omnibusa, a ten napisał o tej historii do La Mara. Mag-wojownik i szurrecki kupiec zawarli umowę. Naturalnie, La Mar nie powiedział oribańcowi o swoich podejrzeniach. Wziął sto ardżenów zadatku i obiecał przyjrzeć się tej historii w ciągu miesiąca. W tym czasie otrzymał list od Ardelina. Sprawa Salmira wydała się prostsza, dlatego zaczął od niej.

Wiola wróciła po kwadransie.

- Na pierwszy rzut oka, dwór jest pusty - szepnęła. - Psów nigdzie nie widać. Bramy są otwarte, wejście frontowe niezamknięte. W podwórzu natrafiłam na świeże końskie odchody: jeździec był tu krótko przed nami.

- Mówisz, że drzwi są otwarte?

- Właśnie, chociaż okna są zasłonięte okiennicami, które są naprawdę szczelne.

- Ciekawe.

- Nie próbowałam wchodzić do wnętrza, zdecydowałam najpierw porozmawiać z tobą.

- Zuch. Zrobiłaś wszystko doskonale.

- Staram się - uśmiechnęła się.

- Załaduj kuszę. Czas zaczynać.

Skradając się i chowając w cieniu drzew, podbiegli do ogrodzenia willi i weszli na podwórze. La Mar wypił Elixir Węża i natychmiast dostrzegł świecenie na pierwszym piętrze dworu. Jednakże coś było nie tak - aura wampirów świeci martwym, zielonkawym światłem, żywego człowieka czerwono-pomarańczowym, a to świecenie było purpurowe i bardzo intensywne. Taką silną aurę mógł mieć tylko mag i to bardzo doświadczony. Tknęło go złe przeczucie.

- Zostań tu - szepnął.

- Dlaczego? Pójdę z tobą!

- Nie! - podniósł głos. - Powinnaś wykonywać wszystko, co każe. Wejdę do domu sam. Wydaje mi się, że sprawa Salmira okaże się bardziej skomplikowana, niż myślałem.

Na parterze panował nieład - meble okrywała gruba warstwa kurzu, dywany i gobeliny były zniszczone i nadgryzione zębem czasu i moli, w kątach roztaczały piękno gęsto zaciągnięte pajęczyny, podobne do płatów brudnej, szarej gazy. Pachniało bagnem, pleśnią, myszami. Deski zdradziecko skrzypiały pod nogami maga, więc szedł tak ostrożnie, jakby pokonywał śmiertelnie niebezpieczne trzęsawisko. Wreszcie, dotarł do szerokich schodów z poręczami, wiodącymi na

piętro. Purpurowe światło pozostawało w tym samym miejscu - nieznany mieszkaniec willi był nieruchomy. Pociągnął dźwignię kuszy, póki orzech z suchym prztyczkiem nie wszedł w bojowe położenie, włożył strzałę w rowek. Na wszelki wypadek, szeptem, wypowiedział zaklęcie Magicznego Ekranu. A potem ze schodów wszedł do krótkiego korytarza, w którym znajdowało się czworo drzwi. Świecący obiekt był za ostatnimi po prawej stronie.

- Dobry wieczór, La Marze! - zabrzmiał czysty i donośny głos. - Nie należy trzymać broni w pogotowiu, przecież można niechcący wystrzelić.

- De Lass? - nie wierzył własnym uszom. Oczekiwał spotkania w porzuconej willi z kimkolwiek i z czymkolwiek, tylko nie z człowiekiem, którego głos usłyszał. - Niech będę przeklęty, to ty?

- Jak widzisz - purpurowa plama, wreszcie ruszyła się z miejsca, przemieściła do drzwi i La Marze usłyszał skrzyp dawno nie posmarowanych zawiasów. Człowieka, który ukazał się w progu, znał zbyt dobrze i nawet minione osiem lat nie zmieniły go.

- Czekam na ciebie - powiedział Ormon de Lass i uczynił powitalny gest magów: Przyłożył dłoń do serca, po czym odwrócił ją do La Mara. - Opuść broń, nie będzie ci potrzebna.

- Co tu robisz? - spytał wykonując polecenie.

- Przecież powiedziałem: Czekam na ciebie.

- Skąd wiesz, że powinienem tu przyjść?

- La Marze, ty jak dawniej nie doceniasz możliwości tajnej służby Trybunału. A na jej czele, stoję między innymi ja. Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, byłem zaledwie nowicjuszem. Teraz jestem tutorem Kolegium i Śledczym.

- Gratuluję awansu. Nigdy nie wątpiłem, że zrobisz oszałamiającą karierę.

- Wybaczam ci twoją ironię. Wiem, że mnie nie cierpisz. Ale przecież i ja nie żywię do ciebie ciepłych uczuć. Nasza antypatia jest wzajemna, La Marze. Jednak czasami wypada zwracać się z propozycją nie tylko do przyjaciół. Gotowy jesteś mnie wysłuchać?

- Wszystko rozumiem, przyszedłeś tu, by spotkać się ze mną. Cenię twoje poświęcenie i jestem gotów porozmawiać z tobą, jeśli w tym jest chociaż odrobina sensu.

- Dziękuję. Przejdźmy do pokoju.

Z lekka oszołomiony tym, co się dzieje, wszedł za de Lassem do pomieszczenia. Śledczy zaprosił, by usiadł w jednym z foteli, sam ulokował się naprzeciw. Jakiś czas obaj magowie uważnie patrzyli na siebie. De Lass uśmiechał się, La Marze było nie do śmiechu. W swoim czasie właśnie Ormon de Lass znieślił go przed dyscyplinarną komisją Uniwersytetu, oskarżając o wykorzystywanie zabronionych Regulaminem ziół i zaklęć.

- Nieszczerze wyglądasz, La Marze - zaczął wreszcie de Lass. - Postarzałeś się, posiłkujesz, jesteś źle ubrany. Twarz także ci oszpecił. Smutne to.

- Żal ci mnie?

- Tylko okazałem współczucie.

- Sikam na twoje współczucie.

- Bardzo szorstko. Ale nie obrażam się. Przyszedłeś wypełnić kontrakt zawarty z Salmirem - powiedział, krzyżując ręce. - Możesz uważać, że go wypełniłeś. Dżuljar wrócił do domu, z nim wszystko w porządku.

- Dlaczego interesujesz się moimi sprawami? Obserwujesz mnie?

- Chcesz znać prawdę? Nie. Były mi obojętne twoje wyczyny. Prawie zapomniałem o twoim istnieniu i dopiero Etsel mi przypomniał. Gdyby nie on, nigdy nie spotkałbym się z tobą.

- Przypuśćmy - nawet przez chwilę nie wahał się, że Śledczy kłamie. - I cóż takiego doniósł ci Etsel?

- W Norrindze popełniłeś bardzo poważny błąd. Powinieneś był oddać Etselowi dziewięć par kłów, a oddałeś tylko osiem, czyż nie tak?

- To moje prawo, parę kłów zostawiłem sobie na pamiątkę.

- Powiedzmy. Jednakże, wkrótce po tym, jak wieczny samotnik La Mar wykonał zamówienie nadwornego maga księcia Aksela, zjawiała się przy nim towarzysząca - miła ruda suczka, zdaje się, mieszaniec setera z.... Zresztą, nieważne. Ale teraz nasz wojownik z wampirami ma pieska, którego nazywa Mądrałą.

- Co z tego? - poczuł, że pali go twarz.

- Niby nic. Każdy ma prawo mieć psa, nawet, jeśli ten piesek jest niezupełnie zwykły. Jeszcze niedawno, przed wejściem w życie Kodeksu o herezji, niektórzy magicy trzymali gryfony, snarki, arachny, martihory, nawet śmierdzące pastinaki. Rzecz gustu, mmtak W Norrindze złamałeś bardzo ważny artykuł tego Kodeksu. Okazałeś miłosierdzie osobnikowi Ciemnej Strony. Jest to tym dziwniejsze, że zawsze byłeś bezlitosny dla wampirów. Czym ona cię ujęła, La Marze? Czy zdecydowałeś się przyłączyć do Nocnego Braterstwa?

- Nie twoja sprawa.

- Moja sprawa. I sprawa Kolegium Magna. Ponieważ, jakby nie patrzeć, jesteś jednak magiem. Chociaż skompromitowanym. Zdradzę ci jedną tajemnicę - nadmagister Solanius Brok dawno zapomniał o twoich przewinieniach. I nasz drogi rektor, staruszek Karrak często wspomina ciebie, przy czym, nie zawsze źle. Tylko dlatego, nie pozbawiono cię dyplomu magistra i nie prześladowano, jak czarnoksiężnika, odszczepieńca i mordercy. Tylko dlatego osobiście rozmawiam teraz z tobą, a nie jeden z moich agentów-kontrmagów. Kolegium ma bardzo wysokie zdanie o twoich zdolnościach. niesprawiedliwe, że przez wszystkie te lata pracowałeś nie dla nas, a dla garstki idiotów, nazywających siebie spadkobiercami starych tradycji, na czele ze zgrzybiałym, pogrążonym w marazmie Barnasem.

- Pracowałem dla samego siebie.

- Być może. Ale nie zaprzeczysz, że wróciłeś do Ergałoty na zaproszenie tego starego heretyka Barnasa?

- Radziłbym ci dobierać słowa, de Lassie.

- Ach, wybacź. Nie chciałem obrazić biednego ślepcy. Ale teraz nie o nim rozmawiamy. Dla nas, to rozegrana karta. A Kolegium potrzebny jesteś ty.

- Do czego?

- Ponieważ przez minione lata potrafiłeś wyżyć w sytuacjach, które dla każdego innego byłyby beznadziejne. Nie masz pojęcia, ilu idiotów bierze na siebie brzemię ponad siły, chcąc prowadzić wojnę z Zacięzionym Światem. I prawie wszyscy dawno znaleźli się na cmentarzu. Albo przyłączyli się do Braterstwa, z którym tak zapamiętali walczyli. Ty jeden nadal nas zadziwiasz. Ile lat prowadzisz swoje polowanie? Siedem? Osiem? Możesz nie odpowiadać - domyślam się, że zająłeś się tym wkrótce po tym, jak zostałeś wyrzucony z Uniwersytetu. Doprawdy nie wiem, czym narazili ci się, że przez wszystkie te lata okrutnie ich prześladowałeś.

- A czy oni na to nie zasługują?

- Pozwól zadać jedno pytanie, La Marze – w jaki sposób dowiedziałeś się o ich istnieniu? Pamiętam, że nigdy nie miałeś dostępu do najwyższych tajemnic Kolegium Magna.

- Życie, de Lassie. Ono określa miejsce każdego. I wybiera też rolę dla każdego z nas. Określiło mi rolę niszczyciela wampirów.

- Nie odpowiadałeś.

- Zgoda, powiem ci. Po tym, jak ty i tobie podobni, uczynili niezdolnym moje życie na Uniwersytecie, wyjechałem na południe, do swojej ojczyzny, do Legałotu. Szczerze mówiąc, chciałem rzucić do wszystkich diabłów to magiczne głupstwo i zająć się czymś pożyteczniejszym - na przykład, ożenić się i spłodzić dzieci. Ale o wszystkim decyduje przypadek. Żeby zarobić na życie, zająłem się alchemią i uzdrawianiem. W jednej wsi, zwróciła się do mnie kobieta, której córka cierpiała na nieznana, niezwykłą chorobę, ale zdołałem postawić poprawną diagnozę tylko dlatego, że w swoim czasie uważnie czytałem traktaty o demonologii.

- Porfiria?

- Otóż to - La Mar na chwilę zamilkł. - Dziewczyna była zarażona. Naturalnie, najpierw nie wierzyłem w to, co się dzieje. Próbowałem ją leczyć, ale wszystko okazało się bezcelowe. Po pewnym czasie porfiria zmieniła się w najprawdziwszy wampiryzm. Właśnie wtedy dokonałem pierwszego morderstwa. Domyślasz się, kogo zabiłem?

- Swoją pacjentkę. Współczuję. A potem zacząłeś szukać przyczyny?

- Właśnie. Wstrząsnęło mną to zdarzenie i zrozumiałem jedną, bardzo ważną rzecz – Kolegium Magna kłamie, kiedy przekonuje wszystkich i każdego z osobna, że nie pozostał żaden osobnik Ciemnej Strony. Zacząłem szukać rozwiązania tej zagadki. Cały rok studiowałem wszystko, co dotyczyło wampirów i podobnych im stworzeń. Interesowałem się niewyjaśnionymi zniknięciami, zagadkowymi zgonami, zbierałem opowieści i przesady. Rozpytywałem ludzi w oddalonych prowincjach, podróżowałem po dzikich miejscach. Szukałem śladów. I znajdowałem, de Lassie. A potem chwyciłem za broń, by skończyć ze stworami, które jak dawniej żyją obok nas.

- Skąd taka nienawiść? Przecież tobie nie zrobiły nic złego.

- Uczyniły ze mnie mordercę. Matka dziewczyny dotychczas nie zna prawdy o tym, co stało się z jej córką.

- Smutne. I co było potem?

- Potem, zacząłem widzieć w ciemności i znajdować ślady, pozostawione na wodzie.

- Bardzo obrazowo. Masz poetycki talent. Jak wszyscy maniacy-mordercy jesteś sentymentalny. Teraz rozumiem, dlaczego darowałeś życie dziewczynie z twierdzy w Norrindze.

- Wyjaśniłem ci, skąd wiem o wampirach. Teraz powiedz, jakiego diabła ode mnie potrzebujesz.

- Nie ja - Kolegium. Ale, najpierw weź to - de Lass rzucił na stolik stojący między nimi ciężki woreczek ze srebrem. - Sto ardżenów, zapłata Salmira. Zapracowałeś.

- Nie trzeba. Salmir mi zapłaci.

- Już zapłacił. To jego pieniądze. Mój człowiek otrzymał je dla ciebie, kiedy zakochany synek oribańczyka wrócił do tatusia.

- Nie wierzę ci.

- Masz prawo. Ale pieniądze weź, zarobiłeś. Tym razem zupełnie bezkrwawym i bezpiecznym sposobem.

- Nie rozumiem?

- Dziewczyna o imieniu Ełoni, z powodu której tu jesteś - rzeczywiście jest Dzieckiem Cienia. Intuicja nie zawiodła cię. Ale jest także naszym informatorem. Dokładniej - moim. Za jej pośrednictwem kontaktuję się z najwyższą hierarchią Braterstwa. Rozumiesz więc, że nie mogłem dopuścić, aby tak cennego agenta zlikwidowano za setkę srebrnych monet. I nie martw się - Dżuljara go nie pogryzła. Chłopiec zachował swoją dziewiczą czystość.

- Ochroniasz wampiry?
- Tylko jednego. Muszę ci powiedzieć, że Ełoni jest szalenie ładna. Znacznie efektywniejsza od twojej... Mądrali. A przecież, bardzo cenisz Mądrałę, czyż nie tak?
- Dlaczego ochraniacie te stwory, de Lassie?
- Dobrze pytanie. Nie ochraniamy - kontrolujemy. Zostało niewiele wampirów, po tym, jak wykończyłeś w Norrindze rejonowego przywódcę i jego współbraci. Ocalało tylko sześć klanów czczących Czaszę i trzy-cztery dziesiątki wampirów w całej Seltonii i okolicznych ziemiach, i nigdzie więcej.
- Co znaczy – „czczących Czaszę”?
- Zacieniona Czasza - jeden z potężnych artefaktów, dający nieśmiertelność i siłę Zacienionej Strony. Prawdopodobnie, to tylko legenda, ale te dzieci w nią wierzą. Stworzyli wewnątrz Braterstwa coś w rodzaju tajnego społeczeństwa, którego symbolem jest szesnastoramienna gwiazda.
- Taka? - pokazał Śledczemu pierścień, który zdjął z palca martwego rejonowego przywódcy.
- Prawdopodobnie - niedbale odpowiedział de Lass, mimochodem spojrzawszy na pieczętkę. - Mają dziwne fantazje. Zresztą, to ich sprawa.
- Rejonowy przywódca był dobrze poinformowany o moich sprawach – po chwili milczenia, powiedział La Mar. - To ty mu opowiadałeś o tym?
- Nie. Spotkałem się z innym informatorem. Szczegóły ciebie nie dotyczą. Ale już wtedy wiedziałem, że, wcześniej czy później, zapolujesz na ten klan. Jego poddani połączyli się z bandytami, zaczęli napadać bez motywów. Chociaż, jakie wampir może mieć motyw, oprócz pragnienia krwi, cha-cha-cha! W tym, co się stało z norringskimi wampirami, jest swój sens i ty, szczerze mówiąc, zaoszczędziłeś mi masę czasu i sił. Rejonowy przywódca był na to skazany od momentu, kiedy utracił kontrolę nad swoimi. Kiedy Ecel skontaktował się z tobą, w Kolegium już wiedzieliśmy, że rejonowy przywódca jest skończony. Niemądrze byłoby przypuszczać, że La Mar-morderca zostawi przy życiu chociaż jednego stwora. Właściwie, po rozprawieniu się z wampirami w Norrindze, książęta klanów, za pośrednictwem Ełoni, próbowali przekonać nas, by znaleźć sposób powstrzymania cię. Bardzo ich niepokoisz. Postarałem się ich zapewnić, że podobne przypadki już się nie powtórzą.
- Nie doczekasz się tego. Póki jestem żyw, będę niszczyć to diabelstwo wszędzie, gdzie odszukam.
- I co osiągniesz? Twoje wyobrażenie o wampirach jest subiektywne. Mścisz się, a to nie zawsze bywa racjonalne. Tak, te istoty napadają na ludzi. Ale kto staje się ich ofiarami? Albo społeczne śmieci - włóczędzy, żebracy, dziwki - albo ci, którzy z własnej woli starają się przyłączyć do Nocnego Braterstwa i zyskać wieczne życie.
- Dziewczyna, którą musiałem zabić w Legałocie, nie była żebraczką ani dziewczką.
- Wierzę. Oczywiście, dziewczyna stała się ofiarą wampira. Ale jakiego wampira? Wśród tych istot czasami spotyka się takie, które nie chcą grać według reguł. Wampiry-samotnicy, odszczepieńcy z klanów. Tacy osobnicy zwracają uwagę zwolenników Cienia i są niebezpieczni dla nas, i dla Ciemnej Strony. Właśnie dzięki temu, że niszczyłeś je, nie oddano ciebie dotychczas pod sąd, jako mordercy uczciwych obywateli. Póki unicestwiałeś krwiożerczych, szalonych odszczepieńców, przywódcy Braterstwa nie mieli do ciebie żadnych pretensji. I Kolegium Magna było zadowolone. Tylko dzięki naszej tajnej protekcji, cały czas uchodziłeś z miejsca kolejnego przestępstwa – zgodzisz się ze mną, że to, co robisz, to zbrodnia.

Sędziowie i policja nic nie wiedzą o wampirach, dla nich wszystkich twoje ofiary byli po prostu ludźmi, których ktoś wykończył. Ale teraz, sytuacja zmieniła się.

- Mimo wszystko nie rozumiem - jaką korzyść macie z ochrony Braterstwa?

- Ogromną. Ciemna strona władza licznymi magicznymi i alchemicznymi sekretami. Wieczne życie pozwala im zgromadzać wiedzę, którą, w zamian za protekcję, dzielą się z nami. Widzisz, nic nie ukrywam przed tobą. Postaraj się zrozumieć, co nami kieruje, kiedy mówimy o współpracy z Braterstwem. Powinieneś wykazać się umiejętnością myślenia.

- A co zrobić z nieszczęściem i bólem ludzi, którzy zostali ofiarami waszych podstępnych?

- To tylko bezsensowne emocje. Zapewniam, że przeciętny mieszkaniec Seltonii, ma większe szanse umrzeć z powodu gruźlicy albo niestrawności, niż zostać ofiarą wampira. Nie trzeba rozdmuchiwać żaby do rozmiarów byka. Niczego nie zmienisz. Porozmawiajmy lepiej o sprawie. Powinieneś wiedzieć, po co ten kłown Ardelin wezwał cię do Ergaloty.

- Ardelin? Nie widziałem go kilka lat.

- Nie chcesz mówić? Dobrze. Spróbuję się domyślić. Wszystko wiąże się ze stylosem Carikata, czyż nie tak?

- Zdziwiasz mnie. Wiedziałem, że jesteś sukinsynem i draniem, ale nigdy nie byłeś idiotą. Wiesz lepiej ode mnie, że stylus Carikata, to zaledwie piękna i bardzo droga zabawka, nic więcej.

- Może tak, może nie! Może, nie wiemy, jakie ma możliwości?

- A kto to może wiedzieć?

- Ten, kto go ukradł.

- Nie lubię zagadek. Mów o istocie sprawy albo nasza rozmowa jest skończona.

- Przecież mówię! Ktoś, kto ukradł stylus, wie to, czego my nie wiemy. I to nas bardzo martwi.

- A czy jest na świecie coś, o czym nie wie najświętsze Kolegium Magna?

- Jest - udął, że nie słyszy ironii w głosie La Mara. - Dobrze prowadzimy nasze sprawy, a ty nieźle - swoje. Nadszedł czas, kiedy powinieneś popracować dla Kolegium Magna.

- Ja? Nawet nie myślę.

- Dlaczego?

- Wystarcza mi mojej pracy. A poza tym, nie mam ochoty wplątywać się w brudne sprawy Kolegium.

- Odmowa współpracy z nami, może mieć dla ciebie bardzo niedobre następstwa, La Marze.

- Grozisz mi? Po tym wszystkim, co ze mną zrobiliście osiem lat temu, przyzwyczailem się do każdej podłości. Ale nie boję się waszych gróźb. Świat jest wielki, a Trybunał nie jest wszechmocny.

- Nie grożę ci. Wierz lub nie, ale teraz opiekuję się tobą. I wiesz, dlaczego? Żal mi cię. Jesteś teraz nikim. Kiedyś Aren La Mar był gwiazdą Uniwersytetu. Młodzi głupcy zaglądali mu w usta, próbując usłyszeć kolejne objawienie geniusza. Rokowałeś wielkie nadzieje, ale byłeś zbyt wyniosły. Dysponowałeś wszystkimi możliwościami zrobienia błyskotliwej kariery naukowej. Dlaczego się uśmiechasz?

- Przypomniałem sobie, co mi powiedział mistrz Barnas, kiedy dowiedziałem się o powołaniu na katedrę Chelanusa Dortani. Były tam prorocze słowa, de Lassie. Powiedział: „Zapamiętaj młodzieńcze, nasz świat jest niedoskonały. Magowie podupadli, wśród nich zbyt wielu jest gotowych na wszystko, by tylko włożyć na

siebie purpurowy płaszcz Kolegium Magna. Nigdy nie wzniesiesz się na sam szczyt akademickich schodów dlatego, że masz talent i zdolności. Inni magowie, którym brakuje rozumu, siły woli, erudycji, pracowitości, cierpliwości i twojego pragnienia, by pójść nową drogą w naukach tajemnych, będą cię niszczyć, używając najbardziej odrażających, najbrudniejszych, niegodnych i podłych metod. Idioci, leniuchy, pasożyty i plagiatorzy, będą kraść twoje idee i odkrycia, intryganci i donosiciele będą oczerniać cię w oczach władz, zazdrośnicy uczynią wszystko, by pozbawiać cię zasłużonych nagród i posad. Jeśli po tym wszystkim, zdecydujesz się na dalsze zajmowanie się magią, pierwszy nazwę cię prawdziwym magiem". Proroczą wizję miał staruszek.

- Barnas zawsze był cynikiem. Nie uznawał żadnych autorytetów, jak ty. We wszystkim jesteś podobny do swojego mentora. Pamiętam, jaki byłeś wtedy. Uważałeś się za mądrałę, a pozostałych, za idiotów i nieuków.

- Nadal tak uważam. Zawsze byłeś beztalenciem i karierowiczem. Miałeś tylko jeden talent - donosić władzom na swoich kolegów.

- Czyżby? Możliwe. Jestem w najwyższej hierarchii Kolegium Magna, a ty, żalosny włóczęga i zabójca, który wcześniej czy później trafi pod topór kata. Masz zbyt wysokie wyobrażenie o sobie, La Marze. Wystarczy, że Kolegium podejmie decyzję o przekazaniu cię Trybunałowi i znikniesz bez śladu. Jednakże, niewątpliwie, jesteś utalentowanym magiem, a sytuacja w kraju sprawia, że próbujemy wykorzystać każdego, kto może przynieść pożytek. Nawet takich odszczepieńców, jak ty.

- Wzrusza mnie troska Kolegium o mnie.

- Masz niewielki wybór - albo zgadzasz się współpracować z nami i wtedy uzyskasz szansę odzyskania należnego ci miejsca, albo ostatecznie postawisz się poza prawem, z wszystkimi, nieprzyjemnymi następstwami. Mistrz Brok kazał przekazać, że osobiście wstawi się za tobą w Kolegium. Jednakże, powinieneś przystąpić do nas. Obiecuję ci jeszcze coś: Wszystkie twoje poprzednie grzechy zostaną zapomniane. Będziesz rekomendowany w Kolegium i możliwe, że wrócisz na swoją posadę w Uniwersytecie.

- A co z moim psem?

- To twoja sprawa. Obiecuję, że Trybunał przymknie oczy na twoje dziwne sympatie. Jak ci się podoba - ciągnij za sobą nawet bazyliuszka, bylebyś nie wyrządził nikomu szkody.

- Wszystko ładnie, przyjacielu. Ale gdzie gwarancje, że nie oszukasz mnie?

- Oto gwarancja - śledczy wyjął z fałd płaszcza rulon z przyklejoną lakową pieczęcią. - To zaświadczenie, że działasz zgodnie z nakazem i w interesie Kolegium Magna. Na piśmie jest odcisk osobistej pieczęci supermagistra Broka. Pełna indulgencja. Możesz przeczytać, jeśli chcesz.

- Nie wpisano tu mego imienia - powiedział, obejrzawszy rulon.

- Naturalnie. To otwarty list. Tylko od ciebie zależy, czy będzie tu twoje imię.

- Przypuśćmy, że zgodziłem się. Co dalej?

- Dalej, będziesz musiał wykonać to, co powiem.

- Mianowicie?

- Jutro, przed północą, powinieneś przyjść do Królewskich Ogrodów. Jest tam niezła instytucja dla zblazowanych mężczyzn, która nazywa się „Stary grzesznik”. Podejdiesz do właścicielki i powiesz, że chcesz się widzieć z Galerią War-Smarten. I ubierz się trochę lepiej. Nie musisz brać ze sobą swojego pieska.

- Powinienem pójść do burdelu?

- Dla dobrej sprawy. Nikt nie żąda od ciebie poświęcenia drogiego dziewczęstwa. Galeria wyjaśni ci to, co tymczasem przemilczę.

- Mogłbyś sam mi wszystko opowiedzieć.

- Wyobraź, że chcę dostarczyć ci trochę przyjemnych chwil. Galeria jest bardzo miła. Jeśli będziesz uprzejmy, możliwe, że zdoła roztopić kawałek ołowiu w twojej piersi, La Marze - morderco.

- Nie spodziewaj się, de Lassie - łajdaku.

- No, to porozmawialiśmy! - uśmiechnął się. - I tak poświęciłem ci zbyt dużo czasu. Jeśli nie zjawisz się jutro w „Starym grzeszniku”, umowa zostanie zerwana - z wszystkimi następstwami, przyjacielu. I wtedy, będzie mi wszystko jedno, co się z tobą stanie. Mówiąc twoim obrazowym, ludowym językiem – sikam na to.

Otulił się płaszczem i bez pośpiechu opuścił pokój. Siedząc w fotelu, słyszał, jak skrzypią deski pod stopami śledczego. Kiedy wszystko ucichło, zszedł na parter i wyszedł z willi. Wiola natychmiast przypadła do niego, próbując dowiedzieć się, co się wydarzyło.

- Wszystko w porządku, moja jaskółeczko - powiedział, pokazując dziewczynie worek z pieniędzmi. - Otrzymaliśmy zapłatę, kontrakt wykonany i nikogo nie musiałem zabijać.

- Nie rozumiem.

- I nie trzeba. Liczyłem, że znajdę tu wampira, a natknąłem się na jednego nikczemnika, którego nie spodziewałem się spotkać. Z domu nikt nie wychodził?

- Nie widziałam nikogo.

- To znaczy, że opuścił willę czarnym wyjściem. No i diabli z nim. Szkoda, że nie wyszedł na ciebie - postrzeliwszy go, dostarczyłabyś mi wielkiej przyjemności. Idziemy miła, niedługo rano, a my potrzebujemy gorącego wina, suchej odzieży i mocnego snu. Wystarczy niespodzianek na dzisiaj.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Noc zapowiadała się ciepła i pogodna. Nad dachami Królewskich Ogrodów dźwięczały namiętne serenady rozochoconych kotów, wstępujących na ścieżkę miłości. Uśmiechnął się - koci koncert w pełni odpowiadał zadaniu, które otrzymał od de Lassa. Nigdy przedtem nie odwiedzał burdeli. Cóż, kiedyś trzeba zacząć, tym bardziej, że powód przyzwolity - teraz pracuje dla Kolegium i jego zadanie zaczyna się od konieczności zwiedzenia wesołego domu. Jest w tym pewna logika. To, że liczne prostytutki Ergaloty, zwłaszcza drogie, pracują dla Najjaśniejszego Kontrwywiadu, wiedział od dawna. Wiedział i to, że także magowie nierzadko odwiedzają wesołe instytucje. Obyczaje magów, nawet najbardziej utytułowanych, nie odznaczały się surowością. Czasy twardej dyscypliny, obowiązującej niegdyś kapłanów większości bogów Panteonu, dawno minęły i teraz członkowie kapłańskich społeczności chętnie łamali niegdyś nienaruszalne regulaminy. Tego nie pochwalało się, ale i nie karało. Jeszcze za czasów studenckich, nieraz obserwował, jak profesorowie i tutorzy Uniwersytetu prowadzili zajęcia, okrutnie skacowani, a jedną ze zwykłych, wstydliwych chorób, żartownisie w Ergalocie nazywali „uniwersyteckim katarem”. A dzisiejszy Ergalot, którym rządzi młody i pociągający księżę Aszler, wielki koneser i znawca zmysłowych przyjemności?!

Koty pożądliwie były w blasku księżyca, oświetlającego ulice, a La Mar wędrował obok solidnych, wielopiętrowych domów, z jasno oświetlonymi oknami - willi należących do wyższych sfer, zaludniających Królewskie Ogrody, zadbanych kwietników za kutymi ogrodzeniami, nielicznych przechodniów, którzy nie zwracali na

niego żadnej uwagi. Nie był podobny do maga, bardziej do podstarzałego lekkoducha, poszukującego miłosnych przygód. Jeszcze przed obiadem odświeżył swoją garderobę i ze zdziwieniem stwierdził, że czyni to z przyjemnością. Z poczynionymi zakupami wrócił do hotelu i tam pokazał się Wioli. Reakcja dziewczyny przekonała go, że nie na próżno wydał prawie wszystkie pieniądze otrzymane od Salmira. Dziewczyna zaakceptowała wszystko, co kupił: płaszcz z sukna w kolorze liliowym, kamizelkę, krótkie spodnie i rękawiczki z cienkiej skóry, koszulę z dobrego płótna i nowe buty do jazdy konnej ze sprzączkami i wąskimi, według ostatniej mody, nosami. Starał się kupować rzeczy, które posłużą mu długo i jeśli coś mu się podobało, nie żałował pieniędzy. W końcu, niezbyt prędko znów wykosztuje się na siebie. Nawet się zmieszał, kiedy dziewczyna zaczęła obsypywać go komplementami. Sprawiała, że zaczerwienił się po uszy i w końcu poradziła, by natychmiast spalił wszystkie stare, obrzydliwe szmaty w kominku.

- A kapelusz? Dlaczego nie kupiłeś sobie kapelusza?

- Wyglądam w nim jak idiota.

- A bez kapelusza, nowe ubranie, upodabnia cię tylko do dostatniego mieszkańca miasta. Kup kapelusz, La Marze.

- Za nic! - pokręcił głową. - I tak wydałem na siebie masę pieniędzy. A jeszcze powinniśmy kupić nową odzież dla ciebie.

- Dla mnie? – uśmiechnęła się. - La Marze, milutki, o jakiej odzieży mówisz? Kobieta pragnie, by jej strój widziano, żeby zachwycano się nim. Jeśli tylko ty będziesz zachwycać się mną w nowej odzieży, to, po co tracić pieniądze? Lepiej kup mi dobrą obrozę. Będzie większy pożytek.

- Nie mów tak - czule pogłodził jej rękę. - Obiecuję, że przyjdzie dzień, kiedy kupię ci najdroższą i najpiękniejszą odzież, jaką tylko można znaleźć w tym mieście.

- Nie składaj takich obietnic, La Marze. A nuż trzeba będzie spełnić?

- Chciałbym tego z całej duszy - mag pocałował Wiolę w policzek. - Moja obietnica pozostaje w mocy.

- La Marze, powiedz uczciwie - dlaczego nie chcesz, bym poszła z tobą?

- Ponieważ muszę się spotkać z pewną damą. Myślę, że nie będzie ze mną szczerą, jeśli złożę wizytę w towarzystwie młodej, pięknej dziewczyny.

- Z damą? - w oczach dziewczyny błysnęła zazdrość. - Nie mówiłeś, że spotykasz się z damą!

- Zapewniam, to czysto służbowe spotkanie. Sprawa, o której ci mówiłem, ma wiele niejasności. Ta kobieta, jak mi powiedziano, będzie w stanie pewne rzeczy wyjaśnić.

- Zastanawiałam się, po jakiego diabła tak się wystroiłeś! - Zrobiła straszną minę. - Strzeż się, La Marze: Jeśli mnie zdradzisz, odszukam i wypiję z ciebie całą krew!

- I na pewno się otrujesz, bo moja krew jest zatruta żółcią. Jestem starym, nudnym, kłótliwym i zgorzkniałym typem. Ale jeśli sprawi ci to przyjemność, jestem gotów nadstawić swoje gardło, choćby teraz.

- Ciągłe żartujesz, a mi jest smutno.

- Wybacz, mój skarbie. Nie czekaj na mnie i kładź się spać.

Teraz, podchodząc do „Starego grzesznika”, z fasadą bogato przystrojoną czerwonymi latarniami, jak przystało na szanującą się świątynię sprzedajnej miłości, myślał z niesmakiem, że ten łotr, de Lass, zdołał jednak znaleźć jego słaby punkt. Nieuchronnie czeka go oficjalne wezwanie przed Najjaśniejszy Trybunał. Przebywanie z Pozaziemskimi, dla praktykującego maga to nic nadzwyczajnego, ale jest zobowiązany przekazywać wyniki swoich kontaktów z odszczepieńcami

Zacienionej Strony i zmienionymi oddziaływaniem Cienia, do tutorów Kolegium. Tutorzy istnieją po to, by udzielać konsultacji magom w zakresie obcowania z Pozaziemskimi i obserwować przestrzeganie wszystkich przepisowych reguł. Na drobne, własne inicjatywy, Trybunał nigdy nie zwracał szczególnej uwagi, ale Pozaziemscy, to sprawa poważna. Ukrycie tego faktu uważa się za karygodny występki. Nikomu o Wioli nie mówił. Niejasne było, jak się o niej dowiedział de Lass. Najprawdopodobniej informator, o którym wspomniał de Lass, był członkiem kompanii rejonowego przywódcy i znał liczne jej sekrety. Tak czy owak, Trybunał wie, kim jest Wiola de Wai. Teraz to mogło obrócić się przeciwko samej dziewczynie. O sobie nawet nie myślał: jakiś zmysł, który rozwijał się latami, mówił mu, że jest potrzebny de Lassowi i jego zgrai, dlatego żadnych twardych działań przeciwko niemu, Trybunał nie będzie podejmować. Tylko chwilowo. Ale Wiola jest teraz praktycznie bezbronna. Paskudnie mieć świadomość, że żyje tylko do czasu, póki wykonuje wolę de Lassa.

W „Starym grzeszniku” wszystko wyglądało zupełnie przyzwoicie. Półtora dziesiątka gości, w większości dostatnio ubrani, solidni mężczyźni, siedzieli na tapczanikach wzdłuż ścian, pili kaestańskie czerwone wino i poncz, i obserwowali bardzo skąpo ubrane dziewczyny, tańczące na niewysokim pomoście w centrum holu, przy melodyjnych dźwiękach fideli i bębna. Były piękne. Jedna, niewysoka czarnula, z filuternymi oczyma, natychmiast podeszła i podała rękę.

- Jesteś nowy - powiedziała. - Wcześniej cię nie widziałam.

- Nowy - przytaknął, próbując przeskoczyć obok dziewczyny w głąb sali. Czarnula natychmiast, sprytnie i z gracją, na palcach, ruszyła do przodu zagrażając drogę.

- Trzeba zapłacić – powiedziała z uśmiechem, strzeliwszy oczyma spod długich malowanych rzęs. Zauważył, że jeszcze jedna dziewczyna, w długiej czerwonej sukni z rozcięciem do wysokości biodra i plecami odkrytymi do samych pośladków, skierowała się w jego stronę, pośpiesznie poprawiając tapirowane, rudawe włosy.

- Ile?

- Jednego ardżena za wejście.

- Tobie?

- Można mi - dziewczyna uśmiechnęła się jeszcze szerzej, podstawiała złożoną w łódeczkę dłoń. - Jeśli dasz dwa, pocałuję cię. A jeśli zapłacisz złotego tulona, możemy natychmiast iść do mnie, na górę.

- Szukam Galerii War-Smarten - powiedział, opuszczając na jej dłoń monetę. Czarnula natychmiast przestała się uśmiechać.

- Myślałam, że trafi mi się dzisiaj młody chłop - powiedziała z nieukrywanym niezadowoleniem, odwróciła się do tej w czerwonym, która już wyciągnęła z czarującym uśmiechem rękę na powitanie. - Chodźmy, Sawi. Ten chłopak jest zajęty.

Śliczniutka, głupekowata twarzyczka Sawi wyraziła autentyczne rozczarowanie. La Mar pojednawczo się uśmiechnął, przeszedł obok dziewczyn, do kontuaru, za którym stała starsza kobieta o powierzchowności emerytowanej, drogiej prostytutki, błyszcząc sztucznymi klejnotami.

- Czego pan sobie życzy? - zamruczała barmanka z uśmiechem, który miał oznaczać najwyższy stopień sympatii. - Wina? Jest świetny „Ler-Bonnek”, leżakowany siedem lat. Rozlano go w beczki tego samego roku, w którym nasz jaśnie książę Aszler wstąpił na tron. Chociaż, pan mi wygląda na południowca? Wtedy mogę zaproponować świetny, różowy szerib. Albo sabejską pomarańczówkę. Mamy dziewięć rodzajów konchobaru, najlepszego gatunku. Jest orzechowy, piolunowy, a także na wyciągu z korzenia ferro.

- Proszę szerib.

- O, a po szeribie, na pewno zechce pan poobcować z jedną z moich dziewczyn! W „Starym grzeszniku” wino są najlepsze, a dziewczyny najpiękniejsze i najbardziej wyszkolone. Może pan obejść całą Ergalotę – nikt nie będzie w stanie porównać się z nami. Ceny mamy wysokie, ale co dobre, nie może być tanie. U nas spędzają wieczory tylko przyzwoici ludzie. Żadnej zbieraniny. – Tu, właścicielka instytucji zrobiła minę, sugerującą, że próbuje przypomnieć sobie La Mara. - Chwileczkę, pan przecież nie jest naszym bywalcem. Wcześniej pana nie widziałam. Po raz pierwszy u nas, tak?

- Po raz pierwszy.

- No, obiecuję, że będzie pan zaglądać tu stale. Jeżeli jest miejsce w Ergalocie, gdzie miłość, komfort, radość i rozkosz żyją pod jednym dachem, to tylko u nas.

- Przyjemnie to słyszeć - upił łyk szeriba. Wino było dobre, z lekkim posmakiem morelowym i delikatnym aromatem.

- Zdawało mi się, że Winki i Sawi panu nie bardzo się spodobały - kontynuowała właścicielka - ale to nie jest nieszczyćście. Są tu dziewczyny na każdy gust.

- Chcę porozmawiać z Galerią War-Smarten.

- O! - właścicielka burdelu przestała się uśmiechać. – Pan nazywa się La Mar, czyż nie tak? Natychmiast to pojęłam!

- Zna mnie pani?

- Opowiedzieli mi o panu.

- De Lass?

- Pst! - przyłożyła do warg palec. - Nie należy głośno wymawiać takich imion. Musi pan iść na pierwsze piętro. Pokój na końcu korytarza. Galeria czeka na pana... Nie, nic się nie należy za wino - proszę uważać, że poczęstowałam pana.

Galeria War-Smarten była piękna. Bardzo piękna i bardzo elegancka. Czarne, gładkie włosy zaczesane do tyłu, odsłaniały wysokie piękne czoło, ciemne oczy pod łukami brwi wydawały się bezdennymi. Rasowa, arystokratyczna twarz – wąski równy nos, pulchne wargi lekko podkreślone jasną szminką, mały dołeczek w podbródku. Pomyślał, że przez ostatnie lata nie spotkał tak pięknej kobiety. Jednakże jej piękno było niedobre. Zbyt blada twarz, zbyt drapieżny zarys ust. Czy to światło od lampy tak pada?

- Nie, to nie światło - nagle powiedziała Galeria, odłożywszy kulkę z ciemnego szkła, którą kręciła w palcach. – Chociaż miło mi, że ci się spodobałam.

- Czytasz myśli?

- Oczywiście. Przecież jestem wampirem.

- Rozumiem - pokręcił głową. - Teraz wszystko rozumiem. Świetne miejsce, by ukryć swoją prawdziwą naturę. Żadnego ryzyka zdemaskowania. W dzień śpisz, nocą pracujesz, cichutko ciągniesz z klienta energię, a on jest niczego nie świadomy. Kto się domyśli, że poranna słabość i bóle głowy po wesołej nocy nie są wynikiem kaca i lekkiego nadmiaru miłości, a rezultatem obcowania z wampirem?

- Z najwyższym wampirem, z księżną Braterstwa. Nie jestem dla ciebie jakąś żalosną empuzą. Dlatego bądź uprzejmym kawalerem.

- Postaram się.

- Oczywiście, nie sprawia ci przyjemności obcowanie ze mną. Będę szczerą: Ty także nie budzisz mojej sympatii. Wyobrażałam sobie Arena La Mara, najsprawniejszego niszczyciela wampirów zupełnie inaczej. Bardziej... seksualnego. Chociaż, powinnam się przyznać, ta blizna bardzo podnieca. Pamiętka po spotkaniu z Braćmi?

- Przyszedłem zgodnie z poleceniem de Lassa, a nie po to, żeby prawić albo wysłuchiwać komplementy.

- Wiem. Prosił, bym wprowadziła cię w sedno sprawy. Przecież, jak się domyślam, nie zdołałeś do końca wysłuchać biednego rejonowego przywódcy w Norrindze. Mam nadzieję, że nie podniesiesz ręki na kobietę.

- Przejdźmy do sprawy, Galerio.

- Śpieszysz się? – wstała i przeszła się po pokoju. Oczywiście, postanowiła zaprezentować magowi, jak jest zbudowana, a figurę miała rzeczywiście zachwycającą. - Prawdopodobnie, patrzysz na mnie i myślisz: A co ta drapieżna, wysysająca krew dziwka może mi opowiedzieć? Czyż nie tak, La Marze?

- O niczym nie myślę. Czekam.

- Szczycisz się swoim zajęciem niszczyciela wampirów?

- Niewątpliwie. Wielokrotnie zmuszałem was do płaczu.

- Fu! - Skrzywiła się. - Istotnie z ciebie obrzydliwy cynik. Nigdy nie zastanawiałeś się nad tym, że my, przedstawiciele jednej z najdawniejszych ras, mamy takie same prawo do życia jak Sidowie, gnomy, Orki, smoki, wilkołaki, ludzie?

- Próbujesz wzbudzić we mnie litość do nieszczęśliwych, prześladowanych krwio pijców?

- Nie. Wiem, w czym tkwi twój problem. To chore sumienie, czyż nie tak? Nienawidzisz nas, bo uważasz, że z naszego powodu stałeś się mordercą. Mścisz się, La Marze.

- Do rzeczy, Galerio. Mam mało czasu.

- Niemile ci moje towarzystwo? Jesteś bardzo nieuprzejmy.

- Chcę tylko usłyszeć, po co mnie zaproszono. Na pewno nie na seans psychoanalizy. I nie myślę, że chciałaś ze mną się przespać.

- Dlaczego by nie? - uśmiechnęła się. - Wyobraź sobie, jaki nadzwyczajny seks mógłby być między wampirką i polującym na nią! My, wampiry, jesteśmy bardzo namiętni i pomysłowi w grach miłosnych.

- Być może. Po prostu na sekundę zapomniałem, dokąd przyszedłem.

- Widzisz, jednak zmusiłam cię do uśmiechu... Mówiliśmy o prawie do życia. Wyobraź sobie, że stworzenia Cienia, wampiry, upiory, krwio pijcy, jak ich nazywasz, także chcą żyć. W jakimś sensie boimy się śmierci nawet bardziej niż wy, ludzie. Bardzo przykre jest uzyskać fizyczną nieśmiertelność i stracić ją nie z własnej woli. Wytrwaliśmy w walce z magami, którzy prześladowali nas przez stulecia, udowodniliśmy swoją żywotność. Zdołaliśmy przekonać wszystkich, że nie istniejemy. O nas wiedzieli tylko najwyżsi hierarchowie kapłańskich kolegiów. To było coś w rodzaju umowy - nie tykamy ludzi, myśliwi nie tykają nas. I to porozumienie działało przez długie lata. Ale teraz wszystko się zmieniło. Rozumiesz, o czym mówię?

- Niezupełnie.

- Zaczniemy od tego, że świat, jak już powiedziałam, zmienił się. Kiedyś, naszymi głównymi wrogami byli magowie-myśliwi jak ty, ale potem wszystko się zmieniło. Sprawami stosunków z mieszkańcami Cienia zaczęło zarządzać Kolegium Magna - król Serwen wykazał się mądrością zakładając, że przedstawiciele kapłańskich kolegiów, wyznawców różnych bogów, będą w stanie porozumieć się i

wziąć na siebie troskę o duchowe życie kraju. Zgromadzenie to okazało się jeszcze mądrzejsze niż król Serwen. Zaprzestało walki z Cieniem w dosłownym i przenośnym sensie słowa i wniosło w nasze współzależności pewną... jasność. Z korzyścią dla nas było przyjęcie warunków gry, więc przyjęliśmy je. W tym czasie, kiedy zawarto porozumienie, Braterstwo znajdowało się w kryzysie, a Kolegium nie miało sił ani chęci, by skończyć z nami ostatecznie. Dlatego musieliśmy iść na ugodę. Wszystko, na co sobie pozwalaliśmy, to tylko podpitka ludzkiej energii, nie śmiertelna dla człowieka i nie zakażająca go wampiryzmem. Nasi farmaceuci tworzyli preparaty, które likwidowały u Braci pragnienie krwi i pozwalały nam zachowywać siłę i długowieczność nawet bez przyjmowania żywej, ludzkiej krwi - ichorofagii. Ludzie też dużo zyskali w ramach tej polityki. Wampiry więcej nie napadały na nich, a jeszcze dzieliliśmy się z waszymi magami pewnymi recepturami. Pomagały wam na przykład, pokonywać wasze choroby. Wszyscy byli zadowoleni. Oczywiście, od czasu do czasu pojawiali się ci, którzy naruszali ograniczenia, jakie nakładał na ludzi i wampiry Kodeks Arkanum. Ale z takimi walczyliśmy wspólnie, z Kolegium. Między innymi, La Marze, jesteś jednym z takich wichrzycieli. Z początku, twoja wojna nie bardzo niepokoiła Braterstwo i Najjaśniejszy Trybunał - przecież zabijałeś odszczepieńców, a ich los nikogo nie interesował. Ale po tym, jak wypełniłeś kontrakt zawarty z Etcelem, złamałeś niepisane prawa. Zniszczyłeś cały klan. Zresztą - dodała z czarującym uśmiechem - Braterstwo jest gotowe wybaczyć morderstwo nieszczęśliwego przywódcy rejonowego pod warunkiem, że wypełnisz to, o co poproszę.

- Kodeks Arkanum? Tam nie ma słowa o wampirach.
- Chcesz powiedzieć, że przeczytałeś cały Kodeks? Śmiem wątpić.
- Jednak go przeczytałem.
- Tylko pierwsze dwie części Kodeksu - każdy student może je wypożyczyć w bibliotece Uniwersytetu. Ale jest jeszcze trzecia część. Porozmawiaj z de Lassem, na pewno pozwoli ci ją przeczytać.
- Dobrze, przypuścimy, że ci uwierzyłem. Wierzę, że Pozaziemscy i przywódcy Kolegium, kiedyś zawarli tajną umowę i przestrzegali jej przez wszystkie dziesięciolecia. Jestem nawet gotowy uwierzyć w to, że Kolegium i wasi książęta, dotąd jej dotrzymują i wspólnie karzą tych, którzy naruszają zasady. Odnawiają, że tak powiem, status quo. Jednakże nie rozumiem, jaki to ma związek ze mną?.
- Wszystko zaczęło się od Sidów. Przywódca rejonowy nie mówił ci o tym?
- Nie zdążył. Zaproponował, bym został jednym z was i musiałem mu odmówić.
- Głupiec! Zawsze był głupcem. Nie powiedział ci najważniejszego. Porozumienie może być zburzone.
- Co to znaczy?
- A nie rozumiesz? Porozumienie, to nie tylko abstrakcyjne pojęcie. To podstawa skomplikowanego porządku, równowagi między Światłem i Cieniem. Jeśli porozumienie zostanie zakłócone, każda umowa straci sens. W tym i Kodeks Arkanum. To oznacza, że część moich współplemieńców poczuje się wolna od wszystkich przyjętych na siebie zobowiązań. I Kolegium Magna, naturalnie, uczyni to samo.
- Świetnie. Wreszcie będę mógł was niszczyć bez jakichkolwiek ograniczeń.
- Nie wszystko jest takie proste, La Marze. Jeśli zacznie się wojna między stworzeniami Cienia i ludźmi, będzie ona totalna, bez reguł i litości - uśmiechnęła się czarująco. - I zniszczymy was. Dysponujemy tajemną wiedzą, której potęgi nawet sobie nie możecie wyobrazić. Nieśmiertelność ma swoje plusy, daje wielką mądrość.

Po naszej stronie będą siły, o których wy, ludzie, nie macie najmniejszego pojęcia. Nie jesteście gotowi do wojny z nami. Jesteś jeden. Nie macie kogo nam przeciwstawić. Kolegium Magna wie o tym. Jednakże, jakby to nie zabrzmiało dziwnie, taka wojna na zniszczenie, nam, wampirom, jest niepotrzebna. Ludzka krew, to nie jedzenie dla Pozaziemskich, to czarodziejski eliksir, pozwalający nam zachowywać młodość i nieśmiertelność. Jeśli ludzie znikną, też długo nie pociągniemy. Dlatego utrzymująca się równowaga, jest niezbędna zarówno dla nas, jak i dla was. Czas, określony w prorocत्वach, o przyjściu nowej epoki jeszcze nie nadszedł, więc nadal będziemy dotrzymywać tego niezbędnego, chociaż wymuszonego sojuszu z ludźmi.

- Jest was niewielu.

- Jesteś tego pewien?

Poczuł, jak po plecach przebiegły dreszcze. Zrozumiał, że wampirzyca nie kłamie.

- Dobrze, Na czym polega mój udział?

- Już powiedziałam, że wszystko zaczęło się od Sidów. Powinieneś wykonać jedno, niełatwe zadanie.

- Mianowicie?

- Tydzień temu, w pobliżu Kornalu, jedna z naszych wspólnot została zniszczona przez nieznanego myśliwego. Zginęło jedenastu moich współplemieńców. Jednakże, myśliwy w starciu został ukąszony i teraz nieuchronnie trafi pod władzę Cienia. Można byłoby się z tego tylko cieszyć, gdyby nie pewna okoliczność. Myśliwym była dziewczyna - Sidka. Słyszałeś o deargdhu?

- Oczywiście - drugi raz tego wieczoru poczuł dreszcze. To dlatego Barnas mówił o dziewczynie - elfijce, to jej poszukiwali spotkani na drodze do Ergaloty Orki. - Słyszałem tylko złe rzeczy.

- Teraz, spróbujmy określić następstwa, drogi La Marze. Jeden deargdhu to, oczywiście, źle. Elfijski deargdhu, krańcowo nieprzyjemnie nawet z naszego punktu widzenia - wampira, który kiedyś był człowiekiem. Ręczę, że jeszcze ani razu nie zetknąłeś się z podobną istotą, inaczej, nie spotkalibyśmy się. Teraz wyobraź sobie, że władza Cienia rozpowszechni się wśród Sidów. Natychmiast powstanie niebywałe zagrożenie dla porozumienia z ludźmi. Myślę, że Sidowie-wampiry nie będą chcieli dotrzymywać postanowień Kodeksu Arkanum. Dla nich, to pusty papiererek. Trzeba znaleźć i zniszczyć tę dziewczynę, póki nie zaraziła swoich współpracowników.

- Przypuśćmy, że jest tak, jak mówisz. Dlaczego was to tak niepokoi?

- Konkurencja, La Marze. Po prostu, Deargdhu najzwyczajniej zniszczą ludzi i, wcześniej czy później, zostaniemy bez źródła Nieśmiertelności - żywej ludzkiej krwi. Deargdhu nie będą związani żadnymi porozumieniami. W Kodeksie Arkanum o elfijskich wampirach nie powiedziano ani słowa. Dodaj do tego tysiącletnią nienawiść Sidów do ludzi i wszystko zrozumiesz. Sami nie będziemy w stanie walczyć z Sidami, nawet magiczna wiedza, którą przez tysiąclecia zgromadziło Braterstwo – to nic w porównaniu z magicznym doświadczeniem Sidów.

- Tak, zrozumiałem wszystko - wstał, poprawił pas ze sztyletem. – Rozważę twoje słowa. Mam czas do namysłu?

- Nie. Powinieneś dać odpowiedź natychmiast.

- Jedno pytanie; Co otrzymam w zamian?

- Jaką nagrodę? - westchnęła, musnęła wytwornym paluszkami wargi. - Moja miłość ciebie nie skusi, to oczywiste. Pomyślmy, co może skusić mężczyznę bardziej, niż bardzo piękne kobiece ciało? Tylko inne bardzo piękne ciało. To, którym ten mężczyzna już od dawna stara się zająć.

- Do czego zmierzasz?

- Wiem o twoim piesku. Marzysz, że pewnego dnia znajdziesz sposób uzdrowienia tej dziewczyny. Umowa, to umowa, La Marze - dam ci lek dla Wioli.

- Bzdura! - poczuł, jak krew uderza do głowy. - Kłamiesz. Od wampiryzmu nie ma skutecznego leku.

- Jest. Gdybym chciała, to zostałabym zwykłą kobietą. Ale ja nie chcę być człowiekiem. Starzeć się, cierpieć z powodu nieuniknionych dolegliwości, tracić dzień po dniu swoje piękno i siłę.

- Dlaczego mam ci wierzyć?

- Ponieważ mówię prawdę. Elik sir Czystej Krwi istnieje i otrzymasz go. Sześć dawek, potrzebnych do pełnego uzdrowienia z początkowego stadium nabytego wampiryzmu. Ale, najpierw przynieś mi głowę elfijki.

- Dopiero co napomknęłaś, że nie mam szans, by poradzić sobie z deargdhu i jednocześnie powierzasz mi zabicie zarażonej elfijki. Sama sobie przeczysz, miła wampirzyco.

- Nie ma w tym żadnej sprzeczności. Elfijka, o której mówię, zostanie deargdhu po najbliższym nowiu. Masz jeszcze trzynaście dni. Takiemu sprawnemu myśliwemu, tyle czasu musi wystarczyć. Pomyśl, że wykonujesz kolejny kontrakt.

- Od czego zacząć? Od pytania o zapłatę?

- Myślę, że już się umówiliśmy - ściągnęła wargi, w oczach błysnęły iskierki gniewu. - Elik sir Czystej Krwi...

- Dla Wioli. A dla mnie?

- Jesteś zuchwalcem, La Marze - wampirzyca zaśmiała się, ale jej spojrzenie pozostało zimne i złe. - Czego jeszcze chcesz?

- Recepty Elik siru Czystej Krwi.

- Czy nie przesadzasz?

- Nie. Taka umowa będzie korzystna przede wszystkim dla was, wampirów. Dla waszego nikczemnego Braterstwa Cienia albo Nocy, jak go tam nazywacie, to szansa na uwolnienie się ode mnie, Galerio. Jeśli będę w stanie uzdrawiać ludzi z wampiryzmu, nie będę zabijał wampirów. Rozumiesz?

- Prawdę mówiąc, o tym nie pomyślałam. Ale sama nie mogę decydować o takich sprawach.

- Wobec tego spotkamy się, kiedy będziesz mogła przyjąć moje warunki – wstał i skierował się do drzwi.

- Nie mamy czasu do stracenia. Pójdziemy na kompromis: Zaczynasz wykonywać zlecenie, a ja spróbuję przekonać pozostałych książąt Braterstwa do przyjęcia twoich warunków. Myślę, że mnie posłuchają. Zgoda?

- Zgoda. Tylko, dlaczego sami nie możecie zniszczyć Sidki?

- Ponieważ, natychmiast wyczuje wampira-myśliwego. A ty, masz szansę na zdobycie jej zaufania.

- Gdzie mam jej szukać?

- La Marze, przecież jesteś magiem. Powinieneś wiedzieć o Punktach Mocy. Sid, który został poszkodowany w starciu z Cieniem, nieuchronnie będzie trzymać się w pobliżu jednego z nich. Poza tym, znasz skanujące zaklęcie, czyż nie tak? Nie zmuszaj mnie, bym się rozczarowała tobą.

- Takie to proste? Dlaczego, wobec tego, Orkowie Trybunału nie mogą jej znaleźć?

- Ponieważ Trybunał nie rozpowszechnia informacji o tej dziewczynie, którą dopiero co otrzymałeś.

- Myślę, że prawda leży gdzie indziej. Prowadzicie jakąś chytrą, brudną grę, w której z niezrozumiałych powodów jestem wam potrzebny. Uprzedzam, Galerio, zabiję tę Sidkę i wrócę.

- Nasze sprawy nie dotyczą cię - Galeria jakby nie słyszała groźby. – Wszystko jest proste i zrozumiałe. Po wiekach, interesy Braterstwa i was, śmiertelnych ludzików, zbiegły się. Zadanie jest skomplikowane i lepiej niż ty, nikt z nim nie poradzi. Wyciągaj wnioski, jakie tylko chcesz.

- Dobrze. Jeszcze jedno pytanie: Kto stoi za morderstwami kobiet i dzieci w Ergalocie?

- Wiesz o tych morderstwach? To, nie my. Naprawdę. Pozaziemscy nie lubią bezsensownego, zwierzęcego okrucieństwa.

- Uwierzę ci i tym razem. Chcesz mi jeszcze coś powiedzieć?

- Nie - wytwornym gestem poprawiła fałdy ubrania, uśmiechnęła się. - Jeśli nie chcesz mnie, to odejdz. Nie mogę się doczekać, żeby zająć się moimi klientami.

- Tylko dwa pytania, Galerio.

- Pytaj, chętnie ci odpowiem.

- Czym jest Zacieniona Czasza?

- To dawny artefakt. Czci go pewna sekta ziem południowych, chyba w Szeranie. Po co ci to?

- Rejonowy przywódca przed śmiercią mówił coś o Zacienionej Czaszy.

- Idiota! - zamrugła oczyma. - Zawsze był idiotą. Bezmyślnie interesował się każdym starodawnym podaniem i sztuką i we wszystkim próbował znaleźć ukrytą moc. I to go zgubiło.

- Teraz drugie pytanie. Można urodzić się wampirem?

- La Marze, sam dobrze znasz odpowiedź na to pytanie. Wampirem nie można się urodzić. Wampir dlatego nazywa się Pozaziemskim, że dla tego świata jest obcy. Tylko potężna magia i krew pomagają nam wyżyć w świecie Ciała. Wiesz o tym. Wampir jest dzieckiem Cienia, a nie Ciała. Jeśli kiedykolwiek zdarzy się to, o czym mówisz, będzie oznaczać początek zagłady rodzaju ludzkiego i nastanie nowej rasy – Nieśmiertelnych, jednoczących Cień i Ciało.

- Doskonale. Wobec tego jest sens w dalszym niszczeniu was.

- Życzę sukcesów.

W korytarzu, po zamknięciu drzwi pokoju Galerii, poczuł się źle. Rozmyślnie, albo mimo woli, wampirzyca podczas rozmowy ciągnęła z niego energię. Z uśmiechem pomyślał, że w ciągu ostatniej pół godziny ryzykował tak, jak nie nigdy dotąd - wlał do legowiska wampira bez ochronnego ekwipunku, ziół, eliksirów i z jednym sztyletem, nawet nie ochraniał siebie magiczną osłoną. Kiedy mdłości i zawrót głowy trochę ustąpiły, szybko zszedł na dół i wyszedł ze „Starego grzesznika”.

- „Pomyślmy przyjacielu, co jest nam wiadome - mówił sam do siebie, idąc ciemną ulicą w stronę Górnego Miasta. - Zacienione Braterstwo wynajęło cię z polecenia Kolegium do tego, żeby zniszczyć Sida, stojącego się - albo mogącego się stać - deargdhu. Dziwne? Bardzo dziwne. Krwiopijcy nie mogą albo nie chcą zaczynać z Sidką - dlaczego? Ta ślicznotka mówi, że ona natychmiast rozpozna wampira-myśliwego. Kłamie? Chyba nie. Jeśli Sidowie naprawdę tak dobrze władają magią, jak słyszałem, to tak z pewnością jest. Jednakże, wampiry dysponują niemniejszymi magicznymi znajomościami. Coś tu nie gra...”

Szybko schował się w zaułku, bo przy końcu ulicy pojawiły się ognie pochodni. Kiedy oddział nocnej straży przeszedł dalej, w stronę Królewskich Ogrodów, mag, rozmyślając, ruszył dalej swoją drogą.

- „A Galeria była nieostrożna. - Bardzo nieostrożna. Wygadała się, że wampiry nie mogą obejść się bez żywej krwi. Czyli, miałem rację. Cała ta rozmowa o abstynencji, to bzdura dla prostaków. Dranie, zawsze pili i piją krew żywych ludzi. Nie można o tym zapomnieć. Poza tym, teraz wiem, że Braterstwo ma swoich myśliwych. Ciekawe, co sobą reprezentują. Prawdopodobnie, popełniłem błąd, tam, w Norrindze. Mogłem spróbować skłonić do mówienia rejonowego przywódcę, zanim przekształciłem go w głównię. I dlaczego Galeria tak się wzburzyła, kiedy zapytałem o Zacienioną Czaszę? Hm, nigdy o niej nie słyszałem. Zawiazuje się interesująca sprawa. Najwyższy czas złożyć wizytę Wiljenowi.”

Kilkakrotnie zdawało mu się, że ktoś go obserwuje. Rozglądał się na wszystkie strony, ale ulice były puste. W końcu, wytłumaczył sobie, że Bracia mogą go teraz obserwować, skoro na dworze noc, a to najlepsza ich pora. Śledzić - czy spróbować go zniszczyć? Nigdy jeszcze Braterstwo nie miało takiej świetnej okazji, by zakończyć z nim porachunki...

- „Eliksir Czystej Krwi - pomyślał, podchodząc do hotelu. - Pożywka dla durnia, czy ostatnia szansa dla Wioli? Dziwne, że usłyszałem o nim zaraz po tym, jak Dejkin opowiedział mi o salwarii. Może jest tu jakiś związek, ale jaki? Chyba nieprędko o tym się dowiem. Dzisiejszej nocy, moja wiedza znacznie się wzbogaciła. Zgoda, zagramy według reguł partnera. Zobaczymy, co z tego wyniknie i kto wygra...”

Hotel był otwarty, w holu było pusto. Cicho wszedł na pierwsze piętro, do swojego pokoju. Wiola spała na niepościelonym łóżku. Bardzo ostrożnie, żeby nie zbudzić dziewczyny, wziął worek ze swoim ekwipunkiem i szybko opuścił pokój.

W holu szybko się przebrał, włożył elfijską kolczugę, spodnie z grubej skóry i wysokie buty, przy pasie umocował miecz, pod długim płaszczem ukrył załadowaną kuszę i wyszedł z hotelu. Nie zamierzał odkładać do rana rozmowy z Wiljenem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przedostanie się do Miasta Kanałów, okazało się bardzo proste - strażnicy w bramie nie zadawali żadnych pytań. Co więcej, za parę monet wyjaśnili, jak dojść do ulicy Kotlarzy. Za bramą, znalazł się na szerokiej nieutwardzonej ulicy, po bokach której stały szeregi wielopiętrowych, przylegających do siebie domów. Było pusto, okna ciemne, tylko daleko, na przycumowanych do nabrzeża kanału barkasach i barkach paliły się latarnie. Gdzieś daleko, zajadłe czekały psy. Po przeciwległej stronie kanału dostrzegł światła nad wejściem do zajazdu - tam, sądząc z dochodzących pijackich krzyków i śpiewu, zabawiali się miejscowi hulacy i nocne marki. Od kanału ciągnęło chłodem i wilgocią, ciężkim smrodem stojącej wody, amoniaku, siarkowodoru i zepsutej ryby. Pod nogami wstrętne mlaskał lepki, cuchnący brud.

Szybkim krokiem doszedł do kanału i skręcił w lewo, do rybnego rynku. Minął zamknięte kramy i podążał wąską ulicą, płosząc koty, które zebrały się obok stert śmieci przed domami. W następnej uliczce przeszedł koło fontanny – kamienny, skręcony niczym obwarzanek delfin, na brudnym basenie, wyrzucał z paszczy stróżkę wody. Na niewielkim placu, z lewej strony, dojrzał dom Wiljena. A potem usłyszał krzyk - i dźwięk, którego nie można z niczym pomylić, zgrzytanie metalu o metal. Odgłosy walki.

Sześć ciemnych postaci zmagало się na wąskim skrawku ziemi przy drzwiach domu Wiljena. Pięciu napadało, szósty bronił się, przywierając plecami do drzwi domu. Walczyli w milczeniu, wypadom i odparowaniu ciosów towarzyszył tylko

przyspieszony oddech i ciężkie westchnienia, sapanie, przytłumione jęki. Zupełnie nie podobne do pijackiej burdy, prędeży, do napadu najemnych morderców.

Zastanawiał się tylko przez moment. Człowiek przy drzwiach był uzbrojony jedynie w sztylet, a jego przeciwnicy mieli miecze. Dziwne, że jeszcze nie pocięli tego biedaka na kawałki - albo starcie musiało się dopiero zacząć, albo człowiek, broniący swego życia, jest wybornym szermierzem. Ale na pewno, nie jest nieśmiertelny. Prędeży czy później mordercy wykończą go, jeśli tylko...

Zobaczył, jak nieznajomy przy drzwiach, odprowadzając uderzenie w głowę, nie utrzymał równowagi i upadł na kolano. Więcej się nie wahał. W następnej sekundzie, ciężka, kuta strzała na wampiry, zabiła jednego z napastników. Nie było czasu na ponowne ładowanie kuszy, więc chwycił za miecz.

Natychmiast rzuciło się na niego dwóch ludzi w czerni - obaj z długimi mieczami. Klinga La Mara była prawie dwa razy krótsza. Czarni zaczęli obchodzić go z dwóch stron. Zwykły atak najemnych morderców sprowadza się do tego, że jeden rozprasza uwagę, drugi zadaje śmiertelne uderzenie. Ci atakowali równocześnie. Mag z trudem odprowadził wypad pierwszego, zręcznie uniknął klującego uderzenia drugiego. Bandyci na chwilę zamarli, potem, nadal milcząc, ruszyli do nowego ataku. W księżycowym blasku zamigotała klinga miecza: La Mar rzucił się do tyłu, cudem unikając uderzenia w głowę. A potem wyciągnął lewą rękę i wysłał ognistą kulę prosto w twarz wroga. Nastąpił oślepiający rozbłysk, morderca zawył, chwycił się rękami za twarz. Wykorzystał zaskoczenie drugiego, krótkim uderzeniem ciął przeciwnika po ręce, a kiedy wróg z krzykiem wypuścił broń, uderzył czarnego rękojeścią w twarz. Wyraźnie usłyszał, jak pod uderzeniem chrupnęła kość. Krzyk urwał się i czarny upadł na wznak, ciężko uderzając głową o kocie łby. Szerokim cięciem rozplatał szyję zamroczonemu bandycie, rzucił się w kierunku domu, na ratunek nieznajomemu, broniącemu się przed dwójką morderców. Jeden z nich odwrócił się, zamachnął się na maga mieczem - i otrzymał precyzyjne, klujące uderzenie pod podbródek. Zapachniało krwią, gorące bryzgi dosięgły twarzy La Mara. Bandyta zakaszał, zachrypiał, wytrzeszczył oczy, wypuścił miecz, chwytając się rękami za gardło. Chwilę po tym, człowiek przy drzwiach dosięgnął przeciwnika siecznym uderzeniem, ostrego jak brzytwa, sztyletu i morderca z jękiem zwałił się na ganek, zalewając go krwią z rozciętej tętnicy szyjnej.

- Nieźle! - wychrypiał La Mar, łapiąc oddech. - Cały?

- Wszystko w porządku - usłyszał kobiecy głos. - Masz latarnię?

- Do licha! Kobieta?

- Masz latarnię? - powtórzyła.

- Oczywiście - oprzytomniawszy, wypowiedział zakłęcie Nocnego Podróżnika. Spróbował przyjrzeć się nieznajomej i poczuł, że włosy na głowie poruszyły się, a ręka mimo woli ścisnęła rękojeść miecza.

Okazało się, że jest dziewczyną ze Starego Rodu. Nie sposób było się pomylić - zbyt krucha jak na człowieka budowa ciała, zbyt wielkie migdałowe oczy, delikatne rysy twarzy, włosy podobne do srebrnych nici, spiczaste uszy. Jednym słowem, uratował Sidkę. Tę, o której opowiadała Galeria?

Wygląda na to...

- Jesteś magiem?

- Tak.

- Jestem Ennid - powiedziała, chowając sztylet do pochwy. - Poświeć, trzeba obszukać te psy.

Obserwował, jak pośpiesznie i dokładnie przeszukiwała ciała zabitych bandytów. Potem usłyszał, jak przekląła. Słów nie zrozumiał, ale z intonacji wywnioskował - dziewczyna dogłębnie zirytowana.

- Niczego! - westchnęła. - Spóźniłam się.
- Co się dzieje?
- Zabierajmy się stąd. Jest niebezpiecznie.
- Muszę spotkać się z Wiljenem.
- Nie żyje. Zabili go, zanim przyszedłem. Urządzili w domu zasadzkę, wykryli mnie skanującą magią i próbowali zabić. Dziękuję, że pomogłeś. Dałabym sobie radę, ale, bardzo ci jestem wdzięczna.
- Wiljen zabity?
- Domyślam się, z jaką sprawą do niego szedłeś. Powinniśmy porozmawiać. To bardzo ważne.
- Nie mam co do tego wątpliwości. Jak ty...
- Potem. Idź za mną.

Znaleźli schronienie niedaleko przystani, w ogromnej porzuconej szopie, pełnej pustych, śmierdzących beczek po tłuszczu wielorybim i okrętowych desek. Ennid wycierała krew ze swojej skórzanej odzieży, a La Mar stał w kącie i patrzył na nią, krzyżując ręce na piersi.

- Ciekawie? – odezwała się z niezadowoleniem.
 - Nigdy nie widziałem Sida. Tylko słyszałem o was.
 - I na pewno niezbyt pochlebne rzeczy?
 - Właśnie - przyznał. - Prawdę mówiąc, jestem zdziwiony. Poszukują cię, a ty rozbijasz się po Ergalocie.
 - Wiem, że mnie poszukują. Trybunał i Braterstwo.
 - Wampiry? - udał zdumienie. - Co mogą mieć wspólnego Sidowie z wampirami?
 - Nie udawaj durnia - wytarła z kurtki i wysokich butów ostatnie krwawe plamy, spojrzała na maga. - Szedłeś do Wiljena, więc powinieneś wiedzieć.
 - Chciałem dowiedzieć się o serii morderstw, które badał Wiljen.
 - Wszystko jedno. Jesteś przecież Aren La Mar, nie mylę się?
 - Znasz moje imię?
 - Domyśliłam się. Dużo słyszałam o tobie. A kiedy spytałeś, co wspólnego może być między Sidami i wampirami, upewniłam się, że to właśnie ty. Jesteś magiem i wiesz o istnieniu Braterstwa, a to znaczy, że jesteś La Mar.
 - Poznaliśmy się, a teraz czekam na wyjaśnienia.
 - Wyjaśniać, trzeba by bardzo długo. A czasu mamy mało. Niedługo świt i powinnam zniknąć z Ergaloty. Ty, szczerze mówiąc, także. Ludzie, z którymi walczyliśmy przed domem Wiljena, byli związani z Trybunałem. Wiesz, co ci grozi?
- Jak najbardziej, ale za późno o tym mówić. Z miasta mnie nikt nie wypuści do świtu, a do tego czasu najświętszy kontrwywiad już będzie w kursie dzieła o naszych nocnych przygodach.
- Udaj się na przystań: Jest tu, nie daleko, zaraz za budynkiem cechu handlarzy rybami. Gospodarz przystani, kobold Szotto, wywiezie cię z miasta łodzią. Powiesz mu, że to ja ciebie przysłałam. Do świtu jeszcze jest czas, zdążysz.
 - A ty?

- O mnie się nie martw. Spotkamy się w zajeździe „Dzwon i wrona” przy drodze z Ergaloty do Agrianum. Pojutrze rano. Wtedy wszystko ci wyjaśnię. - Narzuciła na głowę kaptur kurtki. - Powinieneś być w zajeździe, to ważne.

- Tak rozpaliała moją ciekawość, że na pewno tam będę.

- Oczywiście domyślasz się, że nasze spotkanie nie było przypadkowe. Sidowie taką zbieżność nazywają De Maen d’Car’maell, zrządzenie losu. Jesteś potrzebny mi, a ja tobie. Dzisiaj mi pomogłeś, więc nie pozostanę dłużna.

- Niepotrzebna mi twoja wdzięczność.

- Jeszcze porozmawiamy o mojej wdzięczności i naszych wspólnych sprawach. Ruszaj, pośpiesz się.

- Jeszcze kilka słów. Z jakiegoś powodu nie wierzę ci. Wydaje mi się, że zwiejesz.

- Masz złe zdanie o Sidach, przyjacielu, ale wybaczam ci. Nigdy nie kłamiemy. Pojutrze o tym się przekonasz. Jesteśmy sojusznikami, La Marze, my dwoje jesteśmy po Jasnej Stronie. Wobec tego przyjdź do zajazdu, dowiesz się dużo interesujących rzeczy.

Wiola nie zadawała żadnych pytań - plamy krwi na płaszczu były bardziej wymowne, niż jakiegokolwiek wyjaśnienia. Z wyrzutem popatrzyła na maga i pokiwała głową. A potem, po cichu i szybko, porzucili hotel, pozostawiając na pastwę losu biednego Ippa.

Do świtu pozostawało niewiele czasu, kiedy staruszek Szotto wziął do swojej łodzi La Mara i jego rudego psa. Łódź ślizgała się po wodach kanału, lawirując między przycumowanymi barkasami, lekko kołyszącymi się na wodzie kopami śmieci, kierując się do rzeki. Mag bezmyślnie gładził Mądrałę i myślał. Najbardziej o trzech rzeczach, które od tej nocy stały się najważniejszymi w jego życiu.

Po pierwsze, dowiedział się o Elikirze Czystej Krwi. Jeśli Galeria War-Smarten nie łgała, pojawiła się nadzieja na uzdrowienie Wioli.

Po drugie, jego wieloletnie problemy z Kolegium Magna przeszły w prawdziwą wojnę. Wcześniej był odszczepieńcem i przez wiele lat cudem unikał prześladowania przez sąd, teraz zaś, stał się zwykłym mordercą. Kolegium już go nie będzie osłaniać i za nim ruszą na polowanie nie tylko wampiry, ale i władza. Oblał go zimny pot, kiedy wyobraził, czym to może się zakończyć. Chociaż, kto wie! Póki co, oni myślą, że nadal pracuje dla Braterstwa. To daje trochę czasu. Musi zdążyć przeanalizować tę diabelnie złożoną sytuację. I kto wie - może poszczęści mu się na tyle, że łapy królewskiej policji i Najświętszego Trybunału jednak nie sięgną do jego gardła i Elikir Czystej Krwi w końcu trafi do jego rąk.

Po trzecie, w tej sytuacji, zostało tylko jedno wyjście - uczynić tak, jak powiedziała Ennid. Pojechać do zajazdu, o którym mówiła i spotkać się z nią. Innej możliwości dotarcia do prawdy nie ma. Wiljen martwy i tylko Sidka może opowiedzieć, co tak naprawdę się dzieje.

Ormon de Lass poczuł dotknięcie strachu. W twarzy i spojrzeniu człowieka, który siedział za stołem, nie było niczego strasznego, ale de Lass czuł, że Protektor Najświętszego Trybunału jest wściekły. I jego złość może objawić się lada moment.

- Niepowodzenie, mój przyjacielu - powiedział Awier La Bantjen, głaszcząc swego ulubieńca, puszystego tajkińczyka, rzadkiej, morelowej maści. Kot leżał na kolanach Protektora i mrużył oczy, jakby kopiował manierę gospodarza patrzącego na rozmówcę. - Niespodziewane i bolesne niepowodzenie. Zwierzę zbiegło z zastawionej pułapki, zabijając przy tym myśliwych. Zorientowaliście się, co tam się zdarzyło?

- Trudno cokolwiek powiedzieć, mistrzu Protektorze - zaczął de Lass, nerwowo gestykulując. - Niestety, moi ludzie są martwi, świadków nie ma. Mieszkańcy okolicznych domów, nie mogą powiedzieć nic sensownego. Słyszeli jakiś szum, widzieli jakieś światło - to całe ich zeznania. Kiedy strażnicy natrafili na ciała poległych, były już zimne.

- Macie jakieś podejrzenia? Poszlaki?

- Tylko to - położył na stole ciężki stalowy belt z głębokimi rowkami na końcówki upierzenia. - Tę strzałę wydobyto z ciała Godszena.

- Strzała do kuszy?

- Strzała myśliwego na wampiry.

- Czyli, Arena La Mara?

- Nie znam innego myśliwego na wampiry, mistrzu Protektorze.

- Dziwna historia, mój przyjacielu. Wynajmujecie tegoż La Mara, żeby pracował dla was. W sumie, on się zgadza. Nie mija nawet doba i ten wasz La Mar zabija pięciu waszych agentów. Gdzie jest logika, mistrzu Ormonie?

- Nie widzę żadnej logiki, mistrzu Protektorze.

- Ja także - La Bantjen jakiś czas milczał, przebierając palcami gęstą sierść tajkińczyka. - Chociaż, jeśli pomyśleć, to można znaleźć wyjaśnienie. Ten wasz La Mar, przybył tu na zaproszenie starego buntownika Barnasa - ten w żaden sposób nie uspokoi się! Wiljen był w jakiś sposób związany z nim. Czy mam rację?

- Tak, mistrzu Protektorze. Zmarły Wiljen zbierał dla Barnasa i jego pomocnika Ardelina potrzebne informacje. Był z tych długonosych spryciarzy, którzy zbyt ochoczo wnikają w cudze sekrety. Na szczęście, znaleźliśmy jego zapiski. Są zaszyfrowane, ale...

- To nie wasza troska - przerwał. - Ja sam zajmę się nimi. Zabraliście wszystkie dokumenty z domu Wiljena?

- Wszystko, co znaleźliśmy w jego biurze. Chyba nie zdążył zrobić z nich kopię. Głupiec, na co on miał nadzieję.

- O nieboszczykach nie mówi się źle, Ormonie. A poza tym, to był jego chleb. Za dokumenty Wiljena należy się wam pochwała. Ale, wróćmy do La Mara. Znaleźliście go?

- Zniknął, mistrzu Protektorze.

- Zniknął? - po twarzy La Bantjena przemknął cień. - Tak po prostu, zniknął? Jest duchem, czy zjawą? Przepytaście straż przy bramach?

- Strażnicy przysięgają, że nikt tej nocy nie opuszczał miasta.

- Czyli wasz przyjaciel odleciał. Albo został cieniem i rozplynał się w powietrzu.

- Głos Protektora zadźwięczał złowieszczo. - Źle pracujecie, Ormonie. Sukinsyn okazał się chytrzejszy od was.

- Otrzymał zadanie od Galerii, mistrzu Protektorze. Niewykluczone, że natychmiast przystąpił do jego wykonania.

- Zapominając o sprawie, dla której wezwał go tu Barnas? Przy okazji, wyróżnął pięciu waszych najlepszych agentów? Pozwól, że ci opowiem, co mogło się wydarzyć naprawdę -wydał wargi, postukał palcami po stole. - La Mar przybył do Ergałoty, ponieważ wezwał go tu Barnas. Przyczyną są morderstwa związane,

według naszych nieposkromionych oponentów, z Kultem Czaszy. La Mar zabiera się do tej sprawy, ale najpierw zamierza wypełnić kontrakt Salmira. Tu się z nim spotykacie i przekazujecie moją propozycję. Nie odmawia, idzie na spotkanie z Galerią i otrzymuje od niej zamówienie na likwidację elfijki. Wygląda na to, że wszystko idzie jak trzeba. Jednakże, po kilku godzinach, La Mar idzie do Wiljena, zabija naszych ludzi i znika bez śladu. Dlaczego? Wyjaśnienia mogą być tylko dwa, Ormonie. Albo La Mar, mimo wszystko, zdażył spotkać się z Wiljenem i dowiedział się od niego o czymś bardzo ważnym, albo pojawił się ktoś trzeci, o kim nie wiemy. Niewykluczone, że ten zagadkowy osobnik, pomógł mu potajemnie wydostać się z Ergaloty.

- To moja wina, mistrzu Protektorze. Jestem wszystkiemu winien.

- Proszę nie przesadzać, Ormonie. Wszystko, co można ci zarzucić, to brak wystarczającej roztropności. Wymyśliłeś świetny plan. Twój pomysł zniszczenia rejonowego przywódcy, był olśniewający. La Mar także był dobrym argumentem w rozmowach z Braterstwem, ale teraz Pozaziemscy boją się go jak nigdy dotąd. To jest świetne. Taki człowiek jest nam niezbędny, mój przyjacielu. Póki on jest z nami, zawsze możemy postraszyć Dzieci Nocy. Trzeba czasami dać Braterstwu lekcję, żeby wampiry знаły swoje miejsce i nie próbowały bawić się w politykę. Po tym, co przydarzyło się rejonowemu przywódcy, zwierzchnictwo Braterstwa będzie bardziej uступliwe.

- Ale, La Mar...

- Trzeba go znaleźć. Wybaczmy mu głupi wybryk na ulicy Kotlarzy. Nikt oprócz nas nie wie, kto zlikwidował naszych agentów. Proszę nadal starać się przeciągnąć La Mara na naszą stronę i znaleźć go, Ormonie. Przekonajcie, że Kolegium nadal potrzebuje jego usług. Wręczcie mu żelazny list. Obiecacie nieograniczoną swobodę działania, złote góry i pełną amnestię. I proszę zorganizować ciągły nadzór. Ani na sekundę proszę nie spuszczać go z pola widzenia. Powinien doprowadzić nas do celu i pomóc w znalezieniu elfijki i tej zagadkowej postaci, która odwiedziła Wiljena, równocześnie z nim. - Protektor poruszył pogrzebaczem płonące węgle w kominku. - Niewykluczone, że ten ktoś, to szukana przez nas elfijka Ennid ap-Glennsid. A po tym, gdy La Mar wykona nasze zadanie, porozmawiamy z nim innym tonem.

- Uczynię wszystko, mistrzu Protektorze.

- Mam nadzieję, Ormonie. Supermagister Solanius Brok także w ciebie wierzy. I książę Aszler. Zbyt wielu wpływowych i mądrych ludzi ufa ci. Nie rozczaruj nas, mój przyjacielu. Proszę nie zmuszać mnie, abym zwątpił w twój talent...

Odprawiwszy przygnębitego de Lassa, Awier La Bantjen zadzwonił na służącego i kazał podać kolację. Tym razem bez wina - służący przyniósł tylko źródlaną wodę w srebrnym dzbanie. Protektor jadł powoli, jakby zupełnie nie miał apetytu, kruszył chleb na talerz i od czasu do czasu rzucał kawałeczki smażonej ryby tajkińskiemu kotu, który mruczając i mrużąc oczy, zjadał poczęstunek.

Elfijka. Rzeź w domu Wiljena, na pewno z jej powodu. Tymczasem nie ma dowodów, ale przecucie...

Wytał ręce serwetką i znów zadzwonił na służącego.

- Zabierz - rozkazał, pokazując na niedojedzoną kolację.

Przekłęte elfy, pomyślał, obserwując, jak na tłących się w kominku polanach pojawiają się niebieskawe języczki płomienia. Sidowie wmieszali się w sprawy ludzi

nie przypadkowo. To mogło wydarzyć się tylko z jednego powodu - zaczęły działać jakieś dawne proroctwa. Żle, że nie udało się schwycić tej dziewczuchy.

Wiljen nie żyje. Jeden problem mniej. Notatki tego domorosłego detektywa, nie wyrządzą teraz żadnej szkody. Lepiej nie zabijać, po prostu tylko postraszyć, ale tak bezpieczniej. A z tą Sidką, trzeba koniecznie coś zrobić. Kogo jeszcze można zaangażować oprócz La Mara? De Lassowi można ufać, ale on nie nadaje się do takich spraw. Przeklęty, stary piernik Barnas, nie będzie chciał współpracować, nawet, jeśli go przyduszą. Staruszek jest rozżalony na cały świat, a zwłaszcza na Kolegium Magna. Trzeba będzie znów poprosić o pomoc Zacienioną Stronę.

Zebrał zwoje ze stołu, zamknął w szafie i nałożył na zamek zaklęcie Złączonych Rąk - teraz jego archiwum nie można będzie otworzyć nawet magicznym kluczem. Opuściwszy gabinet, udał się do mieszkania na drugim piętrze.

Składało się ono z siedmiu pokoi w zachodnim skrzydle preceptorium. Jeden był zawsze zamknięty i był w nim tylko sam Protektor. Właśnie tu wszedł.

Nie udało mu się stworzyć czegoś podobnego do majestatycznej Sali Pogawędki w Wieży Magów Erie-Dalor. Była to po prostu ogromna, pusta sala, z zacienioną mandalą w centrum. Kwarcowe słupy, niezbędne do stworzenia Punktu Mocy, zastępowały zwykłe lustra, rozstawione naprzeciw na obwodzie mandali. Zasób magii La Bantjena wystarczył tylko do tego, by otworzyć prosty portal i zrealizować zaklęcie Wezwania, potrzebne do skontaktowania się ze stworzeniem Cienia. Taka procedura wyczerpywała maga do granic wytrzymałości i była niebezpieczna dla życia, więc Protektor korzystał z niej krańcowo rzadko, tylko na wypadek szczególnej konieczności. Tym razem zaistniała taka konieczność. Przed tym, zanim wszedł do pustej sali, wypił ochronne eliksiry, chociaż doskonale wiedział, że nawet najsilniejszy eliksir ochroni go tylko częściowo.

Wszedł do środka mandali i śpiewnie wypowiedział pierwsze osiem Słów Szu. Przeszyła go fala lodowatych dreszczy, a potem wystąpiły trudności z oddychaniem. Otaczającą przestrzeń wypełnił niewidzialny byt i wyciągał z niego siły życiowe. Przed nim był jeszcze najbardziej nieprzyjemny moment - rozmowa z Posłem.

Posel, wampir kejcze, zmaterializował się przy wypowiedzeniu dziewiątego Słowa Szu. Protektor poczuł się trochę lepiej. Materializacja zakończyła się i teraz mógł już mówić. Trzeba się było śpieszyć - utrzymywał Posła tylko kosztem swojej energii życiowej.

- Mag może mówić – odezwała się Posel-Kejcze. Jej ogromne zielone oczy z pożądaniem patrzyły na La Bantjena. - Czego mag potrzebuje?

- Chciałem prosić Cię o pomoc - odpowiedział.

- Mów.

- Na podległym mi terenie zjawiała się Sidka. Próbowałem ją odnaleźć, ale nie byłem w stanie. Może Cię zechce zostać moimi oczyma i odnaleźć ją?

- Dzieci Starego Rodu - odwieczni wrogowie Cienia. Sidowie są chronieni potężną magią i oczy Cienia ich nie widzą.

- Co w takim razie mogę zrobić?

- Szukać. Znalazłeś drogę prowadzącą do Kolebki? Magowie Czaszy czekają na wiadomości o twoim sukcesie.

- Próbowałem dowiedzieć się tego od Braterstwa, ale strzegą tajemnicy. Niczego mi nie powiedzieli.

- I nie powiedzą. Szukają jej już od wielu wieków, ale nie mogą pokonać zaklęcia Carikata. Musisz znaleźć inny sposób.

- Dawne teksty mówią, że drogę do Kolebki może znaleźć tylko dziecko Ciała i Cienia, które może być stworzone. Pracuję nad tym i jestem bliski sukcesu. Wiem, jak otworzyć zakłęte wejście Wasztara-Achwi.

- Dobrze, magu. Przekażę twoje słowa Ojcu Cieni. Ale musisz się pośpieszyć. Zapomniani znaleźli Wojownika i on zbiera ich dary. Wystrzegaj się śmiertelnika o imieniu Leodan.

- Jest tu, w Ergalocie?

- Nie wiemy, gdzie jest. Służący Cienia szukają go. Jeśli spotkasz go pierwszy - zabij, skończ z nim.

- Które z proroctw zaczęło działać, Posłanko?

- Proroctwo Ingala. Od ciebie zależy bardzo wiele, magu. Powinieneś zrobić wszystko, co możliwe, by odnaleźć Kolebkę. Znajdź sposób przeniknięcia do niej. Wkrótce do Seltonii przybędzie emisariusz Czaszy i pomoże ci.

- Dobrze. Odejdź, Posłanko.

Kejce rozplynęła się w powietrzu. La Bantjen z wysiłkiem wymówił zakłęcie zamykające portal - siły go opuściły. Zrobił krok i stracił równowagę. Serce zamarło, żołądek skoczył do gardła i spożyta kolacja chlusnęła potokiem niepohamowanych wymiotów. Ściany pokoju obracały się dookoła niego, podłoga z niebywałą szybkością podążała naprzeciw. Dalej był mrok i pustka.

Świadomość wróciła po pewnym czasie. Ocknął się od przejmującego chłodu kamiennej posadzki. Leżał w centrum mandali, w kałuży własnych wymiocin. Z trudnością stanął na nogi, pokuśtykał do drzwi, jakoś dotarł do sypialni i runął na pościel.

Sen - to jedyne, co może teraz pomóc. Rano obudzi się zdrowy i silny. Nic złego z nim się nie stało, najwyżej we włosach ukaże się nowy siwy kosmyk. Życiowa energia, którą wypła kejce, wróci. Wtedy można będzie pomyśleć o tym, jak postępować dalej.

Znaleźć przekłętą Sidkę. Znaleźć. Znaleźć...

Ciężko westchnął i pogrążył się w niebycie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wysoko na niebie pływała kania. Nic nadzwyczajnego w tych stronach, ale La Mar z jakiegoś powodu zwrócił na nią uwagę. Ptak powoli zataczał kręgi na rozłożonych skrzydłach, nagle, ostro pikował w dół - i znów wzbijał się do góry, kontynuując powolne ślizganie się. Odniośł dziwne wrażenie, że kania cały czas im towarzyszy.

- Poluje – odezwała się Mądrała, odgadując jego myśli.

- Kanie, to padlinożercy - odpowiedział – Wygląda, jakby nas obserwowała.

- Stałeś się podejrzliwy, mój drogi. Nerwy ci puszczają.

- W czasie tej wędrówki, można stać się nerwowym! Chwała bogom, zostało już niewiele drogi.

Mijający dzień i noc mocno go wyczerpały. Po ucieczce z miasta praktycznie nie spał, chociaż Mądrała namawiała do odpoczynku. Piętnaście mil z Ergaloty do wsi o dziwnej nazwie Suchy Grób, szli pieszo. Ciężki worek z bronią i ekwipunkiem dźwigał na sobie, przeklinając chwile, kiedy zdecydował zabrać swój dobytek od Wambuły. W Suchym Grobie znajdował się wielki zajazd ze stajnią i La Mar wytargował od gospodarza spokojnego szarego konika, za osiemdziesiąt ardżenów. Dodatkowe dwadzieścia pięć, trzeba było dać za siodło, uprzęż i sakwy podróżne.

Nie odważyli się na nocleg we wsi, spędzili noc w lesie, nieopodal traktu. O świcie podzielił się z Mądralą swoim śniadaniem i zostawiwszy psa, by chronił konia i rzeczy, wyszedł na drogę, żeby zorientować się, dokąd jechać dalej. Poszcęściło mu się - spotkany na drodze, wędrowny kapłan Mannara powiedział, że Agrianum jest niedaleko, trzynaście-piętnaście mil na południe. Wtedy, po raz pierwszy zobaczył w niebie kanię i przez całą drogę od lasu do zajazdu „Dzwon i wrona”, ptak kręcił się nad magiem i jego psem.

Gościniec był wielki i zaniedbany. Wyskakujący skądś, zza szopy, wielki kosmaty pies, zamierzał zgodnie ze swoją naturą obszczekać nowo przybyłych, ale niepojętym psim węchem, określwszy kim jest Mądrala, natychmiast zrejterował podkuliwszy ogon i cicho popiskując. La Mar uwiązał konia, zarzucił na ramię worek i wszedł do zajazdu. Kiedy oczy, po jaskrawym słońcu przyzwyczyły się do półmroku, mógł rozejrzeć się po pomieszczeniu.

Refektarzowy zajazd był ogromną półpiwnicą - małe okienka znajdowały się na wysokości ziemi. Dach podierały grube słupy, pociemniałe od sadzy i tłuszczu, na poziomych belkach były zawieszane girlandy kielbas, udźców i pęczki jakichś ziół. W suficie widniały włazy, do których prowadziły zbite z nieheblowanych desek schody - widocznie, tam były miejsca do spania dla gości. Poczł zapach spalonego tłuszczu, piwa, i czegoś ostrego i nieprzyjemnego. Wymorusany chłopak pilnował ognia w wielkim, otwartym palenisku: Zobaczywszy nowego gościa, uklonił się i wybiegł przez drzwi ukryte w głębi sali. La Mar usiadł na ławce, rzucił z ramienia worek. Po chwili zjawił się silny, brodaty Seltończyk w szarej odzieży - widocznie, gospodarz.

- Panie? - powitał maga niskim ukłonem i przepisowym uśmiechem. - Witajcie, panie. W moim zajeździe zawsze jesteśmy radzi wędrowcom. Podać panu cokolwiek?

- Piwo, jeśli dobre.

- Dobre piwo? Moje piwo najlepsze w okolicy, Boz mi świadkiem.

- Jesteś wielbicielem Boza?

- Tu wszyscy go wielbią, panie. W naszej okolicy żyją owczarze, a ten, kto hoduje bydło, zawsze wielbi Boza. Coś do jedzenia?

- Najpierw piwo, potem zobaczymy.

Gospodarz wyszedł. La Mar jeszcze raz rozejrzał się po zajeździe. Sidka wyznaczyła mu dziwne miejsce na spotkanie. Wiedział o Sidach bardzo mało, ale jedno było mu znane na pewno - te istoty nie lubią ludzi i unikają miejsc, gdzie ci się zbierają. Zwłaszcza takich brudnych i ubogich.

Właściciel przyniósł wielki kufel piwa i La Mar pociągnął łyk. Napój okazał się wyborny i to go nie zdziwiło - w tej części Seltonii warzyli jedno z lepszych. Zadziwienie wywołało to, że trunek był nierozcieńczony.

- Heyva, Drehnnyd!

Drgnął i omal się nie zakrztusił. Nie zauważył, kiedy Ennid weszła do zajazdu i podeszła do niego. Ale ona stała obok - materialna i bardzo zadowolona z siebie.

- Zawsze tak niespodziewanie się pojawiaasz? - zapytał w języku Sidów, strzepując z kamizelki rozlane piwo.

- Zawsze - rzuciła z głowy kaptur, usiadła przy stole naprzeciw. - Nieźle mówisz w naszym języku.

- Kiedyś, na Uniwersytecie, zajmowałem się magiczną spuścizną Pierwszego Królestwa.

- Przyjemnie spotkać człowieka szanującego Pierwszy Naród. Myślę, że łatwo uda nam się znaleźć wspólny język.

- Czy to takie skomplikowane - zrozumieć się?
- Ludzie i Sidowie nie mogą porozumieć się od setek lat – powiedziała z goryczą. - Ludzie boją się Sidów, Sidowie pogardzają ludźmi. I nikomu nie przyjdzie do głowy uczynić pierwszy krok. Po prostu porozmawiać, spróbować zrozumieć się. Sien`a easen mel Freial Drehnnyd, a`nit?
- Sien`a forae easen, Nie Syddbienna. Poczęstowałbym cię piwem, ale wiem, że Sidowie nie uznają naszych napojów.
- Nie troszcz się o mnie. Jak przebiegła ucieczka z Ergaloty, Drehnnyd?
- Dlaczego nazywasz mnie Wiedzącym?
- Bo jesteś Wiedzącym. Magiem. A to znaczy, że mogę ci zaufać.
- Obiecałaś opowiedzieć mi o wszystkim.
- Właśnie to chcę zrobić.

La Mar zerknął na gospodarza, ale ten, wydawało się, nie zauważał ich i kręcił się przy ognisku.

- Słucham.
- Nie zwracaj uwagi na gospodarza, nie widzi mnie - uśmiechnęła się. - Tylko ty możesz mnie widzieć i rozmawiać ze mną.
- To podobne do obłądu. Ale już dawno przestałem być normalnym człowiekiem i niczemu się nie dziwię.
- Zacznę od tego, że bardzo potrzebuję twojej pomocy. I nie tylko ja. Powinam wiedzieć na pewno, czy zgodzisz się pomóc. Tylko wtedy będę z tobą szczerą.
- I po to wlokłem się z Ergaloty? Nie mam pojęcia, co zamierzasz, miła. Może, poprosisz, żebym zabił księcia Aszlera. Albo dostarczył ci krwi ludzkiego niemowlęcia?
- Źle mnie oceniasz, La Marze - błysnęła swymi czystymi, błękitnymi oczyma. - Ale wybaczam ci. Możemy przypaść sobie do gustu lub nie, ale mamy wspólnego wroga. I wroga tego nazywają Zacienioną Stroną.
- Ty także polujesz na wampiry?
- Nie. Wcześniej nigdy na nich nie polowałam, chociaż całą duszą nienawidzę Cienia i jego stworów. Ale szanuję tych, którzy walczą z Cieniem i chcę im pomóc. Tak się złożyło, że pomoc jest niezbędna mi samej. Właśnie, dlatego porzuciłam ziemie Sidów i przyszłam tu, bardzo dużo ryzykując. Moi bracia i siostry już dopełnili tego, czego powinni. Teraz jest moja kolej. Czy jesteś gotów mi pomóc? I sobie też?
- Powinienem dokładnie wiedzieć, czego ode mnie oczekujesz. Nie lubię zagadek.
- Wszystko sprowadza się do twojej towarzyszki. Wioli.
- Co ona ma z tym wspólnego? - zaniepokoił się.
- Zacznijmy od tego, że ona jest wampirem i jak rozumiem, bardzo chcesz uwolnić ją od przekleństwa. Czyż nie tak?
- Przypuścimy. Mów, co masz na myśli.
- Zastanów się dobrze. Chcę zlecić ci bardzo niebezpieczne zadanie.
- Nie rozumiem ciebie, Ennid.
- Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, dlaczego wampiry nie rzucają cienia?
- Nigdy. Nie interesowało to mnie.
- Ale, przecież studiowałeś zagadnienia wampiryzmu. Czytałeś traktaty o demonologii i magii. Czyż tam nie wyjaśniają właściwości tych istot?
- Niczego podobnego na ten temat tam nie spotykałem - przyznał się.
- Ludzie uważają, że są wszystkowiedzący, ale najważniejsze, zawsze im umyka – powiedziała z uśmiechem. – Pomyślisz: mało znaczący fakt, że nie rzucają

cienia! W rzeczywistości, to klucz do zrozumienia prawdziwej natury tych stworzeń. W jaki sposób stają się wampirami, La Marze?

- Urządzasz mi egzamin? Wampirem nie można się urodzić, ale można zostać. Ten, kto choć raz w życiu skosztował ludzkiej krwi, wcześniej czy później zostanie wampirem. I jeszcze - wampirem zostanie zarażony trucizną ichoromanii. Mówiąc prościej, ten nieszczęśnik, którego ukąsił taki stwór.

- Jak Wiola?

- Tak, jak Wiola.

- Słusznie, La Marze - potwierdziła Ennid. - Tylko Wiola nie jest zwykłym wampirem. Jest De Qwertynnlasse, czyli mieszkańcem. W jej żyłach płynie krew Sidów.

- Znaczy, Wiola...

- Deargdhu. Albo, jak mówią mieszkańcy Norringi, „whaobansiddhe”, zepsuty Sid. Elfjski wampir. Jest istotą, zdolną przekształcać się w dowolne zwierzę i kierować żywymi istotami, odporna na srebro, miedź, słoneczne światło i ogień, posiadająca nieprawdopodobną magiczną moc i najpotężniejsze hipnotyczne oddziaływanie na ofiarę. Myślałeś, dlaczego Etsel odnalazł cię w Norrindze zgodnie z poleceniem Kolegium i zawarł z tobą kontrakt na zniszczenie klanu rejonowego przywódcy? Kolegium poszło na ten układ z powodu Wioli. Obawiali się, że on wszedł w posiadanie jakiegoś, bardzo niebezpiecznego sekretu. Powinieneś być wytłuc wszystkich, którzy tam się znajdowali. Nie zrobiłeś tego. Jestem ci za to bardzo wdzięczna.

- Dziękujesz mi, że nie wykończyłem wampira? Dziwne.

- Cierpliwości. Postaram się wszystko wyjaśnić. Na szczęście, Kolegium Magna nadal nie wie kim jest Wiola. O prawdziwej naturze Wioli de Wai, wiedzieli tylko rejonowy przywódca i Koljer, handlarz żywym towarem, który sprzedał dziewczynę wampirów nie wiedząc, że jest ona mieszkańcem.

- Koljer? Przy trupie jednego z wampirów w Norrindze, znalazłem notatkę, gdzie wymieniono jakiegoś Koljera.

- To, ten sam. Są ludzie, dokładniej kanalie, dostarczający Braterstwu żywy towar. Niewolników, których krew piją ci dranie, póki nie doprowadzą nieszczęśników do śmierci albo nie przekształcą w podobnych sobie. Koljer był dostawcą dla tego klanu.

- Skąd o tym wiesz?

- Rozmawiałam z Koljerem i zmusiłam do wyjawienia wszystkiego. Otrzymałam za Wiolę dwieście ardżenów.

- Ale gdzie on ją znalazł?

- W Menajerii, w tamtejszym przytułku dla sierot, prowadzonym przez siostry Beris. Skusił ją i wywiózł do Norringi, a potem sprzedał tym pomiotom. Ale Koljer był nie tylko handlarzem niewolnikami, ale i donosicielem. Pracował dla Trybunału. Zupełnie przypadkowo, już po transakcji z rejonowym przywódcą, dowiedział się w Menajerii, że Wiola jest mieszkańcem. Jak i od kogo, to nieważne. Pojął, co narobił i natychmiast poszedł do swego szefa - Śledczego Trybunału Ormona de Lassa. Ale sukinsyn nie powiedział mu całej prawdy, po prostu doniósł, że norringski klan zakłóca porozumienie. De Lass obiecał zająć się sprawą, a potem przez księcia Aksela, wynajął ciebie. Kolegium Magna wysłuchało de Lassa i zdecydowało, że grupa rejonowego przywódcy wymknęła się spod kontroli i powinna zostać zniszczona. Całkowicie. Taka decyzja miała uzasadnienie - do Kolegium dotarły wiadomości o napadach wampirów na ludzi w Norrindze. Przywódca zginął nie

wiedząc, dlaczego ktoś życzył mu śmierci. Teraz, tylko my oboje wiemy, kim naprawdę jest Wiola de Wai.

- To ty powiedziałaś Koljerowi o Wioli.

- Dobrze, to ja powiedziałam. Napomknęłam, że Wiola w połowie jest Sidką. Powiedziałam o deargdu. Ten nikczemnik nie był na tyle tępy, by nie zrozumieć, co narobił. Zaproponowałam mu umowę - on zabiera od przywódcy Wiolę, płacę mu dwa tysiące ardżenów i rozstajemy się. Ale ten wystraszył się, doniósł do Trybunału. Resztę znasz. Dopiero potem zrozumiałam, na jakie ryzyko narażam życie Wioli. Myślałam, że Kolegium Magna, przez swoich agentów, przekona o konieczności oddania Wioli Koljerowi i wtedy zabiorę dziewczynę. Ale Trybunał zdecydował się na odstąpienie od umowy z Braterstwem i zniszczenie przywódcy, i jego klanu.

- Ta dziewczyna, Wiola – dlaczego się nią tak interesowałaś?

- W jej żyłach płynie krew mojego narodu. Według mnie, to święty obowiązek pomóc jej w nieszczęściu.

- Zabiłaś Koljera?

- Nie. Ale od dnia naszego spotkania, ta swolocz żyła w wiecznym strachu. Powiedziałam mu, że Wiola pewnego dnia wróci i wykończy go. Chciałam, by nikczemnik pomęczył się oczekiwaniem. A nie tak dawno dowiedziałam się, że umarł z przepicia.

- Dlatego przywódca zamierzał opowiedzieć mi o Wioli? Uważał, że teraz, kiedy w Braterstwie pojawił się wampir-Sid, on będzie w stanie dyktować Kolegium Magna nowe warunki?

- Nie sądzę. Prędeż, chciał otrzymać od ciebie moją głowę. Wiedział od Koljera, że Wiolą zainteresowała się kobieta-Sidka. To go zaniepokoiło - musiał wiedzieć, że wampiry i Sidowie są odwiecznymi wrogami. Dlatego zdecydował się uwolnić ode mnie. Twoimi rękoma, La Marze. Innego wyjaśnienia nie mam.

- Trudno w to uwierzyć. Dlaczego Bracia sami nie zabili Wioli?

- Czyżbyś nie wiedział? Wampiry nie zabijają wampirów. Cień nie może zabić cienia.

- Ormon de Lass wie o Wioli.

- Oczywiście. To, twoja wina. Oddałeś Etselowi osiem par kłów, a nie dziewięć. Chwilowo de Lass, jak myślę, będzie naciskać na ciebie, używając argumentu, jakim jest Wiola. Rola jej jest szczególna, nie pomyłę się, jeśli powiem, że de Lass, albo ktoś jeszcze, postarają się wykorzystać dziewczynę do jakichś swoich celów.

- Mogą ją zabić. Albo porwać.

- Zabić? Do tego potrzebny bojowy mag twojej rangi, a przy Kolegium Magna takich nie ma. A porwać... - Ennid ap-Glennsid zaśmiała się. – Chciałabym widzieć, co przytrafi się tym, którzy spróbują porwać deargdu.

- Ciekawa historia. Bardzo trudno w nią uwierzyć.

- Czy myślisz La Marze, że cię oszukuję? Popatrz na swoją przyjaciółkę. Łatwo przekształca się w psa i wraca do swojej postaci, i spokojnie znosi słoneczne światło. Myślisz, że to tylko zasługa twoich zaklęć? Gdybyś trochę więcej wiedział o deargdu, dawno zrozumiałbyś, na czym to polega. Ale wróćmy do początku rozmowy... Co z tobą?

- W porządku. Po prostu jestem trochę skołowany tym, co mi teraz opowiedziałaś.

- Przestań się niepokoić. Wiola jest po twojej stronie. I to dobrze.

- Przed chwilą powiedziałaś, że nienawidzisz wampirów.

- Wiola, to ofiara, a nie kat. Czy nie zrozumiałeś tego w tym momencie, kiedy zachowałeś ją przy życiu? Ona jest potrzebna tobie, a ty jej. Po prostu, przyjmij jej sympatię do ciebie, jej pomoc i o nic nie pytaj. Nie wracajmy do tego. Mówiliśmy o cieniu i o wampirach. O tym, dlaczego te istoty nie rzucają cienia.

- Czy to takie ważne?

- Są dwa światy, La Marze. Świat Ciała i świat Cienia. Świat życia i światła, i świat śmierci i ciemności. Czasami nazywają je stronami, Jasną i Zacienioną. Są ze sobą wzajemnie powiązane: Kiedy idziesz ulicą, twój cień podąża za tobą. Jest to nieszkodliwe i bezpieczne, ponieważ jest twoim wytworem. Jest częścią ciebie. W świecie Ciała, cień jest odbiciem materialnego ciała. W świecie Cienia - odwrotnie. Ciało, dla zacienionych demonów jest mniej więcej tym samym, co dla ciebie twój cień.

- Co to znaczy?

- Żeby to zrozumieć, trzeba wiedzieć, w jaki sposób pojawił się pierwszy wampir.

- Nie wiem tego i nie chcę wiedzieć. Nie ciekawi mnie to. Bardziej mnie niepokoi, co innego – czy dożyję dnia, kiedy skończę z ostatnim z nich.

- Właśnie o tym rozmawiamy. W starożytności, w legendarnych czasach Złotego Wieku, Ciało i Cień były rozdzielone i granica między nimi była nie do przezwyciężenia. Wszystko zmieniło się w epoce Szu, kiedy stworzenia Zacienionej Strony uzyskały możliwość inkarnowania się, otrzymywania ciała. To był czas panowania demonów w naszym świecie. Wytwory Cienia swobodnie istniały w realnym świecie, przyjmując każdy wygląd - człowieka, zwierzęcia, mieszanej istoty. Takie fizyczne powłoki powstawały za pomocą potężnej magii. Zastosowanie jej dawało zacienionym stworzeniom możliwość uzyskania złudnego ciała. To tak, mniej więcej, jak twój cień jest twoim złudnym odbiciem. Takie ciało dawało istotom Zacienionej Strony możliwość życia w naszym świecie, ale żądało stałego, energetycznego doładowania. Mówiąc prościej, było niestabilne. Uniwersalnym źródłem energii stała się odżywka Doskonałego Ciała - ludzka krew. Powołane do życia istoty, zaczęły używać tego źródła. Właśnie wtedy pojawiły się wampiry. Jednakże, to jeszcze nie wszystko. Oprócz krwi, takim istotom, potrzebna była magia, najwyższego rzędu. Dawała im stały związek z Zacienioną Stroną, podładowując energią. Coś w rodzaju pępownicy, wiążącej dziecko i matkę. Demonolodzy, przez pomyłkę, uważają, że sekret wiecznej młodości i wiecznego życia wampirów tkwi w ichorofagii, ale to nie tak. Dawnym wampirom krew była po prostu niezbędna. Obecny - nie. Dawna rasa wampirów, stworzona w epoce Szu, wymarła, przekazawszy zacienione przekleństwo ludziom. Teraz Bracia nie są tak uzależnieni od ichorofagii. Przecież, wszyscy oni, w minionym życiu byli ludźmi, istotami Jasnej Strony. Chociaż energia Zacienionej Strony jest nadal niezbędna dla ich funkcjonowania.

- Poczekaj, jeśli rozumiem poprawnie, wampiry istnieją tylko dlatego, że dotychczas zachowuje się niejaki związek naszego świata z Zacienioną Stroną i otrzymują stamtąd niezbędną dla nich siłę?

- Istotnie, La Marze. Przy tym Bracia otrzymują nie tylko siłę niezbędną do przetrwania - energia Zacienionej Strony upodabnia ich do siebie, zmieniając ich ciało i obdarzając niezwykłymi zdolnościami. Na przykład, pozwala im stawać się niewidocznymi, przeistaczać się w zwierzęta. Dlatego nie rzucają cienia i należą jak by do dwóch światów równocześnie. A, żeby już być zupełnie dokładnym, zauważymy, że cienia nie rzuca właśnie głodny wampir. Ten, który dawno nie pił

krwi, odżywki Doskonałego Ciała. Syty wampir ma cień. To, dlatego tak ich trudno wykryć, jeśli nie posiada się daru skanującej magii.

- Rozumiem. Mówiłaś coś o energii Zacienionej Strony.

- Jest kilka miejsc posiadających szczególną energetykę. W epoce Szu, znajdowały się tam ogromne magiczne laboratoria, w których magowie szukali sposobu obdzielenia zacienionego stworzenia prawdziwym ciałem, przeprowadzały obrzydliwe doświadczenia, próbując otrzymać żywe potomstwo od demonów Cienia i mieszkańców naszego świata - zwierząt, ludzi, Sidów, Koboldów, Alwów i przedstawicieli innych ras. Właśnie w ten sposób, w epoce Szu wyprowadzono rasę Orków. I wampirów. Te miejsca nazywały się Wasztara-Achwi, Kolebki Cienia. Kiedy Bogowie zniszczyli królestwo Szu, część tych miejsc także została zburzona. Ale trzy istnieją do tej pory.

- Co z tego?

- Jedno z nich znajduje się w Seltonii. Powinieneś trafić tam i zniszczyć źródło magicznej energii, rodzące wampiry. Jeśli źródło zostanie zniszczone, Braterstwo bardzo szybko przestanie istnieć. Nawet ludzka krew ich nie uratuje.

- Ciekawe. Tylko gdzie mam szukać tego miejsca?

- W Monsolidarii.

- Pytanie drugie: Jak tam trafić?

- Teraz nie będziesz mógł przedostać się do Kolebki. Drogę do źródła wskaże ci człowiek, o którym mówiłam. On też szuka tego miejsca, od dawna.

- Kto to?

- Awier La Bantjen. Protektor Najświętszego Trybunału. Tak naprawdę, jest tajnym agentem magów Zacienionej Czaszy, dawnego zgromadzenia czarnoksiężników, którym polecono odnaleźć Kolebkę w Seltonii. Śledząc go, znajdziesz Kolebkę.

- Zacienionej Czaszy? Hm! - z zainteresowaniem popatrzył na rozmówczynię.

- A bardziej dokładnie, można?

- Początkowo, La Bantjen szukał tego miejsca przez swoich informatorów w Braterstwie - także Galerię War-Smarten, z którą na pewno już się spotykałeś. Liczył, że Braterstwo zdradzi mu, gdzie znajduje się Generator Mocy. Ale przeliczył się - wampiry sami nic o tym nie wiedzieli. Albo robili wrażenie, że nie wiedzieli. Wtedy uciekł się do innego sposobu. Zaczął tworzyć Nienarodzonego - homunculusa, żyjącego wyłącznie na rachunek Mocy. Może on zaprowadzić swojego twórcę do źródła Mocy, która go odżywia. Żeby stworzyć Nienarodzonego, potrzebne mu były części ciała uśmiercanych ludzi.

- Morderstwa, o których mówił Barnas! Skąd ty o tym wiesz?

- Wiljen to wykrył. Prowadził pamiętnik, w którym zapisywał wszystko, czego dowiedział się o morderstwach. Zapłaciłam mu i on obiecał zrobić kopię i dla mnie.

- Dlaczego nie przekazał tego pamiętnika mistrzowi Barnasowi?

- Zamierzał ponownie zweryfikować swoje wnioski. Prawda, do której się dokopał, okazała się zbyt straszna. Oskarżenie Protektora Trybunału, drugą osobę w Kolegium Magna o barbarzyńskie morderstwa kobiet i dzieci w Ergałocie, byłoby nierozważnym krokiem. Po pierwszej rozmowie ze mną zrozumiał, że tak naprawdę znalazł mordercę. Wahał się i przypłacił to życiem. Niestety, nie zdążyłam go uratować. Agenci Trybunału zabili go i urządzili w jego domu zasadzkę. Próbowali zabić i mnie, ale mi pomogłeś. Pamiętnik zaginął, a Wiljen nie zdążył zrobić kopii. Teraz będzie bardzo trudno udowodnić, że za morderstwami kobiet i dzieci stoi Awier La Bantjen.

- A stylus Carikata? I Zacieniona Czasza?

- Stylus - to magiczny klucz, otwierający wejście do Kolebki. Myślę, że domyślasz się, kto go może mieć.

- La Bantjen?

- Oczywiście.

- A Czasza?

- To dawny artefakt, prawdopodobnie jeden z generatorów Mocy Cienia.

- Skąd o tym wszystkim wiesz?

- Powiem tak - nie jest mi obojętny los tego świata, mój przyjacielu. Teraz już wiesz wszystko.

- Pozwól powiedzieć, Ennid... - chwilę milczał, westchnął. – Nie jestem wielkim magiem ani wielkim wojownikiem – tylko człowiekiem nie pierwszej młodości. Czy uważasz, że podołam temu, co mi powierzasz?

- Nie będziesz sam. Będziesz miał sojuszników.

- Ciebie?

- Niestety, La Marze, ja nie będę w stanie walczyć razem z tobą. Pewnego dnia zrozumiesz, dlaczego. Ale będę pomagać tobie i twoim przyjaciółom.

- O jakich przyjaciółach mówisz?

- Jeśli zgadzasz się wypełnić moje zadanie, jeszcze dziś udaj się do Bursztynowego Portu. Znasz to miejsce?

- Znam. Co dalej?

- Stoї statek, który przybył z południa. Znajdź kobietę, która przypłynęła na nim do Seltonii. Nazywa się Lejda Kasta. Opowiedz jej to, czego dowiedziałeś się ode mnie. A jeśli nie zechce cię wysłuchać, wymień jej imiona - Dincze, Elea, Ajlor. Zrozumie.

- Przysięgam na Oriusa, bardzo to wszystko zawile! - dopił swoje piwo jednym haustem. - Uważasz, że kobieta pomoże mi w takiej sprawie?

- Kasta, to niezwykła kobieta - z uśmiechem powiedziała Ennid. - Spotkasz się z nią, to wszystko zrozumiesz. Ma swoje porachunki z Zacienioną Stroną. Jedną Kolebkę Cienia już zniszczyła.

- Też poluje na Braci?

- Nie, dlatego mogą jej się przydać twoje doświadczenie i twoje nawyki. Razem stworzycie świetną parę.

- Ennid, czy wiesz coś o Elikirze Czystej Krwi?

- Muszę cię rozczarować, La Marze. Elikir nie pomoże twojej przyjaciółce. Przekleństwo deargdu jest nieodwracalne. Jedyne, co może uratować Wiołę – to zniszczenie Kolebki. Tylko wtedy znów stanie się częścią naszego świata, uwolni się od przekleństwa Cienia. Jednak wcześniej to nie nastąpi, La Marze.

- Mam ostatnie pytanie o legowisko wampirów blisko Kornalu. Powiedzieli mi, że zniszczyłaś tam wampirów, ale sama zostałaś ukąszona.

- Domyślam się, dlaczego o to pytasz. Kogo jeszcze mógł wynająć Trybunał, żeby uwolnić się ode mnie? Tylko takiego człowieka, jak ty. Zgadłam?

- Nie wynajął mnie Trybunał.

- To znaczy, Bracia? To mnie nie dziwi. Hierarchia Kolegium Magna od dawna aktywnie kontaktuje się z Braterstwem. Polityka, alchemiczne sekrety, pieniądze - dla swoich samolubnych zainteresowań, gotowi podstawić wampirom własne szyje.

- Straszysz mnie, dziewczyno.

- Masz szczególną reputację, La Marze. - Twoja tajna wojna nie jest sekretem dla tych, którzy umieją dostrzegać to, co ukryte. O twoich talentach wiedzą i przyjaciele i wrogowie. Rzeczywiście, zniszczyłam klan wampirów na porzuconej wsi blisko Agrianum. Tak się złożyło. Ale nie zostałam ukąszona. Jestem zbyt dobrym

wojownikiem. Jeśli nie wierzysz, możesz mnie obejrzeć. Albo przeskanować moją aurę.

- Nawet tak? - zaczerwienił się, odkaszał w kułak. - Wierzę. Chociaż jesteś moją konkurentką.

- Wcale nie. Zniszczyłam tych drani bez zlecenia i nie dla pieniędzy.

- Wobec tego, dlaczego?

- Zemsta. - Oczy Ennid pociemniały. - Zwykła zemsta.

- Masz swoje porachunki z wampirami?

- Nie tylko z nimi. Ale nie mówmy o tym. W Kornalu pomogłam jednemu chłopcu i o tym dowiedzieli się agenci Trybunału. Szukają mnie. Kolegium Magna i Bracia liczą, że zapolujesz na mnie. Chcą się uwolnić ode mnie twoimi rękoma - uśmiechnęła się. - Możesz mnie zabić, La Marze. Ale Wioli to nie uratuje.

- Kim ty jesteś?

- Przyjacielem. Reszta nieważna.

- Wierzę ci.

- Miło mi to słyszeć. Wróćmy do sprawy. Powinieneś zdążyć do Bursztynowego Portu, zanim Kasta porzuci Seltonię. Jeśli spóźnisz się, stracisz czas i wszystko przepadnie. - Podniosła się z ławy, włożyła kaptur. - Zrób, o co cię proszę. Wtedy każdy otrzyma to, co powinien.

- Mówisz bardzo mgliście - wstał, zamierzając odprowadzić Sidkę. - Spotkamy się jeszcze, Ennid?

- Być może. Znajdę cię sama. Adverehen, Drehnnyd!

- Do zobaczenia - odpowiedział.

Dopiero po chwili do niego dotarło, że stoi sam pośrodku zajazdu. Ennid zniknęła równie niewytłumaczalnie, jak się zjawiła. Zresztą, obok stał gospodarz - cierpliwie czekając, czy gość zamówi coś jeszcze albo przynajmniej rozliczy się za wypite piwo.

- Weź - wsunął w rękę karczmarza miedzianą monetę i wybiegł na ulicę. Plac przed zajazdem był pusty. Mądrała spotkała go radosnym skakaniem i popiskiwaniami. W tym momencie, przypomniał sobie o kani. Niebo było czyste - ptak odleciał.

- Magia Sidów - burknął i skierował się do swojego konia.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ej, Cięta, chodź tu!

Kobieta drgnęła. Dobrze знаła człowieka, który wyszedł z zaułka razem z dwoma strażnikami, chociaż nie była zadowolona z tej znajomości. W Ergałocie każda dziwka wiedziała, że człowiek o przezwisku Szczurek jest sadystą i potworem, że znęcanie się nad kobietami sprawia mu przyjemność. Kiedyś, był sutenerem, dostarczał klientom małoletnie prostytutki - w ulicznym żargonie „szczurki” - za co otrzymał swoje przezwisko. Jego prawdziwego imienia już nikt nie pamiętał. Potem aresztowała go policja, razem z bratem, także sutenerem i sadystą. Wśród mieszkańców slumsów Ergałoty chodziły słuchy, że bracia na śmierć pobili jakąś trzynastoletnią dziewczynę, która schowała przed nimi prezent klienta, mosiężną broszkę z fałszywym, czerwonym kamieniem szlachetnym. Po trzech latach niespodziewanie zjawił się w Ergałocie, ale już, jako sierżant królewskiej policji. Domysłów, dlaczego i jak były sutener został policjantem, było dużo, ale prawdy nie znał nikt. Juliana-Cięta słyszała od przyjaciółek, że brat Szczurka umarł w więzieniu na dur brzuszny, jeszcze podczas dochodzenia, jego zaś samego skazali za

morderstwo prostytutki na dwanaście lat katorgi i, że otrzymał ulaskawienie, godząc się wstąpić na służbę do policji. Bardzo szybko udowodnił swoją lojalność wobec władz - zaczął okrutnie prześladować uliczne kobiety w Dolnym Mieście i w Mieście Kanałów, gdzie znał wszystkie spelunki i podejrzane miejsca. Jednakże, po pewnym czasie, ktoś zauważył, że nie jest on zbyt surowy wobec tych dziewczyn, które w swoim czasie „wprowadził do tego świata”. Cięta była jedną z nich. Po raz pierwszy spotkała go, kiedy miała dwanaście lat, tego dnia, gdy rodzony ojciec wygonił ją na ulicę, by zarabiała pieniądze na trunki. Od tamtej pory minęło już pięć lat, ale Cięta dobrze pamiętała, jak Szczurek obchodził się z dziewczynami, które w czymś mu podpadły. Teraz znów zjawiał się w ich kwartale. Do tego, jest sierżantem policji. Dlatego lepiej nie irytować tego nikczemnika. Jeśli woła, trzeba podejść.

- Tak? - zapytała, zbliżywszy się do sierżanta.

- Tak, panie sierżancie - powiedział były sutener. - Kiedy nauczę was, suki niemyte, uprzejmości? Powtórz!

- Tak, panie sierżancie.

- Już lepiej - podszedł do Ciętej bliżej, zajrzał za dekolt, dotknął bezwartościowy kolczyk w prawym uchu dziewczyny. - Dawno nie widzieliśmy się, Juliana. Jak się miewasz?

- Dobrze, panie sierżancie.

- Prawidłowo, szluchy są zadowolone i zadbane. Widzę, cycki ci urosły. Byłaś przecież jak deska, jest, co pościskać. Pamiętasz, jak ci otworki rozciągałem? - zaśmiał się. - Na pewno pamiętasz! Jak nauczyłem cię pracować też języczkiem. Jestem czymś w rodzaju twojego nauczyciela, Juliana. A nauczycielowi trzeba dziękować, modlić się za niego i prezenty mu dawać. Dobry zarobek dzisiaj?

- Nie, panie sierżancie - opuściła wzrok. - Żadnego zarobku.

- Aż tak? Klienci unikają cię, czy co? - zbliżył się do dziewczyny, obwąchał. - Wydaje mi się, że nie śmierdzisz gównem, potem i wczorajszą spermą nie śmierdzisz. Czyściutka. Może, jesteś chora?

- Zdrowa, panie sierżancie - jeszcze ciszej odpowiedziała. Ze strachu, zaczęły drżeć jej nogi.

- Wobec tego, dlaczego nie ma zarobku? Źle pracujesz, nie możesz dogodzić poważanemu klientowi? - zapuścił rękę do aksamitnej sakwy na pasie dziewczyny. Nie było w niej pieniędzy, tylko chustka do nosa, słoiczek z maścią i trochę zawiniętych w gałganek tamponów z szarpi. Zaklął, z obrzydzeniem wytarł rękę w rękawiczce o odzież Ciętej.

- W tym rzecz - uśmiechnąwszy się ze skrucą, pogładziła palcami brzydką bliznę, przecinającą lewy policzek. Pół roku temu, pijany klient, bez powodu, ciął nawaję po twarzy, cudem nie przecinając arterii i nerwu twarzowego, i śliczniutka, czarnooka Juliana Pante, przekształciła się w Julianę-Ciętą. - Z tego powodu, nikt mnie nie chce, panie sierżancie.

- Wiem, że morda w twojej profesji nie jest najważniejsza. Po prostu się lenisz, suko. - Chwycił dziewczynę za podbródek, zadarł twarz tak, żeby światło ulicznej latarni oświetlało okaleczony policzek. - Z całą pewnością się lenisz. Blizna - drobnostka. Mogę ci drugie liczko upiększyć. Czy dziurkę roboczą też poszerzyć ci na pół brzucha, co?

- Panie, wybacz...

- Dwa ardżeny, suko. Od ciebie dwa ardżeny tygodniowo. Pracujesz na mojej ulicy, więc płąć. Nie będziesz płacić, zmuszę. Wiesz, co z tobą zrobię? Sam wykorzystam cię na wszelkie sposoby i zmuszę do obsłużenia mojego konia. A potem nos odetnę. Chcesz?

- Ja... Zrozumiałam, panie sierżancie.
- Zrozumiałaś? No to ładnie. Zuch jesteś. Dwa ardżeny dziś do północy. Wróć. Uciekniesz - spod ziemi dostanę.

- Nie ucieknę - czuła, jak łzy same napływają do oczu.
- Idź, pracuj, brudna szlucho! - popchnął dziewczynę i obróciwszy się na pięcie, powoli skierował się w dół ulicy. Strażnicy, uśmiechając się, ruszyli za nim.

Z trudem dokuśtykała do ściany jednego z domów, oparła się, żeby nie upaść. Trzęsły się jej ręce, chciała krzyczeć ze strachu i poniżenia. Albo upić się tak, by zapomnieć o tej nikczemnej mordzie, oślinionych ustach z krzywymi, żółtymi zębami, rozciągniętych w obrzydliwym, krwiożerczym uśmiechu. Ale pieniędzy nie miała nawet na szklankę taniego bimbrow. Niedługo noc, a na tej ulicy, do północy, nie ma szans na zarobek dwóch ardżenów. Iść na plac, bezsensu - tam pracują dziewczynki Mokrej Bess, które wcale nie potrzebują konkurentki, nawet takiej, o pokrojonej twarzy. A Szczurek wróci. Zawsze dotrzymuje słowa...

- Płaczesz?

Odwróciła się. Człowiek, który do niej się odezwał, był kapłanem. Długi, szczególny krój ciemnego płaszcza z kapturem, doskonale skrywał postać i twarz. Podszedł tak cicho, że nie usłyszała kroków

- A tobie co do tego? - rzuciła, wycierając łzy. - Idź swoją drogą, wielebny.

- Pomyślałem, że możemy porozmawiać.

- Co mi da rozmowa z tobą? Nie do spowiedzi mi teraz.

- A jeśli nie oczekuję od ciebie spowiedzi?

- Czyżby? - z zainteresowaniem popatrzyła na dziwnego kapłana. - Co, miłosierdzie odezwało się, wielebny? Czy baby się zachciało?

- Wszyscy jesteśmy grzeszni. A jesteś bardzo piękna.

- Ja piękna? - prychnęła. - Widocznie dawno jesteś w celibacie. Jeśli tak, pięć ardżenów i możemy pójść ustronne miejsce.

- Prowadź.

Myślała, że przesłyszała się. Ale po chwili zrozumiała, że dzisiaj vogowie zlitowali się nad nią. Przeklęty gnojek, Szczurek, otrzyma swoje dwa ardżeny - żeby mu je na oczy położyli, pasożytwi! Wczepiła się tak w rękę kapłana, że ten się roześmiał.

- Nie bój się, malutka, nie ucieknę.

Kapłan, niech mnie licho, pomyślała, prowadząc dziwnego klienta do ciemnego ślepego zaułka między domami, gdzie zwykle obsługiwała klientów. Nazywa ją malutką. I co najbardziej śmieszne - jutro na pewno będzie w świątyni o grzechach ciała głośno wykrzykiwać, piętnować rozpustę, uczyć swoje owieczki, że bogowie potępiają nierząd i czeka za to kara w przyszłym, wiecznym życiu. Wszyscy oni tacy, świętoszkowaci. Pouczają, a jak baba przed nimi nogi rozłoży, gotowi niemal do wnętrza wleźć... najjaśniejsza Beris, co za myśli! Cieszyć się trzeba z takiego trafu, a nie bluźnić.

- No, przyszliśmy, miły - powiedziała, kiedy dotarli do ślepego zaułka. - Przedtem pieniądze.

- Dobrze - szepnął i dźwięk jego głosu, z jakiegoś powodu, przestraszył dziewczynę. - Wyjdź na światło, żebym mógł widzieć twoje oczy.

- Takiś ty... - powiedziała zalotnie, robiąc krok w stronę, żeby pełny księżyc świecił bezpośrednio w twarz. - No, pospiesz się, rozchyl płaszcz. Chcę zobaczyć twojego przyjaciela.

- Oto mój przyjaciel - błyskawicznie wyrzucił spod poły płaszcza prawą rękę. Ostra klinga gwizdnęła w powietrzu, rozcięła gardło dziewczyny, zgrzytnęła po

kręgach szyjnych. Rzęząc i zalewając purpurową krwią, Juliana Pante osunęła się na ziemię, konwulsyjnie drapiąc paznokciami omszałe cegły. Kapłan stał i obserwował, jak umiera. Kiedy szeroko otwarte, pełne przerażenia, oczy Ciętej znieruchomiały i zaszyły mgłą, a krew przestała chlustać z rozciętych arterii, podszedł do trupa i pochylił się, żeby doprowadzić do końca sprawę, dla której przyszedł tej nocy do slumsów. Pracował spokojnie, bez pośpiechu, z opanowaniem lekarza, troszczącego się tylko o rezultaty operacji. Ciemność i pełny księżyc, były jego mimowolnymi i milczącymi asystentami.

- Proszę spojrzeć, panie sierżancie.
- Fu! - Szczurek z trudnością utrzymał w żołądku przed chwilą zjedzone śniadanie, odwrócił się, popatrzył na stojącego obok nadzorcy królewskiego koronera, bladego i wątłego, młodego człowieka. - Kiedy to się zdarzyło?
- Ciało już ostygło, sierżancie. Myślę, że zabito ją kilka godzin temu.
- Są świadkowie?
- Ani jednego.
- Niedobrze - sierżant starał się nie patrzeć w stronę zalanego krwią płotu. - No i trudno, napluć na to. W końcu, to tylko tanią dziwkę zarżnięto. Niewielka strata.
- Nie zarżnięto tak po prostu, sierżancie - w oczach koronera mignęła nienawiść. - Wycięty język. Całkowicie. Wydobyto wątrobę i jajniki. Dziwne, jak ktoś potrafił wycinać je tak dokładnie w ciemności. Przysięgam na Nekrian, bez magii tu się nie obeszło.
- No i co z tego? - znów chwyciły go nudności.
- Coś podobnego, widzieliśmy na starym cmentarzu trzy tygodnie temu. I przy pozostałych morderstwach, o których wiecie. To już dziewiąty trup, sierżancie.
- Niech to wszystko pochłonie Maranis! - ze złością splunął pod nogi. - W moim rewirze! Co teraz będzie? Co powiedzieć lejtnantowi?
- To nie moja sprawa - nienawiść w oczach koronera stała się jeszcze wyraźniejsza. - Trzeba dostarczyć ciało do lecznicy. Chociaż tu i bez sekcji wszystko wiadome. Szczerze mówiąc, sekcję już wykonano, niech będzie przeklęty ten nikczemnik!
- Co mamy robić, panie sierżancie? - spytał starszy strażnik.
- Szukać furmanki, psia mać! - odwrócił się do tłumu gapiów, bojaźliwie tulących się jeden do drugiego u wylotu ślepego zaułka. - Czego gały wytrzeszczyliście, barany? Marsz do domu!

Przerażeni ludzie milczeli. Chciał jeszcze raz krzyknąć na nich, ale powstrzymał się. Duszę byłego sutenera, z jakiegoś powodu, ośladnęło przynęcenie i przykrość. Z głębi pamięci, nagle wypłynął obraz sprzed pięciu lat: stara chata przy kanale, noc, migocące światło latarni pod sufitem, przestraszona twarzyczka dwunastoletniej dziewczynki Juliany Pante, chowającej się w kąt. Widzi jej oczy - w nich nie ma nic, oprócz strachu i tęsknoty. Pijany brat, oparłszy się o stół rękoma, krzyczy ze śmiechem: „Wejdz głębiej, braciszku! Niech przyzwyczaja się!”

Pod ubraniem poczuł lodowaty chłód. Wzdrygnął się. Był sutener, a obecnie sierżant królewskiej policji Aless de Karm, nagle zrozumiał, że teraz, to spojrzenie dwunastoletniej dziewczynki, będzie prześladować go bardzo długo. Zawsze i wszędzie.

Do samej śmierci.

Gość przybył jeszcze przed północą. Awier La Bantjen po raz pierwszy spotykał się ze swoim gospodarzem osobiście. Dotychczas mistrz Warchisz, jeden ze starszych magów Zacienionej Czaszy, załatwiał wszystkie sprawy ze swoim rezydentem w Seltonii wyłącznie przez swoich agentów. Teraz, szerański mag przybył do Ergałoty osobiście, udając kupca-hurtownika z gnomskich ziem, handlującego alchemicznymi preparatami i składnikami. Smagły, czarnobrody i otyły, przy tym tak małego wzrostu, że można go było w zupełności uznać za kobolda.

Magowie wymienili ceremonialne ukłony. La Bantjen zaproponował gościowi wino - Szeraniec zrezygnował i zaproponował natychmiastowe przejście do sprawy.

- Mam wszystko przygotowane - powiedział La Bantjen. - Mój Nienarodzony jest gotowy. Czekałem tylko na was, by dokończyć obrzęd.

- Postąpiliście słusznie. Przywiozłem wszystko, co niezbędne. Na początek proszę wziąć to - podał Protektorowi kryształowy flakon z zielonkawym płynem. - Proszę wypić teraz.

- Ekstrakt salwarii? - otworzył korek, wciągnął nozdrzami aromat zióła. - Próbowałem przygotować go sam, ale w Seltonii dwuletni korzeń salwarii, to ogromna rzadkość. Musiałem ponieść spore wydatki - wiecie, mistrzu Warchiszu, o czym mówię. Elikiru wyszło tak mało, że sam nawet nie mogłem go spróbować. Jednemu z moich podwładnych, nieuczciwi handlarze sprzedali zamiast korzenia salwarii korzonek falassii i ten cymbał przyniósł mi go. Musielibyście widzieć jego rozpromienioną fizjonomię!

- Przywiozłem korzenie salwarii. Dużo korzeni. Wystarczy na dziesiątki dawek Elikiru Czystej Krwi. Formułę znacie. Teraz wasz chory na pewno wyzdrowieje i zacznie po prostu was ubóstwiać, cha-cha-cha!

- Jesteście pewni jego skuteczności?

- Absolutnie. Ile razy wasz pacjent przyjmował eliksir?

- Salwarii, którą udało się kupić w Ergałocie, wystarczyło na cztery porcje.

- Do pełnego cyklu leczenia, trzeba nie mniej, niż sześć dawek. I wam ten ekstrakt może bardzo się przydać. Jeśli obcuje się z mieszkańcami Zacienionej Strony i tymi, którzy przyjęli moc Cienia, dodatkowa ostrożność nie zaszkodzi.

Podziękował skinieniem głowy i dwoma łykami osuszył flakon. Gorąca, aromatyczna fala rozpałała język i żołądek, strumykami rozbiegła się po żyłach. Nie wiedział, do czego porównać jego smak, ale wydał mu się zachwycający.

- Teraz chodźmy - powiedział Warchisz. - Mam mało czasu.

- Dobrze, mistrzu.

Zdjął z zamka do piwnicy zakłęcie Złączonych Rąk i otworzył kluczem, który zawsze nosił przy sobie. Za drzwiami zaczynały się schody w dół. Szedł przodem, oświetlając drogę magicznym światłem, Szeraniec podążał jego śladem, sapiąc i postępując. Schody doprowadziły magów do następnych drzwi, masywnych i okutych żelazem. Otworzył je zaklęciem. Przekraczając próg, usunął się, przepuszczając Warchisza przodem.

Stare, uniwersyteckie laboratorium, staraniami La Bantjena, zostało wyposażone w sprzęt, umożliwiający przeprowadzanie nawet najbardziej złożonych, magicznych eksperymentów. Warchisz z aprobatą obejrzał pracownię i podszedł do marmurowego stołu, na którym leżało nagie, ludzkie ciało. W migotliwym świetle wielkich świec, wydawało się bielsze od marmurowego blatu.

- Dziewczyna? - zapytał zdziwiony.

- Mam romantyczną duszę, mistrzu - uśmiechnął się. – Przy tym, mężczyzn byłoby trudniej zabijać.

- Łączenie tkanek całkowicie zakończone?

- Przedwczoraj zdobyłem język, wątrobę i jajniki. Dzięki waszym preparatom, połączyły się w ciągu doby. Wszystko przygotowałem wcześniej.

- Jesteś utalentowanym magiem, mój przyjacielu - powiedział Warchisz, patrząc w twarz leżącego na stole stworzenia. - Doskonała robota, po prostu dzieło sztuki. Ani jednej blizny, ani jednej wady. Urodzeni z kobiety, czasami wyglądają o wiele gorzej, cha-cha-cha! A najważniejsze, zdążyłeś na czas. Za siedem dni nastąpi Noc Nocy, jedyny dzień w roku, kiedy emanacja Kulebki uaktywni się i wasz twór obowiązkowo ją wyczuje.

- Nie wątpię w to, mistrzu, z niecierpliwością czekam na nadejście Samachejny.

- Samachejny?

- Tak u nas w Seltonii nazywają Noc Nocy.

- Wobec tego, bierzmy się do dzieła.

La Bantjen, szybko i wprawnie podłączył odżywcze rurki od kontenera z krwią, do kateterów w żyłach stworzenia. Warchisz tymczasem, wydobyl z pazuchy nieduży futerał z polerowanego metalu, otworzył wieczko i z największą ostrożnością wyciągnął małą fiolkę z czymś ciemnym wewnątrz.

- Proszę otworzyć kontener.

W fiolce było zaledwie parę kropeł ciemnego płynu, który natychmiast zmieszał się z krwią. La Bantjen, na znak Szeranica, natychmiast otworzył krany.

- Potrzeba trochę czasu, by odżywka Czaszy całkowicie przeniknęła w tkanki homunkulusa - powiedział Szeraniec, patrząc na ciało. - Niedługo ślicznotka ożyje.

- Jakże wieści przywiozłeś, mistrzu Warchiszu?

- Dobre i złe. Darnat rozpoczął wojnę z sabeczykami. Zdobyliśmy wreszcie Orsianę. Resztki Orków schroniła się w Logarii, ich król poległ w bitwie. Teraz królem został jego syn, ale jest bardzo młody. Nie posiada charyzmy i magicznego talentu ojca.

- A złe?

- Patrz, ożywa!

Stworzenie na stole otworzyło oczy. La Bantjen omal nie zemdlął z radości. Udało się! Nienarodzona, fantastyczna postać z legend o potężnej magii dawnych, stała się rzeczywistością.

- Morgwen! - zawołał. - Morgwen!

Obowiązkową częścią obrzędu jest zasada, by twór usłyszał swoje imię z ust stwórcy. Warchisz stał obok Protektora i z aprobatą kiwał głową. Spojrzenie Nienarodzonej stało się świadome, odwróciła głowę, popatrzyła na La Bantjena. Od tego spojrzenia, po skórze Protektora przebiegły ciarki. Nie było w nim nic ludzkiego - oczyma Morgwen na maga patrzyła śmierć.

- Morgwen, słyszysz mnie? - zapytał, doskonale rozumiejąc, że stworzenie go słyszy.

- Czego chcesz? - Odpowiedziała Nienarodzona. Głos jej brzmiał dziwnie, jakby dwoje ludzi mówiło jednocześnie.

- Chcę, abyś mi służyła.

- Proszę włożyć to na jej palec - szepnął Warchisz, podając Protektorowi ciężki, złoty pierścień, z szesnastoramienną gwiazdą na pieczęcie. – Pospiesz się, bo może wyjść spod kontroli.

- Wyciągnij rękę, Morgwen - rozkazał, podchodząc do istoty.

Dotknięcie ręki stworzenia, otrząsnęło Protektora - była zimna i martwa, ale mimo wszystko, włożył pierścień na palec serdeczny Morgwen.

- Jesteś wspaniała - powiedział, cofając się o krok i dodał ostatnią rytualną frazę: - Odtąd należysz do mnie, a ja należę do ciebie, Morgwen.

Morgwen popatrzyła na swoją rękę, głęboko westchnęła. Podniosła się ze swego marmurowego łóża, przenosząc spojrzenie z Protektora na Warchisza. La Bantjen uświadomił sobie, że jego twór nie rzuca cienia.

- Mag chce, bym mu pomagała i broniła go - powiedziała. - Mag dopełnił niezbędnego rytuału. Jestem gotowa mu służyć. Niech poda swoje imię.

La Bantjen poczuł ogromną ulgę. Niebezpieczeństwo minęło, oswojenie demona powiodło się. Pozostała ostatnia część obrzędu.

- Jestem Awier - powiedział, dotknąwszy palcem piersi demonki. - Awier La Bantjen. Zapamiętaj, kto jest twoim panem.

- Zapamiętam. Awier La Bantjen. Morgwen chce jeść.

- Idź do tych drzwi - Protektor wskazał wyjście w odległej ścianie laboratorium. - A potem wracaj.

- Kto tam jest? - szepnął Warchisz, patrząc za oddalającą się istotą.

- Dwóch włóczęgów z przedmieścia. Żeby namówić ich do przyścia tu, musiałem pić razem z nimi w śmierdzącej knajpie prawie do północy. Nie macie pojęcia, mistrzu Warchiszu, ile mogą wyłopać ci plebejusze, zwłaszcza za darmo. Zaglądałem tam godzinę temu, a oni spali jak martwi. A jaki smród od nich!... Oho, zaczęło się!

Za drzwiami, którymi wyszła Morgwen, rozległy się krzyki pełne przerażenia i bólu - i głuchy ryk, podobny do rozdrażnionego ryku lamparta. Coś ciężkiego zważyło się na podłogę, zabrzmiał dźwięk tłukącego się naczynia. La Bantjen słuchał z zapartym tchem, wyobrażając sobie, co teraz dzieje się za drzwiami.

Morgwen wróciła po kilku minutach. Jej wargi i podbródek były pobrudzone krwią, oczy płonęły.

- Nowonarodzona skończyła swój pierwszy posiłek - zaśmiał się Warchisz. - Mam nadzieję, że krew pijaczków nie wywoła u niej dziecięcego rozstroju żołądka.

- Odpoczywaj, Morgwen - kazał La Bantjen. - Chwilowo nie jesteś mi potrzebna.

Istota pokornie położyła się z powrotem na stole, złożyła ręce na piersi i po chwili znów stała się podobna do trupa. Zdjął z jej palca pierścień Warchisza. Magowie opuścili laboratorium, Protektor zamknął drzwi, nałożył zaklęcie i poprowadził gościa na górę.

- Teraz jestem spokojny o ciebie, mój przyjacielu - powiedział Warchisz, żegnając się. - Osiągnąłeś wszystko, czego oczekiwaliśmy. Potrafiłeś zdobyć stylus i zmusić Kolegium Magna Seltonii, by działało w naszym interesie. Pozostało tylko znaleźć Kolebkę i relief, o którym ci mówiłem.

- Co powinienem zrobić z tym reliefem?

- Skopiować go i przekazać nam. Bez szczegółowego planu katakumb w Sabianumie, nigdy nie będziemy mogli odnaleźć Chełmu Otchłani.

- Zrobię wszystko, co konieczne.

- Nie wątpię. Teraz proszę o wybaczenie, czas na mnie.

- Przekazaliście mi dobre wieści mistrzu, ale nie zdążyliście opowiedzieć o złych - przypomniał.

- Nie warto o nich mówić. Proszę zajmować się swoją sprawą. Spędzę w Seltonii jeszcze trzy tygodnie, jutro udaję się do Gatulonu. Kiedy zdobędziesz kopię reliefu, natychmiast mi ją przekaż. Będę czekać w Gatulonie, w hotelu Normajna.

- Znajdę to miejsce, mistrzu Warchiszu. I jeszcze jedno...
- Co?
- Nie chciałem wam mówić, ale na naszych terenach widziano Sida. Dokładniej, dziewczynę-Sidkę.
- I co z tego?
- Wydaje mi się, że jej pojawienie, jest jakoś związane z naszymi poszukiwaniami.
- Z czego to wywnioskowałeś?
- Trudno mi to wyjaśnić. Przeczucie. Sidowie przez setki lat nie pojawiali się na seltońskich ziemiach. Teraz, nagle, zjawiała się ta dziewczucha. Szczerze mówiąc, jestem zaniepokojony. Sidowie władają bardzo silną magią i pomyślałem, że Sidka też szuka Kolebki. Chociaż, to tylko przypuszczenie.
- I co zamierzacie robić, mistrzu La Bantjenie?
- Mój człowiek wynajął jednego doświadczonego mordercę. Może, on rozwiąże problem.
- Wasza Sidka mnie nie martwi. Schemat Sabianumu - to jest poważna sprawa.
- Znajdę Kolebkę i schemat.
- Proszę szukać. Błogosławieństwo Ojca Cieni spoczywa na was!

Odprowadził gościa i wrócił do salonu. Na stole leżał ciężki worek, pozostawiony przez Warchisza. Dwa tysiące złotych tulonów, zapłata magów Czaszy za wykonaną pracę. Dobry dodatek do korzeni salwarii. Korzenie, oczywiście, są najważniejsze. Po pierwsze, teraz może być spokojny - ziół wystarczy, by doprowadzić do końca cykl leczenia. Po drugie, jeśli słuchoy o Eliksirze Czystej Krwi potwierdzą się, weźmie za gardła Książęta Braterstwa. Ich wpływy opierają się na odwiecznym strachu ludzi przed wampirami, ale kto będzie się bać Braci, jeśli zjawi się efektywny lek na wampiryzm? Nikt nie mógł znaleźć wpływu na wampiry przez setki lat - a on, Awier La Bantjen, znajdzie. I zmusi Braci, by robili to, czego on potrzebuje. Ale najważniejsze, zdarzyło się kwadrans temu w laboratorium. Teraz można zacząć działać według planu, który opracował i przemyślał już dawno. Plan, który uczyni go supermistrzem Kolegium Magna i władcą Seltonii. I, być może nie tylko Seltonii. Morgwen w tym pomoże. Potwór posłuży swojemu twórcy. A potem...

Potem znajdzie sposób, by uwolnić się od tego stwora.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Oberżysta nad swoimi kociołkami, butelkami i pudełkami, ze zręcznością sztukmistrza, małą, srebrną łyżką, nabrał z pudełek, z kory brzozonej, przyprawy korzennej i ziołowego proszku, zmieszał w czaszy, potem wsypał do stojącego na ognisku garnka z bursztynową miodówką. Zlał wrzątek do wielkiej czaszy biesiadnej i zaczął ostudzać, przelewając z jednej czaszy do drugiej, póki nie utworzyła się wysoka czapa złocistej piany. Przy tym cały czas podśpiewywał „Niech dom nasz będzie pełną czaszą” - rytualną pieśń, starodawną jak sama Seltonia. Pieśń, którą zawsze śpiewano przy gotowaniu rewiniaka:

Niech dom nasz będzie pełną czaszą.
 Jemioła zdobi jego wejście,
 By zawsze gościł w swoich progach,
 Życzliwych ludzi, zdrowie, szczęście.
 Kiedy nadejdzie smutna starość,

Niechaj otoczą nas miłością
I byśmy zawsze mieli siły,
Opróżnić czaszę tę, z radością!

Piana osiadła. Dolał do napoju dużą szklanę gęstego, czerwonego wina i parę kropel szczególnego, ziołowego wyciągu z wysokiej, wysmukłej buteleczki, znów postawił na ogniu. Mieszał łyżeczką i śpiewał. Zapalczywie, głośno, porywająco. Goście tawerny, którzy okrążyli kontuar, ochoczo wtórowali. Karczmę wypełnił szczególny zapach - świeży, upajający, cierpki. I dawno zapomniany.

- Proszę, szanowna pani - oświadczył, podając jej szeroką, parującą aromatem, srebrną czaszę.

Kasta przyjęła czaszę z rewiniakiem, skosztowała i ledwie powstrzymała się od płaczu. Po raz ostatni piła ten napój prawie sześć lat temu, w dzień swoich zaręczyn z Ajlorem. Pili świeżo gotowany rewiniak tak, jak każe obyczaj - z jednej czaszy, na zmianę, po jednym łyku, przekazując ją sobie. Tak, jakby się całowali. Kaście wydawało się, że dotykając czaszy swoimi wargami, czuje smak warg Ajlora. A świadkowie zaręczyn uśmiechali się i życzyli im szczęścia. Jej przyjaciółki. Przyjaciele Ajlora. Krewni. Mama. Teraz, wydaje się, że wszystko to tylko się przysniło.

Teraz, otaczają ją tylko uśmiechający się rybacy i farmerzy, mieszkańcy tego małego, nadmorskiego osiedla, nieznani jej ludzie. Ale, to seltończycy, jak ona. I czasza, z doskonałym, aromatycznym rewiniakiem, którą trzyma w dłoniach – to także część ojczyzny, do której nareszcie wróciła, po tułaczce, trwającej ponad trzy lata. Trzeba za to wypić.

- Dobry trunek, kobieto! Nie poczęstujesz mnie?

W zajeździe nagle zrobiło się cicho. Bywalcy karczmy, którzy okrążali Kastę, nagle odsunęli się od dziewczyny, robiąc przejście nowemu gościowi. Nieznajomy wyglądał groźnie – swoim wzrostem, ponad siedem stóp, piersią jak u trolla, łapskami, od ramion do dłoni pokrytymi tatuażami, dominował nad pozostałymi. Bujna, kudłata broda i niedźwiedzia czapka na bakier, czyniły jego tępą, zwierzęcą fizjonomię, jeszcze bardziej odpychającą. Przy pasie draba wisiał świetny, stalowy pałasz, z szerokim na dłoń i długim na dwie stopy ostrzem, z ebonitową rękojeścią. Drewniana rękojeść jeszcze jednego noża, sterczała z cholewy prawego buta olbrzyma. Rozpychając gości, podszedł do Kasty i obejrzał od stóp do głów. Kasta przy nim wyglądała jak mała dziewczynka, czubek jej głowy sięgał ledwie środka piersi nieznajomego.

- Czego się gapisz? - zapytała, upijając łyk rewiniaka.

- Patrę, co za nowy ptaszek wleciał do tego kurnika. Śliczniutki ptaszek, bojowy - rozciągnął wargi w uśmiechu, obnażywszy ogromne, żółte kły. - Dziewczynka z wielkiego statku, kto by pomyślał. Poczęstujesz mnie?

- Za mało dla mnie - odpowiedziała i dopiła czaszę. Potem położyła na kontuarze przed wystraszonym oberżystą srebrną monetę i skierowała się do wyjścia. Jednakże drab wyprzedził ją i stanął w drzwiach, zagradzając drogę. Goście wstrzymali oddech, oczekując, co będzie dalej. Byli przekonani, że dla Kasty wszystko skończy się bardzo źle.

- Nie jesteś zbyt uprzejma - powiedział.

- A ty bardzo natrętny. Czego chcesz?

- Chcę pogadać z tobą. Co robisz w Bursztynowym Porcie? Zostaniesz dłużej, czy jesteś tylko przejazdem?

- A tobie, co do tego?

- Seltonka? Skąd rodem?

- Z Cerunii.

- Nie byłem. A czemu wystroiłaś się w doryjskie zbroje? Co to za maskarada?

- Niedługo Samachejn, chłopcze. Dobieram kostium do święta. Masz jeszcze pytania?

- Nie, przejdę do sprawy. Jestem Czarrek Niedźwiedź. Słyszałaś o mnie?

- Nie miałam okazji. Daj przejść.

- Nie tak szybko, blondyneczko. Spodobałaś mi się. Przeleciałem tu już wszystkie dziwki i sprzykrzyły mi się. Chcę baby nowej i nieco młodszej. Podoba ci się moja propozycja?

- Nie śpię z niedźwiedziami. Zwłaszcza, jeśli od nich śmierdzi łajnem, jak od ciebie. Zejdź z drogi, bohaterze, bo inaczej cię ogolę. A ja, kiedy kogoś golę, mogę niechcący pociąć.

- Aleś bohaterka! No - zgoda. Oto drzwi. A to - podniósł ogromną pięść do twarzy Kasty - zaszuwa na drzwiach. Spróbuj otworzyć.

- Pchasz się na przykrości? - spokojnie zapytała Kasta.

- Hy-hy-hy! - zarżał chłop, przyskając śliną. - Nastraszyła, przysięgam na jajka Mannara! Po prostu, cały drzę, hy-hy! Wszyscy słuchajcie, Czarrek Niedźwiedź drży ze strachu!

- Czego chcesz?

- A ty co, nie zrozumiałaś? Przyszłaś do mojego miasta, blondyneczko. Pijesz w moim zajeździe. Należy zapłacić. Dogadamy się, co do ceny, nie martw się.

- A jeśli nie zechcę płacić?

- Wtedy zostaniesz tu. Ze mną i z moim najlepszym przyjacielem, hy-hy! - Poklepał dłoń po rozporku. - Dopóki mój bardzo duży niedźwiadek nie odwiedzi wszystkich twoich nerek. No, co powiesz?

Kasta obejrzała się na gości, którzy zgromadzili się przy kontuarze. Wszyscy patrzyli na nią przerażeni. Zrozumiała, że ten wyrodek, wszystkich trzyma w strachu. Niedźwiedź, a jakże. Nikt nie przyjdzie jej z pomocą. I nie trzeba, w darnackim cyrku, nieraz walczyła z niedźwiedziem...

- Przyjmij do wiadomości, że nawet figi nie otrzymasz, przyjacielu - powiedziała, obróciwszy się do Czarreka. - Dać tobie - to siebie nie szanować. Odwal się, powinienam już iść.

- Rozzuchwiałaś się po rewiniaku, dziewucho? - w ciemnych oczach draba mignęły złośliwe isierki. - Nie chcesz dać dobrowolnie, dasz po niewoli. Ja ciebie...

Nie dopowiedział: Prawą ręką chwyciła go za saczek zamszowych spodni, wczepiła się palcami w nabierającą sprężystości część męskiego ciała i ostro skręciła. Zawył z bólu. Nie dając mu oprzytomnieć, wyprowadziła druzgocące uderzenie lewą ręką, łamiąc drabowi szczękę. A potem, odskoczywszy do tyłu, uderzyła, z rozmachu nogą, pochylonego draba w skroń. Olbrzym przewrócił się na bok i z jękiem rozciągnął na podłodze. Nachyliwszy się, zdjęła z jego pasa pałasz.

- Oto moja zapłata, brzydalu - powiedziała, na odchodnym kopnąwszy nieprzytomnego. - Reszty nie trzeba.

Wyszła z tawerny i pomostami przeszła na główną ulicę Bursztynowego Portu, przylegającą do przystani - wąską, krętą, rozmiękłą od październikowych deszczy. Słońce jeszcze nie zaszło, przy ciasno stłoczonych po obu stronach ulicy drewnianych domach, krzatali się gospodarze, zajęci swoimi sprawami. Widząc Kastę, kłaniali się albo pośpiesznie starali się usunąć z drogi. Tu nie lubiano obcych, nawet, jeśli byli to seltończycy. Od morza wiał zimny wiatr, czerwony zachód zapowiadał zmianę pogody. Na czystym, bezchmurnym niebie, z przenikliwym

krzykiem miały się mowy. Skuliła się: nawet wypity rewiniak, nie zabezpieczał od stęchłej wilgoci i chłodu. Za pięć dni Samachejn - dzień, otwierający bramy zimy. A po dwóch tygodniach zacznie padać śnieg, którego nie widziała więcej niż trzy lata.

Wróciła do ojczyzny, ale nie wywołało to radości. Nie ma gdzie iść. Wrócić do Cerunii nie może - bo i po co? Żeby rany w sercu, ledwo, co zabliznione, znów się otworzyły? Ani odwiedzić grobów swoich bliskich, bo ich po prostu nie ma. Są natomiast dwa miejsca, do których chyba nie będzie w stanie pójść. Miejsce, gdzie mieszkała i to pustkowie na peryferiach miasta, za bydlęcym targiem. Tam, w te straszne dni, paliły się ogromne ogniska. Bez przerwy, dzień i noc, przekształcając umarłych od dżumy w czarny, tłusty dym i biały, kruchy popiół. Przypomniła sobie te ogniska. Widziała, jak pracują grabarze. Święci ludzie, nawet wtedy próbowali godnie odprowadzić zmarłych na wieczny spoczynek. Razem z mężami, na stosy kładziono żony, obok dorosłe dzieci, maluchy z zabawkami. Warstwa kłód i chrustu, na wierzchu ciała, potem znowu warstwa kłód, na nich ciała, znów kłody, znów ciała - cała wieża, wysokości ponad dziesięć stóp. Kapłan czytał krótką modlitwę i podpalali ognisko z czterech stron. Płomień buszował tak, że podejść do niego, bliżej niż na sto łokci, nie było można. Brakło drzew, więc na paliwo do ognisk rozbierano domy wymarłych rodzin. W jednym ze stosów, spaliło się ciało jej matki.

Grobów jej bliskich w Cerunii nie ma. Jest miejsce, gdzie paliły się ogniska. I miejsce, gdzie kiedyś stał ich dom - jej i Ajlora. Swoimi rękoma, przekształciła go w ognisty grobowiec dla męża i córeczki.

Niedługo w Seltonii zacznie padać śnieg. Podobny do kruchego, białego popiołu, który gęsto i powoli sypał się z nieba na miasto w dni, kiedy paliły się TE ogniska.

Potrząsnęła głową, jakby odpędzała ciężkie wspomnienia, nie śpiesząc się, skierowała do przystani. Statek Fasisa lekko kołysał się na falach pośród rybackich łodzi i barkasów i wydawał się obcy i niewłaściwy - wypisz wymaluj, rozkoszny pałac wśród baraków. Kilku chłopaków stało na pirsie i z zachwytem oglądało cudzoziemską galerię. Niedaleko trapezu zobaczyła Wisława - Reszyjec siedział na przewróconej łodzi i dłubał patyczkiem w zębach.

- Spóźniłaś się na kolację - oświadczył. - Gdzie byłaś?
- Próbowałam napoje w miejscowej karczmie.
- No i jak?
- Rewiniak był wyborny. Musisz spróbować. Trzymaj - podała mu pałasz, trofeum zdobyte w walce z Czarrekiem Niedźwiedziem.
- Kolejny prezent? - przyjął broń, wyciągnął klingę z pochwy, z uznaniem pokiwał głową. - Po prostu zarzuciłaś mnie podarunkami, kobieto.
- Samym łukiem i zaklinaniem, dużo nie nawojujesz. Magiczne sztuczki są dobre, ale miecz jest lepszy. U nas, w centralnej Seltonii, taką klingę nazywają bartalonem - niedźwiedzim pazurem. Straszna broń, jednym uderzeniem można rękę odrąbać.
- Masz rację, wspinałaś się - powiedział, palcem przeciągając po ostrzu klingi.
- Skąd go wzięłaś?
- Podarował mi jeden chłopak.
- Tak po prostu podarował? - z zainteresowaniem popatrzył na dziewczynę.
- Poprosiłam go.
- Sądząc po twoim tonie, znowu wpakowałaś się w jakąś historię. Z tobą, człowiek się nie zanudzi.
- Masz rację. Jestem wesołą dziewczyną, nie to, co twój wątyl przyjaciel. Ostatnio, tylko jęczy. Gdzie on jest?

- Po kolacji, poszedł do kajuty.
- Jak to, puścił cię samego? – spytała kpiąco. - Już się nie boi, że zauroczy cię jakaś Seltonka?
- Już przyzwyczaiłem się do jego kaprysów. Nie zwracam na nie uwagi.
- Współczuję ci, Wisie. Nie wiem, jakbym się zachowała, gdyby Leodan zakochał się we mnie. Czasami, chciałabym wtluc jak należy temu hipochondrykowi. Ale pamiętam, kim jest. Byłeś kiedykolwiek żonaty, Wisie?
- Nie. Jakoś nie układało się.
- Tobie nie jest potrzebna żona, Wisie – powiedziała niespodziewanie. - Słaby mężczyzna musi mieć żonę, bez niej zmarnieje. A twardogłowe chłopaki, jak ty, pięknie idą przez życie samotnie. Rodzinne szczęście jest nie dla was.
- Czy twój mąż był słabym mężczyzną?
- Nie, on był wyjątkowy. Drugiego takiego nie znajdziesz.
- Sama sobie przeczysz. Najpierw mówisz, że żony są potrzebne tylko słabeuszom i po chwili zaprzeczasz sobie. Gdzie logika, kobieto?
- W nosie mam twoją logikę! Zupełnie, co innego miałam na myśli.
- Dobrze, dobrze, nie złość się. Zrozumiałem. Jednak mam nadzieję, że pewnego dnia ożenię się i sprawdzę na własnej skórze, czy odpowiada mi rola żonatego, czy też nie.
- No, w takim razie, trochę więcej przebywaj z Leodanem. Nauczy cię dużo pożytecznych rzeczy. Na przykład, cierpliwości. W życiu rodzinnym, bardzo się przyda.
- Zlituj się, Kasto, nie szydź! Ja już mam naprawdę mętlik w głowie. Chłopaka ciągnie do mnie i nie mogę z tym nic zrobić. Nakrzyczeć na niego, posłać do wszystkich diabłów, nie mam sumienia. On tak patrzy na mnie, że...
- Co, Wisie?
- Nie wiem, nie mogę określić. Przysięgam na Cwira, jeśli na świecie jest miłość, to objawia się tu w najczystszej postaci, ale nie sprawia mi to radości.
- Wmów sobie, że w Leodanie odzywają się do ciebie synowskie uczucia.
- W tym problem, że wcale nie synowskie! Przypomnij sobie, jaką scenę zazdrości zrobił mi w Chule.
- Możesz być dumny, Wisławie – powiedziała z całą powagą. - Zdołałeś przespać się z boginią, to nic, że z zapomnianą. Nieliczni śmiertelnicy dostępują takiego zaszczytu. I nie wypieraj się, po twoich oczach widzę, że z nią spałeś.
- Znęcasz się nade mną. A mi wcale nie do śmiechu. Leodan patrzy na mnie jak zakochana kobieta. Oddałbym wiele za to, żebyś choć raz, tak na mnie popatrzyła.
- Ty znowu swoje. Dobrze, chodźmy na statek. W głowie mi szumi od rewiniaka. Chcę się położyć i poleżeć z zamkniętymi oczyma.
- Jakie masz plany na przyszłość, Kasto?
- Nie wiem. Kiedy płynęliśmy tu, myślałam, że umrę ze szczęścia, zejść na brzeg w Seltonii. A teraz myślę, że na próżno tu przypłynęłam.
- Kapitan Fasis mówił, że zamierza wrócić do Fanary.
- Tam też nie mam, czego szukać - w oczach Kasty przemknęła tęsknota. - Wszędzie będę obca.
- Mówisz głupoty. Ja...
- Nie dopowiedział - przerwało mu pojawienie się na piersi lichu ubranego, jedenastoletniego malca. Chłopiec, krzywo spojrzął na Wisława, podszedł do Kasty, uklonił się i powiedział:
- Pani, tam przyjechał jeden człowiek. On chce mówić z tobą.

- Ze mną?
- Jesteś przecież panią Kastą, cioteczką z wielkiego statku? - uściślił.
- Tak. Gdzie on jest?
- W tawernie, u grubego Klotana. Powiedział, że to jest ważne.
- W tawernie? - od razu pomyślała o Czarreku Niedźwiedziu. Niewykluczone, że nikczemnik ma kompanów i zamierzają się zemścić. - Jak wygląda?
- Jest wojownikiem, pani.
- Wojownikiem? Skąd wiesz?
- Ma pod płaszczem żelazną odzież. I jeszcze, ma bliznę przez całą twarz - powiódł palcem po swojej twarzy od lewej skroni do podbródka, pokazując jej rozmiary.
- Może, to po prostu rozbójnik?
- Nie jest rozbójnikiem, pani. On jest dobry, on dał mi wielkie, czerwone jabłko. Wobec tego, to nie miejscowi bandyci - pomyślała. Obcy wojownik, który przyjechał do tej dziury, żeby z nią się spotkać, na pewno został przez kogoś przysłany. Czyżby znowu?
- Kiedy on przyjechał, chłopcze?
- Dopiero co. Bawiłem się na ulicy, a on przywołał mnie i kazał cię znaleźć. Powiedział, że będzie czekać na ciebie w tawernie Klotana.
- Dobrze, idź i powiedz temu człowiekowi, że zaraz przyjdę. Trzymaj - wsunęła w brudną dłoń obdartusa miedzianą monetę.
- Mam z tobą iść? - zapytał Wisław, kiedy chłopiec uciekł.
- Nie musisz.
- Chociaż jesteś w Seltonii, ale ostrożność nie zawadzi. Ten człowiek nie bez powodu szuka ciebie.
- Czyli, pomyślałeś o tym samym co ja, prawda? Czyżby to znowu Zapomniani?
- Nie wiem, kto. Dlatego też, chcę pójść z tobą.
- Wisie, poradzę sama, bądź spokojny. Tylko pójde na statek i wezmę swój miecz.

Weszła po schodkach na pokład - było pusto, tylko na rufie siedział wachtowy marynarz i ostrzył sztylet o ośelkę. Zimny wiatr, przeszywający do kości, zupełnie go nie interesował. Życzliwie pomachał dziewczynie ręką i wrócił do swego zajęcia. Zeszła na dolny pokład i przeszła do swojej kajuty. Był w niej Leodan - młodzieniec siedział na łóżku i z niezadowoloną miną otulał się płaszczem z zajęczych skórek. Dostrzegłszy Kastę, niechętnie podniósł się z miejsca.

- Pani?
- Sto razy mówiłam, nie jestem twoją panią, a ty moim niewolnikiem - kazała mu usiąść. - Czy twój umysł, nie jest w stanie tego pojąć?
- Jest w stanie - pokiwał głową. - Pozwól powiedzieć, że postępujesz bardzo nierozsądnie. Przy takim chłdzie chodzisz w zbroi, bez ciepłej odzieży. Nie mogę się rozgrzać, w tym kraju, jest okropnie zimno.
- Zimno? - uśmiechnęła się. - Nie wiesz, co to prawdziwy chłód.
- I nie chcę wiedzieć. A gdzie Wisław?
- Siedzi na przystani.
- Chciałbym, żeby posiedział ze mną. Tu, w kajucie. On...
- Dobrze, przekażę mu - wzięła ze stolika Flamejona, przerzuciła za plecy i wyszła, nie dając Leodanowi dojść do głosu.
- Co robi nasz przyjaciel? - zapytał Wisław, kiedy zeszła ze statku na pirs.
- Twój przyjaciel. Tylko twój.

- Aha, znowu cię rozzłościł! - zaśmiał się. - Co ci powiedział?
- Chce, żebyś posiedział z nim w kajucie. Zrędzi otulony ciepłym płaszczem, jakby na ulicy był trzaskający mróz.
- Nadal nie chcesz, bym poszedł z tobą?
- Widzę, że nie palisz się do obcowania z Leodanem. Zgoda, idziemy. Tylko pamiętaj, ja będę rozmawiać.
- Jak chcesz - Reszyjec rozłożył ręce, wstał z łodzi. – Przy okazji spróbuję zachwalanego rewiniaka. I odpocznę od Leodana.

W tawernie Klotana, było teraz więcej narodu, niż godzinę temu. Przemarznięci rybacy tłoczyli się przy kontuarze, łąpczywie pili winogronową wódkę i grzany miód, głośno omawiali ostatni połów. Pojawienie się Kasty i jej przyjaciela, powitali dostojnym milczeniem. Dowiedziawszy się, po co dziewczyna wróciła do tawerny, natychmiast wskazali na przyjezdnego, który siedział w samotności przy odległym stole, przy oknie, i pił gorącą miodówkę z wielkiego pucharu. Gdy spojrzenia ich spotkały się, zrozumiała, że jest doświadczonym wojownikiem. Takie oczy, mają tylko ci, którzy dziesiątki razy byli o krok od śmierci. Długa, szarpana blizna na twarzy, utwierdzała w tym przekonaniu.

- Jestem Lejda Kasta - powiedziała, podchodząc do stołu. - Chciałeś mówić ze mną?

- Tak. - Nieznajomy z zainteresowaniem obejrzał dziewczynę. - Jesteś Kasta? Czekając, posłuchałem miejscowych. Mówili tylko o tym, jak przed godziną wykończyłaś jakiegoś chamana. Kobieta-wojownik, a jakże.

- Przyjacielu, bardzo nie lubię, kiedy ktoś mi się tak przygląda - usiadła naprzeciwko. - Mów, słucham.

- Nazywam się Aren La Mar. Przyjechałem do Bursztynowego Portu porozmawiać z tobą. Opowiedziała mi o tobie Sidka, o imieniu Ennid.

- Sidka? - uniosła ze zdziwienia brwi. – Gdzież to, pozwól zapytać, przytrafiło ci się spotkanie z Sidką?

- W Ergalocie. Powiedziała, że powinniśmy pomóc sobie.

- Nie znam żadnej Sidki. Nigdy nie widziałam Sida i nie bardzo wierzę, że w ogóle istnieją. Jeśli chcesz zawracać mi głowę...

- Sprawa jest niezwykle ważna, w dwóch słowach opowiedzieć się nie da. - Obejrzał się na strony: zajazd szybko wypełniał się gośćmi. - Tu jest zbyt gwarnie. Może, porozmawiamy w innym miejscu?

- Pójdziemy na statek, tam nikt nam nie przeszkodzi.

Dopił miód, zarzucił na ramię leżący obok na ławce ciężki, skórzany worek, w którym coś metalicznie zgrzytnęło, przywołał kelnerkę, rozliczył się i skierował do drzwi. Zauważyła, że pod długim, czarnym płaszczem, nosi niezwykle i bardzo drogi, pleciony pancerz.

- Dziwny typ - szepnął jej Wisław.

- Posłuchamy, co nam opowie.

W milczeniu doszli do przystani i weszli na galerę. Leodan, widząc Wisława, uradował się i wybiegł naprzeciw, ale pojawienie się nieznajomego zniechęciło go.

- Leodanie, idź pooddychać świeżym powietrzem - kazała zmieszanemu młodzieńcowi Kasta. - Powinniśmy porozmawiać z tym panem.

La Mar rzucił na podłogę worek, usiadł na taborecie, Kasta na pryczy. Wisław stanął przy drzwiach, krzyżując ręce na piersiach.

- Sidka powiedziała, że może nie zechcesz mi pomagać - rozpoczął. - Na wszelki wypadek, prosiła, bym wymienił ci trzy imiona.

- Jakże?

- Dincze, Ajlor, Elea.

W przyćmionym świetle jedynej świecy w kajucie, Wisław zobaczył, jak twarz Kasty zbladła. Dostrzegł to także La Mar.

- Czyli, nie pomyliłam się - popatrzyła na Reszyjca. - Jest właśnie tak, jak myślałam. Dobrze, mów. Co ci powiedziała Sidka?

Zaczął opowiadać. Był bardzo dokładny i starał się nie pominąć żadnego drobiazgu. Opowiedział o tym, kim jest i czym zajmował się przez ostatnie lata. O tym, co zdarzyło się w Norrindze i w Ergałocie. O zadaniu, które powierzyła mu Ennid. O La Bantjenie, morderstwach i Kolebce Cienia. O Wioli nie powiedział ani słowa. Uznał, że teraz nie będzie opowiadać o niej.

- Dobrze, zrozumiałam cię - powiedziała, gdy skończył. - Co ty na to, Wisławie?

- To, że wygląda wszystko na bajkę, szczególnie dla tych, którzy nie znają całej prawdy. Ja wierzę temu człowiekowi, ponieważ widziałem wampiry na własne oczy i nawet wykończyłem kilku tych drani.

- Jeden człowiek z Norringi, opowiadał mi o moim współbracie w rzemiośle: Ten myśliwy pochodził, zdaje się z Resza - powiedział La Mar, taksująco patrząc na Wisława. - Nie o tobie przypadkiem mówił?

- Możliwe.

- Wisie! – wtrąciła się Kasta, uważnie patrząc na Reszyjca.

- O co chodzi, moja droga?

- Przysięgam na kędziory Szante, coraz bardziej przypominasz mi zabawkę, którą kiedyś pokazał mi sąsiad-cieśla. Wycinał z drewna lalki, puste wewnątrz, które wkładało się jedna w drugą. I każda była inna. Tak jest w twoim przypadku – wciąż dowiaduję się czegoś nowego.

- To źle? - uśmiechnął się.

- Nie traćmy czasu na puste rozmowy - powiedział La Mar. - Opowiedziałem wszystko, co wiem i czekam na odpowiedź. Jesteś gotowa pomóc mi, Kasto?

- Prawdopodobnie, nie mam wyboru. Wydaje mi się, że Sidka, o której mówisz, wcale nie pochodzi z Pierwszego Narodu. To Zapomniana bogini, przyjmująca postać Sidki.

- Zapomniana bogini? - nie zrozumiał.

- Wisławie, opowiedz naszemu przyjacielowi o Zapomnianych - poprosiła. - Jesteś bardziej elokwentny.

- Niezwykłe - westchnął La Mar, kiedy Wisław, wykonując prośbę Kasty, opowiedział o tym, co zdarzyło się z nimi na Cichej i w Fanarze. – Wierzę wam, przyjaciele. Niestety, bardzo mało wiem o Zapomnianych. Tylko tyle, że ukazują się wśród ludzi, z jakiegoś powodu. Czyli, jest to omen, zapowiadający coś strasznego.

- A czy już się nie dzieje? - zapytał Wisław. - Niedawno opowiedziałeś nam o wampirach. Te stwory, po wiekach, powylażyły ze swoich nor. Wszystko układa się w jedną całość: Wojna na południu, z dnia na dzień rozzuchwalające się diabelstwo, jakieś ciemne intrygi, kolejny mag morderca, maniak i nekroman. Prawdopodobnie, nigdy nie wydostaniemy się z tego bagna.

- A musimy się wydostawać? - Kasta zwróciła się do La Mara. - Skoro staliśmy się sojusznikami, La Marze, będziemy działać razem. Mów, co trzeba robić.

- Mam... pomocnicę. Teraz obserwuje maga, o którym wam mówiłem. Trzeba poczekać do nadejścia Samachejny. W tę noc, magiczne źródła, wychodzące ze

wszystkich Punktów Mocy, w tym i z Kolebki Cienia, będą szczególnie silne i homunkulus La Bantjena powinien je wyczuć i wskazać swojemu gospodarzowi miejsce, gdzie znajduje się to wejście. Po tym wysłedzimy nekromantę i zniszczymy przekłete miejsce. A może i La Bantjena z jego wyrodkiem?

- Wojna z wampirami jest bardzo niebezpieczna - zauważył Wisław. - Trzeba pamiętać, że te istoty są niezwykle żywotne, silne i umieją atakować szybko i nagle. A ich ukąszenie, przekształca nas w im podobnych.

- Mamy kamień Ajwary, Wisie - sprzeciwiła się Kasta. - Powinien nam pomóc. Na darnackiej arenie musiałam zabijać i ludzi, i zwierzęta, ale wampirów wśród moich przeciwników nie było. Inkarnów Kaffaraja razem świetnie zlikwidowaliśmy. Wampirów też wykończymy. Ponadto, La Mar, na pewno dobrze orientuje się w zwyczajach wampirów, czyż nie tak?

- Nie wiem, z kim, albo z czym, musimy zmierzyć się w samej Kolebce - powiedział, wstając. - Ale na mnie możecie liczyć, nie zawiodę.

- Miło to słyszeć. Co dalej?

- Teraz udam się w pobliże Ergaloty i będę czekać na wiadomości od pomocnicy. Jak tylko będzie wiadomo, dokąd kieruje się La Bantjen, wrócę do Bursztynowego Portu i powiadomię was. Tylko proszę, czekajcie na mój powrót.

- Dobrze - podała rękę magowi. - Sojusznicy?

- Sojusznicy - odpowiedział na uścisk dłoni. - Mam też nadzieję, że przyjaciele.

Kapitan Fasis, wysłuchał, nie przerywając. Po bitwie z darnaczykami w zatoce Fanary, odnosił się do dziewczyny z najgłębszym szacunkiem i całkowicie jej ufał. Dlatego, jeśli nawet mu się nie spodobał pomysł pozostania w Seltonii jeszcze przez jakiś czas, w żaden sposób nie okazał swego niezadowolenia.

- To twój statek, pani - powiedział, kiedy skończyła. - Otrzymałem go z twoich rąk. Jesteś tu gospodynią i podlega twojej władzy. Jeśli trzeba, przezimujemy w tym porcie.

- Wiedziałam, że na ciebie można liczyć, Fasisie - uściśnęła kapitanowi rękę. - Ale tym razem żadnych osób towarzyszących. Wezmę ze sobą tylko Wisława.

- Rozumiem.

- I nie nazywaj mnie gospodynią. Statek twój. Nie rozkazuję, a proszę.

Fasis tylko rozłożył ręce. Kasta porzuciła kapitańską kajutę i wróciła do siebie. Wisław siedział na koi, oparty łokciami o ścianę i z założonymi za głowę rękoma. Leodana nie było.

- A gdzie nasz przyjaciel? - zainteresowała się.

- Pobiegl do latryny. Gdy zaproponuję mu, by poćwiczył ze mną walkę wręcz, ciągnie go natychmiast na garnek.

- Przysięgam na kędziory Szante, on z największą radością zająłby się czymś innym.

- Fu, kobieto! - skrzywił się. - Masz okropnie nieprzyzwoite myśli.

- Zażartowałam. Nie trać niepotrzebnie czasu. Leodan nigdy nie zostanie wojownikiem. Pomyślmy lepiej o naszej sprawie.

- Wydaje mi się, że niepotrzebnie się zgodziłaś.

- Dlaczego?

- Zadanie jest niebezpieczne. Spotykałem się już z wampirami i...

- O tym już mówiliśmy. Dalej!

- Nie będziemy mieć z tego żadnych korzyści.

- Byłam niewolnicą przez rok, walczyłam na darnackiej arenie, ryzykowałam życiem, zraszałam ją potem i krwią, a mój lanista zgarniał pieniądze do swojej kieszeni, Wisie. Setki sakkarów. Stary nikczemnik, wzbogacił się moim kosztem. Dla mnie, była sława i rany. Później zrozumiałam, że popularność nie jest zła. Jeśli ją właściwie wykorzystasz, da ci wszystko, o czym marzysz.

- Co ci dała sława?

- Wolność.

- Hm, nie zauważyłem tego. Przypomnij sobie, gdzie spotkaliśmy się: na statku skazanych na śmierć. Mieliśmy wolność tylko do śmierci.

- To zupełnie co innego, Wisie. Nie zawsze najważniejsze są korzyści i nagrody. Przynajmniej dla mnie.

- Rozumiem, uważasz, że to znów dzieło rąk Zapomnianych Bogów.

- Słyszałeś wszystko na własne uszy. La Mar nazwał imiona moich... niezapomnianych. Tylko Zapomniani mogli mu je zdradzić. Będziesz się spierać ze mną?

- Nie - westchnął. - I to znaczy, że nie możemy zrezygnować.

- My? Ja, nie mogę zrezygnować - położyła akcent na słowie „ja”. - O tobie w ogóle nie było mowy.

- Chcesz powiedzieć, że to tylko twoja wojna?

- Otóż to. Nie trzymam cię. Jesteś wolny. Z przyjemnością przyjmę twoją pomoc, ale jeśli się wahasz - udam się z La Marem sama.

- W twoich oczach, jestem draniem? Moim obowiązkiem jest pomóc ci, uwolnić się od strachu śmierci!

- Nie mówmy o tym, Wisie - oczy jej napęłnił smutek. - Nie truj duszy.

- Wybacz. Szanuję twoje motyw i twój wybór. I wiem, że nie cofniesz się. Właśnie, dlatego zostanę z tobą.

- I z Leodanem? - uśmiechnęła się chytrze.

Korciło go, żeby powiedzieć coś dowcipnego, ale milczał - do kajuty wrócił Leodan.

- Zimno! – jęknął, owijając się płaszczem. - Pani, niech kapitan wstawi do naszej kajuty piecyk, bo się przeziębię. Już mi cieknie z nosa, a ręce i nogi mam skostniałe.

- Oczywiście, zarządzę – powiedziała poważnie. - Powinnam już iść. Chcę odpocząć. Zobaczymy się rano, jeśli nic się nie wydarzy.

- Odprowadzić? - zapytał Wiśław, wstając.

- Nie trzeba - odpowiedziała, przechwytyjąc zazdrosne spojrzenie Leodana. - Pobądź z Leodanem. Dobrych snów.

- Co to był za człowiek? - zapytał, kiedy tylko zostali sami.

- Jaki człowiek?

- Ten, co przychodził na statek.

- Handlarz. Po prostu handlarz.

- Oszukujesz mnie. To nie był handlarz. Co znowu zamierzacie?

- Przestań mleć językiem, maluchu - zdjął buty, wyciągnął się na łóżku. - Śpijmy lepiej. I niech ci się przyśni gorące lato i dużo-dużo pięknych, rozneśliżowanych kobiet.

- Nie chcesz rozmawiać ze mną?

- Chcę spać, mój przyjacielu.

- Oczywiście, tylko z Kastą możesz szeptać godzinami. A dla mnie nigdy nie masz czasu. - Odrzucił płaszcz ze skórek, włożył pod kołdrę. - Nienawidzę cię!

- No i na zdrowie. Tylko świecę zgaś. W ciemności nienawiść staje się jeszcze silniejsza.

Leodan gwałtownie zdmuchnął świecę i Wisław odetchnął z ulgą. Naprawdę chciało mu się spać. Leżał i słuchał, jak chłopak się kręci. Potem usłyszał łkanie.

- Hej, maluchu, co z tobą? - zapytał.

- Nic. Nie twoja sprawa. Śpij.

- Obraziłeś się?

- Nie. Nie uczynię ci tego zaszczytu. Po prostu, zimno mi.

- Nakryj się jeszcze płaszczem, jeśli jednej kołdry za mało.

- Nakryłem się. I tak zimno.

- Cwir mi świadkiem, że jestem zbyt dobry - uśmiechnął się. - Zgoda, przestań się mazać. Łap swoją kołdrę i chodź do mnie. Będzie nam ciepłej.

- Poważnie? - głos Leodana nawet zadrżał z radości.

- Żeby cię strupy pokryły! Chodź, szybko...

Leodan natychmiast wlaź pod kołdrę, objął go i jęknął z zadowolenia. Wisław, z jakiegoś powodu, wspomniał swoje dzieciństwo. W domu żył stary owczarek Raj, leniwy, dobry i uległy. Pewnego razu, wróciwszy z podwórza, zobaczył, że pies leży przy ognisku, rozciągnąwszy się na dywaniku, a przy jego boku wygodnie ułożyło się pół tuzina kociaków. Pełzały po psie, piszczały, szturchały pyszczkami w brzuch, a ten tylko mrużył oczy i potrząsał głową. Po prostu idylla. Pomyślał, że w tym momencie, jest bardzo podobny do staruszka Raja.

- Ogrzałeś się? - szepnął do młodzieńca, ale ten już spał. Leżał jeszcze jakiś czas, wsłuchując się w wycie wiatru za burtą galery, myślał o La Marze, Kaście i zasnął.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

La Bantjen dotknął palcami ostatniej lampy i zapalił się płomień. Teraz paliło się szesnaście - jasno i radośnie. W ich świetle, laboratorium nie było takie mroczne, jak kwadrans temu, kiedy wszedł, by dokonać ostatniego, zalecanego przez Warchisza obrzędu. Potem podszedł do ciała Morgwen. Leżało na stole - z wyglądu bezduszny trup młodej dziewczyny, znajdujący się w pośmiertnym stężeniu. Z trudem włożył na jej palec magiczny pierścień. Teraz musiał pomyśleć o własnej ochronie.

Zakreślił na stole, na którym leżała Morgwen, krąg Ochrony. Na wszelki wypadek wypił zespół elementów ochronnych many i Elik sir Czystej Krwi. Wczoraj, przygotowując specyfik, przeżył kilka nieprzyjemnych chwil - pierwsza partia wyszła mętna. Widocznie niezbyt dokładnie oczyścił zasadniczy składnik, stężony ziołowy destylat. Śpieszył się, dążąc do jak najszybszego przygotowania eliksiru. Receptura Warchisza nie zawierała żadnych wskazówek, jak postępować w takim przypadku. Jednakże, obawy okazały się niepotrzebne: po przefiltrowaniu, płyn był klarowny, więc rozlał go do flakoników. Jego własny eliksir, wywoływał taki sam efekt jak i Szeranity, co uspokoiło go ostatecznie.

Przygotowania zostały zakończone i pozostało tylko czekać. Do północy. Noc Nocy zacznie się lada chwila. Stał przy stole i obserwował Morgwen. Musi bardzo uważać, bo jeśli coś pójdzie nie tak, trzeba będzie czekać cały rok - do następnej Samachejny. Trzeba będzie ją zniszczyć i stworzyć nowego Nienarodzonego. Dodatkowe kłopoty i ryzyko.

Podskoczył, kiedy wyczuł jakiś ruch za plecami. Gwałtownie się odwrócił i głośno przeklął.

Kotka.

Zwykła, szara, podwórkowa kotka, jakich w laboratorium było kilka, a po kampusie biegało mnóstwo. Na Uniwersytecie, z jakiegoś powodu, odnoszono się do nich ze szczególną sympatią. Od czasu, kiedy Kodeks o herezji, zabronił uniwersyteckim magom tworzyć Pozaziemskich w charakterze domowych ulubieńców, cała profesura i młodszy personel, przerzucili się na kotki i psy. Przypomnił sobie, że już gdzieś widział ją: siedziała przy drzwiach do laboratorium, kiedy przyszedł. Widocznie, postanowiła sprawdzić, czego szuka Protektor w pustym laboratorium.

- Psik!

Zdumiona popatrzyła na maga i elegancko wyciągnąwszy tylną łapę, zaczęła ją starannie wylizywać. La Bantjen pomyślał o Braciach i na wszelki wypadek skierował na zwierzątko potok skanującej magii. Takie skanowanie, nieuchronnie wykryje ślady upodobnienia się.

Jednak, to tylko kotka. Zadziwiająco potężna aura, jak na takie małe zwierzę - może, dopiero, co zjadła kolację. Żadnych znaków magii.

- Psik! - krzyknął i tupnął nogą.

Tym razem kotka niechętnie podniosła się i powoli przedelfowała, trzymając wysoko ogon. Patrzył jak wyszła przez półotwarte drzwi.

Niepotrzebnie ją wypędziłem – pomyślał - Morgwen na pewno zechce przekąsić po tygodniowym śnie. Przyda się nawet kotka. Żywa krew jest zawsze żywą krwią i nieważne, do kogo należy, do człowieka albo małego, domowego zwierzątka. Zasiedlający Nienarodzoną, Cień będzie zadowolony z każdego, krwawego poczęstunku.

- Ciekawość mogła zgubić kotkę! - mruknął.

Czas włókł się powoli i mag poczuł zmęczenie i senność. Płomień w lampach, przedtem jaskrawy, zaczął mętnieć, knoty stopniowo się spalały. Zaniepokoił się. Nie pozmyślał, by zabrać ze sobą oliwę i kilka zapasowych knotów. Jeśli lampy zgasną...

Morgwen otworzyła oczy.

Natychmiast wyszeptał zaklęcie Magicznego Oprzędu. Teraz, kiedy emanacja Kolebki staje się nieprawdopodobnie potężna, Nienarodzona może stać się nieposłuszna. Obserwował, jak wewnątrz brzucha Morgwen poruszyła się ulokowana tam istota. Najpierw niewyraźnie, potem zaczęła podskakiwać, podrzucając rozpostarte na stole ciało. Na to czekał. Nastąpiła Noc Nocy i Kolebka zaczęła emanować moc ze szczególną potęgą. Żyjący w niej Cień, uchwycił tę emanację.

Pomimo działania, zażytego wcześniej, silnego zespołu elementów ochronnych many, poczuł, że z trudnością utrzymuje osłonowy, magiczny ekran. Niewidoczna powierzchnia oprzędu dosłownie wibrowała pod naporem nieprawdopodobnej, demonicznej energii i wywoływała mdłości i napady panicznego strachu. Morgwen ożyła, z jej ust wydobywały się ochryple dźwięki, jakiś potworny ryk. Ze ściśniętym sercem obserwował, jak jednym ruchem podniosła się ze swojego kamiennego łóża, jak rozgląda się niewidzącym wzrokiem po laboratorium, jakby szukając kogoś lub czegoś. Już nie było żadnych wątpliwości, że namierzyła źródło Mocy.

- Morgwen! - zawołał. - Co z tobą, Morgwen?

- Ból – odpowiedział, nie do opisania potworny głos, który sprawił, że jego ciało pokrył lodowaty pot. - Ogień. Czarne światło.

- Kto sprawia ci ból?

- On, wewnątrz mnie. Gryzie moje ciało. Żąda, by zwrócić go Cieniowi.

- Gdzie jest ten Cień? Morgwen, dokąd trzeba zwrócić żyjącego w tobie?

- Ból - stworzenie zachrypiało, zgięło się wpół i potok czarnych, cuchnących wymiocin chlusnął na podłogę, przeżerając kamienne płyty. - On... sprawia mi... ból.

- Dokąd trzeba zwrócić sprawiającego ból?

- Do... Cienia. - Oczy jej zapłonęły liliowym blaskiem. Z przerażeniem zrozumiał, że ochronny ekran lada chwila rozpadnie się. Zaczęły trząść nim najmocniejsze dreszcze, serce pracowało nierytmicznie, z nosa połała się krew.

- Dokąd? - wrzasnął, tracąc opanowanie.

- Monsalidar! - wypuściła powietrze. - Kły Góry! Ból!

- Uspokój się! - zebrawszy resztkę sił i walcząc z zabójczymi mdłościami, podniósł rękę i wysłał potężny, magiczny ładunek mocy, bezpośrednio w pierś Morgwen. Nienarodzona, odrzucona niewidocznym uderzeniem, wpadła na odległą ścianę i niczym martwa lalka runęła na podłogę, przewróciwszy stół z wyposażeniem, rozrzucając i rozbijając laboratoryjne szkło.

La Bantjen ciężko westchnął, wytarł ręką krew, lejącą się z nosa. Siły go opuściły. Ręce i nogi odmawiały posłuszeństwa, w oczach tańczyły ogniste zajączki. Jeszcze chwila - i dostałby wylewu krwi. Powoli dochodził do siebie, obserwując rozpostartą na podłodze Morgwen. Błogosławił pamięć, swojego zmarłego nauczyciela, który pewnego razu zdradził mu sekret zaklęcia Dynamicznego Uderzenia.

- Monsalidar! - wyszeptał. - Podejrzewałem, domyślałem się... Wszystko to jest bardziej skomplikowane, niż sądziłem. To nic, znajdę sposób dotarcia do tego miejsca.

Szara kotka, wsunąwszy głowę przez półotwarte drzwi laboratorium, spojrzała na maga. A potem wyskoczyła i zniknęła w nocnych cieniach, wypełniających uniwersytecki park.

Supermagister Solanius Brok, nie przerywając, w milczeniu wysłuchiwał Protektora. Zrodziło się wiele pytań do maga, ale postanowił ich nie zadawać. Bardziej interesowało go, co innego.

- Wobec tego? - La Bantjen zrobił krok do stołu, oparł się o blat pięściami. - Co zrobimy?

- Co zrobimy? - Brok drgnął. - Nie wiem. Sprawa jest zbyt drażliwa. Trzeba zebrać konklawe i...

- Żadnego konklawe, żadnych konsultacji z pozostałymi członkami Kolegium Magna. Nikt o niczym nie powinien wiedzieć.

- Tak nie można, Awierze. Mamy umowę z Wajdorami. Ta umowa jest święcie przestrzegana od setek lat.

- Zastanówmy się, drogi supermagistrze - La Bantjen złączył palce rąk, przegiął, aż trzasnęły stawy. - Rozumiem wasze motyw. Nie chcecie podejmować politycznej decyzji. Ona i bez tego nie jest prosta. Niejednoznaczna, powiedziałbym. Monsalidar znajduje się na granicy Norringi i Seltonii - to raz. Książę Aksel dotychczas uważa to terytorium za część swojej domeny. Należy ono do Wajdorów - to dwa. Kolegium Magna ma umowę z nimi o rozgraniczeniu stref wpływu - to trzy. Wszystko przemawia za tym, by pozostawić wszystko, tak jak jest. Teraz proszę wysłuchać moich argumentów. Już dawno próbuję rozszyfrować tajne plany Braterstwa i coś już osiągnąłem. Zwłaszcza, po zdarzeniu z rejonowym przywódcą. Nie zastanawialiście się, dlaczego tak nalegałem na likwidację jego klanu? Dlaczego zdecydowałem się na naruszenie Kodeksu Arkanum i na otwarty konflikt z

wampirami? Żadnych domysłów na ten temat, supermagistrze? - Zrobił teatralną pauzę. - Odpowiem. Rejonowy przywódca zanadto zbliżył się do Źródła Zacięionej Mocy. Nieprzypadkowo przeniósł się ze swoimi podopiecznymi z Norringi, bliżej Monsalidaru. Podejrzewałem, że za tym kryje się jakaś tajemnica i intuicja mnie nie zawiodła. To było bardzo niebezpieczne. Przy pomocy tego rzeźnika, La Mara, udało się nam na pewien czas odwlec początek wojny z wampirami. Ale tylko na pewien czas. Źródło Mocy jest nadal aktywne i znajduje się w Monsalidarze, na terenie, który kontrolują ci heretycy, Wajdorzy. Teraz, mogę o tym mówić z całą pewnością. Jest i jeszcze jedna, interesująca okoliczność: Pamiętacie dziewczynę-Sidkę, o której wam mówiłem? Widziano ją w Kornale - zrobił wymowną pauzę. - W Kornalu, supermagistrze. Całkiem blisko Monsalidaru i wajdorskiego, heretyckiego gniazda. Przypadkowa zbieżność? Według mnie, nie.

- Argumenty przekonujące, mój przyjacielu. Ale co możemy?

- Mamy tylko dwa sposoby, by zneutralizować Źródło. Pierwszy, nie do przyjęcia: Przekonać księcia Aszlera i Kolegium do rozpoczęcia podjazdowej wojny z Wajdorami. Ogłosić wyprawę krzyżową przeciw heretykom. Księżę Aksel przyjmie te działania, jako naruszenie jego suwerennych praw i powstanie dyplomatyczny konflikt. Sposób drugiej - przyjąć mój plan. Potrzebuję tylko zgody na moją propozycję. Proszę zauważyć, mógłbym o nią nie prosić, po prostu postawić was przed faktem dokonanym. Jednak, potrzebna mi pomoc i chcę, by wszystko było zgodnie z prawem.

- Księżę Aszler nie chce wojny - Brok wydawał się zmieszany. - Kolegium go w tym poprze. Całkowicie ufam ci, Awierze, ale znajdziemy się w mniejszości i nawet mój głos niczego nie zmieni.

- Dlatego, musimy działać sami. Wszystko, czego potrzebuję, to wydanie rozkazu Salemowi de Fortanowi. Wajdorzy respektują siłę. Może pojawienie się Orków w Monsalidarze, zmusi ich do przewartościowania swoich zasad? Nie zamierzam urządać tam rzezi. Wszystko, czego chcę, to tylko otrzymać dostęp do Góry Kłów. Właśnie tam znajduje się Źródło, którego poszukiwał rejonowy przywódca.

- Z całym szacunkiem, Arenie, Wajdorzy nigdy was tam nie przepuszczą. To dla nich święte miejsce.

- Macie rację. Dlatego też proszę o wydanie rozkazu de Fortanowi. Setka Orków przekona Wajdorów lepiej, niż moje krasomówstwo. Powtarzam, nie chcę rozlewu krwi i postaram się do tego nie dopuścić.

- Tak czy owak, będziemy musieli wtajemniczyć księcia.

- Zrobimy to potem, kiedy znajdziemy Źródło i skończymy sprawę.

- Słaba motywacja, Awierze! Księżę nam nie uwierzy.

- Wcale nie musimy zdradzać jego wysokości tajemnicy Kolegium Magna - uśmiechnął się. - Powiemy, że Wajdorzy pomagali buntownikom, którzy przygotowywali w Seltonii zamach stanu.

- Kim są, ci buntownicy?

- Barnas. Ardelin. La Mar. Jak zajdzie potrzeba, znajdziemy też innych.

- Nie wiem, co bardziej mnie w tobie zachwyca Awierze, rozum, sugestywność czy bezwzględność.

- Wiem, że z Barnasem łączyła cię kiedyś przyjaźń, supermagistrze. Ale, to wszystko przeszłość. Teraz, interesy Seltonii, żądają od nas bezwzględności i roztropności. Wykonałem swoją powinność Protektorze, wskazałem Źródło Zacięionej Mocy odżywiający wampirów. Jeśli je zniszczymy, z Braterstwem będzie koniec raz na zawsze. Taki cel usprawiedliwia wszelkie ofiary. Czy myślicie, że

Braterstwo będzie wiecznie przestrzegać Kodeksu Arkanum? Powinniście to rozumieć.

- Dobrze - Brok klasnął dłońmi o blat. - Zbyt wiele ci zawdzięczam, drogi przyjacielu. Podpiszę rozkaz dla Salema de Fortana. Niech myśli, że działa na rozkaz Kolegium Magna.

- I nie pożałujecie. Mam najlepsze zamiary, supermagistrze. Mógłbym sam dać rozkaz de Fortanowi, by szedł ze mną do Monsalidaru, ale nie chcę, żeby nasz poważany i głęboko zasadniczy marszałek miał jakiejkolwiek wątpliwości dotyczące moich działań. Powtarzam, nie potrzebna mi rzeźnia i zrobię wszystko, żeby jej uniknąć.

- Wystarczy, uważajmy tę sprawę za zamkniętą - Brok słabo się uśmiechnął. - Macie dla mnie jakieś dobre wieści?

- Więcej niż dobre, supermagistrze. Otrzymałem przesyłkę od naszych przyjaciół z południa.

- To, co potrzebowaliśmy?

- Dokładnie. Czasami, przyjaźń z wrogami opłaca się, by pomóc przyjaciołom. Teraz możecie odetchnąć spokojnie i zapomnieć o strachu.

- Ach, Awierze, co ja bym bez ciebie zrobił! Jesteś nieocenionym człowiekiem.

- Wiem. I dlatego jestem wdzięczny za rozumienie. Kiedy mogę przyjść po rozkaz?

- Napiszę go od razu - podszedł do swego biurka, otworzył szufladę, wyjął kartkę papieru i napisał na nim kilka linijek. Potem przyłożył osobistą pieczęć i podał La Bantjenowi. - Proszę działać. Mam nadzieję, że nie będziesz zbyt ryzykować. Jesteś mi jeszcze bardzo potrzebny.

- Jestem magiem i liczę się z każdą ewentualnością.

- Nawet magowie nie są wszechmocni.

- Słusznie, supermagistrze - wziął kartkę i wdzięcznie uklonił się. - Jestem wyjątkowy. I szybko wszyscy się o tym dowiedzą.

Nad Ergałotą zapadła noc, kiedy La Bantjen skończył pakowanie. Szkatułę wypełniał długo i dokładnie, starając się nie pominąć żadnej z ważnych rzeczy. Sześć flakonów z Eliksirem Czystej Krwi zawinął w miękkie gałganki i wstawił w oddzielne przegródki. Obok umieścił kapsułki z zespołem elementów ochronnych many, inne odczynniki i odtrutki - zebrano się tego z półtora tuzina buteleczek. Do ostatniej, wolnej przegródki, włożył czyste blankiety z pieczętkami Trybunału, rozkaz Broka, swoją korespondencję z Warchiszem, notatki z formułkami zaklęć i po namyśle, dodał pamiętnik Wiljena - zapiski zmarłego detektywa, zaszyfrowane, ale lepiej było trzymać je przy sobie. Początkowo, chciał po prostu spalić ten pamiętnik, ale potem pomyślał, że może tam być coś kompromitującego Barnasa, więc zrezygnował. Spalić zawsze zdąży, a warto byłoby go, chociaż pobieżnie przeczytać. W każdym razie, nie powinien zostawiać go w gabinecie: zaklinanie Złączonych Rąk, nałożone na zamki szaf z dokumentami, doskonale ochroni przed złodziejami, ale nie przed doświadczonym magiem, władającym magią Rozbicia.

Zamknął szkatułę, przebrał się w podróżną odzież ze skóry i aksamitu i upodobił do myśliwego albo gajowego, brakowało tylko łuku lub samopalu, których nie miał - bojowe zaklęcie zamaskowało braki. Na wszelki wypadek zabrał ze sobą sztylet, z którym w ciągu trzech miesięcy wychodził na polowanie w slumsach

Ergałoty. Z zadowoleniem patrzył na swoje odbicie w lustrze. Pozostało tylko rozmówić się z sekretarzem.

Ten czekał w gabinecie.

- Paczka od jego wysokości, mistrzu Protektorze - zakomunikował, podając zapieczętowany zwitek.

- Wyjeżdżam do Kornalu - powiedział, łamiąc pieczęć i przebiegając oczyma treść listu od księcia. – Wszystkie sprawy biurowe spadają na ciebie, Żylarze. Nie rozczaruj mnie.

- Jak długo mistrz zamierza przebywać w Kornalu?

- To moja sprawa. Wybacz.

- Dobrej drogi, mistrzu Protektorze.

List księcia Aszlera okazał się oficjalnym zaproszeniem, w którym z charakterystyczną nonszalancją, zawiadamiał mistrza Protektora, że w ostatni dzień Miesiąca Pierwszych Mrozów, urządza gościnny wieczór dla ergałockich wyższych sfer, ambasadorów i członków Kolegium Magna. Żadne odmowy nie wchodzi w rachubę. Na szczęście, zachcianka Aszlera w żaden sposób nie przeszkodzi jego planom. Pozostają jeszcze cztery tygodnie, w ciągu których zdąży wszystko załatwić. A jeśli nie zdąży... No cóż, wtedy Aszler będzie zabawiać się bez szefa Najświętszego Trybunału. Teraz, monarsze zabawy, w ogóle go nie interesowały, tak, jak i możliwa monarsza niełaska.

Kolebka Cienia - tylko ona ma teraz dla niego znaczenie.

W podwórzu rezydencji, stał osiodłany koń. Drugi - dla Morgwen, na postojowym podwórzu, przy wschodniej bramie. Długo wybierał, chcąc kupić najspokojniejszego - nie wiadomo, jak zachowa się, kiedy dosiądzie go Nienarodzona. Wreszcie wybrał – najbardziej tępą, ułożoną i najobojętniejszą kobyłę ze wszystkich, którymi dysponował handlarz. Ten był zdziwiony i ucieszony takim wyborem znakomitego kupca, nie oczekiwał już, że komukolwiek sprzeda to zwierzę.

Pustymi ulicami, dotarł do laboratorium i zszedł do Morgwen. Nienarodzona, znacznie lepiej wyglądała po nocy Samachejny. Jednakże, teraz cały czas milczała. Przypomniawszy sobie, że w Szeranie, ożywieni zmarli, przy pomocy magii wcielenia, nazywani są Milczącymi - nie umieją mówić i wydają tylko nieartykułowane dźwięki, najczęściej chrypienie albo jęki. Te istoty stają się świetnymi służącymi i idealnymi powiernikami. Tacy, nigdy i nikomu, nie wygadają sekretów swego gospodarza. Widocznie, takie uboczne działanie ma ichoromania Zacienionej Czaszy.

- Ubieraj się - rzucił do nóg istoty węzełek z odzieżą. - Szybko.

Obserwował, jak Nienarodzona ubiera się. Pomimo swoistego piękna, nie wywoływała żadnego pożądania - tylko strach i wstręt. Nadejdzie dzień, kiedy z przyjemnością zniszczy ją. Ale teraz, jest mu potrzebna. Po prostu niezbędna. Zauważywszy, że skończyła się ubierać, podał jej długi, szeroki płaszcz z kapturem, który zabezpieczył szczególnym składnikiem, otrzymanym od alchemików Braterstwa. Przesycona tkanina odbija słoneczne światło i ciepło. Teraz Morgwen, będzie mogła podróżować także dniem, i nie wywoła żadnych podejrzeń.

Do tawerny, przy Wschodniej Bramie, jechali oboje na jego koniu i mag myślał o tym, że to chyba jeden z najnieprzyjemniejszych momentów w życiu. Nie ciałem, ale sercem czuł potworny, pozaziemski chłód, bijący od Morgwen. Kiedy Nienarodzona przesiadła się na swoją kobyłę, doznał ulgi. Koń okazał się uległy i nie próbował zrzucić swojego straszego jeźdźcy - tylko bokiem spoglądał na nią, lękliwie i cichutko chrapał.

- Gdzie to was niesie w drogę nocą, wielebny? - spytał naczelnik straży. – Czy nie lepiej poczekać do rana?

- Nie mogę, kochany - odpowiedział. - Otwieraj bramę i nie próbuj dowiedzieć się tego, czego nie powinieneś wiedzieć.

- No-no! Szczęśliwej podróży, wielobny. I niech was zachowa Hawan i cały Święty Panteon.

- I ciebie niech błogosławi – odpowiedział, dając znak Morgwen, by podążała za nim, skierował swego konia w otwierający się prześwit.

Poranek był pochmurny i stęchły, promienie skąpego, jesiennego słońca prawie nie docierały w głąb gaju, leżącego blisko drogi do Ergaloty, ale La Mar prawie nie czuł chłodu. Drzewa, które otaczały zwartym pierścieniem polanę na szczycie pagórka, graby, cisy, jesiony, młode dęby - chociaż zrzuciły listowie, nadal dobrze chroniły od porywów wiatru, szumiącego w wierzchołkach.

Najpierw, usłyszał chrzęst gałęzi wśród leszczyny, więc położył dłoń na rękojeści miecza. Ale potem zobaczył Mądralę. Pies wybiegł z krzaków, rzucił się do niego, radośnie skacząc i merdając ogonem.

- Moja miła! - popieścił psa, przycisnął do piersi. - Bez ciebie nudziłem się, przysięgam na Hawana. Mam nadzieję, że przyniosłaś mi dobre wieści.

- Dobrze i straszne - otrząsnęła się, ziewnęła. - Ale najpierw, nakarm mnie. Okropnie chce mi się jeść.

- Masz - rozłożył przed psem pokrojoną na kawałki kielbasę liwerską. - Słucham cię.

- Widziałam Ją.

- Nienarodzoną?

- Aha - zrobiła pauzę, żeby uporać się z kawałkiem. - To okropnie, La Marze. Nigdy nie myślałam, że takie coś jest możliwe.

- Zniszczę tę istotę. Ale wracajmy do sprawy. Dowiedziałaś się, gdzie jest to miejsce?

- Oczywiście. La Bantjen odprawił jakiś obrzęd i istota wymieniła nazwę. - Chwytała zębami kolejny kawałek liwerki.

- Monsalidar? - zapytał, wstrzymując oddech.

- Istotnie, miły.

- Prawdę mówiąc, nie jestem zdziwiony. O tym miejscu zawsze chodziły paskudne słuchy. Ennid powiedziała mi prawdę.

- Ennid?

- Sidka, z którą rozmawiałem w zajeździe przy drodze do Agrianumu. Co jeszcze udało ci się dowiedzieć?

- Ten stwór mówił jeszcze o jakiejs Górze Kłów.

- Wiem, gdzie to jest. Ojcowizna Wajdorów. Obcy nie mają tam wstępu. Ale to nieważne. Moje wnioski potwierdziły się, zabawa się zaczyna. Spisałaś się świetnie, miła. La Bantjen nie zauważył cię?

- Nie - uporała się z ostatnim kawałkiem, z wdzięcznością liznęła rękę La Mara. - Przyjęłam postać kotki.

- Kotki?

- Oczywiście. Na uniwersytecie jest dużo kotek. Wałęsają się wszędzie i pomyślałam, że jedną z nich można uczynić swoimi uszami i oczyma. Przecież wiesz, miły, że kotki mogą przeleźć wszędzie. I najważniejsze, La Bantjen niczego nie podejrzewał.

La Mar poczuł, jak po ciele przebiegły ciarki. Ennid powiedziała prawdę - jego Wiola, rzeczywiście jest dieargdu. Wampiry-ludzie, władający magią Upodobniania, mogą wcielać się w różne stworzenia, ale tylko elfijskie wampiry mogą kierować zwierzętami. Zresztą - także i ludźmi. Ciekawe, czy Wiola pojmuje kim jest i jaką straszną moc posiada?

Chyba nie. I to daje nikłą nadzieję.

- Nie będziemy zwlekać - powiedział, podnosząc z trawy swoją chustkę, w której była zawinięta kielbasa. - Trzeba się śpieszyć. Z Ergałoty do Monsalidaru jest około sto osiemdziesiąt do dwustu lig w linii prostej. La Bantjen ze swoim stworem będą tam za pięć dni. Powinniśmy zdążyć do Bursztynowego Portu i powiadomić naszych przyjaciół. Jeśli się pośpieszymy, dotrzemy do Monsalidaru równocześnie z La Bantjenem.

- Naprawdę, chcesz przyjąć pomoc od tej kobiety, Kasty? – Zapytała niespodziewanie.

- To nie mój wybór – odpowiedział po chwili milczenia. - Zostałem zobowiązany do tego. Potrzebni są nam sojusznicy, Wiolu. We dwoje, nie pokonamy La Bantjena i jego tworu.

- Wątpisz w to, że jestem gotowa za ciebie umrzeć?

- Nie - zrozumiał, że złości się i jest zazdrosna. Bogowie, brakuje mu tylko zazdrości wampira! - Wiem, że jesteś wojowniczką. Wiem także, że szalenie ciebie kocham. Nigdy i nikogo tak nie kochałem. I chyba nie pokocham. Wierzysz mi?

- Ty... mówisz prawdę?

- Najprawdziwszą. Nie mam nikogo, oprócz ciebie.

- La Marze, po co mi to powiedziałaś! Sprawiasz mi tym większy ból.

- Dobrze, nie będziemy już o tym mówić. Powinniśmy jechać.

- La Marze!

- Co, kochana?

- A dlaczego miałibyśmy... nie spróbować? Mówiłeś pewnego razu, że nigdy nie widziałeś mnie gołej. Może, przyszedł czas zobaczyć? Teraz, La Marze. Tu świeci słońce, nie możesz zdjąć ze mnie zaklęcia. Ale niedaleko stąd widziałam porzucony dom. Możemy tam pójść i ja...

- Wybacz mi, ale teraz to niemożliwe - objął głowę Mądrali dłońmi, zajrzał w bursztynowe oczy i zobaczył łzy. - Przysięgam, że przyjdzie dzień, kiedy zdejmę z ciebie to przekleństwo. Staniesz się zwykłą dziewczyną, wspaniałą i czystą, jak twoja dusza. I wtedy poproszę, byś została moją żoną. Nie osądzaj mnie, kochana. Moje życie należy tylko do ciebie. Do ostatniego tchu będę przy tobie. Ale teraz, czeka na nas Monsalidar i bitwa, do której przygotowywałem się przez wszystkie minione lata. Powinienem się zemścić się za nas, za ciebie. Za nasze okaleczone życie. Póki w mojej duszy żyje nienawiść, ona będzie zatruwać naszą miłość. Pozwól mi zrzucić ten ciężar z ramion. Pozwól mi zwrócić ci światło i przyszłość. Zobaczysz, że nie pozwolę więcej, by jakiegokolwiek zło dotknęło cię. Przysięgam!

- Umrę za ciebie, La Marze.

- Lepiej żyj dla mnie. Jesteś moim szczęściem...

„- Bogowie, ona nie wie, że może znosić światło słoneczne! – myślał z niepokojem, schodząc z pagórka i obserwując biegnącą z przodu Mądralę. - Nie rozumiem, kim jest. Kogo z niej zrobili ci nikczemnicy. Nie mogę jej nic powiedzieć. Być może, bogowie zlitują się nad nami i drzemający potwór nie zdąży się obudzić ”.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nad urwistymi brzegami rzeki Baters ciemności tak zgęstniały, że dostrzec w nich cokolwiek albo kogokolwiek byłyby w stanie, prawdopodobnie, tylko nocne drapieżniki, sowy i kotki. Jednakże jeździec, który kierował się wzdłuż morskiego brzegu na południe, w stronę Bursztynowego Portu, wydawało się, widział w ciemności nie gorzej od nich. Jechał klusem, a czasami, puszczał go nawet galopem. Mogłoby się здаwać, że nieznany jeździec pragnie jak najszybciej dotrzeć do ludzkich siedzib i zupełnie nie myśli o tym, że w takiej ciemności, jego koń, może lada chwila złamać nogę na bezdrożu.

Jeszcze przed północą, zobaczył z przodu mętne, złociste ogniki - latarnie, które paliły się na przystani Bursztynowego Portu. Cel podróży był zupełnie blisko. Pozostało do pokonania w linii prostej, parę ugorów. Ale podróżnik, niespodziewanie zatrzymał gniadego i nie zsiadając, czekał. Znad morza wiał lodowaty, przejmujący wiatr, jednakże dziwny jeździec nic sobie z tego nie robił. Nie próbował skryć się przed chłodem w lesie, który czarnym częstokołem majaczył około pół mili od brzegu, nie szukał innego schronienia, nie próbował schodzić z urwiska w dolinę. Po prostu siedział w siodle i czekał. Nie wiadomo, na co.

Najdziwniejsze było to, że wybrał na oczekiwanie, najbardziej złowieszcze miejsce w tej części wybrzeża. Kilkaset łokci przed nim, w najwyższym punkcie długiego przylądka, który miejscowi nazywali Przylądkiem Tańczącego Przemysłnika, prezentowała swe piękno stara szubienica, postawiona półtora wieku temu z rozkazu ówczesnego szeryfa. Przeznaczona dla tych, którzy zajmowali się przemytem albo bezprawnym polowaniem w okolicznych lasach - właśnie stąd nazwa przylądka. A, że w ręce obecnego szeryfa już dawno nikt nie wpadł, pętla szubienicy leniuchowała. Właściwie, nie było jej od dawna, tylko wysoki, dębowy słup z poprzeczką, schodami i zardzewiałymi, żelaznymi pierścieniami do sznura. Mieszkańcy osiedla i okolicznych farm unikali tego miejsca i tylko czasem, stary aptekarz z Bursztynowego Portu zaglądał tu, z nadzieją znalezienia pod szubienicą korzenia mandragory. Tymczasem, trafiały mu się tylko drobne kości i różne drobiazgi, które wypadły z kieszeni, powieszonych tu kiedyś nieboraków: kości do gry, przeżarte rdzą szpilki, guziki, miedziane monety. Aptekarz sprzedawał je jako talizmany chroniące przed topielcami i zjawami. Jakiś wędrowny bard-pijaczysko, ułożył nawet o szubienicy na brzegu, przydługawą i paskudnie zrymowaną balladę, której bardzo szybko nauczyli wszyscy bywalcy Bursztynowego Portu i wyśpiewywali w tawernie Klotana podczas pijatyk. Nie cała - była zbyt długa - ale najbardziej chwytające za duszę kuplety, stukając pucharami i zalewając się pijackimi łzami:

Ręce związane i pętla na szyi
I konia pogania mój kat,
Ziemi już nie ma pod nogami mymi -
Nie płacz najdroższa, kochana od lat!
Byłaś mym światłem, nadzieją i życiem,
Pierścień ci dałem na wieki,
Prawo zламаłem i sąd należycie,
Nakazał mi zamknąć powieki.
Dziś z szubienicą się tą zaręczyłem -
Przebacz, z nią ciebie zdradziłem!

Jeździec z szubienicą nie miał nic wspólnego. Miejsce to wybrał wyłącznie dlatego, że stąd była dobrze widoczna droga prowadząca do Bursztynowego Portu.

Mógł w najdrobniejszych szczegółach obserwować, co się na niej działo, ponieważ, podobnie jak wspomniane sowy i kotki, widział w ciemności. A do tego, z Przylądka Tańczącego Przemytnika, roztaczał się widok na zatokę, a w niej stała – wielka, bojowa galera, wyraźnie nie seltońskiej budowy, z rzeźbioną postacią na dziobie i misternie wygiętą rufą. Obserwując trakt, od czasu do czasu przenosił spojrzenie w stronę portu i spoglądał na cudzoziemski statek.

Czas mijał, wiatr znad morza się wzmaczał, zaczął kropić lodowaty deszcz. Nie zwracał uwagi na wiatr i deszcz, stał nad urwiskiem jak posąg, nieruchomy i milczący, tylko koń od czasu do czasu pochrapywał i rzucał głową. Wreszcie, na drodze, ukazał się ten, kogo oczekiwał zagadkowy, cierpliwy podróżnik - inny samotny jeździec, w towarzystwie biegnącego psa.

- Sien ah thamna, Anneva! - z ulgą powiedziała podróżniczka, zwracając się do swego konia. - Fa' vae ar La Mar mis au hoine Deargdhu. Ai mannir!

Gniady koń zrozumiał frazę, w języku Sidów – nareszcie – pojawił się człowiek o imieniu La Mar i jego towarzyszka-wampir. Zrozumiał i pogalopował po wrzosowym urwisku, krzesząc iskry z kamieni podkowami. Sidka bardzo się śpieszyła - trzeba było jak najszybciej urządzić spotkanie La Mara z kobietą o imieniu Kasta. Dziwną kobietą, która, zgodnie z wolą Zapomnianych, stała się ich Wojownikiem. Ale wcześniej, musi być na statku i rozmówić się z nią w cztery oczy.

Kasta obudziła się z poczuciem koszmaru. W kajucie ktoś był. Czarna postać zrobiła krok w stronę łóżka, zamigotały zielone ogniki oczu.

Błyskawicznie chwyciła Flamejona, otworzyła usta, żeby krzyknąć, ale nagle, zapaliło się przyćmione, zielonkawe światło, rozpraszając mrok i zobaczyła niezwykłą istotę - młodą kobietę-Sidkę. Jasnowłosą, z ogromnymi oczyma, delikatną, jakby wykonaną z porcelany.

- Pst! - Sidka z uśmiechem przyłożyła delikatny paluszek do warg, uczyniła jeszcze krok w jej kierunku. - Heyva, Seltoniel!

- Niech mnie przeklnie Havan! - szeroko otwartymi oczyma patrzyła na niesamowitego gościa. - Sidka, najprawdziwsza. Czego potrzebujesz?

- Nie tak głośno, Kasto. Przyszedłam porozmawiać. Mój przyjaciel już spotkał się z tobą. Opowiedział ci, jaką służbę powinnaś przyjąć?

- Nie jestem nic nikomu winna - odpowiedziała, stopniowo przychodząc do siebie. - Był chłopak, La Mar. Niecały tydzień temu. Zaproponował mi pewną pracę i zrozumiałam, że go wysłał któryś z Zapomnianych Bogów. Co ty masz wspólnego z tą sprawą?

- To ja go wysłałam.

- Przekazałaś mu imiona moich bliskich. Jesteś jedną z Zapomnianych?

- Tak.

- Teraz rozumiem, dlaczego widzę przed sobą Sidkę. Jesteś boginią, więc możesz przybrać każdą postać.

- Nastraszałam cię?

- Wcale - wsunęła Flamejona do pochwy. - Po co przysłaś?

- Chcę z tobą porozmawiać, zanim spotkasz się z La Marem.

- Jest tu?

- Właśnie przyjechał. Zatrzymał się w tawernie na nocleg. Czekaj na poranek, nie chce cię niepokoić o tej porze.

- No i co?

- Myślę, że powinnaś natychmiast udać się tam. Nie ma potrzeby czekać do świtu.

- Po co taki pośpiech? Chce mi się spać.

- Cenna jest każda godzina. Cień zaczął działać, jego siła rośnie. Nasi wspólni wrogowie, łąka chwila otrzymają to, czego szukają.

- A czego szukają? Wyjaśnij mi wszystko prosto i zrozumiale. Nie lubię tajemnic.

- Szukają Przejścia. Magicznej drogi, łączącej Kolebkę Cienia w Seltonii z dawną świątynią Szu, ukrytą w podziemiach Sabianumu, rezydencji sabejskich władców. Tam jest ukryty potężny artefakt, Wieniec Otchłani - czasami nazywany Hełmem Otchłani. Ten, kto go włoży na głowę, obudzi żołnierzy Wejel-Zabara, ostatniego, pogańskiego władcy Szu. Pułki wojowników-demonów, których nie można pokonać zwykłą bronią. Obudzi i będzie nimi dowodzić. Jeśli agentom Cienia, uda się znaleźć to Przejście, zdołają zdobyć Wieniec Otchłani, zanim wojska Darnatu zdobędą stolicę Sabei.

- Czyli, darnatczycy wszczęli tę wojnę z powodu Hełmu?

- Darnatczycy zostali wykorzystani. Ajwari i Angus opowiedzieli ci o magach Zacienionej Czaszy?

- Tak. To znowu ich sztuczki?

- Niestety, Kasto - starają się zdobyć Dary Otchłani wszelkimi sposobami. Słowo Otchłani, już jest w ich rękach. Magowie Czaszy wykorzystali odwieczne pragnienie władców Darnatu do podporządkowania sobie Sabei i innych krajów Zielonego Morza. Ale główną nagrodą w tej wojnie, jest Hełm. Jeśli magowie Czaszy zdobędą go, jak już zdobyli Słowo, odbierając go Orkom, będą mogli określić miejsce, gdzie znajduje się ostatni z Darów Otchłani - Ognista Laska Ojca Cieni, dająca swemu właścicielowi władzę nad światem Cienia.

- To znaczy...

- Że ten, kto otrzyma Laskę, zostanie władcą Cieni, władcą demonów Zacienionej Strony. Światy zjednoczą się pod jego władzą i wtedy wróci epoka Szu. My, Zapomniani Bogowie, którzy kiedyś stworzyli ten świat, zginiemy, a razem z naszą zagładą i czas ludzi skończy się.

- Prerażająca perspektywa. La Mar mówił o zupełnie czymś innym. Opowiedział o wampirach i jakimś czarnym magu szukającym Kolebki.

- La Mar nie jest wtajemniczony w to, co ty. Właśnie dlatego przyszłam do ciebie wcześniej, zanim znów spotkasz się z nim i udasz się do Kolebki Cienia. Wampiry i mag to zmartwienie La Mara. Gdy mu pomożesz, otrzymasz nagrodę. Ale najważniejsze - powinnaś znaleźć Przejście.

- Nagroda nie zaszkodzi. - Ale nie rozumiem, co powinnam zrobić.

- Znaleźć Przejście i wejść do niego, żeby na zawsze je zamknąć. Kiedyś, w epoce Szu, wszystkie Kolebki Cienia były powiązane ze sobą i z Zacienionymi Granicami, podobnymi, magicznymi przejściami. Wykorzystywali je demony-magowie do błyskawicznego przemieszczenia się między światami. Jeśli z takiego przejścia skorzysta człowiek, będzie ono na zawsze zamknięte.

- Dokąd zaprowadzi mnie to Przejście?

- Do podziemi Sabianumu. Tam, gdzie przechowuje się Hełm Otchłani. Powinnaś zawładnąć nim wcześniej od magów Czaszy.

- Rozumiem, a dlaczego powinnam pomagać La Marowi?

- Z powodu Sidów, Kasto. W epoce Szu, magowie Czaszy i urzeczywistnione demony Cienia, prowadzili wojnę z Pierwszym Narodem. Próbowali zniszczyć Sidów i prawie im się to udało. Skłócili między sobą Sidów i ludzi, którzy od stuleci żyli na

ziemiach Glennsidii w pokoju i wzajemnym poszanowaniu. Zacienione hordy zdobyły dawną stolicę Sidów Mennarachan i przekształciły królewski pałac w jedną z Kolebek Cienia. Miejsce, z którego chmury stworów rozpełzły się po okolicznych ziemiach. „Mennarachan” w waszym języku oznacza Kły Góry, Monsalidar. Właśnie tam się udacie.

- No i co dalej?

- Kiedy w bitwie z demonami Szu, zginął ostatni król Sidów Awedeo Odważny, Pierwszy Naród zwrócił się do bogini wojny Łaeki z prośbą, by stanęła na ich czele. Sidowie zawsze uważali się za równych bogom. Nazywali Łaekę, na swoje potrzeby, Welirą, Darującą Sprawiedliwość. Łaeka zgodziła się i Pierwszy Naród zdołał wyrzucić zaborców z Glennsidii.

- Twoje imię, Łaeka, czyż nie tak?

- Tak mnie kiedyś nazywano. Teraz nazywam się Ennid ap-Glennsid. Sidowie zostali moim narodem, a ja stałam się częścią Pierwszego Narodu.

- To niewiele wyjaśnia. Nadal nie rozumiem, co wspólnego mają z tym Sidowie.

- Postaraj się mnie zrozumieć, Kasto. Słyszałaś o królowej Margianie, dziecku urodzonym z zacienionego demona i śmiertelnej kobiety. Jej narodziny oznaczały, że przepowiadane w Tabelach Losów wtargnięcie Cienia, zostało zapoczątkowane. I wtedy, Zapomniani Bogowie spróbowali to zatrzymać. Czynili to, co powinni. O tym, jak i dlaczego jesteś związana z młodzieńcem o imieniu Leodan, wiesz. Jednakże, przyszły Wojownik Zapomnianych, powinien być otrzymać z ich rąk święte relikwie - wszystkie dziewięć, po jednej od każdego z Bogów. Bez nich, zwycięstwo nad Cieniem jest niemożliwe. By uwolnić niektóre z nich od nałożonego podczas epoki Szu zaklęcia Wrogości, i uczynić dostępnymi dla ludzi, należało pogodzić i zjednoczyć rasy w walce przeciwko wspólnemu wrogowi. Zjednoczyć krew. Jako pierwsza z nas, zdecydowała się na to nasza siostra Ajwari, która urodziła syna Orka.

- Nazywał się Tulkan - Kasta westchnęła. – Jakże trudno to wspominać.

- Drugą byłąm ja. Urodziłam dziecko człowieka. - Ennid zrobiła pauzę. - Dziewczynkę. W tym roku ukończyła siedemnaście lat.

- Masz dorosłą córkę? Sama wyglądasz jak dziewczynka.

- Sidowie nie mają wieku, Kasto. Jestem znacznie starsza, niż wyglądam.

- I gdzie jest teraz twoja córeczka?

- Z La Marem.

- Zostawiłaś swoje dziecko? Oddałaś je La Marowi?

- Bogowie posiadają nieśmiertelność, Kasto, ale często pozbawieni są tego szczęścia, które jest dane ludziom. Na przykład, szczęścia osobistego wychowywania swoich dzieci. Po urodzeniu Wioli, byłam zmuszona zostawić ją przy ojcu, który był wspaniałym człowiekiem. Umarł nagle, gdy osiągnęła zaledwie piętnaście lat i z tego powodu została oddana do schroniska. Gdy dowiedziałam się o tym, było za późno, nieszczęście już się zdarzyło – handlarz żywym towarem Koljer, porwał moją córkę i sprzedał wampirom z Norringi. Aren La Mar, polujący na wampiry, zniszczył legowisko norringkich wampirów i znalazł tam Wiolę. Ukąszenie, zaraziło ją zacienionym przekleństwem, moja córka stała się dieargdu, elfijskim wampirem. La Mar zlitował się nad nią i zachował przy życiu, nie domyślając się kim jest. Do dziś nie wie, że jestem matką Wioli. Teraz los mojej córki zależy od tego, czy zdołacie z La Marem zniszczyć Kolebkę Cienia w Monsalidarze. Jeśli Przejście zostanie zlikwidowane, ona uwolni się od przekleństwa dieargdu. Przejście nie jest tylko mistyczną drogą, to także najpotężniejsze źródło zacienionej magii, które

oddziałuje na każdego, kto jest pod władzą Cienia. Póki jest aktywne, wampiryzmu nie da się wyleczyć. - Ennid westchnęła. - Tylko zniszczenie Kolebki Cienia, pozwoli nam, za pomocą magii Sidów, całkowicie uzdrowić Wiołę. Nie możecie dopuścić do porażki, Kasto. W tobie i La Marze, jest cała moja nadzieja.

- Nie wierzysz w naszą misję?.

- Chcę wierzyć w powodzenie. Jeśli nie dacie rady, wybór będzie niewielki - albo pogodzić się z tym, że spadkobierczyni dawnego tronu Glennsidów zostanie wampirem albo zabić Wiołę - podniosła na Kastę smutne spojrzenie. – Będę musiała zabić własną córkę.

- Rozumiem - ujęła dłonie Sidki w swoje. - Pomogę.

- Nie pomyliliśmy się, co do ciebie, Lejdo Kasto. Rzeczywiście jesteś wyjątkową kobietą.

- Najzwyklejszą, ale wiem, czym jest śmierć własnego dziecka. Zrobię wszystko, by ci pomóc.

- Poczekaj. Muszę jeszcze coś ci powiedzieć. Moje małżeństwo z Arselem de Wai i urodzenie Wioli, zdjęło zaklęcie Wrogości z relikwii, którą powinnam ci przekazać. To elfijska zbroja Łaeki. Moja zbroja. Zabiorę ją dla ciebie od Wajdorów.

- Wajdorów?

- Dawna sekta wojowników-kapłanów, czcicieli Welirry. Po wojnach epoki Szu, Mennarachan został doszczętnie zburzony i Sidowie porzucili te miejsca, na zawsze opuszczając Glennsid. Ludzie, którzy żyli w Mennarachanie, także odeszli. Zostali tylko ci, którzy nie chcieli opuszczać ojczyzny i złożyli przysięgę, że drzemiące w ruinach Mennarachanu zło, nigdy więcej nie wyrwie się na wolność. Poczuli się do winy, że nie pomogli Sidom w ich walce przeciwko Cieniowi i postanowili swoją służbą Welirii odpokutować winę. To właśnie oni byli pierwszymi Wajdorami. Ich przywódca, mag Carykat, nałożył na wejście do podziemnego miasta Mennarachany najmocniejsze zaklęcie, a magiczny klucz, zdejmujący je, schował. Od tego czasu, Wajdorzy nikogo nie dopuszczają w pobliże Monsalidaru.

- I przechowują twoją zbroję?

- Teraz, to twoja zbroja - uśmiechnęła się Sidka. - To nagroda, za twoją zgodę. Za twój udział w losie mojej dziewczynki. Wajdorzy czekają na ciebie. Nie lekceważ ich pomocy, są świetnymi wojownikami.

- Dobrze. Ubiorę się i możemy iść.

- Poczekaj. Zanim spotkasz się z La Marem, chcę cię prosić o jedną przysługę. Nie mów mu, że ona jest moją córką. Nie opowiadaj także o tym, czego dowiedziałaś się ode mnie. Niech to zostanie dla niego tajemnicą - do pewnego czasu. Wioli też nic nie mów. Chcę, żeby prawdę poznała tylko ode mnie.

Wisław przez sen poczuł dotknięcie i natychmiast otworzył oczy. Przy łóżku stała Kasta, w zbroi i z mieczem za plecami.

- Cicho, nie rozbudź Leodana! - szepnęła, spoglądając z ukosa na śpiącego młodzieńca. - Dzisiaj nie laź ci pod boczek?

- Co się stało? - nie wstając, zapytał Reszyjec.

- Czas w drogę. Ubieraj się i wychodź na pokład. Czekam na ciebie. Jeśli, oczywiście, nie rozmyśliłeś się.

Powiedziała - i cicho wysliznęła się z kajuty. Po chwili skrzypnęły stopnie schodów pod jej lekkimi krokami. Wisław odrzucił kołdrę, szybko się ubrał. Wziął łuk i podarowany przez Kastę pałasz. Popatrzył na śpiącego Leodana.

- Tak, przyjacielu, wyobrażam, co czeka mnie, kiedy spotkamy się znowu – mruknął. - Jeśli, oczywiście, spotkamy się. Wybacz, że odchodzę bez pożegnania.

Kasta stała na pokładzie, przy trapie, obok kapitana Fasisa. Wisław kichnął, zgarbił się z powodu przejmującego, nocnego chłodu i podszedł do dziewczyny.

- Nie mogliśmy poczekać do świtu? Czy świat jest w wielkim niebezpieczeństwie i trzeba go pilnie ratować?

- Świat może poczekać, Wisie - odpowiedziała. - Ale będące w niebezpieczeństwie dziecko - nie może. Idziemy, czekają na nas.

- Nie powiedziałaś, co ja mam robić - przypomniał kapitan.

- Czekać tu, na nasz powrót.

- Kasta! - zawołał Fasis, kiedy dziewczyna była już przy trapie. - Weź!

- Pieniądze? - popatrzyła na portmonetkę w rękach kapitana. - Po co?

- Ani ty, ani Wisław, nie macie koni. Tu, wystarczy na parę z uprzężą.

- Dziękuję, Fasisie. Wis, weź pieniądze.

- O jakim dziecku mówiłaś? - zapytał już na pirsie.

- Nieważne. Ważniejsze, że La Mar już jest i czeka na nas. Idziemy, póki Leodan się nie obudził. Bo będzie krzyk na cały Bursztynowy Port.

Ennid widziała, jak trzech jeźdźcy, jeszcze przed świtem, odjechali z tawerny Klotana i skierowali się, traktem, na północny wschód. Rudy pies biegł za nimi. Dotknęła gołeniami gniadą i podążyła ich śladem.

Towarzyszyła im długo, do czasu, kiedy zatrzymali się przy niedużym strumieniu, by odpocząć, napić i nakarmić konie. Później, puściła konia galopem, kierując się dalej traktem w stronę Ergałyty.

Nie była długo samotna. Bardzo szybko, na niebie, nad głową, ukazała się czarna kania. Ptak, jakiś czas szybował w potokach powietrza, a potem pikował i usiadł na podstawionej ręce.

- Widziałeś go, Fileor? - zapytała.

Ptak wydał przenikliwy krzyk, zatrzepotał skrzydłami. Ennid podrzuciła go, a on, wzbiwszy się w niebo, poleciał na północ, żeby dalej obserwować maga Trybunału i jego straszną towarzyszkę.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Chata, zbudowana niedawno, była przestronna, mocna i zadbana. Unosił się w niej jeszcze mocny aromat sosnowych strużyn i smoły. Wewnętrzne przegrody, z dokładnie ostruganych desek, dzieliły ją na kilka małych izb. Największa pełniła rolę salonu, dwie mniejsze - przeznaczone zostały do odpoczynku. Reszyjec, któremu dwie noce, spędzone pod otwartym niebem, przypominały o sobie bólami w stawach, natychmiast się ożywił zobaczywszy łóżka. La Mar szybko zaświecił lampę oliwną, postawił na stole i zwrócił się do gości.

- Zaraz rozpale ogień i można będzie przygotowywać kolację. – Siadacie i odpoczywajcie, ja zajrzę do spiżarni.

Wisław usiadł na polanie zastępującym taboret i głośno westchnął. Kasta rzuciła mu ironiczne spojrzenie.

- Zmęczyłeś się?

- Zmęczyłem. Lata biorą swoje.

- Też mi staruszek! Tobą ziemię orać można. Ile masz lat?

- Dużo, kobieto. Dwa razy więcej, niż ty.

- Przysięgam na Beris, rzeczywiście staruszek - zaśmiała się. - Jeszcze próbuje beczelnie podrywać mnie.

- Jak każdy pragnę prawdziwej miłości, choćby na stare lata - obejrzał chatę. - Dobry dom. Ten La Mar, jest mistrzem w każdym fachu.

- To nie mój dom – myśliwy, polujący na wampiry, ukazał się w drzwiach, trzymając w jednej ręce wędzony udziec w powroźniczej siatce, a w drugiej – pojemny, skórzany worek. – Postarał się o to jeden mój przyjaciel - drwał. Miejsce dobre, ustronne, niedaleko strumienia. Kiedy bywam w tych stronach, zatrzymuję się tu. T'jeren nie ma nic przeciwko temu, miłe chłopisko. Kiedyś, wyleczyłem jego żonę z mysiej febry i od tamtej pory uważa mnie za przyjaciela. Nawet pozwolił urządzić w spiżarni przy domu nieduże laboratorium.

- Laboratorium?

- Miejsce, gdzie przechowuję swoje zapasy i przygotowuję pewne specyfiki.

- Ciekawe - ożywił się Wisław. – Mógłbym zobaczyć?

- Potem - odpowiedział La Mar i z jakiegoś powodu opuścił wzrok. – Zajmijmy się lepiej kolacją.

Szybko rozpałił ogień i wyszedł, żeby przynieść jeszcze drewna. Kasta skończyła oglądać izbę i usiadła naprzeciwko, wyciągnąwszy nogi.

- O czym myślisz? - zapytał.

- O niczym. Rozkoszuję się spokojem. Dobrze, kiedy rozum odpoczywa od myśli, a tyłek od siodła.

- A ja zastanawiam się, czy aby dobrze postąpiliśmy, angażując się w tę sprawę. Chociaż, nie mieliśmy wyboru.

- Ja - nie. Ale ty go jeszcze masz.

- Tak mówisz, jakby moje towarzystwo ciążyło ci.

- Sam przed chwilą powiedziałeś, że wątpisz w słuszność swojego wyboru... Wahasz się. A ja nie lubię tych, którzy zastanawiają się.

- Czemu siedzicie? - La Mar wpadł do izby z naręczem drewna, nie dając Wisławowi odpowiedzieć. - Słońce już zachodzi, a szynka sama się nie usmaży.

- Masz słuszność - napotkawszy wyraziste spojrzenie Kasty, wziął worek La Mara. Wyjmował z niego węzłki z kaszami, solą, suszonymi warzywami. – Jesteś bardzo dokładny La Marze.

- Z czego to wywnioskowałeś?

- Patrę na twoje zapasy. Ściereczki czyściutkie, węzłki akuratne. Przygotowałeś wszystko niczym kobieta.

- A, ty o tym... To zasługa mojej pomocnicy.

- Nasz przyjaciel jest zagadkowy! - zaśmiał się. - Mówi o nieznanej pomocnicy i przy tym czerwieni się, jak dziewczyna.

- Prawdopodobnie, powinienem był powiedzieć wam o tym na samym początku – powiedział po chwili milczenia. - Ale, lepiej późno, niż wcale. Wiola, to dziewczyna, która mi pomaga... Szczerze mówiąc, nie jest zwykłą dziewczyną.

- Oczywiście, poluje na wampiry! - wykrzyknął Wisław.

- I sama jest wampirem - dodała Kasta, patrząc na La Mara. - Dieargdu.

W chacie zrobiło się cicho, tylko w ognisku trzeszczały rozpalające się drewna. Kasta i Reszyjec patrzyli na La Mara, a mag - w ogień. Po chwili się odezwał.

- Rozmawiałaś z Sidką?

- Tak. Dlatego grajmy w otwarte karty, La Marze. Przecież wspólnie ruszyliśmy do walki.

- Masz rację - odpowiedział i podszedł do drzwi. - Ale proszę cię, Kasto, nie zdradzaj Wioli, kim jest. Ona nie wie o swojej naturze Sidki. Uważa się za zwykłego wampira-człowieka. Prawdziwa jej rola w całej tej historii jeszcze nie została określona. Niech wszystko pozostanie tak, jak jest. Chodźcie za mną.

Laboratorium, o którym wspominał La Mar, mieściło się za spiżarnią, w obszernej ziemiance, ze ścianami z bierwion i podłogą z desek. Było połączone ze spiżarnią niskimi drzwiczkami, którymi można było przejść tylko nisko nachyliwszy się. W świetle kilku, jasno palących się latarni, Wisław zobaczył pod ścianami dwa długie stoły zastawione tyglami, moździerzami, retortami, ceramicznymi i szklanymi butelkami oraz innym sprzętem, przeznaczonym do doświadczeń alchemicznych. W kącie, pod blaszanym wyciągiem, w niedużym palenisku żarzyły się węgle. Zgrabna, młoda dziewczyna w płóciennej koszuli, krótkich spodenkach i zamszowych mokasynach na bosych nogach, rozgrzewała nad węglami okopcony tygiel, uchwyciwszy go długimi szczypcami. Pomimo wyciągu, w ziemiance unosił się mocny i żrący zapach siarki.

- Wiola de Wai - przedstawił La Mar. - Moja kochana pomocnica.

- I jeszcze pies - ze skruszonym uśmiechem, dodała dziewczyna. - To, żebyście nie pytali, skąd się tu wzięłam.

- Nie zapytałabym - Kasta podała dziewczynie rękę. - La Mar powinien poznać nas wcześniej.

- Niestety, Kasto, póki świeci słońce, mogę być tylko psem. La Mar powiedział wam, że jestem wampirem?

- Jaką substancję, o tak paskudnym zapachu przygotowuje miła dziewczyna?

- zainteresował się Wisław, udając, że ostatnie słowa Wioli wcale go nie zdziwiły. - Tu nie ma czym oddychać.

- Przepala sól Eszera - odpowiedział La Mar.

- Sól śmierci? Trzy części cynobru, pięć części oczyszczonej soli kuchennej, po dwie części siarczanu miedzi, srebrzanki, kryształów Gullera i osikowego popiołu. Rozprowadzić w mocnym roztworze zielonego octu i odparowywać w kalcynatorze. Skąd tu siarka?

- Jesteś alchemikiem? - zdziwiony La Mar popatrzył na Reszyjca.

- Przyjacielu, zupełnie zapomniałeś, że kiedyś też polowałem na wampiry. - Wisław obejrzał reagenty i naczynia na stołach. - Jeśli masz pewne składniki, mogę podzielić się swoimi recepturami, o ile, oczywiście, jesteś zainteresowany.

- Wspaniale - powiedziała Kasta, mrugnawszy porozumiewawczo do Wioli. - Przygotujcie wyciągi, a my pójdziemy, pospacerujemy. Słońce już zaszło, wobec tego czas, by dziewczyna pooddychała świeżym powietrzem, a nie tym smrodem. A wy możecie nasycać się nim dalej. A nuż, przygotujecie obaj coś wartościowego. Jak ci się podoba mój pomysł, Wiolu?

- Świetny - dziewczyna z uśmiechem przekazała szczypce La Marowi. - Wybacz, kochany.

- Zimno - powiedziała Kasta, gdy wyszli z piwnicy. - Idź, ubierz się.

- Wampiry nie czują chłodu i upału - odpowiedziała ze smutkiem. - Chciałaś porozmawiać ze mną, czyż nie tak?

- Nie jesteś podobna do wampira. Co ci się przydarzyło?

- Ukąszenie. La Mar uratował mnie. Jest jedynym, komu mogę ufać.

- Bardzo trudno mi uwierzyć w istnienie wampirów, miła.

- Trudno? - uśmiechnęła się szeroko i Kasta poczuła, jak ogromne przerażenie skuwa lodem jej serce. - A teraz?

- Przestań. W imię Szante, nigdy więcej przy mnie tak się nie uśmiechaj.

- Przeraziłam cię?

- Nie, zrobiło mi się ciężko na duszy. Jesteś silna, jeśli możesz z tym żyć - podała dziewczynie rękę. - Wybacz mi, miła. Powinnam ci była uwierzyć na słowo.

- Chciałaś ze mną o czymś porozmawiać?

- Dziewczyny potrzebują czasem trochę zwierzeń. Odejdziemy dalej.

Wiola pokornie poszła za nią na skraj łączki. Tu, Kasta usadowiła się na wielkiej kłodzie, gestem proponując dziewczynie, by usiadła obok. Jakiś czas siedziały w milczeniu i oglądały ciemniejące po zachodzie słońca niebo.

- Lubisz La Mara? – zapytała wreszcie.

- Lubię – odpowiedziała z pewnym wezwaniem w głosie. - Chcesz mi powiedzieć, że też jesteś w nim zakochana?

- O, nie! O mnie nie musisz być zazdrosna, dziewczynko. Między innymi, dla tego poprosiłam cię o tę rozmowę, żeby wszystko wyjaśnić. Nie chcę, żebyś mnie o coś podejrzewała.

- Rozumiem. Lubisz Wisława?

- Tylko, jako przyjaciela. Jeśli postanowisz się w nim zakochać, nie będę się sprzeciwiać.

- Żartujesz! - oczy Wioli się zaokrągliły. – Przecież on jest stary.

- Nie starszy od La Mara. Zapamiętaj, nie jestem i nie będę twoją rywalką. To, co zamierza zrobić La Mar, robi tylko dla ciebie.

- A ty?

- Mam swoją wojnę. I jestem tu ze swoich powodów. Ale, pomogę ci. I chcę, żebyś uważała mnie za swoją przyjaciółkę.

- Jak to się stało, że zostałam wojownikiem?

- Prawdopodobnie, urodziłam się pod nieszczęśliwą gwiazdą. Tak się ułożyło moje życie. Teraz, wydaje mi się, że nie byłam nigdy inna. Urodziłam się w tej zbroi i z mieczem w ręce.

- Nigdy nie miałaś rodziny?

Nie odpowiedziała. Zdjęła z szyi medalion, otworzyła wieczko i podała Wioli.

- Syn? – Wiola koniuszkami palców pogłaskała miękkie, jasne włosy w medalionie.

- Córeczka. Elea.

- Żyje? Przebaczone – dodała zmieszana, gdy zobaczyła, że ta pokręciła głową. - Wampiry?

- Dżuma.

- A twój mąż? Ojciec Elei?

- Jest razem z nią - wyjęła medalion z palców Wioli. - A ja żyję tylko marzeniem, że pewnego dnia zobaczę ich.

- Ja także mam marzenie. Chcę, żebym ja i La Mar...

- Zrozumiałam. Widziałam twoje oczy, kiedy weszliśmy do piwnicy. Jak na niego patrzyłaś. Tego nie da się wypowiedzieć słowami. Wszystkie twoje marzenia, były w twoim spojrzeniu. Uwierz mi, on uczyni wszystko, byś się stała dawną dziewczyną. Uwolni cię od przekleństwa.

- Myślisz, że jest to możliwe?

- Człowiek rzadko otrzymuje to, co chce. Ale czasami, taki cud się zdarza. Przez trzy lata byłam cyrkowym wojownikiem. Walczyłam na arenie w Darnacie, zabijałam ludzi i zwierzęta, zabawiając tłumy. Marzyłam przy tym, by umrzeć. Udać

się na Zacienioną Stronę, żeby spotkać się z Ajlorem i Eleą. Wydawałoby się, jak prosto mogę urzeczywistnić swoje życzenie. Wystarczyło, tylko jeden raz poddać się, nie odbić tarczą na czas uderzenia, nie uchylić się przed skokiem zwierzęcia, rzucić się na ostrze włóczni. I wszystko by się skończyło. Ale natura człowieka jest taka, że walczy do ostatka. Walczy z losem nawet, kiedy jego serce mrozi czarna rozpacz. Po każdej bitwie, leżałam na swojej macie w kubikulu i myślałam: Znowu nie dałaś siebie zabić, Kasto! A potem rozumiałam, że robiłam to nie ze strachu przed bólem, cierpieniem, śmiercią. - Zaśmiała się ze smutkiem. - Wiesz, czego się bałam, Wiolu? Że mój trup, pokiereszowany, goły i nieobmyty, pokryty krwią i przedśmiertnymi fekaliami, rzuca do wspólnego grobu dla niewolników, rojącego się od robaków i szczurów, w ogromnym, strasznym rowie w pobliżu Darnatu. A potem, na własne oczy zobaczyłam to miejsce i zrozumiałam, że nie na próżno, przez te trzy lata, walczyłam o swoje życie. I niespodziewanie otrzymałam to, o czym marzyłam. Uzyskałam wolność. Wróciłam do ojczyzny. I mam cel - żyć tak, żeby o wyznaczonej godzinie, kiedy Nekrian przyprowadzi mnie do moich niezapomnianych, oni poznali mnie i spotkali z radością i miłością.

- Po co mi to mówisz?

- Chcę, żeby tobą też owładnęła pewność.

- Zmęczyłam się - potrząsnęła głową, oczy jej stały się lodowate. - Nawet nie wyobrażasz, jak strasznie być wampirem. Pewnego razu w Menajerii widziałam trędowatego. Stał przy miejskiej bramie - straż nie wpuściła go. Prosił o jałmużnę. Litościwi ludzie rzucali mu drobne monety, a on zbierał je swoimi okaleczonymi rękoma. Był ode mnie w odległości kilkudziesięciu stóp, ale czułam bijący od niego straszny smród rozkładu. On był żywy i jednocześnie martwy. Ludzie pogrzebali go żywcem, nie czuli do niego nic, oprócz wstrętu i strachu. Kiedy Koljer przyprowadził mnie do tej twierdzy i oddał wampirom, zrozumiałam, że umarłam i jestem żywym nieboszczykiem, którego normalni ludzie nienawidzą i boją się, jak tego nieszczęśliwego, trędowatego z Menajerii. Ale przecież trędowaty nie był winny, że stał się taki. To choroba uczyniła z niego odrażającego odszczepieńca. Ja także nie jestem winna, że zostałam wampirem. Nie wiem, dlaczego La Mar darował mi wtedy życie. Czasami jestem wdzięczna mu za to, że zostawił mi nadzieję. A czasami...

- La Mar postąpił słusznie - pieszczotliwie uściśnęła palce dziewczyny. - On cię kocha i pomoże ci. Oboje z Wisławem także zrobimy to, co będzie w naszej mocy. Uwierz, że wszystko skończy się dobrze.

- A co mi pozostaje, oprócz wiary? - odgarnęła z twarzy opadające włosy. - Zmarłaś, chodźmy do domu. Powinniśmy przygotować kolację dla naszych mężczyzn.

Gęsta zupa z szynki i bobu prawie ugotowała się, gdy wrócili mężczyźni. Po ich zadowolonych minach Kasta zrozumiała, że znaleźli wspólny język.

- Doskonale laboratorium - oznajmił Wisław, podając Kaście pojemniczek z kory brzoźowej, z ciemną, ostro pachnącą maścią. - Weź, kobieto i posmaruj tym klingę.

- Co to za świństwo? - krzywiąc się, powąchała maść.

- Welański, żrący balsam. La Mar znalazł wszystkie niezbędne składniki do jego przygotowania.

- Wampiry znacznie mniej odczuwają ból, niż ludzie - wyjaśnił La Mar, siadając przy stole. - Specyfik ten w kontakcie z raną, sprawia wampirowi nieznośny ból i

wywołuje szok. Słyszałem wcześniej o nim, ale receptury nie znałem. A teraz, już wiem jak go przyrządzić.

- Jeśli jest sublimat, siarczek, aconitum, piekielny kamień, górski olej i terpentyna, przygotować taką miksturę będzie w stanie nawet początkujący student - oznajmił Wisław. - A działa znakomicie, osobiście sprawdziłem.

- Gdy słucham waszej rozmowy o wampirach, wydaje mi się, że oszalałam - powiedziała Kasta. - Albo, że szydzicie, lub nabieracie mnie we trójkę - ty, Wiola i Wis.

- Widzisz, nie chcesz przyjąć do wiadomości, że to prawda. Nawet obecność Wioli, nie przekonuje cię. Myślisz, że w tym wszystkim jest jakiś chytry, magiczny trick i nic więcej.

- Zazwyczaj wierzę w to, co zobaczę. I teraz, widząc Wiołę, rozumiem, że wampiry istnieją. Mówiąc szczerze, wolałabym, aby ich nie było.

- I to właśnie jest najstraszniejsze, Kasto - zauważył La Mar. - Wampiry zdołały przekonać ludzi, że nie istnieją i wszystkie rozmowy o nich, to tylko bezmyślne przesady i głupie bajki. Najgorsze jest to, że mają sojuszników wśród ludzi, którzy znają prawdę i mimo to twierdzą, że wszystko, co się mówi o Nocnym Braterstwie, to przesady i głupie fantazje niewykształconego chłopstwa. Jeszcze osiem lat temu, nie wyobrażałem sobie, że pewnego razu uwierzę w istnienie krwio pijców w Seltonii. Dotychczas mam wrażenie, że wszystko, co mi się przez te lata przydarzyło, to był senny koszmar.

- Dużo wampirów zabiłeś, La Marze? - zainteresowała się.

- Nie liczyłem. Prawdopodobnie, nie mniej od czterech dziesiątek. Może, więcej. Przerazające jest to, że z każdym rokiem spotykałem ich coraz więcej.. Tylko w tym roku wykończyłem trzynastu. Być może, stałem się bardziej doświadczony, a może, Braci po prostu przybywa.

- Dlaczego nazywają ich Braćmi? Czy tam są sami mężczyźni?

- Nie. Ta nazwa pochodzi ze starodawnych ksiąg o demonologii. Wcześniej uważano, że wampiryzm i rzadka choroba krwi, nazywana złośliwą hemofilią, to jedno i to samo. Na hemofilię chorują tylko mężczyźni, dlatego demonolodzy przypuszczali, że wampirami mogą być tylko mężczyźni. Z tego powodu nazywali krwio pijców Braćmi albo Braterstwem. Teraz, to tylko echo dawnych poglądów. Wśród wampirów są kobiety i nawet nastolatki. Tylko nie ma wśród nich staruszków, bo oni nie starzeją się.

- Podobno wiesz o nich wszystko, przyjacielu. - Opowiedz, skąd biorą się te dranie.

- Tego nikt tak naprawdę nie wie. W jednej starodawnej książce przeczytałem, że człowiek, który choć raz spróbował krwi innego człowieka, obowiązkowo zostanie wampirem. Wiesz, jak wilk - który raz napadł na człowieka, będzie napadać stale. A do tego, wampiryzm jest zakaźny. Jak choroba, coś w rodzaju wścieklizny, przenosi się z ukąszeniem - rzucił krótkie spojrzenie na Wiołę, krzątającą się przy stole. - Jedno jest pewne, wampiry nie są żadnymi powracającymi do życia nieboszczykami. To wszystko, jest o wiele bardziej skomplikowane i straszne.

- A miejsce, którego szukamy, może rodzić wampiry?

- Możliwe. Mówiła o tym Sidka, z którą też się spotykałaś. Bardzo chciałbym wierzyć, że za jednym zamachem skończymy z tą klęską.

- I zostaniesz bez pracy, La Marze - zauważył Wisław.

- Będę szczęśliwy, jeśli usługi myśliwego polującego na wampiry, nigdy i nikomu więcej się nie przydadzą. Zająłem się tym rzemiosłem nie z własnej woli. Zmusiło mnie do tego sumienie. Widziałem, że ludzie cierpią, a nikt nie zamierzał im

pomagać. Spróbuj udowodnić lekarzom, kapłanom albo sędziom, że w kolejną, zagadkową śmierć, zamieszani są Bracia. Umarło dziecko z nieznanых powodów, a tobie wmawiają, że to po prostu gorączka. Zachorował i zmarł młody, zdrowy mężczyzna, na szyi są charakterystyczne ranki od kłów, a lekarz stwierdza, że to zacięcia przy goleniu, które zaogniły się i wywołały ogólną posocznicę. Tylko w Agrianumie w ciągu roku, widziałem cztery przypadki zgonu ludzi od ukąszenia Braci. I wszyscy udawali, że nic się nie dzieje. Nie wierzyli, że to jest możliwe. Dlatego zdecydowałem się zacząć swoją wojnę.

- Siadacie do kolacji - zawołała Wiola, skończywszy zastawiać stół.

Wypili po szklaneczce konchobaru, i w milczeniu zaczęli jeść polewkę, tworząc pozory, że nie ma więcej o czym mówić. Ale, kiedy miski zostały opróżnione, Kasta zdecydowała się podjąć temat.

- Każdy z nas ma swój cel w tej podróży - powiedziała. - Idę do Monsalidaru dlatego, że taka jest wola Zapomnianych Bogów, którą muszę wykonać, żeby odzyskać samą siebie. Wisław idzie dlatego, bo zdecydował się mi pomóc. Wiola idzie za tobą, La Marze. A, dlaczego ty idziesz?

- Dla Wioli – bez namysłu, odpowiedział mag.

- Dobra odpowiedź - oceniła Kasta, zauważywszy, jak rozjaśniła się twarz dziewczyny. - Mogę zdać się na ciebie.

- Liczysz, że nie dam rady?

- Już nie. Kiedy ruszamy?

- Jutro o świcie. Jeśli w drodze nas nic nie zatrzyma, pojutrze rano będziemy w Monsalidarze. Na początku musimy dogadać się z Wajdorami.

- Z Wajdorami? - powtórzył Wisław.

- To kapłani Welirry, dawnej bogini wojny, która nie weszła do Panteonu. Mówią, że Welirre czcili na tych terenach jeszcze w czasach, kiedy Monsalidar należał do Sidów. Kolegium Magna dawno ostrzy na nich zęby - Wajdorzy nie uznają nikogo z Panteonu. Znać nie chcą innych bogów, oprócz Welirry. Jednym słowem - heretycy. Ale są dobrymi wojownikami i norringski książę Aksel Wielki patronuje im. Dlatego, trafić do Monsalidaru, będziemy mogli tylko za pozwoleniem ich starszyny.

- Jeśli trzeba się umówić, będziemy się umawiać - powiedziała Kasta.

- Chodźmy spać - zaproponował Wisław. - Mnie od tego powietrza i konchobaru coś morzy. Ale w domu tylko dwa łóżka, La Marze. Jak rozlokujesz gości na nocleg?

- Jedno łóżko dla mnie i Wioli, a drugie...

- E, nie! - Kasta pokręciła głową. - Ja położę się z Wiolą. Nie chcę, żeby Wis całą noc chrapał koło mego ucha.

La Mar zrozumiał, co chciała powiedzieć i jego szacunek, i sympatia do tej zadziwiającej kobiety jeszcze bardziej wzrosła. Chyba nie każdy ma tyle odwagi, by spędzić noc w jednej pościeli z wampirem! Dawła do zrozumienia, że całkowicie ufa dziewczynie, nie odczuwając przed nią strachu. A jeśli nawet boi się, to nie okazuje tego. Wiola też to rozumiała i z wdzięcznością popatrzyła na nią. Jedynym, kogo rozczerowały słowa Seltonki, był Wisław.

- Wobec tego nie siedźmy do północy - powiedział i klepnął się dłonią po udzie. - Gdzie moje łóżko?

- Wobec tego odpoczywajcie - La Mar wstał, narzucił płaszcz. - Dobranoc.

- A ty? - zapytała Kasta.

- Trzeba przygotować pewne eliksiry. Mogą nam być potrzebne.

- Idę z tobą, Arenie - zdecydowała Wiola.

La Mar tylko rozłożył ręce i uśmiechnął się do Wojowniczk. Dziewczyna wybiegła z domu w ślad za magiem. Kasta i Wisław zostali sami.

- Teraz mamy łóżka dla siebie - powiedział Wisław. - I to mnie wcale nie cieszy.

- Dlaczego?

- Ranisz mi serce, kobieto. Milej ci spędzić noc z wampirką, niż ze mną.

- Przyznasz, że jest urocza. Chciałabym mieć taką siostrę. Ona jest szalenie zakochana w La Marze.

- Jeszcze jedna garść soli na moje rany. Wszystkich kochają, oprócz mnie.

- A Leodan? - roześmiała się. - Nie zazdroszczę teraz biedakowi Fasisowi. Nasz przyjaciel popsuje mu tyle krwi z naszego powodu, ile żaden wampir nie wysie.

- Zrozumiałem cię - skierował się do wejścia jednej z sypialnych izdebek. – Postaram się nie chrapać. Obiecuję.

- Trzymam cię za słowo.

Zdmuchnęła latarnię, szybko rozpięła pasy pancerza, ściągnęła buty, postawiła przy wezgłowie Flamejona i wskoczyła pod kołdrę ze zwierzęcych skór. Teraz dopiero zrozumiała, jak bardzo chce spać. Nie chciało jej się myśleć o tym, co może zdarzyć się w przyszłości. Najważniejsze, wyspać się.

- Dobranoc, Wisie.

Ale odpowiedziało jej tylko głośnie chrapanie. Wisław nie zamierzał dotrzymywać obietnicy.

Gdzieś daleko, wilki powiadomiły o swojej obecności tęsknym, wielogłosowym wyciem. La Bantjen spojrzał na sznur w zegarku – spalił się prawie na dwie trzecie i przyćmiony, niebieskawy ognik chybotął już przy samej podstawie. Północ dawno minęła, czas pomyśleć o odpoczynku. Jednak nie chciało mu się spać. Może to wzruszenie lub efekt działania stymulatora, który zażył?

Marszałek Salem de Fortan westchnął we śnie, odwrócił się na drugi bok, ale się nie obudził. La Bantjen popatrzył na dopalający się sznur, potem na stronę swojego pamiętnika. Jutro chyba nie będzie miał czasu na zapiski. Lepiej dzisiaj jeszcze chwilę posiedzieć.

„- Droga z Ergaoty do Monsalidaru zajęła mi sześć dni - pisał - dłużej, niż liczyłem, ale to nie moja wina, tylko powolnych i tępych Orków de Fortana. Spotkałem się z nimi w Łaszenie, czterdzieści lig na północ od Ergaoty. Ich dowódca, Szarłak Tarcho, to pełny kretyn, prawdziwe zwierzę, ironią losu poruszający się na dwóch nogach, a nie na czworakach, jak powinien. Jednakże, potrzebna mi siła i miecze Orków, a nie ich rozum. De Fortan przybył trochę później z pozostałymi wojownikami. Orki rozumieją go w półsłowa - czymś ich ujął. Zwracając się do niego, nazywają go „gachart Salem” - wódz Salem. Szanują... Nigdy nie myślałem, że można ich przyuczyć do wojskowej dyscypliny...”

Umoczył pióro w kałamarzu, wsłuchał się w dźwięki za płóciennymi ścianami namiotu. Wilki już nie wyły. Zimny wiatr, targający namiotem, jeszcze kilkanaście minut temu, także przycichł i zrobiło się jakby cieplej.

„- Myślę, że na de Fortana można liczyć, jeśli Wajdorzy nie zechcą po dobroci przepuścić nas do Góry Kłów - kontynuował. - Będzie zabiegał o moje zaufanie. Prawdziwy wojownik, stary pies bojowy. Na marginesie: Ma zabawny wyraz twarzy - jakby był obrażony. Ani razu nie uśmiechnął się i nie zaśmiał. Rozkaz Broka

przeczytał ze spokojem i żadnych pytań nie zadał. Wynika z tego, że jest gotowy działać tak, jak mu każe. Nie wiem, ilu Wajdorów zamieszkuje w Monsalidarze, ale jeśli zechcą bójki, będą ją mieć. De Fortan ma osiemdziesięciu ciężkozbrojnych, prawie cały garnizon Żelaznego Zamku. Plus ja i Morgwen. Moja ślicznotka też coś umie. Ale ciągle mam nadzieję, że Wajdorzy nie będą się upierać. Nawet, jeśli są fanatykami, to na pewno chcą żyć”.

Znów wycie. Tym razem to nie wilki. Rozległ się przeciągły, głuchy ryk. W tych dzikich lasach błąka się niemało nieznanych zwierząt. Słyszał, że opodal Monsalidaru widziano ogromne, czarne niedźwiedzie, dwukrotnie przewyższające człowieka i gigantyczne kotki z pędzelkami na uszach. Przeklęte miejsce, ten Monsalidar. Magia Sidów nasączyła, przez tysiąclecia, jego mury i wciąż jeszcze zachowuje swą siłę.

De Fortan znów się poruszył, zasapał. Nagły poryw wiatru, szarpnął zasłoną namiotu, chłód wdarł się do środka, Protektor otrząsnął się z zimna i sięgnął po puchar z ponczem, ale napój dawno ostygł. Najwyższy czas wleźć pod kołdrę, albo wyjść do Orków-wartowników, którzy grzeją się przy ogromnym ognisku na zewnątrz.

„- Dziś, o zachodzie słońca, rozbiliśmy obóz na pagórku, w odległości pięciu lig na południe od Monsalidaru, przy pasie lasu leżącego na granicy z Lajferną. Dalej zaczynają się ziemie Wajdorów. Rano przetniemy granicę i wejdziemy do Lajferny. Przypuszczam, że już nas obserwują. Tak wielki oddział, nieuchronnie przyciągnął uwagę. Powiedziałem o tym de Fortanowi, ale marszałek tylko chrząknął. Albo całkowicie jest pewny swoich Orków, albo...”

Na zewnątrz słyszał szmer. La Bantjen rzucił się do wyjścia, odchylił zasłonę. Nikogo. W odległości około dziesięciu łokci od maga, płonęło ognisko, dokoła którego przechadzały się ciemne postacie wartowników. Jeszcze dwa, płonęły na skraju polany, gdzie były przywiązane konie.

Zamierzał wrócić do namiotu, gdy nagle poczuł na sobie spojrzenie. Gwałtownie się obrócił, szepcząc zaklęcie Ujawnienia. Poprowadził dłonią magiczny strumień od prawego do lewego brzegu obozu. Pomarańczowymi słupami rozbłyśły aury Orków, którzy stróżowali przy koniach. Aury koni, zlały się w rozmyte, czerwone światło. Pomarańczowe błyski, potem ciepło od ogniska. Pomarańczowa aura, pomarańczowa, znów pomarańczowa... Protektor prawie się uspokoił. Na wszelki wypadek wysłał skanujący promień w stronę namiotów, zajmowanych przez Orków. Nic, tylko plamy bladego, pomarańczowego światła. A potem zobaczył Morgwen - Nienarodzona stała na samej granicy światła z ogniska i patrzyła na las. Jej aura była szaro-liliowa. Szary kolor, jest kolorem śmierci.

A liliowy? Nie mógł przypomnieć sobie, jaka istota może mieć liliową aurę.

- Co widzisz? - spytał ją, podchodząc bliżej.

- Nie widzę. Czuję. Potok mocy - wskazała palcem na północ. - Stamtąd.

- Zgadza się. Tam leży Monsalidar, do którego idziemy.

- Tam jest moc - wydała dziwny, szeleszczący dźwięk. Mógłby przysiąc, że wcześniej jego Nienarodzona nie wydawała podobnego dźwięku. - Tam jest gospodarz, który czeka.

- Twoim gospodarzem jestem ja. Zapamiętaj to.

- Oczywiście.

Znowu szelest, podobny do dźwięku sypiącego się piasku. Głośny i niewytłumaczalny.

- Nie podchodź blisko do Orków – rozkazał, zanim wrócił w namiot.

- Oczywiście...

Zniszczy to stworzenie własnymi rękoma. Zaraz po tym, jak znajdzie relief, o którym mówił Warchisz. Spopieli błyskawicą albo ognistą kulą, tam, w Kolebce Cienia. I nigdy więcej nawet nie spróbuje tworzyć nowego Nienarodzonego. Nie mógł nawet zrozumieć, dlaczego Morgwen budzi w nim takie mroczne i niezrozumiałe przerażenie.

Trzeba będzie podpytać o to Warchisza, kiedy wszystko się zakończy.

Wrócił do namiotu i dopił resztkę ponczu, żeby pokonać dreszcze. De Fortan, spał mocno. Sznur w zegarku wypalił się całkowicie, osypując popiołem podróżny stolik. Na zewnątrz, znowu wzmógł się wiatr i w namiocie zrobiło się zimniej.

Nadal miał dreszcze. Położył się na łóżku, owinął się pledem i spróbował zasnąć.

Co mogły oznaczać słowa Morgwen: „Tam jest gospodarz, który czeka?”

Jeszcze jakiś czas zastanawiał się nad dziwnymi słowami istoty, ale potem myśli zaczęły się plątać i mieszać. Usnął, nie znajdując jasnego wytłumaczenia.

Koło północy wiatr ustał, obłoki rozstały się, na niebie ukazał się księżyc w ostatniej kwadrze. Wokół panowała cisza. Przy ogromnym ognisku przed namiotami, Orkowie - wartownicy ostatkiem sił walczyli z sennością.

Morgwen nadal stała niedaleko od namiotu, w którym spał La Bantjen. Nie odrywając wzroku, patrzyła na północny zachód, skąd szedł potok Mocy.

Dobrze rozumiała, co się teraz dzieje. Ponieważ widziała i słyszała coś, czego nikt z żywych widzieć i słyszeć nie mógł. Ślizganie się cieni, unoszących się na bezszelestnych skrzydłach nad uśpioną ziemią. Szept tych, którzy przyjęli siłę Zacienionej Strony. Tych, którzy niewidzialni dla innych, byli obecni w tej zimnej, jesiennej nocy. Istot, słyszających podobnie jak ona wołanie Kolebki, dążących do nasycenia się idącą od niej potęgą. Przybywało ich coraz więcej i kierowali się do granicy Lajferny, znikając w mroku pod koronami drzew. Morgwen rozumiała, co to znaczy. Gospodarz zbiera wszystkich, którzy mogą mu pomóc. On czeka, kiedy śmiertelny, który ją stworzył, zdejmie zaklęcie z wejścia, wtedy droga będzie wreszcie wolna. A potem, spotkają się i gospodarz uwolni ją od tego więzienia, w którym się męczy.

I biada temu, kto będzie świadkiem jej uwolnienia.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Zakończyła się modlitwa poranna. Dewin dokonał obrzędu przynoszenia, zapalił kadzidełka przy postumencie statui Welirry, wyprostował się, obrzucił spojrzeniem swoich współbraci - wszyscy teraz byli tu, w modlitewnym domu Monsalidaru. Siedemdziesięciu dwóch członków wspólnoty, która już może dzisiaj przestać istnieć.

- Jesteśmy tu, Welirra! - proklamował Dewin i, jak nakazywał uświęcony wiekami rytuał, położył u podnóża posągu bogini trzy strzały - szkolną, myśliwską i bojową. To oznaczało, że Wajdorzy są gotowi do bitwy.

Renchold, młody dowódca zwiadowców, podniósł się z kolan i postąpił krok w stronę naczelnego kapłana.

- Nic więcej nam nie chcesz powiedzieć, ojciec? - zapytał z pewnym wyzwaniem w głosie.

- Powiedzieć? - zmęczony popatrzył młodzieńcowi w oczy. - Czy nie wszystko powiedziałem? Czy źle zrozumiałeś moje słowa, Rencholdzie?

- Ojczy, nie wezwaleś nas do natychmiastowej walki, do której rwiemy się. Gotowi jesteśmy uderzyć na wroga i skończyć z nim. Orki na swoich skórach odczuwają ostrość naszych strzał!

- Jesteśmy gotowi! - krzyczeli ci Wajdorowie, którzy byli nieco młodszy. Dojrzałsi kapłani cierpliwie czekali, co powie patriarcha.

- Zniszczymy wroga, a Welirra pomoże nam! - krzyknął Renchold, błyskając oczyma.

- To rozumie się samo z siebie - Dewin ogarnął spojrzeniem wszystkich zebranych, którzy zastygli w napiętym milczeniu. - Znamy swoją siłę, ponieważ my, Wajdorowie, potomkowie dawnych ludzi Mennarachanu, jesteśmy kapłanami wielkiej Welirry. Ja jestem waszym patriarchą. Ale od moich słów, nic już nie zależy. Jesteśmy skazani na bezsensowne odwlekanie ostatniej godziny.

- Skazani? - krzyknął dotknięty słowami patriarchy Renchold.

- Dzisiaj krąg Wajdorów i świątynia Monsalidar zakończą swoją tysiącletnią historię.

W odpowiedzi rozległy się okrzyki zdumionych Wajdorów. Dziesiątki par oczu patrzyły na starego kapłana ze zdumieniem. Słyszał szept - zdziwiony, zmieszany, buntujący się. Milczał, patrząc Rencholdowi prosto w oczy.

Dowódca zwiadowców zmieszał się, opuścił wzrok. Dewin wyciągnął rękę, suchymi, węglowatymi palcami, dotknął ramienia młodzieńca.

- Posłuchaj mnie, Rencholdzie. I wy wszyscy mnie posłuchajcie! - zwrócił się do wspólnoty. - Teraz powiem wam to, co nigdy od założenia naszego zgromadzenia nie było mówione w tych ścianach. Ujawnię tajemnicę, którą w ostatnich minutach życia, przekazywał swojemu następcy każdy z patriarchów wspólnoty - nigdy wcześniej. Ja pierwszy, złamię tradycję. Postąpię tak dlatego, że godzina, o której mówili założyciele kręgu, jest bliska. To godzina naszej ostatniej bitwy i naszego zwycięstwa.

- Zwycięstwa! - Renchold obrócił się do pozostałych, potrząsnął ściśniętymi pięściami. - Słyszeliście słowo patriarchy. Zwyciężymy!

- Zwyciężymy! - wołali Wajdorzy.

- Tak, czeka nas sława i spłacenie długu, który od dawna był nam przypisany do wykonania - kontynuował Dewin, gestem nakazując swoim podwładnym, by się uciszyli. - Ale Wajdorzy, staną się legendą, bo niczego więcej nie będą musieli chronić. Tysiące lat istnieje krąg Wajdorów, wojowników Welirry. Tysiące lat Wajdorzy, wierni niegdyś złożonej przysiędze, chronili drogi wiodące do przeklętych ruin Mennarachanu. Od tamtej pory, jak nasz święty założyciel Carikat zamknął zło dostęp do Kolebki Cienia, my, i tylko my, wiedzieliśmy, jak można zdjąć zaklęcie Carikata. Ale teraz o tym wie także zło. Tajemnica Carikata została ujawniona - Dewin zrobił pauzę, przyjrzał się napiętym twarzom kapłanów - wojowników. - Stylus Carikata w rękach posłańca Cienia, który przyszedł do Monsalidaru, żeby przeniknąć do zakazanej świątyni.

- I to wszystko? - Renchold z nieufnością popatrzył na starego kapłana. - Wszystko, co chciałeś powiedzieć, ojczy? Wybacz, ale nie rozumiem, dlaczego mówisz o tym z taką beznadziejnością w głosie. Stwory Cienia, także wcześniej próbowały przedostać się do Monsalidaru, ale niszczyliśmy je. Starczy nam siły, by poradzić z każdym wrogiem, bądź to czarnym magiem, człowiekiem, Orkiem, czy też wampirem. Obronimy naszą ziemię, jak bronili jej nasi przodkowie przez setki lat. Wobec tego, skąd te wątpliwości?

- Jesteś odważny i silny, Rencholdzie - powiedział Dewin. - I nie wątpię w ciebie. Wiem, że będziesz do śmierci bronić dostępu do Mennarachanu. I wszyscy wy, bracia moi, prędzej zginiecie, niż pozwolicie emisariuszom Cienia wstąpić na świętą ziemię Monsalidaru. Moimi ustami przemawia teraz nie strach, nie wątpliwość w wasze siły i w wasze męstwo. Mówiłem o tajemnicy, którą przez tysiąclecia przechowywali patriarchowie wspólnoty. Oto ona - przyjdzie godzina, kiedy my, Wajdorzy, z woli Welirry, sami wpuszczymy zło do Mennarachanu! Tak powiedziała mi ta, na którą czekaliśmy w tych ścianach, jak na nikogo innego.

Po domu modlitewnym przetoczyło się ciężkie, zdziwione westchnienie. Renchold, mimo woli, odsunął się od Dewina. Potem nastąpiła przejmująca cisza, którą nagle przerwał dźwięczny, żeński głos.

- Dziękuję ci, ojcie Dewinie, teraz moja kolej, by przemówić!

Zgrabna, młoda kobieta, przeszła od drzwi do podwyższenia, zmuszając Wajdorów do rozstąpienia się przed nią. Lekko wbiegła po schodkach, stanęła obok patriarchy, zrzuciła z głowy zielony, aksamitny kaptur.

- Sidka! - zachnął się Renchold.

- Jestem Ennid ap-Glennsid - powiedziała zadziwiająca kobieta, zwracając się do Wajdorów. - Przyszedłam powiedzieć wam, że nadszedł dzień odkupienia. W przeszłości podzieliła nas wrogość, ale nie z naszej winy. Pojednanie krwią, odbyło się. Od pewnego czasu ukrywaliśmy przed wami to zdarzenie, ale teraz, duchowi mentorzy Sidów pozwolili mi zakomunikować wam o tym. Po raz pierwszy od tysięcy lat, urodziło się dziecko, w którego sercu płynie mieszana krew. To radość dla nas, Sidów. Ale to nie wszystko. Dzisiaj wy, kapłani-wojownicy Welirry, udowodnicie przyjaciołom i wrogom, że jesteście godni waszej sławy. Dokonacie tego, do czego kiedyś został stworzony krąg Wajdorów. Zniszczycie dawne zło, ale najpierw przekazecie wybrance Welirry świątynię, którą ochraniali wasi poprzednicy. Ojciec Dewin powiedział prawdę - Stylus Carikata znajduje się w rękach tych, którzy próbują przywrócić przekłete czasy urzeczywistnionych Cieni. Możemy podjąć próbę zatrzymania naszego wroga z bronią w rękach i nawet zwyciężyć, ale nie jesteśmy w stanie odwrócić nieuniknionego.

- Dlaczego posłanka Pierwszego Narodu, mówi do nas w taki sposób? - nachmurzywszy się, powiedział Erom, jeden ze starszych kapłanów. - O jakiej nieuchronności mówisz? Wszyscy wiemy, że nie ma na świecie wojowników lepszych od Wajdorów. Przez wieki do Monsalidaru przybywali ci, którymi kierowała niezbadana wola Welirry, po naukę wpajaną Ogniem i Stałą, Strachem i Wątpliwością, Rozpaczą i Wiarą. Zazwyczaj jeden na stu kandydatów przechodził cały cykl i stawał się Wajdorem, obrońcą Monsalidaru i świątyni Welirry. Czyż, nie do nieuniknionego przygotowywaliśmy się przez wszystkie te lata? Jesteśmy gotowi zwyciężyć każdego wroga, nawet jeśli sam Ojciec Cieni stoi za jego plecami albo umrzeć, broniąc Monsalidaru i ołtarza Welirry.

- Nie musisz mówić o tym, mistrzu Eromie - wtrąciła Sidka, kiedy ucichły wzbudzone okrzyki Wajdorów. - Nikt nie wątpi w waszą odwagę i w wasz kunszt wojskowy. Przy wejściu do doliny Lajferny, stoi oddział chejlańskich Orków, którzy też słyną z odwagi i woli walki. Ale Orki nie są waszymi wrogami. Pewnego dnia zrozumiecie, w czym tkwi sedno sprawy, ale teraz, po prostu proszę, uwierzcie mi na słowo. Człowiek, który przyprowadził tu Orków, posiada klucz do Mennarachanu. Ten, który kiedyś Carikat wręczył władcom Seltonii. W miarę upływu czasu, jego prawdziwe znaczenie zatraciło się. Jednak znalazł się taki, który poznał sekret brylantowego klucza. Wypełnia teraz wolę służących Cienia, którzy wysłali go tu i zaopatrzyli w tajne wiadomości. Polecili mu zdjąć zakłęcie Carikata i otworzyć

otchłani, która rodzi zło nękające te ziemie - wampiry. I musi ją otworzyć. Nie powinniśmy mu przeszkadzać, ponieważ wojownik Zapomnianych Bogów idzie jego śladem, kobieta-wojownik, powołana przez Welirrę. Ta, dla której Wajdorzy przez wieki przechowywali i bronili przed wrogami zbroję bogini. Ta, co zamknie paszczę otchłani i skończy z przekleństwem Mennarachanu.

Wajdorzy milczeli. Wydawało się, że nawet Dewin był wstrząśnięty. Tylko Renchold nie wytrzymał i zapytał:

- A dlaczego powinniśmy ci wierzyć, Sidko?
- Ponieważ, mówię w imieniu Welirry. Ponieważ, ja jestem Welirrą.
- Potwierdzam to - rzekł Dewin i klęknął przed Ennid na jedno kolano. - Proszę cię, przyjmij naszą pomoc. Bądź łaskawa dla nas.
- Nie, ojcie Dewinie! - Ennid czule wzięła staruszkę pod rękę, pomogła wstać.
- Nie przyszłście prosić Welirrę o łaskę, to ona przyszła prosić was o pomoc. Z wojowniczką, o której wam mówię, idzie tu moja córka. Padło na nią przekleństwo Cienia i uratowanie jej - w waszych rękach. Proszę, pomóżcie.
- Ale, jakże to tak? - Erom, blade i zmieszane, postąpił krok w kierunku Ennid.
- Prosisz nas o pomoc? Ty, Welirra? Bogini jest potrzebna pomoc śmiertelnych?
- Tak, Eromie. I nie tylko mi - wszystkim Zapomnianym Bogom.

Podeszła do najświętszego miejsca w domu modlitewnym Wajdorów - posągu Welirry stojącego za podwyższeniem. Statua, zgodnie z podaniem, wykonywana została przez sidskiego mistrza na krótko przed upadkiem Mennarachanu i przedstawiała młodą kobietę w zbroi elfijskiej falkarii - tak w epoce ostatniego władcy Glennsidu, Awedeo Odważnego, nazywano dziewczęta-łuczniczki z osobistej gwardii króla. Nieznany rzeźbiarz, przedstawił swoją łuczniczkę w chwili wypoczynku, bez broni i hełmu, z bujnym ogonem falistych włosów na czubku głowy, przewiązanych długą, opadającą na prawe ramię wstążką. Półkiryś-stanik, z ozdobionych artystycznym tłoczeniem solidnych płyt elektronowych, miał kształt sokoła z rozłożonymi skrzydłami, które obejmowały pięknym łukiem pierś falkarii, łącząc się końcami na lędźwiach posągu. Miał rubinowe oczy, końce piór poczernione, a po górnym brzegu skrzydeł, wił się grawerowany złotem, wymyślny deseń ze splecionych, elfijskich hieroglifów. Takie same znaki biegły krawędzią masywnych karwaszy i wąskiego, łatwego kołnierza, który chronił gardło. Naramienniki i nagolenniki pokrywała delikatna rzeźba, o tyle misterna, że te szczegóły zbroi zdawały się być zrobione ze srebrzystych sokolich piór. Krótka spódniczka, z drobnych stalowych pierścieni, była podtrzymywana ukosem, od prawego biodra do lewego, szerokim pasem z elektronu, z zapięciem w kształcie połączonych, złożonych łapek drapieżnego ptaka. Lekkość i ażurowość zbroi, odpowiadała gracji i pięknu noszących je niegdyś wojowniczek. Odzwierciedlała je nazwa falkarii.

„Falkaria”, w dawnym języku Glennsidów, oznaczało „pustulkę”.

- Dobro i zło jest rozstrzygane na ziemi przez ludzi, mistrzu Eromie - powiedziała, zwracając się do kapłana. - Jestem tu z woli tych wszystkich, którzy stali się Zapomnianymi Bogami i utracili swoją boską władzę. Mamy prawo rozporządzić tymi relikwiami, które się zachowały. Jedna z nich, przez wieki przechowywana była w tej świątyni. Ta zbroja należała kiedyś do mnie. Teraz zabieram ją, by przekazać wojownicze Zapomnianych Bogów. Ona poprowadzi was do walki ze złem.

- Dlaczego nie ty? - zapytał Erom.

- Ponieważ tylko wojowniczką może przejść Wrotami Śmierci. Tylko ona może dokonać tego, czego nie mogła zrobić Welirra wiele stuleci temu, a także teraz.

Erom nie zdążył odpowiedzieć - modlitewny dom Wajdorów nappełnił się złocistym, oślepiającym światłem. Było tak jaskrawe, że wojownicy-kapłani mimo woli

zamknęli oczy. Kiedy przygasło i ludzie byli w stanie patrzeć, Ennid ap-Glennsid była już w dawnej zbroi - tej samej, w którą rzeźbiarz-mag ubrał swoją statwę. A statua zniknęła bez śladu. Teraz już nikt nie wątpił, że to sama Welirra przyszła do Monsalidaru, by poprowadzić Wajdorów do boju.

Wszyscy, jak jeden mąż, padli na kolana. Nikt nie śmiał spojrzeć na Welirrę. Nikt też nie widział, jak zadziwiająco w spojrzeniu Zapomnianej Bogini mieszały się szczęście i smutek.

Szczęście, bo włożywszy należącą niegdyś do niej zbroję, znów choć na krótko, stała się Łaeką, potężną i wspaniałą boginią wojny, a smutek, ponieważ bardzo szybko przyjdzie jej się rozstać z tą zbroją.

Tym razem - na zawsze.

La Bantjen nie wierzył własnym oczom. Oczekiwał wszystkiego, tylko nie takiego obrotu zdarzeń.

Monsalidar był pusty.

Potężna, kamienna twierdza Wajdorów, broniąca wejścia do świętej doliny, zaczynającej się za Lajferną, była opuszczona. Z początku nie uwierzył zwiadowcom, którzy wrócili z patrolu i zakomunikowali tę zdumiewającą nowinę. Salem de Fortan, też im nie uwierzył. Ale Orki nie kłamały. Oni w ogóle nie wiedzą, co to jest kłamstwo.

- To zasadzka - oświadczył, kiedy zwiadowcy marszałka wyszli. - Wajdorzy przygotowali pułapkę.

- Być może, wielmożny Protektorze - odpowiedział de Fortan. - Ale to nie powód, by dalej tkwić w tym miejscu. Zresztą, jeśli rozmyśliliście się...

- Nie-nie! Idziemy do Monsalidaru. Proszę rozkazać swoim Orkom, by byli przygotowani do nagłego ataku.

- Zawsze są gotowi. Wobec tego, dam rozkaz do wymarszu, panie Protektorze.

Po kwadransie, oddział wszedł do lasu. La Bantjen trzymał się w środku kolumny. Morgwen cały czas była przy nim. De Fortan bez przerwy sprawdzał, to czoło kolumny, to jej ariergardę. Minęły dwie, trzy godziny, a las pozostawał milczący i pusty, nawet zwierzęta i ptaki nie odzywały się. Cisza była nienaturalna. Martwa, dzwoniąca, którą zakłócało tylko plaskanie błota pod kopytami, prychanie koni, brzęk metalowych zbroi i uprząży, i westchnienia jesienno-wiatru w wierzchołkach ogromnych grabów, dębów, jesionów, i klonów. Oddział wjechał w wąską, lesistą dolinę, między wysokimi pagórkami - idealne miejsce do zasadzki. Ale Wajdorzy, tu także nie powitali nieproszonych gości. A przy końcu doliny, ukazały się mury obronne Monsalidaru.

- Tak, jak mówiłem - stwierdził de Fortan, podjeżdżając do maga. - Pusto.

- Nieprawdopodobne! - wytarł dłonią spocone czoło, osłonięte kapturem. - Oczekiwałem wszystkiego, ale takiego...

- Nie traćmy czasu. Jedźmy do bramy.

Minęli fosę, wjechali w cień potężnych, kamiennych ścian z kwadratowymi wieżami i obronnymi balkonami. Dolna część ścian i wież była odlana z różowego elfijskiego betonu, wyżej zaczynał się gruby mur z naturalnego kamienia, spajanego zaprawą. La Bantjen pomyślał, że takie ściany łatwo poddałyby się umiejętnie skierowanemu, dynamicznemu uderzeniu i dwóch-trzech doświadczonych magów, w krótkim czasie, rozkruszyłyby ściany wajdorskiej twierdzy. Ale teraz, nie było potrzeby użycia oblężniczej magii. Bramy Monsalidaru były otwarte. Ogromny

prześwit dawnej nadbramnej wieży, którym mogło przejechać obok siebie pięciu jeźdźców, ział pustką, niczym ogromna, półokrągła paszcza. Z obawą spoglądał na ciężką, kutą kratę, podniesioną do góry - nie spadnie, nie przygwoździ nieproszonych gości żelaznymi zębiskami? Ale te obawy nie potwierdziły się. Po jej minięciu, poczuł się znacznie spokojniejszy. Na wszelki wypadek otoczył się Magicznym Oprzędem, chociaż emanacji obcej magii też nie wyczuwał.

Monsalidar był dziwnym miejscem. Trudno było uwierzyć, że tu, w ciągu stuleci żyli ludzie. Ani pól, ani ogrodów, ani zwierząt. Część domów, koło których przejeżdżała kawalkada, wyglądała na zadbane, inne były porzucone od dawna. Ściany z ciosanego kamienia zawałyły się, otwory okienne nieprzychylnie patrzyły na przybyszów, dachy ziały dziurami. Ruiny gęsto pokryły się bluszczem, powojem, dzikimi winogronami, przy ścianach gęsto rosła kłująca tarnina. Okaleczone magią, działającą w tych miejscach przez tysiąclecia, stare drzewa, skręcone i sękatę, przypominały zwęglone szkielety. Rozjeżdżona, rozmiękła droga kluczyła między domami, prowadząc pod górę. Wkrótce, gliniasta gleba zmieniła się w kamienisty grunt, a miejsce domów, po obu stronach drogi, zajęły skały najniezwyklejszych kształtów. Orki kręciły głowami, próbując dostrzec wśród skał czających się wrogów, ale ani jedna strzała nie poleciała w stronę nieproszonych wizytatorów. Monsalidar wyglądał jak wymarły. Co się stało z Wajdorami, którzy powinni do upadłego bronić tego miejsca? La Bantjen nie mógł tego zrozumieć, dlatego narastał w nim niepokój.

- Wyczuwasz Moc? - zapytał Morgwen, która jechała obok.

- Przed nami - wypuściła powietrze Nienarodzona. - Jedziemy w dobrym kierunku.

Może, Wajdorzy zdecydowali się spotkać obcych przy samej świątyni? Trzeba by powiedzieć o tym de Fortanowi.

- Jesteśmy gotowi do walki – wysłuchawszy, powiedział marszałek. - Proszę czynić swoje, a my zrobimy, co do nas należy.

Orki tymczasem przegrupowały się w wąski klin, na czele którego jechał ich przywódca Szarłak i dwudziestu uzbrojonych w łuki wojowników, w środku zaś La Bantjen i Morgwen. Protektor nieustannie skanował dłonią otaczającą drogę skały i krzewy, dopóki nie poczuł, że jego magia wyczerpuje się. Otworzył szkatułę, zażył zespół elementów ochronnych many, poczekał, aż moc znów zaczęła pulsować w koniuszkach palców. Zaniechał jednak dalszego skanowania. Trzeba zachować energię na wypadek walki - Wajdorzy są na pewno nie tylko świetnymi wojownikami, ale i magami. Nie trzeba się ich bać, ale w żadnym wypadku nie wolno nie doceniać.

Wąska droga, przekształciła się tymczasem w dawny brukowany trakt. Kiedyś, była to zielona droga prowadząca do królewskiego pałacu, ale teraz całkowicie utraciła swoją świetność. Gdzieniegdzie, jeszcze się zachowała nawierzchnia z szerokich, kwadratowych płyt. W zarysach okolicznych pagórków, La Bantjen domyślił się kształtu zburzonych i niezasypanych ziemią, majestatycznych niegdyś elfijskich willi. Wśród zwalonych na poboczach traktu głazów, można było dostrzec bryły różowego betonu, ulubionego budulca Sidów. Ogarnęło go nieprzyjemne uczucie, gdy wyobraźnia podsunęła mu obraz ogromnego cmentarza. W tej ziemi znajdują się nie tylko resztki konstrukcji, ale i kości tych, którzy kiedyś, do upadłego, bronili Mennarachanu przed najazdem armii Szu. Była to okrutna bitwa, trwająca kilka dni, póki ostatni obrońcy nie padli wśród płonących budynków miasta. Po tych czasach, zostały na pół zapomniane legendy. Trudno było tu dostrzec ślady niegdyś kwitnącego życia.

- Z przodu! - powiedziała Morgwen, zauważywszy, że cały czas rozgląda się.

Trakt zaprowadził ich w wąską dolinkę między pagórkami, porośniętą gęstymi, kłującymi krzakami i sękatymi drzewami. Odczucie opustoszenia i zniszczenia stało się jeszcze mocniejsze. Ze zboczy pagórków, z prawej i lewej strony od drogi, sterczały odłamki potężnych kolumn, fragmenty sklepionych łuków, nadgryzionych zębem czasu i niepogody. Mag znał zasady planowania dawnych miast Sidów i wiedział, że teraz jadą tak zwaną vearne o'rohaen - główną ulicą miasta, która niegdyś, na całej długości, posiadała na poboczach kolumnady i każda para połączona była łukiem, powtarzającym główny portal pałacu. Między kolumnami stały paradne rzeźby sidskich królów, mieniących się lazurem i pozłotą. Prawdopodobnie, kiedyś wszystko to wyglądało bardziej majestatycznie.

Mennarachan, Wojerna, Ajon, Elabrio - z tych miast zostały jedynie na pół zapomniane nazwy. Nawet ich ruiny są pogrzebane pod warstwą ziemi, w sercach pagórków Seltonii, Resza, Norringi. Tylko ślepi fanatycy, Wajdorzy, jeszcze przechowują wspomnienie o dawnej sławie tego martwego miejsca.

Głupcy...

Nawet nie zauważył, kiedy wjechał razem z Orkami de Fortana na szczyt pagórka, który wznosił się nad okolicą. Poczuł, że Kolebka Cienia jest tuż przed nim i serce drgnęło mu z radości. Płaski, jak stół, szczyt pagórka był usiany bryłami betonu, a na wprost zobaczył kilka potężnych, sterczących z okrażających krzaków, różowych, stożkowych menhirów. Przypominały skierowane w szare, zachmurzone niebo ostrza włóczy. Były to kolosalne menhiry, Protektor nigdy nie widział tak wielkich, stojących kamieni. Tylko olbrzymi mogli je postawić. Albo wszystko jest o wiele prostsze i to nie są menhiry, a wierzchołki iglic, które niegdyś wieńczyły pałac władców Mennarachanu. Jeśli tak, to miejsce, którego szukał tak długo, jest w jego zasięgu.

Góra Kłów, o ostrych, jak noże menhirach.

- Tu? - zapytał Morgwen.

- Tak - zaszeleścił głos Nienarodzonej.

Ukradkiem wytarł o płaszcz spocone dłonie. Wajdorzy nie próbowali zatrzymać ich nawet tu, przy wejściu do zakazanej świątyni. Niezrozumiałe, niepojęte, ale teraz można odetchnąć z ulgą. Wewnątrz nikt na niego nie czeka, tylko tysiącletni kurz i kamienie, które nie pamiętają już światła. Nikt nie wchodził tu od wielu wieków. Będzie pierwszy od czasów Szu, który to zrobi.

- De Fortan! - krzyknął Protektor.

- Tak, wielmożny panie Protektorze - dowódca Orków nadal był spokojny i opanowany.

- Otoczycie szczyt pagórka pierścieniem. Czekajcie w gotowości do odparcia możliwego ataku.

- Tak, panie Protektorze.

Orki natychmiast zsiadły z koni. Te istoty, chociaż nieźle posługiwały się końmi, jednak do walki zawsze przystępowały pieszo. Mag obserwował, jak zajmują pozycje. Porozumiewając się ochrypłymi, urywanymi okrzykami, przygotowują do walki topory, miecze i potężne dalekonośne łuki z brązowymi gryfami, oglądają strzały, sprawdzają lotki i groty. Dobrzy wojownicy. Szezańcy postąpili głupio, rozpoczynając z nimi wojnę. Zwyciężyć ich będzie bardzo, bardzo trudno. Jeśli to w ogóle możliwe. Ale to problem Szezańców.

Przeniósł spojrzenie na Morgwen. Nienarodzona stała przy samych menhirach i wyglądała jak kamienna statua - emanacja Kolebki, ukryta w głębi tego pagórka, jakby ją zaczarowała. Nie ma sensu dłużej cekać. Słońce już zbliża się do krawędzi lasu, lada chwila zapadnie zmierzch. Czas przystąpić do obrzędu.

Obejrzał się - de Fortan był daleko i coś wyjaśniał swoim wojownikom. Teraz mógł zdjąć z szyi przedmiot, dla zdobycia którego tak wiele ryzykował - bardzo niebezpiecznie przechowywać rzecz ukradzioną z królewskiej skarbnicy Seltonii. Przypomniawszy sobie, jaki popłoch nastał w Kolegium Magna, kiedy dowiedziano się o zniknięciu stylusa i to, z jakim zapalem sam zastanawiał się z innymi magami, gdzie i jak szukać stylusa, który w tym czasie znajdował się w jego biurku. Zabawne, jak bardzo naiwni i ślepi bywają ludzie i do jakiego stopnia są ufni.

Stylus rozjarzył się w promieniach zachodzącego słońca jaskrawymi iskierkami. Mimo woli zachwycił się drogocennym przedmiotem. Tajemniczy klucz Carikata był wykonany z ogromnego brylantu, zdobiącego kiedyś koronę władców Mennarachanu. Brylant oszlifowano w kształcie rylca-stylusa - jakimi rzeźbiono napisy na granitowych fryzach mauzoleów Sidów - i osadzono w ażurowej, finezyjnej, złotej oprawie. Dokładnie kopiował dawną elfijską runę „fatet” - prostą, jak strzała z lassem na końcu. Pamiętał, jak pewnego razu supermagister Brok wygadał się o jego wartości - niby to, drogocenna zabawka kosztowała powyżej tysiąca tulonów. Znaliby idioci z Kolegium Magna prawdziwą wartość tej rzeczy.

On, zna. Wartość stylusa, to władza i potęga. To laska supermagistra i być może, berło władcy Seltonii.

Do kręgu menhirów wszedł z drżeniem serca. Oczekiwał, że zobaczy wejście do jakichś podziemi, ale przed nim był po prostu ogromny dół - głęboki lej w ziemi z czarną wyrwą dna.

- Idź pierwsza, Morgwen - rozkazał.

Istota bez strachu zrobiła krok w dół. Usłyszał stuk padających kamieni, szmer ziemi sypiącej się do wyrwy.

- Morgwen!

- Jestem tu, Awierze – usłyszał głos jak z grobu i poczuł strach. Teraz on zejdzie w podziemną pustkę i znajdzie się sam na sam z potworem, do stworzenia którego odebrał życie dziewięciu ludziom.

Rozpaczliwym wysiłkiem stłumił narastające przerażenie, zrobił krok i pochłonęła go otchłań.

- Niech to licha! Spóźniliśmy się.

La Mar ze złością splunął w ogromną stertę popiołu i główni dawno wygasłego ogniska, w których białały ogryzione jelenie kości.

- Dawno odeszli? - zapytała Kasta.

- Wyprzedzili nas o co najmniej dziesięć godzin - powiedział, strząsając popiół z rękawiczek. - Węgla dawno ostygły i ziemia zimna.

- Cała polana zryta kopytami koni - zauważył Wisław. – Koczowała tu chyba cała armia.

- Armia nie armia, ale jest ich znacznie więcej, niż nas - powiedziała Kasta. - Co robimy, La Marze?

- Nie mamy wyboru. Trzeba iść naprzód.

- Hej, nic nie mówiłeś o Orkach! - krzyknął Wisław. - Tylko o Wajdorach.

- Miejmy nadzieję, że jedni i drudzy, będą zbyt zajęci sobą i nie przeszkodzą nam - zauważyła Kasta. - La Mar dobrze mówi, nie ma potrzeby tu sterczeć. Dokąd pojedziemy?

- Na północny zachód. Przez Lajfernę - La Mar już siedział w siodle. - Innej drogi i tak nie ma.

- Pojedziemy śladami Orków - Kasta zabrała spadające na twarz włosy. - I jak rozumiem, trafimy na nich. No cóż, prowadź. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

La Mar konwulsyjnie przełknął ślinę, jakby próbował połknąć tkwiącą w gardle kulę i dał znak Kaście. Pojechał przodem, Mądrała biegła za nim. Wisław trzymał się bliżej Kasty i milczał. Jakiś czas jechali klusem, starając się nie zwracać uwagi na zimny wiatr i obrzydliwy, mżący deszcz.

Nie było potrzeby szukania drogi przez las - na ścieżce były liczne ślady kopyt koni przejeżdżającego oddziału, że La Mar wkrótce w ogóle przestał wpatrywać się w drogę przed sobą. W lesie było cieplej i deszcz mniej dokuczał. Kasta uderzyła konia piętami, dogoniła La Mara.

- Mogą tu być wampiry?

- Póki świeci słońce, nie musimy się niepokoić. Słyszałem, że wampiry mogą czasami poruszać się dniem, mają specjalny, ochronny preparat, ale napadać, mogą tylko nocą.

- Nawet nie włożyłeś zbroi.

- Chwilowo nie ma potrzeby.

- No no! - rzuciła szybkie spojrzenie na Mądralę i wróciła do Wisława.

- O czym rozmawialiście? - zapytał Reszyjec.

- O ciszy. Nie podoba mi się.

- Wiesz, wcześniej nie musiałem strzelać z łuku, siedząc w siodle. Najwyższy czas, by się nauczyć.

- Lepiej się rozglądaj.

- Kiedyś napiszę balladę o tym, jak razem z Kastą Niezwyciężoną biłem wampiry w lasach Seltonii. Uwieczni moje imię.

- Napiszesz, jeśli dożyjesz.

Chciał się odciąć, ale przeszkodził mu przyzywający gest La Mara. Z przodu, w szerokiej dolinie za drzewami, były dobrze widoczne wysokie mury twierdzy. A na murach stali ludzie z łukami w pogotowiu.

- Monsalidar - powiedział La Mar.

- I jego gospodarze z kluczami od miasta - dodał Wisław, pokazując na nieruchome figury.

- Wajdorzy? - zapytała. - A gdzie Orki?

- Musimy podjechać bliżej.

- Tylko ty i ja. Wisławie, zostań tu.

Reszyjec z niepokojem obserwował, jak oboje ruszyli w stronę twierdzy. Przeklinając wszystkich, którzy nie znają słowa „ostrożność”, szybko wyjął łuk, naciągnął cięciwę i przerzucił przez ramię kołczan ze strzałami.

- Co robisz? - zapytała Mądrała, której La Mar kazał pozostać razem z Wisławem.

- Przygotowuję się do godnej śmierci. Możesz się przyłączyć, dziewczynko. Język nie pozwala, by nazwać cię pieskiem.

Tymczasem Kasta i La Mar podjechali do bramy na odległość strzału. Łucznicy na murach mogli bez wysiłku zasypać ich jedną salwą. Ale nie strzelali. La Mar dużo słyszał o kapłanach Welirry, ale widział ich po raz pierwszy. Wyglądali jednakowo - wszyscy w szerokich kamuflowanych kurtkach z kapturami. Każdy wyposażony w krótki, lekko wygięty miecz zwany glajmerem i po dwa kołczany strzał za plecami. Swoje wielkie łuki, z nałożonymi strzałami na cięciwach trzymali w pogotowiu. La Mar miał wrażenie, że dokonuje samobójstwa. Ale dziewczyna

zachowywała stoicki spokój. A potem usłyszał, jak jego towarzyszka wydała okrzyk zdziwienia.

W otwartym skrzydle bramy ukazała się zgrabna, żeńska figura. Za jej plecami zobaczyła jeszcze kilku Wajdorów. Ale w oczy rzuciło się co innego. Zdumiona, dostrzegła zbroję Ennid, znaną jej z dawnego snu. Czarodziejska zbroja bogini Nataji, której dokładną kopię zrobił dla niej w Darnacie mistrz Sawal i którą straciła po tym, jak drań Kuwład wydał ją strażnikom.

- Heyva! - krzyknęła Ennid, podążając w ich stronę. - Czekaliśmy na was. Dobrze, że już jesteście.

- Oczekiwaliście nas z łukami w pogotowiu? - Kasta zeskoczyła z siodła i podeszła do Ennid. - A Orki?

- Są już na szczycie Góry Kłów. Przepuściliśmy ich do Mennarachanu.

- Przepuściliście? - La Mar ze zdumieniem popatrzył na Sidkę. - Dlaczego, po co?

- Dlatego, że dzisiaj, razem skończymy ze złem, które usadowiło się na tych ziemiach. Uwolnimy Mennarachan od przekleństwa i ty, Kasto, wypełnisz moje zadanie.

- O tej zbroi mówiłaś? - szepnęła Seltonka.

- Wspaniała, prawda? - Ennid uśmiechnęła się ze smutkiem. - Teraz należy do ciebie. Włożyłam ją tylko dlatego, żeby po raz ostatni poczuć się wojowniczką. Przypomnieć sobie, kim byłam kiedyś. Ale przekazuję ją tobie z radością. Niech mój prezent pomoże ci wykonać wolę Zapomnianych.

Nigdy nie zrozumiała tego, co wydarzyło się w następnej sekundzie. Nie pojął tego też i La Mar. Prawdopodobnie, znowu zadziałała magia Zapomnianych. W jednej chwili, elfijska zbroja Ennid, zadziwiającym sposobem znalazła się na Kaście, a doryjski toraks i buty - na Sidce. Oszołomiona wojowniczka, westchnęła z zachwytem, powiodła dłońmi po swojej piersi, rozkoszując się chłodem elektronu, obejrzała swoje nogi, osłonięte do wysokości bioder wytwornymi legginsami. Po raz pierwszy, od wielu lat, pożałowała, że nie może zobaczyć siebie w lustrze.

- Przysięgam na Gawana! - krzyknął La Mar, nie zwodząc z Kasty zachwyconego spojrzenia. - Jesteś po prostu prawdziwą falkarią.

- Bogini, kobieta, prawdziwa bogini! - powiedział z uznaniem oczarowany Wisław. Był już prawie przy nich. - Od samego twojego wyglądu, wampiry i wrogowie kobiet rozsypią się w proch. Tylko, ta zbroja wygląda za... delikatnie. Więcej odsłania, niż zakrywa. Chociaż, taka forma bardziej przypada mi do gustu.

- Reszyjec nie ufa dawnym zbrojmistrzom Sidów? - uśmiechnęła się Ennid. - Proszę przebić półkirys falkarii z kuszy, z odległości pięćdziesięciu kroków albo rozrąbać mieczem naramiennik. Ta zbroja chroni nie tylko od zwykłej, ale i od zacienionej broni. To relikwia Zapomnianej Bogini i jest bezcenna.

- Ja... Ja nie wiem, jak ci dziękować, Ennid - do Kasty wreszcie dotarło, że ta cudowna zbroja nie jest snem, a jawą. Ledwie oddychała z radości. - Po raz pierwszy od wielu lat czuję się szczęśliwa.

- Zamierzasz zrobić dla mnie znacznie więcej - Sidka wymownie popatrzyła na Mądralę, radośnie merdającą ogonem za plecami La Mara. - I uczynisz to, jestem tego pewna. Ojciec Dewinie, oto wasz nowy dowódca!

Starszy Wajdor wyszedł zza pleców Ennid-Welirry, popatrzył na Kastę głębokimi czarnymi oczyma i uklonił się.

- Dlaczego przepuściliście maga do Góry Kłów? - zapytała Kasta.

- Bo, nie on jest najbardziej niebezpieczny. To zaledwie narzędzie, wykonujące złowieszczą wolę Ojca Cieni. Gdyby Wajdorzy wydali obcym bitwę, jej wynik niczego by nie przesądził. Tylko, byśmy się wykrwawili.

- Nie rozumiem.

- Za magiem i jego Orkami, potajemnie podążają ci, którzy od dawna próbują znaleźć drogę do Mennarachanu - Bracia. - Kiedy mag otworzy drzwi Kolebki, oni spróbują zdobyć świątynię. Wówczas pomoc Orków bardzo nam się przyda.

- Tak, najpierw Orki, teraz zaś wampiry - westchnął Wisław. - Weszło!

- Jeśli nasz plan powiedzie się, Mennarachan przekształci się w ogromną pułapkę, z której nie wydostanie się ani jeden wampir - powiedziała Ennid. - Skończycie z nimi raz na zawsze. Mennarachan przestanie być wrzodem, płodzącym stwory. Wajdorzy pomogą, oni umieją walczyć z wampirami.

- Często, wola bogów jest niezrozumiała dla śmiertelnych - uśmiechnęła się. - Jakim sposobem Orki przeszły koło was?

- Pod Monsalidarem są podziemne tunele. Schowaliśmy się w nich.

- I co teraz?

- Ty dowodzisz - odpowiedział Dewin. - Czekamy na twoje rozkazy.

- Co ty na to, La Marze? - Kasta zwróciła się do myśliwego.

- Nie wiem, dlaczego dotychczas nie znaleźliśmy La Bantjena, nie wykończyliśmy go, by zabrać mu klucz. To byłby najprostszy sposób rozwiązania problemu. Ale, widocznie, jest jeszcze coś, o czym nie wiemy.

- Tak - popatrzyła na Sidkę. - Trzeba otworzyć świątynię Cienia i skorzystać z Przejścia, które tam się znajduje. Niech mnie przeklnie Beris, jeśli wiem, jak to zrobić, ale właśnie tego oczekuje się ode mnie.

- I zamknąć Przejście - dodała Ennid.

- Na razie, nie widzę niczego skomplikowanego - powiedział La Mar.

- Żeby dotrzeć tam, przyjdzie nam się jednak spotkać z Orkami - zauważyła Kasta. - Jeśli dobrze rozumiem, teraz są przy wejściu do Mennarachanu.

- Niekoniecznie - odpowiedział Dewin. - Już mówiłem ci wojowniczo o podziemnych tunelach. Prowadzą do dostępnych sal.

- Wobec tego, na co czekacie? - zdziwiła się. - Czas to pieniądź!

La Mar jak zawsze, bez pośpiechu i solidnie przygotowywał się do bitwy. Włożył kaptur z kolczugi, rozmiścił w kieszonkach na pasie zapalające bomby i flakony z miksturami. Posmarował strzały jadowitą pastą, przymocował kołczan pasami do prawego biodra. Miecz, obficie posmarowany welańskim balsamem, powiesił na plecach. W cholewę buta wsunął szeroki sztylet-rozpruwacz. Skończywszy z ekwipunkiem, spojrzał na Wisława.

- Polecisz w tym do podziemi? - dotknął palcem rękawa kurtki Wisława.

- Nie, rozbiore się do naga, żeby wampiry nie zadławiły się zapęciem - Wisław umoczył ostatnią strzałę w naczyniu z pastą. - Zbyteczne pytanie, przyjacielu. Zbroję podarowano tylko Kaście.

- Mylisz się - wyjął z worka kolczugę i rękawiczki gnomów. - Weź.

- A Wiola?

- Kolczuga jest dla niej zbyt ciężka. A poza tym, mam przecucie, że jej, nie jest potrzebna. Eliksiry też weź, przydadzą się. I więcej sznurów, być może trzeba będzie schodzić z dużej wysokości. Wajdorzy, pobłogosław ich Gawanie, zaopatrzyli nas we wszystko, co potrzebne.

- Dziękuję - Wisław z radością przyjął prezent. - Troszczysz się o mnie, jak rodzona matka.
- Nie bezinteresownie. Mam do ciebie prośbę, Reszyjcu. Wydaje mi się, że mogę ci zaufać.
- Słucham.
- Wiesz, że kocham Wiołę. Oprócz niej nie mam nikogo. - Podał złożony czterokrotnie listek papieru. - To mój testament. Chcę, byś został jego wykonawcą.
- Nie za wcześnie postanowiłeś umrzeć, Seltończyku?
- Trzeba być gotowym na wszystko. - W Szyleo jest lichwiarz o imieniu Okler, ma swój kantor naprzeciwko Kwiatowego mostu. Zostałem u niego wszystkie swoje oszczędności. Zrób tak, żeby po mojej śmierci Wioła je otrzymała.
- Postaram się - zrozumiał, że sprzeczka jest bezcelowa, wsunął papier do buta. - Jeśli wyżyję, zrobię tak, jak prosisz.
- Postaraj się wyżyć – La Mar uśmiechnął się, pomilczał, obserwując, jak Wisław zakłada zbroję. - Jak słyszałem, jesteś także poetą, dlatego ułożysz pieśń o tym dniu. Mam nadzieję, że będzie sławna.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Szarłak Tarcho patrzył na zachód słońca.

Po raz pierwszy od wielu lat, służąc z dala od Orsiany, zatęsknił do rodzinnych stron. W Chejlańskich górach, kończący się dzień przybiera podobne barwy nieba. Tak samo wieje lodowaty wiatr, kiedy słońce chowa się za górami.

Kiedyś ojciec opowiedział mu, dlaczego ród Orków jest taki potężny i odważny. Sekret tkwi w ziemi, na której żyje ten albo inny naród. Ziemia Orków, to kamień, lód i światło. Dlatego ich ciało jest mocne jak kamień, rozsądek zimny jak lód, a w sercu czyste światło górskiego poranka. Są wieczni, jak góry, w których żyją i wolni, jak wiatr wiejący z lodowców.

Ludzie są inni. Rozpieszczeni i bardzo boją się śmierci. Nawet najsilniejszy człowiek nie będzie w stanie walczyć w zbroi Orków - są za ciężkie dla ludzkiego ciała. A najgorsze, że ludzie są dwulicowi. Ich słowom nie można wierzyć. Dzisiaj mówią jedno, jutro drugie. Złoto i strach zmuszają ich do kłamstwa i przewrotności. Żałosne stworzenia. Przebywał wśród ludzi dosyć długo, żeby to zrozumieć. Przez siedem lat, spędzonych w Seltonii, spotkał tylko jednego człowieka, którego szanował i któremu wierzył.

Był nim marszałek Salem de Fortan, który zasługiwał na szacunek.

Sprawiedliwy. Uczciwie płacił jego Orkom i ani razu nie próbował ich oszukać. Je z Orkami z jednego kotła i pije z jednego bukłaka. Próbuje nawet mówić w języku Orków i nikogo nie razi, że śmiesznie kaleczy słowa. Takiemu dowódcy nie wstyd się podporządkować. Szkoda, że takich ludzi jak de Fortan, bardzo niewielu.

Nie wyjaśnił, dlaczego przyprowadził ich tu, do ziemi Wajdorów. Był rozkaz przywódców Trybunału, który trzeba wykonać. Wajdorzy, z jakiegoś powodu, nie chcieli walczyć, tchórzliwie schowali się w swoich kryjówkach. Ale mogą zaatakować znienacka. Dlatego cisza wieczorna jest złudna.

W tym miejscu jest coś niedobrego. Jakaś niewidoczna siła, ale wyczuwalna. Doświadczył podobnego odczucia wiele lat temu, kiedy po raz pierwszy odwiedził Świątynię Ognisk w Miarze. Tam, napęliła serce młodego wojownika radością, a tu - wywołuje trwogę.

Trzeba porozmawiać z de Fortanem.

Marszałek siedział na kamieniu przy ognisku i ostrzył swój miecz. Niedaleko, kilku Orków, wprawnie oprawiało tuszę zabitego jelenia.

- Ga-chart Salem ma dla mnie rozkazy? - zapytał po seltońsku.

- Niech twoi wojownicy będą w gotowości - odpowiedział marszałek w języku Orków.

- Są zawsze gotowi do walki. Odeprzemy atak.

- Wiem, ga-charcie Szarłaku. Rozkaż wojownikom rozpaść trochę więcej ognisk. Tu mogą być dzikie zwierzęta. Trzeba chronić nasze konie.

- Oczywiście, ga-charcie Salem.

- Coś jeszcze? - De Fortan popatrzył na Orka.

- Nie.

- Wobec tego, odejdź.

Ork oddalił się kołyszającym chodem. De Fortan wypróbował ostrze palcem, schował osetkę do torby i obejrzał obóz. Orki rozstawiły swoje namioty przy samych menhirach i tam też zebrali konie, rozsiodłane i spętane. Część z nich już odpoczywała, pozostali lada moment zasiądą do kolacji. Pomyślał, że wypadaloby przespać się parę godzin. Tej nocy chyba nie będzie mu dane odpocząć po ludzku.

Pomyślał jeszcze o La Bantjenie. Protektor zachowuje się bardzo dziwnie. Wlaźł do ruin bez ochrony, tylko z dziewczumą, która nie wiadomo kim jest i skąd pochodzi. Proponował mu, by wziął dziesięciu Orków, ale odmówił. Chyba wielebny wie, co robi. Jednemu Gawanowi wiadomo, co może czaić się w tych ruinach. Dostał gęziej skórki, wyobrażając sobie taki obraz: ciemność, poplątany labirynt porzuconych konstrukcji, gdzie za każdym zakrętem drogi, na bezczelnego intruza może czekać nie wiadomo co. Odważny jednak chłopak, z tego La Bantjena. Za bardzo jednak zdaje się na swoje magiczne sztuczki.

W każdym razie, nie musi czekać na jego powrót, czuwając. Spać się chce coraz bardziej, dokucza ziewanie i nogi znowu rozboleły. Dość siedzenia na chłodzie, trzeba iść do namiotu i spać. Szarłak i bez niego dopilnuje porządku.

Dowlókł się do namiotu, odsunął przesłonę, czując, że lada moment zaśnie. Niezwykła senność, nie do pokonania, zawisła na powiekach, pozbawiała możliwości rozumowania i zastanawiania się. Nawet nie był w stanie zdjąć kirysu, upadł na posłanie w zbroi. Jeszcze zdążył pomyśleć, że w tak silnym pragnieniu snu jest coś nienaturalnego. A potem świadomość uleciała i usnął kamiennym snem.

Szarłak widział, jak marszałek poszedł do swego namiotu, oddalając się dziwnym, nierównym krokiem, niczym pijany. Podszedł do namiotu, zajrzał do wnętrza. De Fortan mocno spał, ubrany i z mieczem w ręce. Ork obnażył w uśmiešku kły - ga-chart Salem starzeje się. Droga z Łaszeny do Monsalidaru wysłała z niego siły. Zgoda, niech śpi. Słabe ludzkie ciało potrzebuje snu, nie to, co żelazne ciało Orków.

- Rosach! - zawołał jednego z wojowników siedzących przy ognisku.

- Tak, lordzie ga-chart?

- Jeśli zjadłeś kolację, wejdź do namiotu, ochraniaj Salema.

Wojownik przytaknął, zanurkował do namiotu dowódcy, zgrzytnąwszy zbroją. Szarłak podszedł do ogniska, przy którym jego podwładni smażyli mięso, nasadziwszy kawałki na brązowe strzały. Jeden z nich podał mu usmażony kawałek

jeleniny. Rozkoszując się aromatem mięsa, wgryzł się w kawałek zębami, parząc się gorącym sosem. I w tym momencie zaczęły chrapać i rzeć wystraszone konie.

- Trwoga! - wrzasnął któryś z wojowników.

Odrzucił mięso, chwycił się za rękę dwupałaksa. Jakieś ciemne postacie, dziwnym sposobem wyłoniwszy się z ciemności, już walczyły z jego wojownikami przy koniach. Jeden z napastników rzucił się na niego.

Dowódca Orków uderzył dwupałaksem, poczuł, jak ostrze topora rozcięło ciało. Ale nieznany wróg nie upadł, nie krzyczał z bólu. Zasyczał głośno, złośliwie, zwinął się w kłębek i skoczył na Orka. W świetle ogniska, zdumiony zobaczył trupioblada, pomarszczoną twarz, z otoczonymi czarnym cieniem oczami, pełnymi obłądu i wściekłości, a także ostre, cienkie kły, z których sączyła się ślina.

Nieprawdopodobne, zdążył pomyśleć. Wampiry istnieją naprawdę. Zdążył zareagować, osłonił się drzewcem topora, uniemożliwiając stworowi dotarcie do jego gardła, ale nie utrzymał równowagi - wampir w rozpędzie zbił go z nóg i wczepił się rękami w halsberg chroniący szyję, szarpnął zbroją z niepojętą siłą. Gęsta, podwójnie wiązana siatka z kolczugi, pękła jak zniszczona parcianka, odsłaniając gardło, jednakże Szarłak zdążył wyszarpnąć sztylet i wbić w brzuch wampira, ciągnąc go na siebie. Rozpruł brzuszysko, dusząc się od nieznośnego smrodu. Kopniakiem, zrzucił z siebie napastnika. Wampir odleciał do ogniska, spróbował podnieść się na nogi, płacząc się w wypadających wnętrznościach. Ork skoczył, uderzył nogą pokiereszowanego wroga jeszcze raz, odrzucając wampira prosto w płomień. Stwór, z krzykiem rozdzierającym duszę, zapalił się, jak rzucona na węgle wiązka siana.

Szarłak potrząsnął głową, jakby odpędzał diabelstwo. Zaskoczenie i wstrząs minęły i teraz, było nieważne, kto napadł. Trzeba odeprzeć atak.

- Wszyscy do ogniska! - bronić namiotu!

Usłyszano jego krzyk. Półtora dziesiątka Orków rzuciło się do swego dowódcy, ale zostali zmuszeni do starcia z zagradzającymi drogę wampirami. W całym obozie wojownicy walczyli z ciemnymi figurami, dziesiątkami wyłaniającymi się z czeluści nocy. Było słychać krzyki Orków, złośliwe syczenie i wrzaski wampirów, rzenie przestraszonych koni i szczęk broni. Szarłak rzucił się do namiotu, zderzył się w wejściu z Rosachem, który wyskoczył zaniepokojony zgietkiem.

De Fortan spał. Potrząsnął marszałkiem, ale Seltończyk nie reagował. Zrozumiał, że to czary. Hipnoza wampirów. Na Orków nie działa, ale ich dowódca znajduje się teraz całkowicie we władzy zacienionej magii. I jeśli wampiry przedrą się do namiotu...

Zostawił śpiącego i wybiegł na zewnątrz. Przy wejściu Rosach walczył z trzema wampirami, odparowując uderzenia ich mieczy. Rzucił się na pomoc swojemu żołnierzowi. Uderzeniem dwupałaksa ściął czaszkę jednego, zadał kłujące uderzenie krótkim mieczem w brzuch. Klinga wampira zgrzytnęła o kirys. Ryknawszy, Ork zadał druzgocące uderzenie pięścią w twarz wampira, a kiedy ten upadł na ziemię, kilkakrotnie rąbnął toporem, łamiąc wrogowi żebra i kręgosłup. Rosach zmiotł głowę jeszcze jednemu wampirowi, ale kolejny skoczył na niego z ciemności, powalił na ziemię, wczepił się kłami w gardło. Szarłak chwycił z ogniska płonącą głównię, zaczął okładać napastnika, aż ogarnięty płomieniem napastnik wypuścił Rosacha.

Młody Ork spróbował podnieść się, ale z jękiem zwałił się na ziemię, zaciskając ręką głęboką ranę na szyi. Szarłak zdrętwiał. Rosachowi już w niczym nie można pomóc. Jest tylko jeden sposób, by uwolnić nieszczęśliwego żołnierza od cierpień.

- Byłeś świetnym wojownikiem, Rosachu - zachrypiał i wzniósł topór. - Wybacz mi, bracie.

Ciało Rosacha, pozbawione głowy od uderzenia dwupałaksa, upadło do nóg Szarłaka. Potrząsając toporem, dowódca rzucił się naprzeciw nowym cieniem, biegnącym do namiotu. Czuł wściekłość i pragnienie zemsty. Kobieta-wampir, z krótko strzyżonymi siwymi włosami, zamachnęła się na niego buławą - odskoczył, odpowiedział takim uderzeniem, że upadła na kolana, a z jej ust buchnął potok krwi. Rycząc, opuścił topór na jej głowę, wyrwał dwupałaks z rozrąbanej czaszki, wstecznym ruchem zadał potworne uderzenie kolejnemu wrogowi, odrzucając go od namiotu. Orki tymczasem, obroniły się przed napadającymi wampirami i około dwudziestu wojowników stanęło ścianą przy wejściu do namiotu de Fortana, ale Szarłak ich nawet nie zauważył. Widział tylko zbliżające się wampiry. W ich bladych, wyczerpanych ze zmęczenia twarzach płonęły czerwone oczy, a w rękach trzymali broń. Marzył, by zabić ich wszystkich, zemścić się za Rosacha.

Zmaterializowany wampir, wystrzelił z ciężkiej kuszy. Strzała, wypuszczona z pięciu kroków, przebiła kirys z brązu i pierś Szarłaka. Wódz Orków cofnął się, z trudnością zachowując równowagę. Odrzuciwszy kuszę, wampir rzucił się na niego. Walczyli kilka sekund: stwór posiadał tak straszną siłę, że potężny Szarłak z trudnością zdołał oderwać jego palce od swojego gardła. A potem wypuścił topór, chwycił wroga rękami za głowę i tak potrząsnął, że kręgi szyjne pękły z suchym trzaskiem. Ryknąwszy, podniósł go nad głowę i rzucił w ognisko przed namiotem. Stracił przy tym resztki sił i osunął się na kolana.

- Lordzie ga-chart! - przestraszony głos giermka Garchosza dźwięczał tak, jakby w uszach zebrała się woda. - Jesteś ranny? Hej, pomóżcie lordowi-ga-chartowi!

- Zostawcie! - otrząsnął się ze zniewalającej słabości, z trudnością, ale stanął na nogi. Pierś paliło ogniem, w ustach pojawił się słony posmak. - Namiot! Trzymać obronę! Bronić ga-charta Salema. Bronić...

Nic więcej nie mógł powiedzieć - siły go opuściły. Nie był też w stanie zobaczyć, jak potok wampirów, z triumfującym wyciem rzucił się do namiotu, jak jego wojownicy zagrodzili drogę i nad ciałem poległego dowódcy zaczęła się potworna rzeź. Orki z początku trzymały szyk, dwa razy udało im się odrzucić stworów od menhirów - cały szczyt pagórka był zasłany trupami. Ale wkrótce, do atakujących wampirów, przyłączyli się ci, którzy do tego momentu ucztowali nad ciałami poległych Orków i końskich trupów - położenie było rozpaczliwe. Żywa krew dała wampirom nieprawdopodobną siłę i fala rozwścieczonych Braci dosłownie zalała resztkę wojowników Szarłaka, którzy okrążali namiot. Wampiry ginęły dziesiątkami, ale menhiry były tuż przed nimi i żaden opór już nie mógł zatrzymać ich, rwących się na zawołanie Kolebki Cienia.

Kiedy Orkom wydało się, że nie ma już żadnej nadziei, i że pozostaje im umrzeć z godnością, nagle, w kierunku wampirów, poleciały obce strzały. Wiele strzał – dziesiątki. Były one szczególne - przy trafieniu, Bracia zapalali się oślepiającym, białym ogniem, ginęli, nie zdążywszy nawet zrozumieć, co się stało. Płomień przeskakiwał na innych, a ci, z wyciem, rozpierzchnęli się w różne strony na oczach zdumionych Orków, już przygotowujących się do godnej śmierci. Po kilku sekundach, z chmary wampirów, które rwały się do wejścia w podziemia, zostały tylko zwęglone, tłące się szkielety, wśród innych rozrzuconych na pagórku.

Ocalone w bitwie Orki stały przy wejściu do namiotu, ściskając zakrwawioną broń, nie rozumiejąc, co się dzieje. Kiedy z ciemności wynurzyli się uzbrojeni ludzie, nie opuścili swoich mieczów i toporów.

- Kim jesteście? - zachrypiał H-dar Garchosz, giermek poległego Szarłaka, wychodząc naprzeciw przybyszom.

- Wajdorzy - odpowiedział jeden z wojowników. - Jestem brat Erom. Kto jest waszym dowódcą?

- Ga-chart Salem w namiocie - Garchosz opuścił wyszczerbiony, zakrwawiony miecz. - Chcesz z nim mówić?

- Nie – z szeregu wyszła kobieta-Sidka – ja będę z nim mówić.

De Fortana męczyły koszmary. Śniło mu się, że próbuje zaspokoić pragnienie z jakiejś brudnej, tłustej czaszy, ale woda którą pił przekształcała się w piasek, który zatykał usta i wywoływał mdłości. Słyszał jakieś krzyki, języki ognia lizały jego twarz, wykrzywione, potworne cienie tańczyły przed oczyma. Potem zobaczył starą, brzydką kobietę, ze zmęczoną, obojętną twarzą i zaciągniętymi bielmem oczyma: siedziała wśród ruin palącego się domu i karmiła piersią niemowlę, podobne do wyschniętego truposza, które głośno ssało obwisłą pierś staruchy i widział, jak rozdyma się brzuch dziecka. A potem, z westchnieniem, wypuściło sutek staruchy, z którego połała się gęsta, czarna krew, zalewając dziecko, kobietę i ziemię. Krwawa kałuża zaczęła się rozplýwać, podchodząc do nóg, marszałek cofnął się, zamachał rękami i krzyknął. Uczucie przerażenia zostało nawet wtedy, gdy zrozumiał, że się obudził.

- Ga-charcie! - pochyliła się nad nim zakrwawiona twarz Garchosza. - Ga-charcie Salem!

- Garchosz? - siadł na pościeli. - Co się stało?

- Lepiej zobacz to sam.

Marszałek, przeczuwając najgorsze, wybiegł z namiotu. Była najciemniejsza godzina nocy i ogromne, znów rozpalone ogniska, oświetlały pole niedawnej bitwy. Niedaleko namiotu stali uzbrojeni w łuki ludzie - ich spojrzenia skierowały się na de Fortana. Zobaczył długi szereg ciał jego wojowników: Orki przeniosły ich tu, bliżej namiotu. Był wśród nich Szarłak.

- Co... Co tu się dzieje? - wrzasnął, niczego nie rozumiejąc.

- Wampiry – podeszła do niego kobieta w skórzanej zbroi i zielonym aksamitnym kapturze. – Napadli, gdy La Bantjen zdjął pieczęć z zakazanych drzwi.

- Wampiry? - nieufnie popatrzył na nieznajomą. - Przypuszczasz kobieto, że uwierzę w te bzdury?

- Trzeba będzie uwierzyć, de Fortanie. Jak myślisz, dlaczego przespałeś bitwę? - zrobiła pauzę. - Rozumiem, że nie znasz odpowiedzi. A ja znam. Uśpiła cię hipnoza wampirów. Ciesz się, że były przy tobie Orki. Na nich nie działa ta magia. Gdybyś dowodził ludźmi, byłibyście wszyscy dawno martwi, a wejście do przeklętej wieży Mennarachanu, zostałoby zdobyte przez Braci.

- Nie wierzę ci.

- Wobec tego, spójrz - nieznajoma podniosła z ziemi jakiś okrągły przedmiot, pokazała de Fortanowi. Marszałek drgnął - w rękach kobiety, była zwęglona ludzka czaszka. Ale bardzo niezwykła. W górnej szczęcie sterczały piękne, długie, zwierzęce kły.

- To niemożliwe! - krzyknął, czując jak po plecach pełźnie lodowaty chłód.

- Twoje Orki, uratowały cię, marszałku - powiedziała kobieta.

- I ja... przespałem bitwę? - obejrzał się. Dopiero teraz zauważył rozrzucone tu i ówdzie zwęglone zwłoki wampirów i porzuconą broń.

- Chciałabym ci powiedzieć coś obiecującego - powiedziała kobieta - ale nie mogę. Sam wszystko widzisz.

- Kim jesteś?

- Jestem Welirra. A wojownicy, którzy przyszli ze mną, to Wajdorzy.

- To wam zawdzięczam ocalenie?
- Możesz tak uważać, marszałku. Ale najbardziej jesteś zobowiązany Orkom. Odważnie cię ochraniali, póki byłeś nieprzytomny. Wajdorzy przybyli na czas, by przełamać wynik walki.

- Orki walczyły, póki spałem? A ja nic nie słyszałem, nic nie mogłem zrobić. Ja... ja... okryłem się hańbą! Nie mam po co dalej żyć - w rozpaczę chwycił za rękojeść sztyletu, żeby wbić go sobie w gardło, ale Ennid zatrzymała go.

- Nie ma w tym twojej winy, marszałku. Nie byłeś obok swoich wojowników podczas walki, ale teraz, możesz przywrócić swoje dobre imię. Bitwa nie jest jeszcze skończona, a ja bardzo potrzebuję twojej pomocy. Nie muszę ci udowadniać, że Bracia istnieją. Doświadczyłeś potęgi ich czarnej magii. Twoi wojownicy widzieli ich i walczyli z nimi. Jednakże, słowu Orków nikt nie da wiary.

- Co powinienem zrobić?

- Pomóż skończyć z La Bantjenem.

- Czyżby to jego sprawka?

- Tak. La Bantjen to przestępca, morderca i służący Cienia. Powinieneś zdemaskować go, Salemie de Fortan.

- Co mogę zrobić?

- Świadczyć. Opowiedzieć o wszystkim, co widziałeś.

- Tak niewiele? - przełknął tkwiącą w gardle kulę. - Tego za mało, by zmyć hańbę, która od tej godziny stała się moim wiecznym towarzyszem.

- Jesteś tylko człowiekiem, Salemie de Fortan. Nie wyobrażasz sobie, jakie siły próbowały dziś przedrzeć się do Góry Kłów. Słusznie, nie ty ich zatrzymałeś. Zrobiły to Orki. Podziękuj im za to. I podejmij decyzję, której od ciebie oczekują.

- Garchosz! - krzyknął. - Wszyscy do mnie!

W milczeniu obserwował, jak przed namiotem, w kręgu światła z ogniska, ustawili się w jednym szeregu wszyscy wojownicy jego oddziału, którzy ocalili z bitwy. Dwudziestu dwóch, z osiemdziesięciu, których przyprowadził do Mennarachanu. Dwudziestu dwóch ocalonych w bitwie, w pogiętych, posiekanych zbrojach, z licznymi ranami od broni wampirów. Nie wiedział, że ci, którzy zostali pogryzieni przez wampiry, dobrowolnie przyjęli śmierć z rąk swoich współbraci, żeby nie przekształcić się w nocne potwory. Orki patrzyły na swego naczelnika i czekały, co powie.

- Ja... Ja naprawdę nie wiem, co powiedzieć wam, wojownicy - zaczął. - Lepiej nic nie będę mówić. Tylko poproszę was o przebaczenie za swoją nikczemność i tchórzliwość. Dzisiaj początek waszej sławy - i mojej hańby. Proszę posłuchać mojego ostatniego rozkazu. Dziękuję wam za wasze męstwo i wierność. Nie jestem już waszym dowódcą. Nikczemny tchórz nie może wami dowodzić. Garchosz!

- Ga-charcie Salem! - były giermek wystąpił z szeregu.

- Oto mój miecz - obnażył klingę, rzucił go do nóg Orka, a sam padł na kolana.

- Okaż mi ostatnią przysługę, której nie jestem godzien. Weź mój miecz, teraz jest twój. I uwolnij mnie od hańby.

- Ga-chart Salem chce...

- Tak! - powiódł spojrzeniem po speszonych Orkach. - To ostatni honor, który możecie mi okazać. Wykonuj, żołnierzu!

Garchosz podniósł miecz, zrobił krok w stronę marszałka. Wajdorzy w milczeniu obserwowali scenę.

- Ga-charcie Salem! - Garchosz oddał marszałkowi honory mieczem i przeciągnął klingę w jego stronę, rękojeścią do przodu. - Orki wykonały swoją powinność. Obroniły dowódcę, jest żywy. On może dowodzić dalej.

- Garchosz! - De Fortanowi zapało dech, w oczach zakręciły się łzy. - Co mówisz?

- Mamy dowódcę - Garchosz poderwał klęczącego marszałka na nogi, jak małe dziecko. - Oto miecz dowódcy. Ga-chart Salem naszym dowódcą. Nie będziemy służyć innemu wodzowi.

- Wy... Wybaczacie mi?

- Dowódcy nie wolno wybaczać. Dowódca ma zawsze rację. - Wyrwał zza pleców swój wyszczerbiony w starciu dwuręczny miecz, podniósł w kierunku nocnego nieba. - Ga-chart Salem z nami, znaczy, wygraliśmy bitwę!

- Ga-chart Salem! - zgodnie wykrzyknęli Orki.

- Jak widzisz, marszałku - powiedziała Ennid, podszedłszy do oszołomionego i wzruszonego de Fortana - twoje Orki, w odróżnieniu od ciebie, zobaczyły prawdę. Są mądrzejsze, niż się ludziom wydaje. Wiedzą, jak potężna może być Zacieniona Strona. Dlatego nie martw się i rób swoje. Bitwa zacznie się szybko i będziesz potrzebny swoim wojownikom.

- Co powinienem robić?

- Czekać. Udała nam się pułapka, ale jeszcze za wcześnie, by się cieszyć. Niewykluczone, że nie zniszczyliśmy wszystkich wampirów. Do świtu jeszcze daleko i Bracia mogą ponownie próbować przedrzeć się do Kolebki. Erom i jego wojownicy zostaną z tobą i twoimi Orkami.

- A La Bantjen?

- Nim zajmą się moi przyjaciele. Teraz nie możemy tropić go w podziemiach. Wróg, który lada moment tam się ukaże, przekracza nasze możliwości, de Fortanie. Nie mogę rozkazać ci, byś poprowadził swych wojowników na pewną zagładę. W tej bitwie, każdy powinien być na swoim miejscu.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Upadek trwał krótko. La Bantjen nawet nie zdążył się przestraszyć, tylko na moment zabrakło mu tchu, jak człowiekowi, który wpadł do lodowatej wody. Po chwili zorientował się, że leży na ogromnej hałdzie ziemi, która wiekami osuwała się przez ten sam wąż, którym z Morgwen trafili do wnętrza Góry Kłów. Zakłęcie Nocnego Podróżnika rozprężyło ciemności i Protektor rozejrzał się.

Ogarnął go zachwyt. Nad głową zobaczył ogromną kopułę z rzędami kasetonów, a otwór, przez który wpadli, okazał się szczytowy. Wspierała się na okrągłej, masywnej kolumnadzie, która pozostała prawie nietknięta przez ząb czasu. Nie wiadomo, co znajdowało się w centrum sali, ziemia i odłamki betonu zasypały to, ale był prawie pewny, że kiedyś było tu pałacowe obserwatorium. Stąd, powinno być wyjście do wewnętrznych pomieszczeń pałacu.

Strząsnął kurz z ubrania, bez pośpiechu obszedł kolumnadę w poszukiwaniu wyjścia. Morgwen prawie bezszelestnie szła za nim i od czasu do czasu wydawała ten sam, niezrozumiały, ćwierkający dźwięk, który tak zaniepokoił go nocą. Coś nie tak z tym stworem, pomyślał. Trzeba jak najszybciej znaleźć Kolebkę, a tam...

- Tu - nagle odezwała się, zatrzymując się przy jednym z łuków między kolumnami.

Podszedł, zajrzał do łuku. Ściana wyglądała na zwartą, ale za kolumnami widniały dwa ogromne, pionowo ustawione słupy z kryształu. Na wysokości oczu, między słupami, zauważył napis, wygrawerowany srebrnymi runami w ciemnym kamieniu.

- „Viruel Luen nummeahn nhotan Fiorge riveahn”. „Odchodzenie światła oznacza wchodzenie mroku” - przeczytał i zadowolony potarł dłonie. - Zadanko dla początkującego. Wszystkie runy srebrne, oprócz jednej. Oto, ten zameczek. A my mamy klucz.

Włożył stylus Carikata w runę „fehu” w słowie „mrok”. Ziemia pod nogami drgnęła, jego ciało przeniknęło potężne buczenie i krystaliczne słupy rozświetliły się wewnątrz zielonkawym światłem. Zwarta, kamienna ściana wewnątrz łuku, ze zgrzytem opuściła się w dół, odsłaniając przejście.

- Morgwen, idź przodem - rozkazał, po wyjęciu stylusa z runy-zamka.

Nienarodzona zniknęła w otwierającym się wyjściu, które prowadziło na wąskie schody, owijające spiralą główną wieżę pałacu, między zewnętrzną i wewnętrzną ścianą. Schodziła pewnie po nich, Protektor szedł jej śladem. Chyba nie ma potrzeby szukania ukrytych pułapek, bo w królewskim pałacu nie było ich, ale obsunięcia są możliwe, tak więc, Nienarodzona niech idzie przodem. W tym momencie, po raz pierwszy zobaczył zwłoki tych, którzy kiedyś walczyli o twierdzę. Spróchniałe kości i czaszki poległych spoczywały tu od tysiącleci. Nie mógł określić, czy należały do ludzi, Sidów, czy demonicznych wojowników Szu? Kilkakrotnie pojawiała się dawna broń - miecze, siekiery, pokryte wykwinnym tłoczeniem tarcze, hełmy. Niektóre zardzewiały na tyle, że rozsypywały się przy dotknięciu, inne zachowały się nad wyraz dobrze.

Zejsście trwało długo, wydawało się, że kilka godzin. Wewnątrz martwego pałacu panował lodowaty chłód i Protektor pomyślał z żalem, że na nie zabrał ze sobą cieplej odzieży. Wreszcie, schody wyprowadziły ich na łukową galerię w tradycyjnym, starosidskim stylu - prostą kolumnadę z arkadami. Po krótkich poszukiwaniach, znalazł wejście do wieży, tym razem otwarte na oścież.

Nowa sala była wspaniała. Zachwyciły zarówno jej rozmiary, jak i wystrój. Zachowało się nie tylko wykwinne licowanie ścian i łuków, ale i ogromne lampy pod sklepieniem. Zobaczył masywne, o niezwyklej formie kandelabry, ażurowe ławy z ciemnego metalu, ustawione wzdłuż ścian dwóch obramowanych kolumnami naw, krzyżujących się ze sobą. W punkcie przecięcia stał kiedyś pomnik, po którym pozostał tylko granitowy postument, a jego resztki zaścięły posadzkę. Śladem starożytnej bitwy były szkielety i ich części - ginący tu wojownicy zostali rozerwani niepojętą i niezrozumiałą siłą. Wśród ludzkich szkieletów trafiały się szczątki jakichś zwierzopodobnych istot, które uczestniczyły w bitwie. Obok kości poniewierały się sztylety, części zbroi, miecze, buławy, łuki, a także cenniejsze przedmioty – ozdoby jubilerskie, sprzączki ze spróchniałej odzieży, drogie amulety. Ani jeden poszukiwacz skarbów nie odwiedził tego miejsca przez tysiące lat, które minęły od upadku stolicy Glennsidów i skarby, należące niegdyś do władców i poległych wojowników pozostały nietknięte. La Bantjen nie mógł się powstrzymać i podniósł z podłogi migocący granatowym ognikiem pierścień, zdmuchnął z niego kurz. Wspaniały szafir w złotej oprawie, wykonany przed wiekami przez sidskiego mistrza, mógłby zapewnić utrzymanie jakiemuś poszukiwaczowi skarbów. Ile może być wart? Pięćset tulonów, jeśli nie więcej. Ale Protektor nie przyszedł tu dla dawnych kosztowności.

Nagle uświadomił sobie, że jest pierwszym człowiekiem i magiem, który odnalazł drogę do zaczarowanych ruin, po tysiącu lat zapomnienia. Wyobraził sobie miny tych napuszonych kretynów z Kolegium Magna, kiedy ogłosi, czego dokonał. Im nawet nie śniła się taka potęga. Wszystko, do czego zdolni są ci idioci, to sprawiać wrażenie wszystkowiedzących i sypać wyuczonymi kiedyś bezsensownymi sentencjami i cytatami. A on jest prawdziwym magiem, który zdołał pokonać zaklęcie Carikata i teraz zmierza do miejsca, gdzie zyska potęgę, niesłychaną i niedostępną

ludzkiemu pojmowaniu. Już niedługo Solanus Brok, będzie cieszyć się łaską supermagistra...

W głębokim mroku, zniszczonej nawy, ukazał się korytarz prowadzący na dolną kondygnację. La Bantjen i jego towarzyszka znaleźli się w nowej sali, przestronnej i wspaniałej. Jednak pierwsze zachwyty minęły i był już zniecierpliwiony. Monumentalność i wspaniałość dawnych sal nie robiła na nim wrażenia. Przed nimi Kolebka Cienia i trzeba było się śpieszyć.

- Morgwen, dobrze idziemy? - zapytał. Nienarodzona odpowiedziała twierdzącym skinieniem.

W nowej sali zobaczył posągi. Majestatyczne i tajemnicze, jak i wszystko, co stworzyła dawna kultura Glennsidów. Królowie i wielcy wojownicy Nowego Królestwa, zastygli w uroczystych pozach, patrzyli na malutką ludzką figurkę, przechodzącą koło nich, z pogardliwą obojętnością. Czytał runiczne napisy na ściankach między posągami. Kiedyś, były mocno podświetlane przez lampy, teraz tylko migotały w równym różowym świetle, wywołanym przez jego zaklęcie - ale były dobrze czytelne. Imiona dawnych królów, ich zasługi, czyny, hymny pochwalne na ich cześć. Runy spletały się w piękne wzory, migocząc złotem, karminem, lazurem i każdy napis, jakby krzyczał o zapomnianej wielkości Sidów.

Nie znał szczegółów upadku dawnego Glennsidu. Magiczne księgi i kroniki historyczne, które czytał, zawierały sprzeczne informacje. Były w nich legendy i podania, zebrane w późniejszej epoce, przez ludzi. Prawdę mogli opowiedzieć tylko Sidowie, dalecy potomkowie tych, którzy kiedyś wzniesli tę twierdzę. Czy w ogóle zachowała się ta prawda? Teraz nie ma to żadnego znaczenia. Kiedyś, nadprzyrodzona potęga Szu zniszczyła Glennsidów. Dzisiaj, odradza się. Wprawdzie, przez tysiąclecia była cieniem, ale bardzo szybko zyska ciało i krew, a miniona wielkość Sidów, pozostanie dalej wspomnieniem...

Wszystko, co po nich zostało, to martwy pałac, pełen cieni, patetycznych napisów na ścianach, posągów zapomnianych bohaterów i przysypanych kurzem, rozrzuconych kości poległych, na kamiennych płytach podłogi. Gigantyczny cmentarz, który już nigdy nie ożyje. Nawet stwory nie znajdą tu żadnego pożywienia.

Schodzili coraz niżej i niżej, kondygnacja za kondygnacją. Zgubił rachubę czasu. Zdążył przyzwyczać się do przejmującego chłodu, jednakże czuł mocne zmęczenie. Nawet dokładnie nie obejrzał ogromnej Sali Tronowej królów, nawet dokładnie nie obejrzał, ledwie nadążając za Morgwen. - Nienarodzona przyspieszyła kroku i teraz szła znacznie szybciej, niż na początku. To był dobry znak: kolebka znajdowała się coraz bliżej.

- Morgwen! - zawołał, kiedy weszli do kolejnej sali.

- Tak, Awierze - odpowiedział homunkulus, nie odwracając się.

- Chcę odpocząć. Zatrzymaj się.

Usiadł na odłamku kolumny i otworzył torbę. Wśród specyfików zdobytych w Ergalocie, był eliksir Gończego Psa, dający wytrzymałość, ale zdecydował zaoszczędzić go na potem. Jeden Gawan wie, ile jeszcze przyjdzie się błąkać po tych ruinach. Przełożył ze szkatuły do torby zwój z mocnym zaklęciem Bojowego Maga i dodał do niego, dokładnie zawinięte w wołok, kule z cienkiego kryształu, napełnione czerwonym płynem. Była to jego niespodzianka dla Morgwen. Nie wiadomo, jak podziała na tego stwora bojowe zaklęcie - przecież ona nie żyje, a pirokollodium spopieli wszystko. Takie zabezpieczenie na pewno nie zaszkodzi. Jak tylko relief, o którym mówił Warchisz, zostanie znaleziony, Morgwen stanie się niepotrzebna.

- Awierze, musimy iść.

- Daleko jeszcze?
- Nie. Awier powinien iść szybko.

Iść szybko? Dlaczego? To coś nowego i niespodziewanego. Może należy spytać stwora, po co taki pośpiech?

- Dlaczego powinienem iść szybko?

- Idź za mną - niespodziewanie powiedziała Morgwen i skierowała się do odległego wyjścia. La Bantjen nagle odczuł niepokój. Coś nie tak. Morgwen zachowuje się nie zupełnie tak, jak oczekiwał. Zombi, nekromancki zlepek z pobranych od różnych trupów części, nagle zaczyna przejawiać własną wolę. Czy to bliskość Kolebki ma taki wpływ?

Oby jak najszybciej znaleźć ten diabelski relief. A tam...

Prawie z nienawiścią patrzył na Nienarodzoną, kiedy przechodzili przez jeszcze jedną salę. Dalej zaczęły się jakieś długie, poplątane przejścia i Protektor nagle z trwogą pomyślał, że znalezienie powrotnej drogi będzie bardzo trudne, albo niemożliwe. Zachował się beztrąsko, nie zostawiając po drodze magicznych znaków. Bardzo łatwo zabłądzić w takim labiryncie. Nie ma żadnych zapasów, poza flaszką z konchobarem i kilkoma kawałeczkami cukru. Oto nowe niebezpieczeństwo, o którym zupełnie nie pomyślał.

Po chwili zapomniał o swoich obawach. Długa amfilada, którą szli kilka ostatnich minut, zakończyła się potężnymi drzwiami z brązu, pokrytymi skomplikowanym reliefem - języki ognia, magiczne znaki i nieznane hieroglify, spletały się w niezwyklej ornament. W dolnej części, mniej więcej łokieć od podłogi, rozciągała piękno stylizowana, wschodząca szesnastoramienna gwiazda - znak adeptów Zacienionej Czaszy.

Odetchnął z ulgą. Oto wejście do Wasztar-Achwi, dawnej Kolebki Cienia, miejsce, gdzie niegdyś zacienieni magowie próbowali złączyć Ciało i Cień. Powiódł palcami po zimnym, starodawnym brązie, jakby sprawdzając, jak mocno zapieczętowano te drzwi. Żadnych śladów zamków albo zasuw, ale w centrum gwiazdy zobaczył wytłoczoną w brązie runę „fehu” –dodaną tu nie bez powodu. Znowu zadanko dla początkującego maga. Carikat był żałośnie naiwny. Czyżby przypuszczał, że nie znajdzie się taki, który odgadnie jego dziecięce łamigłówki?

Włożył w runę brylantowy klucz. Kilka chwil nic się nie działo. A potem, starodawne drzwi, z wibrującym hukiem i zgrzytem otworzyły się. Schowały się w betonowym stropie do połowy, otwierając głęboki, wyrębany w skale tunel.

Przypomniał sobie, co mówił Warchisz - brylantowy klucz, cały czas powinien mieć przy sobie, wspierał się na palce, zabrał stylus Carikata, z trudem wyjmując go z runy. Narastający, potężny huk ucichł. Drzwi natychmiast opuściły się, zamykając przejście i powrotna droga została odcięta. Od wewnętrznej strony nie ma żadnych znaków, tylko gładki brąz. Pokonując atak klaustrofobii i nagłego, panicznego strachu, ruszył w ślad za Morgwen. Powinno być jeszcze jedno wyjście i znajdzie je. Trzeba tylko dobrze poszukać. Zrobił tak, jak powiedział Warchisz, ciągle ma klucz. Możliwe, że trzeba będzie otworzyć jeszcze jakieś drzwi...

Jest prawie u celu. Znalazł wejście i zdjął magiczną pieczęć z drzwi Kolebki. To, czego szuka, jest gdzieś obok. Zupełnie blisko.

Usłyszał, że Morgwen wydała ten sam, niewytłumaczalny, ćwierkający dźwięk, ale tym razem głośniejszy i dłużej.

Gorączkowym szeptem wypowiedział skanujące zaklęcie, skierował potok emanacji na Nienarodzoną. Aura jej płonęła potężnym liliowo-purpurowym blaskiem. Nigdy, u żadnego maga nie obserwował tak potężnej, intensywnej, magicznej aury.

- Coś nie tak, Awierze? - Nienarodzona odwróciła się, wyczuwając skanowanie.
- Nie - natychmiast przerwał zakłęcie. - Wszystko w porządku. Idziemy dalej.

- Znalazł wejście i zdjął magiczną pieczęć - ogłosił Renhold.
- Skąd wiesz? - nieufnie zapytała Kasta.
- Słyszysz huk? Przeklęty wyrodek jest już wewnątrz Kolebki. Trzeba się pośpieszyć.

Popatrzyła na La Mara. Myśliwy zachowywał stoicki spokój. Wisław zauważył jej spojrzenie, wzruszył ramionami, jakby mówiąc - no, znalazł, no i co? Jednakże Renhold wyraźnie się denerwował.

- Co mamy teraz robić? - zapytała młodego Wajdora.
- Przygotowywać się do walki.
- Jestem od dawna gotowa. Lepiej powiedz, ile jeszcze czasu będziemy się błąkać po tych borsucznych norach.

Od dawna zamierzała zadać to pytanie, gdy weszli do małej ustronnej groty na zboczu pagórka, która okazała się wejściem do wewnętrznych jaskiń Mennarachanu. Wajdorzy nazywali ten labirynt jaskiń „dostępnymi pałacami”. Miały one ciągnąć się do ruin ukrytych we wnętrzu Góry Kłów. Renhold opowiedział po drodze, jak wiele stuleci temu, w tych jaskiniach chowali się pierwsi Wajdorzy, którzy złożyli przysięgę ochrony Mennarachanu. Starali się trzymać jak najbliżej świętego miejsca. Było jej wszystko jedno kto, kiedy i dlaczego tu się chował. Interesowało tylko jedno - szybko dotrzeć do celu.

- Jaskinie pod ziemią zajmują kilka lig - powiedział Renhold. – Teraz, do nich, pozostały tylko dwa wejścia, wcześniej było ich więcej. Większą część drogi już przeszliśmy. Teraz, kiedy czarny mag zdjął pieczęć, będziemy mogli wejść do samej świątyni.

- To właśnie chciałam usłyszeć. Idziemy!

Szli pojedynczo. Kasta, La Mar, Wiola, Wisław i Renhold - z przodu, za nimi - dziesięciu Wajdorów, z łukami w pogotowiu. Zamianę psa w pociągającą, młodą dziewczynę, Wajdorzy przyjęli nadzwyczaj spokojnie. Prawdopodobnie, Ennid wszystko już im opowiedziała. Renhold nie zadawał żadnych pytań. Uzbrojona Wiola, była po ich stronie, reszta nie miała żadnego znaczenia.

- Jaskinie puste - zauważył Wisław. - Nieźle wyczyściliście je przez kilka wieków!

- To była trudna praca - odpowiedział Renhold. – Gdy skończyło się panowanie Szu, Mennarachan nadal zapełniały stwory powołane do życia przez zacienionych magów. Dziesiątki Wajdorów zginęły w jaskiniach, walcząc z nimi. Dlatego, teraz nie ma tu ani jednego zwierzęcia większego od nietoperza. Pilnujemy, by w dostępnych pałacach nikt się nie pojawiał. Ale teraz...

- Pst! - zaniepokoiła się Wiola. - Z przodu!

Oddział zastygł w miejscu. Kasta bezszelestnie wyciągnęła Flamejona z pochwy, Wajdorzy przypadli do wapiennych skał. La Mar, dał znak Renholdowi, by nie ruszać się do jego powrotu. Skradając się, ruszył do przodu. Wiola trzymała się obok niego.

- Idź z nimi - szepnęła Kasta do Wisława. Reszyjec kiwnął na znak zgody i ruszył za myśliwym i jego nadprzyrodzoną partnerką.

Przejście zwężało się na tyle, że zmuszeni byli znowu poruszać się pojedynczo. Przedostając się między stalaktytami i sterczącymi z podłogi kamiennymi bryłami, La Mar pierwszy wydostał się na wąski gzyms. Stąd była dobrze widoczna nowa jaskinia - wąska, rozciągnięta, z mnóstwem ogromnych stalaktytów, tworzących iluzję sztucznej kolumnady. Mag wypił eliksir Węża, przekazał buteleczkę Wisławowi. Eliksir podziałał bardzo szybko i nie minęła minuta, jak Reszyjec zobaczył to, co i jego towarzysze. Czterdzieści łokci niżej i bardziej na lewo, w mroku, pod stalaktytami ruszały się trzy zielonkawe plamy.

- Wampiry - szepnął La Mar do Wisława. - Trzy.

- Ich trzech i nas trzech - odszepnął Reszyjec. – Czyli, uczciwie.

- Idą wprost na nas. Strzelamy salwą, według mojego rozkazu.

Zielonkawe zarysy zbliżały się i Wisławowi zdawało się, że słyszy nawet chrzęst wapiennego żwiru pod podeszwami przeciwników. A potem, nagle rozbrzmiał głuchy, groźny ryk.

- Bij! - ryknął La Mar, wyskoczywszy zza kamienia.

Pierwszy wampir padł na kamienie ze strzałą, która utkwiała w jego czole. Pocisk wypuszczony przez Wisława przebił na wskroś drugiego. Ranny krwio pijca spadł z gzymsu, na kamienie w dole. Trzecia istota skoczyła na ludzi. Strzała Wioli wprawdzie trafiła ją w czoło, lecz zsunęła się po skośnej, potężnej czaszce, zarośniętej twardą czarną grzywą, poszła pionowo do góry, nie czyniąc potworowi szkody.

Nieznana bestia skoczyła na La Mara. Seltończyk uchylił się z nieprawdopodobną zwinnością, chwycił za miecz. Wisław zdążył wysłać jeszcze jedną strzałę, ale chybił, bo zadrżały mu ręce. Trzeci wampir był hybrydą wilka i ogromnego wieprza.

La Mar ciął mieczem - naostrzony brzeszczot z elektronu tylko odbił się od twardej, gęstej sierści w dolnej części grzywy potwora. Zaryczał, rzucając się ponownie na maga, ale nagle zastygł, niczym sparaliżowany.

- Nie waż się! - krzyknęła Wiola. – Vaer’ha! yer, Gattver!

Monstrum przypadło do ziemi, drapieżny zielony płomień w jego szeroko rozstawionych oczach, zgasł, cofnęło się, podkurczając ogon. Ryk zmienił się w skomlenie. Wisław nie wierzył własnym oczom - przerażające zwierzę zachowywało się jak nastraszonego psa.

- Vaer’ha! yer, Gattver! - powtórzyła Wiola, robiąc krok w jego stronę.

Potwór potrząsnął głową, z przestrachu zaczął wyć. W tym momencie La Mar, zwinnie rzucił garść soli Eszera wprost do paszczy napastnika. Pełen wściekłości i bólu ryk przetoczył się po tunelach - stworzył ogromnymi skokami rzucił się do ucieczki, ale runął niedaleko od wejścia do jaskini. La Mar podbiegł, by go dobić, ale był już martwy.

- Jesteś cały? - Wiola z niepokojem zajrzała w oczy myśliwego.

- Cały - ucałował rękę dziewczyny. - Kochana, uratowałaś mi życie.

- Ja... Nie wiem, jak to się stało. Ale tak chciałam zatrzymać tego drania...

„- Biedactwo, nawet nie zauważyła, że rozkazywała wilkołakowi w języku Sidów!” – pomyślał, patrząc na rozpromienioną dziewczynę z niepokojem.

- Co za obrzydliwość, niech mnie Lurus pochłonie! - Wisław tknął czubkiem buta zwęgloną mordę pokonanego zwierzęcia. - Znów inkarn?

- Makabr - powiedział La Mar, któremu nadal trudno było uwierzyć w realność zdarzeń. - Nie ma czasu na zachwyty, musimy dobić ranne wampiry.

- Tak w naszych stronach nazywają wampiry-wilkołaki - wyjaśniła Wiola, widząc w oczach Wisława pytanie. - Mówią, że z czasem niektóre przekształcają się

w takie potwory. Stałe pragnienie krwi pozbawia ich ludzkiego oblicza i przekształca w dzikie zwierzę.

Wisław chciał zapytać, jak udało się jej zatrzymać monstra, ale do jaskini już wbiegła Kasta z Wajdorami. Renhold tylko pokiwał głową, zobaczywszy pokonanego wilkołaka.

- Jest o wiele gorzej, niż myśleliśmy - powiedział. - Moc, otworzonej na nowo Kolebki, przyciąga do Mennarachanu wszystkie stwory, które chowały się w swoich legowiskach. Wytwory Cienia podążają na to zawołanie, jak ćmy do płomienia. Nieliczni z obrońców Monsalidaru przeżyją tę noc.

- Masz nas na myśli? - zainteresował się Wisław. - Bardzo ponury osąd, wojownika.

- Kolebka wzywa wytwory Cienia. Dewar powiedział, że dzisiaj Wajdorzy przestaną istnieć. Miał rację.

- Osobiście, nie zamierzam umierać - odezwała się Kasta. - Co dalej, La Marze?

- Musimy iść naprzód - spojrzał na tuszę makabra. - Trzeba skończyć z nimi jednym uderzeniem. Jeśli wszystko, co powiedziała mi Ennid jest prawdą, to...

- Proszę, idźcie sami - niespodziewanie wtrącił Renhold. - My zostajemy.

- To, znaczy? - Kasta gwałtownie odwróciła się do młodego Wajdora.

- Taka jest wola Dewina i władczyni Welirry. Pozostajemy, by zamknąć stworom przejście dostępnymi tunelami. Pójdziecie dalej sami.

- Ale, nam może być potrzebna wasza pomoc!

- Pomożemy wam. Tu, w tych jaskiniach. Idźcie.

- Ale, Welirra powiedziała, że pomożecie nam.

- Właśnie to robimy, wojowniczo. Będziemy stać na śmierć i życie, żeby Bracia nie byli w stanie napaść was od tyłu.

- Robią to, co powinni - szepnął Wisław dziewczynie. - Trzeba się śpieszyć.

- Mogą ci być potrzebne pewne preparaty - powiedział La Mar do Wajdora. - Podzielę się z tobą.

- Nie trzeba, przyjacielu - uśmiechnął się Renhold. - Nasze strzały posiadają moc Spalającego Płomienia. Nasi mentorzy dobrze przygotowywali nas do tej bitwy. Nie myśl już o nas i rób swoje.

- Jesteś odważnym człowiekiem, Renholdzie - powiedział.

- Nie bardziej, niż ty, magu - odparł z uśmiechem. - Popatrz, dnem jaskini płynie strumień. Proszę iść w przeciwnym kierunku jego biegu, do tunelu. Wyprowadzi was do wyjścia z podziemi, do tej części, do której już od tysiąca lat nikt nie wchodził. Wyjście jest zamknięte żelazną kratą, ale teraz można ją otworzyć. Będziecie musieli schodzić po sznurach. Słyszałem, że wszystkie przejścia, wiodące do Kolebki, kończą się urwiskami. O trwałość lin proszę się nie martwić, zostały wypróbowane w jaskiniach. Śpieszcie się, przyjaciele. Niech Welirra ochrania was.

- Odważni chłopcy - powiedział Wisław, kiedy odeszli od grupki wojowników-kapłanów, pozostających w centrum jaskini. - Będzie żal, jeśli zginą.

- On powiedział prawdę - odezwał się La Mar, myśląc o swoim. - Zdjęcie pieczęci Carikata obudziło moc Kolebki. Teraz całe diabelstwo skieruje się tu, żeby uczynić Mennarachan swoją ostoją. Strach pomyśleć, do czego to może doprowadzić.

- Jest tunel! - krzyknął Wisław, wskazując ciemną wyrwę o wysokości półtora wzrostu człowieka.

La Mar znów się obejrzał. Wajdorzy stali nadal w kręgu różowawego światła, otoczeni ciemnością, w liczbie półtora dziesiątka śmiałków, gotowych do spotkania

ze złem, pragnącym przedostać się do Góry Kłów. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że Renhold wie, co robi i Wajdorzy zatrzymają wroga. Jeśli nie... z trudem przemógł napływającą falę dreszczy. Nie trzeba myśleć o najgorszym.

Pierwsza do tunelu weszła Kasta. La Mar szepnęła Wioli, by cały czas trzymała się blisko niego. Z jakiegoś powodu, zapytał, jak się czuje.

- Trochę się boję - odpowiedziała. - Ale nie zawiodę cię, kochany.

- Myślałem o czymś innym. Nie czujesz w sobie żadnych zmian? Nie dzieje się nic dziwnego?

- Nie. Tylko chcę szybko dotrzeć do przeklętego miejsca i skończyć z tym wszystkim.

Poczuł pewną ulgę. Jeśli emanacja Kolebki zwołuje wampiry i pozostałe diabelstwo, powinna również oddziaływać i na Wiołę. Ale dziewczyna albo tego nie słyszy, albo umiejętnie przeciwdziiała temu. Czyżby znowu magia Sidów? Z trudnością zmusił się do myślenia o czymś innym, zląkł się, że odczyta jego myśli. Trzeba myśleć o dobrym. O tym, że zwyciężą. Uwolnią Wiołę od przekleństwa. Popatrzył przed siebie - Kasta i Wisław szybkim krokiem podążali wzdłuż wąskiego, podziemnego ciek, jakby sami słyszeli zawołanie Góry Kłów. Nagle pomyślał, że przez ostatnie osiem lat, kiedy prowadził swoją wojnę z Braćmi, nie zdołał pozyskać nowych przyjaciół. Czy Kasta i Wisław zostaną jego przyjaciółmi, potem, jak wszystko się skończy? I czy będzie to „potem”, dla nich i dla niego?

Tak chce się wierzyć, że będzie.

- O czym myślisz, kochany? - usłyszał szept Wioli.

- O przyszłości - odpowiedział.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Nikt, w ciągu ostatnich kilku tysięcy lat nie widział tego, co teraz widzę ja, z zachwytem pomyślał La Bantjen, stojąc na kamiennej galerii, opasującej wewnętrzny okrąg wieży. Pierwszy odnalazłem drogę, pierwszy dotknę źródła potęgi. Jednak dokonałem tego!

Widok był majestatyczny. W parterowej części głównej wieży Mennarachanu rozlokowało się całe miasto. Mag nigdy wcześniej nie widział nic podobnego, nawet w dawnych książkach poświęconych epoce Szu, na tych naiwnych ilustracjach, które jakoby przedstawiały niegdysiejsze Wasztar-Achwi. Nawet teraz, tysiące lat po tym, jak to miejsce przestało być ośrodkiem zacienionej Mocy, wywoływało zachwyt.

Wydrążony w skałach tunel, doprowadził maga i Morgwen na pierwszy poziom świątyni, który Protektor, mimo woli, porównał z przedsionkiem piekła. Tu, w grubych ścianach wieży, mieściły się cele dla ludzi, Sidów, Gnomów, Orków, różnych zwierząt, na których magowie Szu kiedyś przeprowadzali swoje eksperymenty. Posuwając się szeroką, łukowatą galerią, obok radialnie rozmieszczonych małych cel z ciężkimi, brązowymi kratami, z zachowanymi dotychczas, wmurowanymi w ściany łańcuchami do ich zabezpieczania, rozglądając się wyobrażał sobie rozmach tych eksperymentów. Cel było dużo - przez wieki istnienia Wasztar-Achwi, przebywało w nich tysiące żywych istot. Teraz, miejsce to jest martwe, jak i cały Mennarachan. Minąwszy cele, po brązowych, spiralnych schodach zszedł na dół, do laboratoriów.

Tu, prawie wszystko było zniszczone. Ogromne podziemne kazamaty, połączone długimi korytarzami, wypełniały skorodowane, opalone konstrukcje dawnych urządzeń o nieznanym przeznaczeniu. Kamienne płyty podłogi pokrywały odłamki szkła, fajansu i ceramiki. Od czasu do czasu, w niektórych laboratoriach, widział zgromadzone sterty spróchniałych ludzkich i zwierzęcych kości,

wymieszanych z nieokreślonymi resztkami i przeróżnymi rupieciami. W jednym pomieszczeniu zobaczył rozstawione wzdłuż ścian długie stelaże, zawalone zwitkami pergaminu, jednak przy najmniejszym dotknięciu rozsypywały się w pył. W końcu znalazł się w wielkim amfiteatrze - może, kiedyś zbierali się tu magowie Szu na dyskusje albo prezentacje rezultatów jakiegoś eksperymentu? Teraz, jego kamienne ławy obrosły saletrą i pleśnią, pod nogami chlupała wapienna woda. Odnalezienie wyjścia na trzeci poziom zajęło dużo czasu. Z obawą przeszedł pod zawisającą nad głową brązową kratą. Znalazł się na szerokich, kamiennych schodach prowadzących w dół, w ciemność.

- Długo jeszcze? - zapytał.

- To tam - odpowiedziała Nienarodzona. - Z przodu.

Stopnie wkrótce zaczęły spiralnie zakręcać, prowadząc coraz głębiej pod fundament wieży. Nie wytrzymał i jeszcze raz ukradkiem przeskanował aurę Morgwen. Nadal ten sam, potężny purpurowo-liliowy blask. Działanie Kolebki? A może coś innego, o czym on nie wie? Oby jak najszybciej dotrzeć do przeklętego reliefu. Szybciej zakończyć sprawę i uwolnić się od obrzydliwej istoty...

Światło zaczęło mętnieć i Protektor zażył jeszcze jedną kapsułkę zespołu elementów ochronnych many. Zaczął odczuwać głód i zmęczenie - nigdy nie musiał tak długo iść pieszo. Szła, nie oglądając się. Przynajmniej wyprowadzi go wprost do najważniejszego miejsca tej dawnej świątyni - do punktu Przejścia. Dla czegoś takiego, warto potupać...

Nagle wydała głośny ćwierkot i rzuciła się w ciemność. Mag z trudem nadązał za nią. Zdawało się, że schody nie mają końca, ale doprowadziły ich do ostatniej sali świątyni - sali Kolebki.

Salę otaczały kamienne ściany z czarnymi czeluściami jaskiń na znacznej wysokości. Posadzka była gładka, bazaltowa. Łuki-dolmeny miały układ pierścieniowy. Naliczył ich szesnaście, wszedł do jednego z nich i zobaczył, że Morgwen stoi w samym centrum sali, przy studni, otoczonej zwartą kamienną balustradą. Głęboko westchnął - znalazł Kolebkę.

Na czarnym, polerowanym bazalcie balustrady, były wycięte dawne, sidskie litery - runy, ale użyty język nie był mu znany. Prawdopodobnie, był to język Szu. Ale to nie miało znaczenia: Runa „fehu” była obecna w tych graffiti tylko jeden raz i La Bantjen włożył w nią klucz Carikata tak, jak robił to już wcześniej.

Huk i zgrzyt, idący z trzewi góry, zmusił do cofnięcia się. Potem ziemia drgnęła, seria mocnych uderzeń wstrząsnęła całym Mennarachanem. Z mroku, nad głową maga, posypały się drobne i duże kamienie, powietrze napełniło się kurzem. Uderzenia powtarzały się, tworząc wyraźny rytm, jakby niewidoczny potwór we wnętrzu góry bił w gigantyczny bęben. Prerażony rzucił się pod ścianę sali, szukając schronienia przed spadającymi obficie kamieniami. Morgwen nadal stała przy krawędzi studni, z której donosił się ciężki, przeszywający ciało huk, nie zwracając uwagi na osunięcia. Kawałki betonu i kamienne bryły padały dookoła niej, rozbijając się w kurz, ale Nienarodzona zamarła, niczym posąg, patrząc w odmęt studni.

Huk ucichł, kamienie przestały spadać, kurz osiadł. Z obawą zbliżył się, zajrzał do czarnej otchłani. Tam, w głębi, świeciła jaskrawa purpurowa gwiazda. Jej blask wzrastał się z każdą chwilą, zbliżała się do La Bantjena. Zdumiony obserwował, jak gwiazda przekształcała się w purpurową płonącą kulę. Studnia napełniła się migotliwym płomieniem, a potem światło wystrzeliło niczym fontanna, rozjaśniając całą salę. Nad nią ukształtowała się powoli obracająca się trąba z czerwonej złudnej poświaty. Ze zdziwieniem zobaczył, że przy Morgwen ukazał się cień. Natychmiast popatrzył pod swoje nogi - jego cień zniknął.

- Wybornie, mistrzu La Bantjenie!

Protektor drgnął i gwałtownie odwrócił się. W prześwicie jednego z łuków, stał Warchisz.

- Ty? - La Bantjen nie wierzył własnym oczom. - Jak... jak tu trafiłeś?

- Dzięki tobie, przyjacielu - Warchisz zrobił krok w kierunku studni. - Wyłącznie dzięki tobie. Aktywowałeś Kolebkę Cienia, teraz mogę używać jej potęgi w swoich celach. Jeszcze raz dziękuję ci za twój wysiłek. Dobrze popracowałeś, La Bantjenie.

- Nie odpowiedziałeś. Umówiliśmy się na spotkanie w Gatulonie, czyż nie tak? Nie rozumiem, w jaki sposób znalazłeś się tu. Czy to sztuczka?

- Żadna sztuczka. Widzisz te łuki? Każdy z nich powiązany jest z jednym, z rozmieszczonych w Seltonii, Norrindze, Midingo i Reszu, Punktów Mocy. Teraz, są one aktywne, a energia Zacienionej Strony pozwala przechodzić przez otwierające się portale każdemu, obdarzonemu siłą Cienia. Nie wierzysz? Patrz uważnie!

W milczeniu obserwował, jak z łuków wychodzą postacie, obleczone w ciemne bezkształtne płaszcze. Przypominało to materializację zjaw. Ale Protektor zrozumiał, że to nie bezcielesne cienie. Przybysze stopniowo wypełniali salę, było ich coraz więcej. Otaczali go żywym pierścieniem i nagle zrozumiał, że nie wydostanie się stąd.

- Na Ten dzień, Braterstwo czekało tysiące lat, Awierze - powiedział Warchisz.

- Od kiedy Carikat i jego Wajdorzy dezaktywowali Drogę Cienia i zapieczętowali Mennarachan. Bracia - nienaganne wytwory eksperymentów z Ciałem i Cieniem, stracili główne źródło swojej potęgi. Przez wszystkie minione wieki, starali się przetrwać. Pozostawało im - odżywiać się krwią, żeby nie zginąć. Nastaly dla nich trudne czasy. Doskonała rasa, stworzona przez magów Szu, znalazła się na granicy wymarcia. Z tego powodu, członkowie Braterstwa musieli chować się w tajnych kryjówkach, respektować haniebny i zdradziecki Kodeks Arkanum. Ale teraz, La Bantjenie, uratowałeś wampiry Seltonii i Norringi od zagłady. Bardzo pomogłeś Braterstwu i dlatego wszyscy książęta zebrali się tu, by okazać ci swój szacunek.

La Bantjen rozejrzał się. Tak, Warchisz mówił prawdę - cały szczyt władzy Braterstwa był tu. Ilu ich jest - dwudziestu, trzydziestu, więcej? Nie mógł widzieć twarzy obstępujących go wampirów, ale czuł idący od nich straszny, pozaziemski chłód. Zakręciło mu się w głowie. Spróbował wypowiedzieć zaklęcie Magicznego Oprzędu, ale nic z tego nie wyszło - język odmawiał posłuszeństwa, wargi zdrętwiały niczym paralitykowi. Warchisz zbliżył się o krok.

- Przestraszony jesteś, mój przyjacielu?

- A co... z reliefem? -mówił z trudnością.

- Żadnego reliefu nie ma. Wybacz, mój przyjacielu, oszukałem cię. Zdecydowałem się na to w imię wyższego celu. Musiałem przekonać cię, byś przeniknął do Mennarachanu. Póki był zapieczętowany, ani jedno ze stworzeń Cienia nie mogło wstąpić w jego granice.

- A kim ty jesteś?

- Takim samym stworzeniem Cienia, jak ci panowie i damy - wskazał na wampiry. - Każdy, z najważniejszych magów Czaszy, należy do najwyższej Zacienionej hierarchii, jest równocześnie ziemskim wcieleniem jednego z zacienionych magów-demonów - azke. Potrzebna nam była pomoc czystego Ciała, ty doskonale poradziłeś sobie. Teraz, kiedy Przejście jest otwarte, będziemy mogli dostać się do każdej z ukrytych świątyń Szu. Także, do świątyni Sabianumu, o której ci mówiłem i żaden relief nie jest do tego potrzebny.

- I co... teraz?

- Nic. Twoja misja wykonana, mój przyjacielu. Masz teraz świetną możliwość przyłączenia się do Zacięionej Strony. Przecież, to ci obiecałem.

- Co to znaczy, Warchiszu?

- To, co powiedziałem. Przyłączysz się do nas.

- Czyli, mam zostać wampirem?

- Czy to cię przeraża?

- To... Trochę nieoczekiwania propozycja - przerwał, odczuwając trudności z oddychaniem. – Obawiam się, że nie jestem gotowy.

Szerański mag pokiwał głową.

- Musisz ją przyjąć, przyjacielu. – Inaczej, nie będziesz mógł opuścić Mennarachanu.

- A Przejsie?

- Niestety, człowiek nie może z niego skorzystać. Dla istot ze świata Ciała, portal jest zamknięty. Powrotnej drogi też już nie ma.

- Czyli, zwabiliście mnie w pułapkę? - próbując zachować opanowanie i pokonując ogarniające go przerażenie, jeszcze raz obrzucił spojrzeniem okružające go wampiry. – Jak prawdziwi przyjaciele.

- Cień nie ma przyjaciół, Awierze. Są tylko oddani słudzy - i wrogowie, których należy zniszczyć.

- Czyli, nie zostawiacie mi wyboru?

- Proponuję ci wybrać właściwą stronę w wielkiej wojnie, która już się zaczęła. Ludzkość nie ma żadnych szans. Siła Cienia jest zbyt wielka, by śmiertelne Ciało mogło się jej przeciwstawiać. Minie jeszcze trochę czasu i epoka Szu wróci w całej swej potędze i blasku. Wtedy zostaniesz jednym z tych, którzy będą stać najbliżej tronu Ojca Cieni. Myślę, że to dobry wybór i dobra nagroda za twoją pracę. Zupełnie nie rozumiem twojego wahania.

- Mądrała Awier się waha - jeden z wampirów podszedł do Protektora, zrzucił szeroki kaptur i mag poznał Galerię War-Smarten. W czerwonym blasku Kolebki jej twarz wydała się martwo-granatowa, oczy płonęły liliowym blaskiem. - Pamiętam, najdroższy, zawsze chciałeś zbliżenia ze mną. Szalenie mnie pragnąłeś, czytałam to w twoich oczach - ale bałeś się. Nie rozumiałeś, że strach jest doskonałym dodatkiem do seksu. Teraz, będziemy zajmować się tym wiecznie, jeśli tylko zechcesz.

- Uprzedzam, Awierze - dodał Warchisz - moja propozycja to wielki honor dla ciebie, ale też, na zawsze staniesz się częścią Cienia. Elixir Czystej Krwi nie pomoże ci uchronić się od prawdziwego wampiryzmu. On nie ma mocy uzdrowienia tego, kto został wampirem z własnej woli. Widzisz, do końca jestem z tobą uczciwy.

- Zbyt długo przekonujesz go, Warchiszu - jeszcze jeden wampir wyszedł przed szereg. - Tracimy czas. Nasi wrogowie są blisko, a ten żałosny mag zachowuje się jak mimoza.

- Żałosny mag? - La Bantjen oprzytomniał, przerażenie, które jeszcze chwilę przedtem miało nad nim władzę, nagle znikło, zmieniło się w gniew i wściekłość. - Ty obrzydliwy krwiopijco! Ten żałosny mag otworzył dla ciebie Kolebkę. Gdyby nie ja, siedziałbyś w swoim śmierdzącym grobowcu do końca świata i czekał, aż jakiś myśliwy wybije twój zgniły mózg. Idź precz!

- Zachowujesz się nieroztropnie, La Bantjenie - zauważył Warchisz.

- Nieroztropnie? - podniósł głos. - Nieroztropnie, Warchiszu? – powtórzył. I to mówisz mi ty, kłamca i fałszywiec? Oszukałeś mnie, by cię zabrała Maranis! Oszukiwałeś mnie cały czas, przez wszystkie te lata. Dokonałem rzeczy niemożliwej, zostałem drugim człowiekiem w Kolegium Magna, podporządkowałem sobie

najwyższą hierarchię seltońskich magów, ja... Zostałem mordercą, tworząc tę obrzydliwą martwą lalkę. I wszystko po to, by zostać jednym z tych żywych nieboszczyków? Byłem głupi i ślepy, Warchiszu. Powinienem był to przewidzieć i domyśleć się, że mnie po prostu wykorzystujesz. Obyś był przeklęty!

- Bardzo emocjonalna wypowiedź – nie okazując żadnych uczuć powiedział Warchisz. - Czas upłynął, Seltończyku. Pora decydować. Albo zostaniesz jednym z nas, albo zdechniesz w tym podziemiu.

- Tylko jedno pytanie, Warchiszu. Od samego początku wiedziałeś, że Wasztar-Achwi znajduje się w Monsalidarze i oni o tym wiedzieli - wskazał ręką na obstępujące go wampiry. – Jaki cel krył się w tym wariackim pomysle z Nienarodzoną? Do czego byłem wam potrzebny?

- Nie zrozumiałeś? - Warchisz pokręcił głową. – Byłem pewien, że jesteś mądrzejszy, La Bantjenie. Klucz Carikata - oto odpowiedź. Zakłęcie było na tyle silne, że ani jedno ze stworzeń Cienia nawet nie mogło się zbliżyć do zapieczętowanych wrót. Jak myślisz, dlaczego Carikat oddał klucz seltońskim magom? Monsalidar znajduje się na ziemiach Seltonii i zdjąć zakłęcie powinien Seltończyk, z własnej i nieprzymuszonej woli. Jesteś Seltończykiem, zdobyłeś klucz i otworzyłeś Kolebkę. Twoja misja została pomyślnie zakończona i otrzymasz swoją nagrodę. Szeraniscy magowie dotrzymują swoich zobowiązań. A Morgwen.... Zresztą, sam wszystko zobaczysz.

- Dość gadania - wampir, który się odezwał, zrobił krok w kierunku La Bantjena. - Czas spróbować smaku krwi samego Protektora Najświętszego Trybunału!

- Cofnij się, diabelski pomociu! – Mag rzucił się w kierunku studni, podniósł rękę z zaciśniętą w niej butelką pirokollodium. – Choć was jest dużo, a ja sam, zniszczę każdego, jeśli spróbuje podejść do mnie. Sam mówiłeś, Warchiszu, że przed pirokollodium nie ma ochrony. A teraz, posłuchajcie mnie, wszyscy. Przyszedłem tu nie po to, by przyłączyć się do waszego żalosego Braterstwa. Mam inne plany i nie zamierzam ich zmieniać. Zawarliśmy świętą umowę, Warchiszu, ale oszukałeś mnie. Cóż, zapomnę o tym. Mam Klucz Carikata i jestem przekonany, że jest także wyjście z podziemia. Gdzie ono jest, Warchiszu?

- Nie ma żadnego wyjścia - wzruszył ramionami Szeraniec. - Zdechniesz tu. Żal mi ciebie, Awierze, ale sam dokonałeś wyboru. Byłeś dobrym magiem. Postaram się, żebyś miał lekką śmierć. Morgwen, *aisz-kur-cha-nag-ni-zarr!*

La Bantjen zdążył rzucić w Warchisza naczyniem z pirokollodium, ale nie trafił - pocisk ugodził w stojące za plecami Szeranica wampiry, które w okamgnieniu zapaliły się bezbarwnym, wszystko pożerającym płomieniem. Drugiej próby zniszczenia Warchisza, La Bantjen już nie miał: Szeraniec rzucił na niego zakłęcie paraliżu. Protektor upadł na posadzkę, nie mógł się poruszyć ani krzyknąć. Mógł tylko obserwować to, co się dzieje. Jak istota, ukryta w jego Nienarodzonej, teraz oswobadza się, wezwana zaklęciem Warchisza.

Morgen wiała się na kamiennej posadzce w skurczach, jak wtedy, w noc Samachejny. To, co na początku zostało ulokowane w niej przy pomocy ichoru Czaszy, rozrywało teraz krępującą, martwą powłokę. A potem, znalazło wyjście. Głowa Morgwen rozprysła się na kawałki, jakby wybuchła od wewnątrz. Protektorowi najpierw zdawało się, że z krwawej papki, kiedyś będącej głową, wychodzi kolczasta tchawica, ale potem zrozumiał, co to takiego. Ślepe przerażenie na chwilę zmieniło się w zdziwienie i niezrozumiały, absolutnie nie na miejscu, zachwyt - zrozumiał, w czym tkwił sekret ożywiania szeranich Milczących. Dlatego Morgwen wydawała ten dziwny, zastanawiający go, ćwierkający dźwięk. Dlatego jej magiczna aura płonęła

tak potężnym blaskiem. Dlatego jego Milcząca z takim uporem i ukierunkowaniem szła na zawołanie Kolebki. Już wiedział, co przez cały ten czas pożerało ją od wewnątrz.

Istota, tłusta, lśniąca w czerwonym świetle Kolebki, szeleszcząc miriadami pazurzystych łapek po twardym kamieniu, wypełzała z okaleczonego tułowia Nienarodzonej. Ziemruch, pomyślał kostniejąc z przerażenia, które sparaliżowało go mocniej, niż magia Warchisza. Gigantyczny robak, istota z cienia, której przez ostatnie kilka tysiącleci nie widział żaden mag, o którym krążą tylko legendy wyczytane w dawnych rękopisach Szu. Oto jak Szeranici ożywiają nieboszczyków. Milczący, to zaledwie powłoka w której żyje obrzydliwy pasożyt. A on, idiota, przypuszczał, że to jego magia ożywiła Morgwen...

Ziemruch, wijąc się pełznął w jego kierunku. Obserwował, jak wampiry cofały się przed robalem. Stwór rósł w oczach – a może, zaczynają się przedśmiertne halucynacje? Nie, on rzeczywiście rośnie. Kiedy wypełził z ciała Morgwen, był nie większy od ludzkiej ręki, a teraz mierzy siedem stóp, jeśli nie więcej. Bogowie, czy to jest możliwe?

Chciał krzyczeć, ale ciało już go nie słuchało. Zadziwiające, że serce jeszcze pracuje. Od takiego przerażenia, powinno się zatrzymać. A ono bije i ten nierówny, szalony stuk jest jedynym dowodem na to, że jeszcze żyje.

Robak podpełzł, zaskrzeczał, rozwierając czarne szczęki z ostrymi kłami, podobnymi do brzeszczotu kosy. Protektor nie poczuł dotknięcia stwora, nie mógł czuć, jak ziemruch czołgał się po jego nogach, dobierając do brzucha. Nie czuł, jak zacieniona obrzydliwość wgryzła się w jego otrzewną, rozdzierając wnętrzności. A potem, robak dotarł do serca i La Bantjen zdziwił się, jaka nagle nastąpiła cisza. Przerażenie minęło, spłynął spokój. Pojawiła się ostatnia myśl - jakie szczęście, że nigdy nie zostanie wampirem! Jak dobrze, że prawdziwy spokój i cisza jednak istnieją...

- Tam są dziesiątki - powiedział La Mar, wpatrując się w czerwone światło na dnie kotliny i głos maga drgnął. - Nie pokonamy ich.

- Wrócimy z powrotem? - zaproponował Wisław. - Zawołamy Renholda i jego wojowników.

- Teraz jasne, co tu się zdarzyło. - Oczy La Mara błysnęły złowieszczo. - Ci nikczemnicy odciągnęli Wajdorów. Wysłali przeciwko nim i Orkom swoich służących, młodsze wampiry, a cały wierzchołek Braterstwa wykorzystał jakieś inne przejście, by przeniknąć do Mennarachanu. Tym lepiej, przyjaciele. Mamy możliwość skończyć z tym diabelstwem jednym uderzeniem.

- Chyba nie napadniemy na nich we czwórkę? - powiedział Wisław, obserwując, jak w czerwonej mgle przesuwają się ciemne postacie wampirów.

- Nie wydaje mi się, by Renhold teraz myślał o nas - powiedziała Kasta. - La Marze, masz jakieś pomysły?

- Żadnego, który byłby coś wart. Wybór jest niewielki. Albo wrócimy po pomoc, jak proponuje Wisław, albo atakujemy.

- Znowu włączyć się po tych katakumbach? - popatrzyła w kotlinę. - Lepiej nie. Oni nie spodziewają się ataku. Napadniemy nagle, będzie szansa na zwycięstwo.

- Jesteś odważną kobietą, Kasto, ale nigdy nie walczyłaś z wampirami - pokręcił głową mag. To nie ludzie, ich siła i żywotność...

- Zejdziemy niżej, tam, pod nami jest wygodny gzyms. Z niego będziemy dobrze wszystko widzieć.

Wisław, z pomocą La Mara, szybko wbił w skałę hak z pętlą i przywiązał do niego sznur. Pierwszy opuścił się La Mar, za nim Wiola. Dziewczyna, wydawało się, nikogo i niczego się nie bała i wszystko czego pragnęła, to być jak najbliżej La Mara. Wisław zszedł ostatni. Zejście było trudne i Reszyjec omal nie zerwał się. Na szczęście, wajdorski ekwipunek, przez stulecia niezawodnie służący swoim gospodarzom w tych jaskiniach, nie zawiodł. Spocony, i omdlewający ze strachu, wkrótce przyłączył się do swoich przyjaciół.

- Sto pięćdziesiąt stóp - powiedział La Mar, oceniwszy odległość do poruszających się pod nimi postaci. - Moja kusza bije na trzysta. Czyli, będzie mniej o parę drani.

- Teraz, posłuchajcie uważnie, co powiem - nagle odezwała się Kasta. - Odciągniecie ich swoim strzelaniem. Jeśli wykończycie dziesiątkę, ułatwicie mi zadanie. Ja, w trakcie rozgardiaszu zejdę na dół i zaskoczę ich zniemacka.

- Oszalałaś, kobieto! - nachmurzył się Wisław. - To samobójstwo, przysięgam na Cwira.

- Każde ryzyko jest po trosze samobójstwem. Wbijaj hak, Wisie. Idę.

- Mogę pójść z tobą, Kasto? - zapytała Wiola, z zachwytem wpatrując się w Seltonkę.

- Zostań z La Marem. Przyzwyczaiłam się walczyć samotnie. Wszystko, co muszę zrobić, to dotrzeć do Przejścia i wejść tam. Tak powiedziała Ennid. Mam nadzieję, że nie pomyliła się. Biegam szybko, być może, uda mi się skończyć z przekłętą magią wcześniej, niż wampirom uda się skończyć ze mną. Domyślam się, że ten czerwony słup jest Przejściem, a do niego nie jest tak daleko. Oprócz tego, mam na sobie pas Angusza, który obroni mnie przed wampirami.

- Pójdę z tobą! - oświadczył zdecydowanie Wisław. - Beze mnie zginiesz.

- Pamiętam, kowal Wassin mówił, że jesteś wybornym łucznikiem, ale jeszcze ani razu nie widziałam twojego sensownego strzelania. Pomóż lepiej La Marowi, a ja sobie poradzę, zobaczysz...

Sprawdziła zapięcie wajdorskiego, skórzanego pasa, przepuściła sznur przez karabińczyk z brązu, poczekała, aż Wisław wbije hak i umocuje sznur. La Mar wyciągnął do Seltonki rękę z jakimś ziołem, ale tylko pokręciła głową.

- Nie cierpię żadnych ziół.

- Zachowujesz się nieodpowiedzialnie, Kasto - zauważył. - Wiedz, że to najwyższe rangą wampiry. Mogą rzucać czary nieprawdopodobnej mocy.

- Zawsze się tak zachowuję... Wisław!

- Tak, miła?

- Może więcej się nie zobaczymy... Ale, nie rób tragicznej miny, nie zamierzam umierać! Po prostu, powinnam wejść w Przejście, które jest tam, na dole. Ennid powiedziała, że znajdę się w Sabianumie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wróc do Fasisa i płynię do Sabei. Tam się spotkamy.

- Zrozumiałem, miła.

- Do spotkania! - Pocałowała Wiołę w policzek, a potem, niespodziewanie i jego. Chwyciła za sznur i zniknęła za brzegiem gzymsu.

- Dlaczego jej nie zatrzymałeś? - gniewnie szepnął La Mar, zwracając się do Wisława.

- Zatrzymać - Kastę? Żartujesz, mój przyjacielu. Bogowie wiedzieli, kogo zrobić swoim narzędziem... Dawaj lepiej, postrzelamy. Ułatwimy naszej obłąkanej ślicznotce pracę.

Warchisz skończył przeszukiwanie zwłok La Bantjena, popatrzył na swoje zakrwawione ręce. Świeża krew upajała swoim zapachem, ale próbowanie jej po Ziemruchu było śmiertelnie niebezpieczne. Dlatego wytarł rękę o odzież La Bantjena i odwrócił się do stojącego nieco z tyłu Pejre de Warlena, wielkiego księcia seltońskich wampirów.

- Pora wracać - powiedział. – Nie mamy tu nic więcej do roboty i Wajdorzy mogą zjawić się lada moment.

- Znalazłeś stylusa? - zapytał książę.

- Znalazłem najważniejsze, papiery. Ten idiota postanowił zachować całą naszą korespondencję. A stylus nie jest już potrzebny. Teraz nikt i nigdy nie zamknie Kolebki.

- Jesteś tego pewien?

- Całkowicie - wskazał na gigantycznego robaka, pierścieniem owijającego studnię. - Ziemruch nikogo nie dopuści do Kolebki. Takiego stróża nikt nie pokona, Pejre.

- Jednak, mógłbyś zabrać stylusa.

- Nadal nie wierzysz w to, że potęga Cienia odradza się. Ja...

Nie dopowiedział - coś z miękkim szelestem wyleciało z ciemności i uderzyło szerańskiego maga w prawą skroń. Bez słowa zwałił się na balustradę studni. De Warlen krzyknął, widząc sterczącą ze skroni Warchisza długą strzałę. Jednakże, w następnej chwili też otrzymał między łopatki, posmarowaną trucizną strzałę z kuszy.

- Wajdorzy! – rozległy się krzyki, wampiry miały się, próbując określić, skąd lecą strzały, celne i śmiertelne.

Galeria War-Smarten, widząc co się dzieje, ukryła się za pomocą zaklęcia niewidzialności, ale prawie natychmiast zrozumiała, że to bezcelowe - nieznani strzelcy na pewno korzystają z eliksirów pomagających zobaczyć aurę. Pomyślała również, że najlepiej w ogóle stąd zniknąć. Łuk-portal był obok. Kryjąc się w nim, zaczęła śpiewnie wypowiadać zaklęcie Przejścia, ale nagle poczuła obok siebie obecność człowieka. Człowiek był tak blisko, że jego zapach dosłownie zamroczył.

Po chwili zobaczyła, przez kołyszącą się zasłonę otwierającego się w łuku portalu, kobietę, która nie była Wajdorką. W zbroi, do tego sidskiej i z długim mieczem, który trzyma obu rękami. Po prostu zjawia z dawnego Mennarachanu. Kto to? Chociaż, jakie to ma znaczenie? Kobieta obok, idący od niej gorący zapach życia zawrócił głowę, napełnił usta Galerii śliną głodu. Jeszcze zdąży się stąd wydostać. Przysługuje jej prawo pierwszego ukąszenia - trzeba się śpieszyć, póki pozostali Bracia nie zwęszyli tej kobiety.

Rzuciła się z łuku na nią, ale zdarzyło się coś bardzo dziwnego. Nagły atak nie powiódł się. Kobieta nie mogła jej widzieć - jednak zobaczyła. Obróciła się na obcasie i powstrzymała skok uderzeniem miecza. Wampirka odrzucona na ścianę, z krzykiem uderzyła o nią i zsunęła się na posadzkę, tracąc niewidzialność. A potem przyszedł taki ból, jakiego nigdy nie zaznała.

- Patrzcie, jaka piękna! - z żalem powiedziała kobieta w sidskiej zbroi, podszedłszy do wyjącej i skręcającej się na zakrwawionym kamieniu Galerii. - Męczy się, biedactwo. Prawdę mówił Wisław o welańskim balsamie.

Uderzyła mieczem z góry w dół i obróciła w ranie, przebijając serce wampira i skracając męki Galerii War-Smarten. Zdążyła odwrócić się do dwóch biegnących krwiopiców. Ciosy miecza były błyskawiczne, jednakże jeden z nich zdążył się uchylić, zanurkował pod rękę Kasty i ciął sztyletem po brzuchu, nad pasem łatnej

spódnicy. Rana była płytka i niegroźna, ale Kasta, z krzykiem wściekłości, odrzuciła go kopnięciem, a w następnej chwili pozbawiła go głowy. Rzuciło się na nią jeszcze dwóch, ale jeden natychmiast runął ze strzałą w boku, drugiego nadziała na Flamejona, jak na rożen. Gdy wampir głucho zawył z bólu wywołanego żrącym tłuszczem, strząsnęła go z klingi i dobiła dwoma siecznymi uderzeniami.

Zorientowała się, że jest już w kręgu dolmenów. Żaden z upiorów nie próbował atakować - kilku ranionych strzałami wiło się na posadzce, próbując stanąć na nogi. Pozostali, ogarnięci paniką, miotali się po jaskini z przenikliwym wyciem. Po chwili rzuciła się na nią młoda kobieta z bezbarwnymi, szalonymi oczyma, wymachując sztyletem. Oszukała ją manewrem, którego nauczyła się kiedyś od logaryjczyka Tannika - zręcznie przerzuciła Flamejona w lewą rękę, spotkała przeciwnika uderzeniem prawej w twarz, a potem pchnęła mieczem. Zobaczyła rozszerzone z bólu i przerażenia oczy upiora, wyszarpnęła miecz i kolejnym uderzeniem pozbawiła go głowy. W tym momencie zauważyła, że grupa wampirów, otaczając ją, stara się zepchnąć do portalu Przejścia.

- Głupi nikczemnicy! - uśmiechnęła się, cofając się do studni. - Chcecie złapać mnie? A mnie właśnie o to chodzi.

Głośnie, złośliwe ćwierkanie za plecami, zmusiło ją do odwrócenia się. Owijający studnię Ziemruch uniósł przednią część ciała i poruszając szczękami, ruszył w jej kierunku. Rósł w oczach i teraz mierzył nie mniej niż czterdzieści stóp długości. Dziewczyna krzyknęła z obrzydzenia, Ziemruch zaskrzeczał, zaatakował niczym kobra, próbując dosięgnąć ofiarę. Kasta odskoczyła - i potknęła się o rozszarpane zwłoki La Bantjena. Cios ściśniętych szczęk w pierś, odrzucił ją od studni. Padając, uderzyła o podstawę jednego z łuków i straciła świadomość.

Wisław otarł pot z twarzy, odetchnął z ogromną ulgą. Kasta żyła. Oboje z La Marem zdążyli zejść z gzymsu na czas. Złamali rozkaz i poszli jej śladem, rozumiejąc, że będzie potrzebowała pomocy. Zostawili Wiołę, by ich osłaniała. I postąpili właściwie. Chwała bogom, nie spóźnili się.

La Mar kilkoma ognistymi atakami, i zapalającymi granatami, odpędził od dolmenów wampirów, zaatakował, nie pozwalając wrogowi na oprzytomnienie. Wisław pobiegł do Kasty, która leżała bez świadomości niedaleko Przejścia. Zdjąwszy rękawiczkę, leciutko poklepał ją po policzkach. Dziewczyna jęknęła, otworzyła oczy.

- Oj, staruszkule Wisławie, rzeczywiście jesteś Fartowny! - z czułością wyszeptał Reszyjec. - Jak się czujesz, miła?

- Boli...Moje żebra...

- Nie bój się, jestem obok.

- Pomóż...

- Wisławie, uważaj! - krzyknął La Mar.

Wampir podkradł się tak niepostrzeżenie, że Wisław nieuchronnie zginąłby, gdyby nie okrzyk Seltończyka, który rzucił się na wroga, wyrывая z pochwy bartalona. Miała rację Kasta mówiąc, że taki tasak lepszy od najlepszego zaklęcia. Wampir zawył, kiedy ostry, jak brzytwa, brzeszczot odciął mu prawą rękę po łokieć. Uderzeniem Burzowej Pięści odrzucił wampira od dziewczyny, a potem zaczął zadawać ciosy na krzyż, nie pozwalając podnieść się z ziemi. Skończywszy, obejrzał się. Kasta stopniowo przychodziła do siebie, nawet próbowała się podnieść. Tymczasem La Mar walczył jednocześnie z trzema wampirami przy dalekich

dolmenach. Wisław widział, jak kilka czarnych figur otacza seltońskiego maga pierścieniem. Jeden z nich upadł ze strzałą w plecach - Wiola z gzymsu strzelała na zmianę z dwóch kusz - ale żywych upiorów było jeszcze bardzo dużo. Więcej, niż życzyłby sobie Wisław. Reszyjec rzucił szybkie spojrzenie na Kastę i stwierdził, że nic jej nie groziło. Trzeba pomóc La Marowi.

Zaatakował kulistą błyskawicą i najbliższy wampir otulił się oślepiającym blaskiem i upadł, ale zaraz podniósł się na nogi i z syczeniem rzucił się na Reszyjca. Wisław nie zdążył się zdziwić - trzeba było odparować atak. Upiór okazał się zwinny i wytrawny wojownikiem, a do tego poczuł, że Brat próbuje oddziaływać na jego świadomość. Nagle, zrobiło mu się żal upiora - a może nie powinien z nim walczyć i zadawać bólu?

- Zabieraj się! - krzyknął. - Nie chcę cię zabijać.

- Walcz, słodka krew - krzyknął wampir, skacząc i kręcąc się dookoła Wisława.

- Twoja krew stanie się jeszcze słodsza, przyprawiona strachem i gorączką walki. Walcz!

Wisław z trudem odparował cios krzywego agłamskiego jataganu, skierowanego w brzuch. Nie, po co z nim walczyć, pomyślał. Przysięgam na Cwira, nie chcę! Nie chcę wyrządzać mu krzywdy...

Wszystko skończyło się w jednej chwili - nagle zabulgotał, dławiąc się czarną krwią, z jego piersi wysunęło się ostrze miecza. Wyrwawszy z zabitego upiora Flamejona, Kasta zwróciła się do Reszyjca:

- Długo się kręcisz, przyjacielu. Wampiry, to nie darnackie niezdary, nawet nie inkarny Kaffaraja. Wszystko trzeba robić szybciej.

- Dobrze uderzenie - pokręcił głową, jakby uwalniając się od resztek upiornej hipnozy. – Rzeczywiście, coś spowolniłem.

- Nie możesz tego robić, drogi. Mamy jeszcze dużo...

- Bogowie, co to? - wyrwało się Wisławowi.

La Mar był gdzieś tam, w czerwonym blasku przy samej studni. Tam, została garstka wampirów, ale teraz utraciły już cały wigor. Wiola nadal częstowała ich celnymi strzałami, a La Mar nacierał sprawnie i z euforią. Większość współbraci zostało pokonanych, ale część zdołała uciec przez łuki Przejścia. Pozostali mieli tylko nadzieję w Stróžu Kolebki - zacienionym robaku. Dlatego, w większości poranieni strzałami Wioli, zaniechali walki, zbili się w ciasną grupę przy samej studni Przejścia, starając się zwabić groźnego maga w zasięg Ziemrucha.

La Mar zobaczył stwora równocześnie z Wisławem i zdrętwiał. Zrozumiał, że z tym przeciwnikiem będzie trudniej niż z wszystkimi wampirami razem wziętymi. Ziemruch tymczasem ruszył na ludzi, wyciągnąwszy się w całą swoją imponującą długość, przebierając miriadami łapek i szeleszcząc brzuchem po kamieniu. Jego tłuste pierścienie lśniły w czerwonym świetle Przejścia, a na szczecinach, między nimi, błyszczały kropelki jadowitego śluzu. La Mar rzucił w potwora ostatnią zapalającą bombę - Ziemruch jednak pełznął nawet przez buszujący ogień. Wtedy mag głośno wykrzyknął zaklęcie Ognia, skierował potężną, ognistą kulę w głowę robaka, ale ten nawet nie poczuł magicznego ataku, tylko wydał drapieżny świergot i poruszył swoimi śmiercionośnymi szczękami. Zaatakował jeszcze raz, czując, jak opuszczają go siły. Atak ogniem był nieskuteczny. Zebrawszy resztkę woli, nacierał dynamicznym uderzeniem, doskonale zdając sprawę, że chitynowa osłona robaka, jest trwalsza od każdego pancerza. Uderzenie tylko na chwilę zatrzymało Ziemrucha. Segmentowiec nie poddawał się magii. Cóż, pomyślał, są stwory zabezpieczone przed magią, ale ani jedno stworzenie pod niebem nie oprze się dobremu uderzeniu mieczem.

- Bogowie! - wrzasnął Wisław, zrozumiałwszy, co zamierza Seltończyk. - Ty...

La Mar rzucił się do przodu. Skoncentrował tylko na swoim celu - białej plamie na opancerzonej głowie, widocznej tuż nad ruszającymi się, trzystopowymi klingami szczęk. Robak wzniósł się, wydał wibrujący gwizd, rozchlapując kipiącą na szczękach jadowitą pianę. Wskoczył na balustradę studni, uchylił się przed szczękami gada, zdążył uderzyć w punkt, który uważał za najsłabszy. Miecz prześliznął się po gładkiej chitynie i po chwili poczuł, jak straszna siła szarpnęła go do góry, podniosła nad ziemią - i rzuciła w dół, na kamienie. Ciężko uderzył o posadzkę jaskini. Ból był tak przejmujący, że stracił na chwilę oddech. Na szczęście szybko minął. Robal dominował nad nim, a ostre szczęki były coraz bliżej. Ale obraz był chwilowy i nierealny, jak urywek złego snu. Wszystko zaćmił blask słońca - gwałtowny, oślepiający, radosny. Zdumiewające letnie słońce, zawieszone w prześwieتلonym, granatowym, bezdennym niebie. Zdążył się jeszcze zdziwić, skąd w jaskini takie niebo i jaskrawe słońce. Jak dobrze, że mógł zobaczyć to światło. Tu, w tym cesarstwie martwego kamienia, w odmętach Mennarachanu, którego nigdy nie oświetlił ani jeden słoneczny promień. Bogowie jednak czasami bywają miłosierni...

- Neeeeee! – Kasta z krzykiem rzuciła się na Ziemrucha, próbując zmusić potwora, by wypuścił martwe ciało La Mara.

- NIEEEEEEE!

Od niosącego się nad świątynią krzyku, rozdzierającego duszę, nawet wampirom zastygła krew. A potem, coś zleciało z góry, z mroku, na ogromnych błoniastych skrzydłach i opuściło się wprost przed Ziemruchem, trzymającym w szczękach trupa.

- Hauve, Bradd! - zabrzmiał nieludzki krzyk, ściskający serce. - Vad a mien!

Ziemruch wypuścił La Mara. Ponieważ ślepy instynkt odpowiedział mu, że pojawił się nowy wróg, bardziej niebezpieczny niż ten, który został pokonany sekundę temu.

- Wiola! - zachrypiała Kasta, w przerażeniu cofając się od potwornej, brzydkiej postaci, otoczonej złudnym, zielonkawym świeceniem.

Deargdu nie słyszała słów Seltonki. Rozstawiwszy skrzydła, zaatakowała Ziemrucha, który cofnął się przed nią ze złośliwym świergotem, zostawiając na kamieniach pas żrącego śluzu. Płonące wściekłym, purpurowym płomieniem oczy elfijskiego upiora nie widziały nikogo, oprócz istoty, zabijającej jej ukochanego, która nie ma prawa dalej żyć.

- Hauve, Bradd! - zawyła deargdu, chwyciła łuskowatymi, szponiastymi łapami zmaltretowane, zakrwawione ciało maga, zatrzepotała skrzydłami, rozsypując zielone iskry, podobne do świetlików. - Vad a mien! Liar Da Daemne Morwa harn a Mien morc!

Pełen wściekłości i bólu krzyk deargdu wstrząsnął całym Mennarachanem. Kamienie drgnęły, a posągi sidskich królów, nadgryzione zębem czasu, zachwiały się. Zadrżały zawieszone na łańcuchach z brązu starodawne lampy. Z wiekowego sklepienia popłynęły strużki kurzu. Po pustych, ciemnych salach przeszła niewidoczna fala, dotykając wszystkiego, co znajdowało się na jej drodze. A potem, w ciszy zamarłego pałacu pojawił się wielogłosowy szept. Cichy, oburzony, gniewny, trwożny. Krzyk deargdu został usłyszany i zrozumiany, jako wezwanie o pomoc. Spadkobierczyni dawnej krwi Glennsidów toczyła śmiertelny pojedynek z

odwiecznym Złem. A potem szept ucichł i nastąpiła cisza, głucha, groźna, jak złudny spokój przed nadciągającym huraganem.

Po chwili, po salach zaczęły przebiegać lekkie pyłowe trąby, pojawiając się nad spróchniałymi zwłokami tych, którzy kiedyś na śmierć i życie bronili dawnej twierdzy sidskich królów przed zacienionymi hordami i na zawsze zostali w jej murach. W tych trąbach było życie - prawie gasnące, niepamiętające prawdziwego smaku bytu, złudne życie Nieśmiertelnych, dawno zapomnianych tam, gdzie po dawnemu świeci słońce, gdzie jest oddech, bicie serca, światło i ciepło. Życie, które przez tysiąclecia pozostawało po tamtej stronie bytu i teraz zostało obudzone rozpaczliwym krzykiem cierpiącej duszy. Malutkie, słabe trąby zlewały się ze sobą jak małe strumienie, dążące do połączenia się w potężną rzekę, a złudne głosy zaczynały dźwięczeć głośniejsze, zgodniej, budząc tych, którzy jeszcze nie ocknęli się ze swojego śmiertelnego snu. Dusze spoczywających wojowników dołączały do nowej, widmowej armii, żeby raz na zawsze uwolnić Mennarachan.

Szara, burzowa chmura, przepłynęła po salach, gromadząc razem wszystkich śpieszących na zawołanie. Lawiną przeleciała po schodach, rozrzucając spróchniałe kości, dzwoniąc zardzewiałą bronią. Powyrywała ocalałe drzwi w pałacu. Nabierała siły i potęgi z każdą nową salą, nowym przejściem, nasiąkając wściekłością poległych i dawną magią Glennsidów. Ciemnym potopem wypełniła pałac, pomknęła w dół, do serca Ciemności, do świątyni, przez długie wieki znieważającej to miejsce. Śpieszyła na zawołanie, które nadal brzmiało w Mennarachanie, powtarzane echem i tysiącami cieni, które zebrały się na ostatnią bitwę:

- Liar Da Daemne Morwa harn a Mien morc! Dusze zmarłych wojowników, proszę, pomóżcie mi zemścić się!

Na buszującą purpurowym płomieniem Kolebkę padł tak gęsty cień, że blask przyćmił się i świątynię nappełnił gęsty, purpurowy mrok. Straszny, mglisty lejek, wściekle obracając się, opuścił na świątynię spod stropu, łatwo, niczym kłaczki puchu, wciągnął w siebie żałośnie krzyczące wampiry. Przerażona Kasta, widziała, jak rozpadają się w powietrzu ich ciała, mogła słyszeć w tej niepokonanej trąbie triumfujące wycie tysięcy głosów, zagłuszające przedśmiertne krzyki ofiar. Wicher podchwycił zacienionego robaka, czepiającego się studni, wciągnął go, przekształciwszy w wijący się żywy słup, skręcił we wściekłym wirze. Huk diabelskiej burzy zatykał uszy, od niego wibrowały kamienie. Seltonka nie mogła oderwać wzroku od potwornego widowiska i wydawało się jej, że lada chwila pęknie głowa i zatrzyma się serce. Przemieniona Wiola, z ogromną siłą trzepała, jak szmatę, gigantycznego, mierzącego ponad sześćdziesiąt stóp robaka, wyładowując na zacienionym potworze całą wściekłość, narastającą przez tysiąclecia. Kasta, przez wirującą w szalonym tempie purpurową mgłę zobaczyła, jak Ziemruch najpierw został oderwany od studni, a potem podrzucony do sklepienia. Białawe wnętrza i jadowity śluz z rozerwanej powłoki robala były rozrzucone w całej świątyni. Zabrzmiął zwycięski krzyk tysięcy złudnych głosów. Skończywszy z zacienionym draniem, karzącą siłą Mennarachanu, wypełniła korytarze pałacu, by zniszczyć upiory, ocalałe w bitwie z Wajdorami i Orkami de Fortana. Dopiero po tym nastąpiła cisza, taka głęboka, że Kaście wydało się - ogłuchła. Po jakimś czasie uświadomiła sobie, że nadal żyje i przerażenie, jakiego nigdy dotąd nie doświadczyła, wreszcie opadło.

Zobaczyła Wisława. Reszycę cały drżał - był porażony strachem nie mniej od niej.

- Bogowie! – wymówił z trudem, w oszołomieniu patrząc na Seltonkę. – Widziałas to?

Nie odpowiedziała. Teraz, kiedy czarodziejski wichur ucichł, najbardziej obawiała się potwora, który spowodował ten niebywały pogrom, ale na szczęście, nie zobaczyła. Deargdu już nie było. Wiola, mała, krucha i całkowicie naga, siedziała na ziemi, położywszy głowę La Mara na swoich kolanach. Kasta poczuła, że spojrzenie zaćmiewają łzy - nigdy jeszcze nie zdarzyło się jej widzieć takiego przenikliwego piękna i bezbronności, i takiego przejmującego bólu. Podniosła rzucony przy najbliższym łuku płaszcz wampira, podeszła do dziewczyny i narzuciła na plecy. Wiola powoli podniosła twarz, popatrzyła na Seltonkę i od tego spojrzenia wojownicze Zapomnianych Bogów drgnęło serce.

- Wiolu! - ostrożnie dotknęła dłonią włosów dziewczyny. - Wiolu, ja... Przebac, miła.

- Umarł tak, jak chciał – ze smutkiem odpowiedziała dziewczyna. - Zawsze marzył, by umrzeć w walce. Zemścić się za nas, za mnie i za siebie. Teraz, on jest martwy, a ja żyję. Jeszcze żyję.

- Nie mów tak. La Mar zasmuciłby się, słysząc to.

- Kasto, co mam robić? – westchnęła głęboko, próbując zatrzymać wzbierający szloch. - Po co mam teraz żyć?

- On uwolnił cię od przekleństwa. Krwawy obłąd już nie ma nad tobą władzy. Seltonia też została uwolniona od stworów. La Mar uratował nas wszystkich - klęka obok Wioli, spojrzała w zapłakane oczy dziewczyny. - Jeśli bym mogła oddać swoje życie, zamiast La Mara, zrobiłabym to, przysięgam na Szante. Ale bogowie wybrali go, ponieważ był najlepszy z nas. Najodważniejszy i najszlachetniejszy. Zapłac nad nim, miła. Zasłużył na to.

- Nie mogę uwierzyć, że jest martwy. Dlaczego wszystko jest takie niesprawiedliwe, Kasto?

- Myślisz, że znam odpowiedź? Pociesz się tym, że przeszedł swoją drogą i teraz dusza jego znalazła spokój. Wybacz, jeśli moje słowa wydają się puste, ale innych nie znam.

- Wierzę ci, bo wiesz, czym jest śmierć ukochanych osób.

- Niestety! Ale ty, przynajmniej mogłaś się zemścić.

- Ja? - wargi Wioli zadrżały, oczy zasnuły się łzami. - Ja... nic nie pamiętam. Czyżby, wszystko się zakończyło?

- Jeszcze nie!

Kobieta, w skórzanym myśliwskim ubraniu i zielonym aksamitnym kapturze, wyszła z pulsującego purpurą blasku, zbliżyła się do Seltonki. Towarzyszyli jej dwaj Wajdorzy, którzy z szacunkiem popatrzyli na Kastę i Wisława.

- Dzisiaj udowodniłaś, że jesteś godna swojej sławy, Lejdo Eleo Kasto - powiedziała Ennid. - Przyjdzie dzień i o tej bitwie będą układać pieśni we wszystkich ziemiach północy.

- Nie uczyniłam nic dla zwycięstwa - zaprotestowała. - To zasługa tej dziewczynki. Powstrzymała stwora, który zabił La Mara i wykończyłby nas. Obudziła moc, która zniszczyła wampiry.

- Gdyby nie ty... - Ennid podeszła do Wioli, lekko dotknęła jej włosów. - Boleję razem z tobą, serce moje. Gdybym mogła wziąć na siebie twój ból, zrobiłabym to.

- Powiedziałaś, że walka nie jest jeszcze skończona – odezwała się Kasta, podchodząc do Sidki.

- Tak. Z wampirami w Mennarachanie rozprawiono się, ale Przejście jest nadal aktywne. Wiesz, co masz robić, Seltoniel.

- Oczywiście. Tylko jeszcze proszę o jedną minutę, Ennid.

Kasta klękała obok ciała La Mara, objęła Wiołę i pocałowała, z trudem powstrzymując łzy. Pod wpływem impulsu, zdjęła z szyi kamień Ajwari i przycisnęła do piersi La Mara. Bogowie, pomyślała, jeśli mnie słyszycie, dokonajcie cudu, zwróćcie La Mara tej dziewczynce, a ja z wdzięczności wykonam wszystko, o cokolwiek poprosicie...

Cud się nie zdarzył. Nie poczuła pod swoją dłońią pożądanego bicia ożywającego serca, pierwszego westchnienia ciała wróconego do życia. Ale, widząc błogi wyraz na twarzy La Mara drgnęła - szarpana blizna, szpecąca maga za życia, zniknęła. Zniknęła też siwizna na skroniach i głębokie, świadczące o cierpieniu, zmarszczki wokół ust. Czarodziejska moc kamienia Ajwari wystarczyła tylko do tego, ale Kaście, z jakiegoś powodu, stało się lżej na duszy.

- Przebacz, Arenie - szepnęła i ucałowała La Mara, ucisnęła jego zimne palce. – Zostaniesz na zawsze w mojej pamięci.

- Zatrószczę się o niego - usłyszała głos Ennid za swoimi plecami. - O Wiołę też. Ja... zatrószczę się. Rób swoje, wojowniczo. Po prostu wejdź do tej studni. Idź z moim błogosławieństwem.

- Już idę, Ennid.

Kasta podniosła się z kolan, uśmiechnęła się na pożegnanie do Wisława i skierowała się do studni Przejścia. Powiesiła kamień Ajwari na szyi. Spojrzała w dół, w huczącą, płonącą wszystkimi barwami tęczy otchłań. Jeszcze raz spojrzała na La Mara i strach, i wszystkie wątpliwości opuściły ją. Wspiąwszy się na balustradę, położyła prawą dłoń na amulecie z puklem włosów Elei - i zrobiła krok w Przejście.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Jest tak uroczyście, gdy w wielkiej tronowej sali pałacu pali się tyle świeczek, zauważył jego wysokość, dziedziczny książę Seltonii, Aszler, obserwując gości. I nie tylko świeczek - dzisiaj hierarchowie Kolegium Magna zademonstrowali swój nowy wynalazek: szklane kule na podstawach z brązu, emitujące miękkie, białe światło. Chociaż nie takie ciepłe i domowe, jak zagadkowe i przytulne światło świec w lichtarzach, tak pożądane przy romantycznym spotkaniu z piękną kobietą, ale też bardzo przyjemne. Czasami magia, może dostarczyć radości. Najbardziej zadziwiające, że te kule nie są niczym wypełnione - trzymał jedną w rękach i mógł się o tym przekonać. Jak błyskotliwie zauważył jego błazen Osłomysł: „Miły książę, te kule są przejrzyste i puste, jak głowy twoich doradców”. Ale świecą cudownie, tak jasno i naturalnie, że można się przyjrzeć kobietom, nawet z tronowego podwyższenia. Aszler czynił to z przyjemnością, kiedy przybywali goście. Dawno też wysnuł wniosek, że pierwsze wrażenie nigdy go nie oszukało - w całym tym wspaniałym rosarium, dwie róże są bardziej godne od pozostałych, by sam książę zerwał ich tej nocy.

- Wina, wasza wysokość? - podczaszy, z poddańczym ukłonem, popatrzył na pusty puchar w prawej ręce księcia.

- Odejdź - odprawił sługę niedbałym machnięciem dłoni, jak natrętną muchę. Nie należy pić zbyt dużo, do czasu, aż zaczną się tańce.

Muzycy grali coś powolnego i melodyjnego. Zaproszeni na coroczny bal, z okazji nadejścia zimy, goście, w oczekiwaniu na tańce, przepływali z tronowej sali do sąsiedniej, gdzie stały nakryte stoły, wracali, zbierali się w grupach, ale nie zapominali nawet na chwilę, że jego wysokość obserwuje ich i dlatego, pochwyciwszy spojrzenie księcia, uśmiechali się i kłaniali z przesadnym szacunkiem. Oto największy sztywniak, uczony Solanus Brok, przełożony Kolegium Magna,

zobaczył, że gospodarz popatrzył na niego i natychmiast uśmiechnął się. Główny syndyk Fasten, próbuje ukłonić się wytwornie, ale brzuch nie pozwala mu. Jak powiedziałby Osłomysł - to nie człowiek z brzuchem, to brzuch z człowiekiem. Przeniósł spojrzenie w odległy koniec sali, gdzie olśniewająca, zielonooka blondynka Awril de Glemar zebrała wokół siebie półtora tuzina młodych dworzan i oficerów książęcej gwardii, którzy czynią wrażenie, że uważnie słuchają jej rozmowy ze zgorzkniałą staruchą d'Alez, starą panną ze świąty żony ambasadora Norringi w Seltonii, a sami próbują zajrzeć w głęboki dekolt jej jedwabnego, błękitnego blier. Głupcy, nie wiedzą, że tego wieczoru jego wysokość już wypatrzył jasnowłosą ślicznotkę, nazywając ją w myśli swoją Białą Różą.

Teraz przeniósł spojrzenie na tę, którą ochrzcił dzisiaj imieniem Ciemnej Róży - żonę ergalotskiego burmistrza Niwje de Boszena. To niesprawiedliwie, że ten emerytowany żołdak, sam rozkoszuje się takim skarbem. Lorissa de Boszen nie jest tak majestatyczna i wytworna jak jasnowłosa Awril, ale pełna uroku i zachwycającej nieśmiałości - cały czas się czerwieni, jak dziewczica podczas swatania. Do tego, z Awril de Glemar spędził już niejedną noc, a żona de Boszena dotychczas nie odwiedziła go w pościeli.

A tu kolejne ślicznotki. Zgrabna, jak rycerska kopia, niebieskooka szatynka Adelin. Swawolna blondyneczka Brenni. Wspaniała brunetka Szalen. Z zadowoleniem potarł podbródek. Zaprawdę, na jego dworze nie brakuje uroczych dam. Nie jak u norringiego księcia Aksela, gdzie łatwiej zobaczyć trolla, niż piękną kobietę. Prawdziwy znawca kobiecego piękna - a książę Aszler uważał się za takiego - wie, że ile kobiet, tyle nowych wrażeń.

- O czym myślisz, książę? - Osłomysł wyrzał z tronu, potrząsnął grzechotką przed nosem Aszlera, zrobił idiotyczną minę. - O kobiecych kotkach? Też o nich myślę. Zawsze i wszędzie. Nawet w nocy mi się śnią. Każdej nocy. Wiele kotków, przez całą noc, do samego świtu. Tak, jesteśmy braćmi szczęścia. Albo nieszczęścia. Myślisz, że nie ma nic głębszego od Morza Ormów? Mylisz się, koleżko. Kotki są głębsze. Wszystkie chłopcy, wpadają w nie i jeszcze żaden nie wydostał się na zewnątrz. Najśmieszniejsze, że ci, utopieni, uważają się za szczęśliwców! A głupcy, nazywają to miłością. Ale my, jesteśmy mądrali nad mądralami!

- Co ty wiesz o miłości, durniu! - książę powąchał swoją wyperfumowaną chusteczkę. Na ten wieczór, wybrał aromat sandałowy i zielonych jabłek - zdawało mu się, że tak właśnie powinna pachnieć Lorissa de Boszen. Czas na tańce!

- Za wcześnie, książę. Magowie jeszcze się nie upili. Kiedy tańczą pijani, to potykają się o swoje mantyje. I przeklinają wtedy, niczym twoi gwardziści. Bardzo lubię to obserwować. Poczekaj trochę, niech się upiją!

- Magowie? Właściwie, dlaczego nie widzę najmilszego z nich, La Bantjena.

- Ba! Czyżbyś zaprosił przyjacielu, tego zarozumiałego i nieuczciwego chłoptysia na nasze oględziny kotków? - Osłomysł znów potrząsnął grzechotką. - Nie trzeba było, słowo honoru. On niczego w nich nie widzi.

- Wszystko mi jedno, przyjdzie czy nie - odpowiedział, przypatrując się żonie burmistrza. - Myślę, przyjacielu Osłomysle, że jednak czas zacząć tańce. Muszę się odprężyć.

- Marszałek Salem de Fortan! - głośno zapowiedział, ukazujący się w drzwiach sali, mistrz ceremonii.

Pojawienie się marszałka, zostało przyjęte zdziwionym szeptem gości - Salem de Fortan wyglądał zupełnie inaczej, niż osoby zaproszone na święto do pałacu. W prostym, stalowym kirysie, założonym na skórzany dublet, pokryty śladami rdzy i

drobnymi wgnieceniami, w nagolennikach i podróżnych butach pokrytych kurzem. Hełm, miecz i sztylet zostawił przy wejściu. Twarz miał bladą, zmęczoną i smutniejszą niż kiedykolwiek. Ci, z gości księcia, którzy dobrze go znali, ze zdziwieniem spostrzegli, że znacznie postarzał się w ostatnim czasie.

- Witaj, marszałku! - krzyknął ze swego miejsca Aszler, którego też zdziwił wygląd drugiego człowieka w Najjaśniejszym Trybunale. - Interesujący kostium wybrałeś na dzisiejszy bal, mój przyjacielu. Obawiam się, że wybór chybiony - żadna dama nie zechce z tobą tańczyć, bojąc się pobrudzić swój strój o kirys.

- Monarcho, przyszedłem nie dla zabawy - odpowiedział takim tonem, że po sali przetoczyła się nowa fala zdziwionego szeptu.

- Ach tak? - Aszler przestał się uśmiechać. - Dzień rozpoczęcia zimy, to wesołe święto. Zapraszając tych, których pragnąłbym widzieć, zawsze liczę, że moi goście dobrze spędzą czas, bawiąc się beztrudnie i z lekką duszą. Niektórym jestem gotów wybaczyć nawet wybór niestosownego balowego stroju, natomiast kwaśnej fizjonomii nie wytrzymam, Salemie.

- Proszę o wybaczenie. Dopiero dziś rano przybyłem z północy do Ergaloty i nie zdążyłem się przebrać, zbyt dużo miałem obowiązków - zrobił pauzę. - Zdawało mi się, że wiadomości, które zamierzam wam przekazać są o tyle ważne, że nie powinienem tracić czasu na drobiazgi. Śpieszyłem i dlatego ośmieliłem się przyjść w podróżnej odzieży.

- I jakież to wiadomości przyniosłeś nam z północy? - z drwiną zapytał księżę. - Sądząc z wyrazu twojej... twojej twarzy marszałku, niezbyt dobre. Osłomysle, jak myślisz, wypada nam dzisiaj wysłuchać wiadomości, które przywiózł nasz uprzejmy marszałek?

- O, on jest bardzo-bardzo smutny, ponieważ przywiózł smutne-najsmutniejsze wiadomości! Ja już się smucę! - błazen skrzywił się w udawanym płaczu, zaczął trzeć pięściami oczy, a potem, nagle głośno pierdnął.

- Wobec tego, jakież tam masz wiadomości, Salemie? - zapytał z rozdrażnieniem księżę, odczekawszy, aż ucichnie drwiący śmiech gości. - Zaczęła się wojna z Norringami? Czy trolle wyszły z lasów i zaczęły napadać na naszych poddanych? Czy też wasze dzikie Orki chodzą na czworakach i kąsają? No, czekamy na twoje wyjaśnienie!

- Monarcho, byłem w Monsalidarze. Bardzo trudno mi sensownie wyjaśnić, co się tam zdarzyło. Jestem tylko żołnierzem i nie umiem składnie mówić. Także to, przysięgam na cały Panteon, czego byłem świadkiem, nie jest w stanie opisać ludzki język.

- Proszę marszałku, uwolnij mnie od idiotycznych przedmów. Co się zdarzyło?

- Wampiry, monarcho.

Odpowiedział mu zgodny śmiech i sam Aszler śmiał się tak, że z oczu popłynęły łzy. Goście księcia zanosili się od śmiechu, wskazywali go palcami, a on stał przed tronem jak napiętnowany, na baczność, oczekując, kiedy ucichnie fala szyderczego śmiechu.

- Świetny dowcip! - ocenił księżę, wycierając łzy. - Przysięgam na Hawana, jestem gotów wybaczyć ci żołnierski strój i brudne buty. Nigdy nie słyszałem nic bardziej śmiesznego. Osłomysle, masz się czego uczyć od naszego sławnego marszałka!

- Nie żartuję, monarcho - odpowiedział de Fortan. - Zgodnie z rozkazem Protektora Trybunału Awiera La Bantjena przybyłem do Monsalidaru z oddziałem Orków, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo. Było ze mną osiemdziesięciu wojowników. Pozostało tylko dwudziestu dwóch żywych.

- Niech będę przeklęty! - Aszler znów zaśmiał się, klepiąc dłońmi po pulchnym brzuchu. - Skąd się tam wzięły wampiry? Wam-pi-ry, de Fortanie!

- Wezwał ich La Bantjen.

I znów, fala niepohamowanego śmiechu przetoczyła się po sali. Aszler rozkazującym gestem nakazał ciszę. Twarz księcia Seltonii stała się niezwykle poważna.

- Wytlumacz się, marszałku - polecił głosem, w którym zabrzmiała złowieszcza, metaliczna nuta. - Posunąłeś się zbyt daleko. Pomyśl dobrze, zanim zaczniesz żartować dalej.

- Niestety, monarcho, nie żartuję. To, co widziałem...

- Gdzie La Bantjen? Jest z tobą?

- Został zabity, monarcho.

- La Bantjen martwy? - wykrzyknął Solanus Brok, nachmurzywszy się. - To niemożliwe.

- Jednakże tak, supermagistrze - odpowiedział de Fortan, obróciwszy się do przełożonego Kolegium Magna. - Nie powiem, żebym był tym zmartwiony.

- Coś podobnego? - Brok podszedł o krok do marszałka, zbliżył się, zacisnął pięści. - Tak wykonałeś swoje obowiązki, de Fortanie? La Bantjen nie żyje. Liczył, że go obronisz, a ty... Jestem oburzony i rozgniewany, wasza wysokość. Żądam śledztwa i ukarania winnych.

- Zabawmy się w sąd! - wrzasnął Osłomysł. - Zamawiam, jestem sędzią. A kotki przysięgłymi!

- Widziałeś zwłoki La Bantjena, Salemie? - zapytał książę.

- Nie. Ale widział je człowiek, który przyjechał ze mną. On opowiedział mi o tym, co się zdarzyło wewnątrz porzuconego miasta.

- Cha-cha-cha! - Solanus Brok opiekuńczo poklepał de Fortana po ramieniu. - Tak myślałem, że to tylko głupia i okrutna zagrywka. Wasza wysokość, ja, jako przełożony Kolegium Magna, biorę odpowiedzialność za oświadczenie - i moi współbracia-magowie w tym mnie poprą - że trafić do miejsca zwanego Monsalidar, nie można. Żaden człowiek nie jest w stanie tego dokonać.

- La Bantjen miał klucz - powiedział de Fortan.

- Klucz? - skrzywił się w uśmiechu Brok. - Jaki, w imię Hawana, klucz?

- Ten - de Fortan zdjął z szyi stylus Carikata i pokazał zebrany.

W tronowej sali zrobiło się tak cicho, że można było usłyszeć oddechy gości. A potem, wszyscy rzucili się do de Fortana, żeby na własne oczy zobaczyć, zaginiony w tajemniczych okolicznościach, kilka miesięcy temu, dawny artefakt, teraz znajdujący się u marszałka Trybunału.

- Oto stylus, monarcho - de Fortan podszedł do tronu i z ukłonem podał drogocenną rzecz Aszlerowi. - Kiedyś, ta starodawna rzecz, uważana była za piękną i drogą, ale całkowicie bezużyteczną zabawkę. Teraz wiadomo, że mag Carikat, za pomocą tego magicznego klucza zamknął Monsalidar.

- Bzdura! - wrzasnął Brok. - Ja, jako supermagister...

- Poczekaj, Brok - powiedział książę, oglądając leżący na dłoni stylus. - Niech to lichy, jednak się znalazł! Jak trafił do ciebie, Salemie?

- Człowiek, o którym mówiłem monarcho, znalazł go przy ciele La Bantjena. Oprócz stylusa, przekazał mi niezwykle ważne dowody udziału Protektora w najniebezpieczniejszym spisku. Ponieważ nie jestem w stanie, z sensem, opowiedzieć wam wszystkiego, proszę wysłuchać tego człowieka.

- Poczekaj, Salemie, zlituj się! Najpierw wampiry, potem zaginiony i odnaleziony stylus, teraz jakiś spisek - Aszler bezradnie popatrzył na marszałka. -

Nie wszystko naraz. Przysięgam na Panteon, to zbyt wiele, nawet jak na seltoński dwór!

- Wasza wysokość, żądam natychmiastowego ukrócenia tej komedii – wtrącił się Brok, spoglądając złośliwie na de Fortana. - Teraz nie czas i nie miejsce na podobne rozmowy. Obiecuję, że marszałek zostanie wezwany na dyscyplinarny sąd Kolegium Magna i tam wyjaśni swoje dziwne zachowanie i aroganckie wypowiedzi!

- Monarcho, tylko proszę, byście wysłuchali człowieka, który czeka przy bramach waszego pałacu.

- Przy bramach? - Aszler jeszcze raz spojrzął na stylus, który skrzył się radosnymi ognikami. - Niech poślą po tego człowieka. Ale strzeż się marszałku, jeśli wyjaśnienia twojego przyjaciela nas nie zadowolą!

Wisław wykazał niewzruszone opanowanie, wchodząc do tronowej sali władców Seltonii. Setki zwróconych na niego zdziwionych oczu, nie spieszyły Reszyjca - był przygotowany na takie przyjęcie. Zbliżywszy się do tronu, uklonił się księciu i znieruchomiał, oczekując, kiedy dziedziczny książę Seltonii będzie raczył z nim rozmawiać.

- Kim jesteś?

- Mam na imię Wisław, monarcho - odpowiedział Reszyjec, ciesząc się w myśli, że kiedyś, w klasztorze, solidnie nauczył się języka seltońskiego. – Pochodzę z Resza i przybyłem do waszego wspaniałego kraju razem ze swoimi przyjaciółmi.

- To jest ten twój świadek, de Fortanie? - zwrócił się książę do marszałka. - Boję się, że nie zdobędzie mojego zaufania. To, tylko cudzoziemski włóczęga.

- Niestety, wasza światłości, ale człowiek, który mógłby przekonać was lepiej ode mnie, jest martwy - powiedział Wisław. - Zginął w podziemiach Monsalidaru, próbując powstrzymać dawne zło, wyzwolone przez Awiera La Bantjena. Był seltończykiem i śmiałym człowiekiem. Jedynym, który odważył się przez osiem lat walczyć z diabelstwem, potajemnie szarpiącym wasz kraj. Szczycę się, że bogowie pozwolili mi walczyć obok niego.

- Któż to taki, ten sławny rycerz? – spytał książę, z grymasem na ustach.

- Aren La Mar, wasza światłości. Ręczę, że w tej sali znajdują się ludzie, którzy go dobrze znali.

- I to jeszcze jak! - uśmiechnął się Solanus Brok. - Monarcho, znałem go osobiście. Kiedyś, był rokującym nadzieję magiem, ale potem pomylił drogi i stał się bluźniercą, heretykiem i okrutnym mordercą. Próbowaliśmy go znaleźć, żeby aresztować i przekazać sądowi, ale temu łotrowi udawało się chować przed sprawiedliwością. Jestem zadowolony, że go już nie ma.

- Nie był ani heretykiem, ani bluźniercą, ani mordercą - zaprzeczył Wisław, błyskając oczyma. - Żałuję, że niedostatecznie dobrze znałem tego prawego człowieka. Gdyby nie on, wasze dzisiejsze święto, monarcho, okazałoby się wyjątkowo smutne. Tak, La Mar zabijał. Był myśliwym polującym na wampiry. Dobrowolnie wziął na siebie to brzemię i do ostatniej godziny walczył z wytworami Cienia.

- Znowu wampiry! I myślisz, Reszyjcu, że w to uwierzemy?

- Trzeba będzie, wasza światłości. Przedstawię dowody, z którymi trudno będzie się nie zgodzić. Ale zacznijmy od początku. Oto list, który napisał i przekazał marszałkowi de Fortanowi wielbny Łaem Chout, przeor świątyni Panteonu w Kornalu. Właściwie, od tego wszystko się zaczęło. Pomocnik La Bantjena odwiedził

Chouta i zażądał, by odnaleziono Sidkę, która pojawiła się w tej okolicy. Tak się złożyło, że pomogła ona w leczeniu pewnej chłopki - śmiertelnie chorej. Jeśli mistrz de Lass znajduje się w tej sali, potwierdzi swoją rozmowę z Choutem.

- Nie zamierzam przeczyć – rozległ się głos de Lassa, który stał w otoczeniu magów Kolegium. - Tak, byłem w Kornalu. Pogłoski o Sidce, okazały się po prostu bzdurą.

- Nic podobnego, szanowny mistrzu. Spotykałem się z tą Sidką i wielokrotnie rozmawiałem. Ale idźmy dalej. W tym czasie, Aren La Mar przyjechał do Ergałoty - wezwał go stary nauczyciel Barnas i jego opiekun, a zarazem pomocnik, Ardelin. Zamierzali powierzyć mu śledztwo w sprawie serii tajemniczych morderstw w mieście. Wasza wysokość powinien pamiętać o tych morderstwach.

- Oczywiście! Ktoś podokazywał w miejskich slumsach. Winnego nie znaleźli, chociaż prefekt policji każdego dnia obiecuje ujęcie i powieszenie łotra.

- Obawiam się wasza światłość, że pętla nie doczeka się, kiedy prawdziwy morderca wsunie w nią swoją głowę, ponieważ, sześć morderstw, okrutnych, strasznych i tajemniczych - to sprawka zmarłego Awiera La Bantjena.

- Jesteś przy zdrowych zmysłach? - wrzasnął Solanus Brok, próbując przekrzyczeć szmer oburzenia zgromadzonych. - Żaloszny cudzoziemcze, oskarżasz Protektora Trybunału o nikczemności, do których może być zdolny tylko skończony łajdak? Dużo na siebie bierzesz!

- Otóż, La Bantjen był skończonym łajdakiem - spokojnie sprzeciwił się Wisław, otworzył przyniesioną przez siebie szkatułę byłego Protektora. - Na szczęście dla nas, zabrał ze sobą do Monsolidaru wszystkie swoje papiery. Bał się zostawić je w Ergałocie. Był tam też zaszyfrowany pamiętnik dziennikarza Wiljena, zamordowanego na rozkaz La Bantjena. Wiljen zdołał rozwiązać tajemnicę przestępstwa, chociaż nie wiem jak. Udało mi się dopasować klucz do szyfru, który okazał się bardzo zwyczajny. Wiljen po prostu zastępował litery cyframi. Parzyste cyfry od 2 do 14 zastępowały samogłoski, nieparzyste - spółgłoski...

- Żądam dowodu, Reszyjcu! - krzyknął Brok.

- Proszę bardzo. - Wisław wyjął ze szkatuły zwinięte w rulon papiery. - To kopia pamiętników. A to, korespondencja La Bantjena z szerańskimi opiekunami. Protektor potajemnie studiował dzieje dawnej sekty z południa, osiadłej w Szeranie - magów Zacienionej Czaszy. Korespondencję prowadzono w języku darnackim, a ja nim nieźle władam. Szerkańcy żądali od swego agenta uściślenia miejsc istnienia tak zwanej Kulebki Cienia - źródła bardzo potężnej, magicznej mocy. Ty, drogi supermagistrze, nie zaprzeczysz chyba, że ona istnieje?

- Jaki to ma związek z Awierem i morderstwami w mieście?

- Najprostszy, panowie. Wiljen był mądrym człowiekiem, zorientował się, co i jak. Ciała zamordowanych nosiły wyraźnie rytualne obrażenia. Zaczniemy od symboliki cyfr: Sześć morderstw, dziewięć ofiar. Otóż, mamy sześć i dziewięć. Dwie cyfry, święte dla zwolenników kultu Szu - każdy z dawnych tekstów dzielił się na sześć rozdziałów, te z kolei zawierały po dziewięć podrozdziałów. Dwie cyfry, stale obecne w zacienionej mandali, czyż nie tak, supermagistrze ?

- Jesteś magiem? - zapytał Brok z uśmiechem, jednakże oczy wyrażały nadal powagę i złość. - Gdzie się kształciłeś w tym zakresie?

- Wszędzie. W życiu stopniowo nauczyłem się wszystkiego, za co dziękuję Bogom... Wiljen natomiast, zdobył książkę - niezwykle rzadką, nazywaną trzecią częścią Kodeksu Arkanum. Napisał ją jakiś szalony czarnoksiężnik w odległej starożytności. Oprócz tak zwanego Pergaminu o Miłości Ciała i Cienia, znajduje się w niej opis rytuału tworzenia Milczących - homunkulusów, powstających z organów

pobranym od trupów i ożywionym przy pomocy szczególnej, czarnej magii. Części ciała powinny być pobrane od dopiero, co uśmierconych ludzi. Wszystkie ofiary mordercy miały wycięte pewne organy. Oto list, w którym La Bantjen powiadamia niejakiego Warchisza - imię zdaje się szerańskie – o stworzeniu Nienarodzonej i że poszukiwanie Kolebki Cienia będzie bardzo ułatwione. List został napisany w języku sarnackim, lustrzanym sposobem, ale odczytać go nie tak trudno, jak się początkowo wydawało.

- Nieprawdopodobne! - Aszler rzucił spojrzenie na swoich, coraz bardziej milknących gości. - Ale, po co to wszystko było potrzebne?

- Homunkulus powinien był wskazać miejsce, gdzie znajduje się Kolebka Cienia - tak Szezańcy powiedzieli Protektorowi. W Noc Nocy, albo mówiąc prościej, w przeddzień Samachejny, potoki magicznej energii stają się najmocniejsze, a podobno sztucznie stworzona istota jest na nie bardzo wrażliwa. La Bantjen miał nadzieję, że jego Nienarodzona znajdzie to miejsce, dlatego zdecydował się na morderstwa niewinnych ludzi.

- Pozwolę sobie dodać, monarcho - zauważył de Fortan - że naczelnik policji już otrzymał ode mnie sztylet La Bantjena i oryginały wszystkich, będących przy łotrze dokumentów.

- Wszystko to jest bardzo ciekawe – odezwał się mistrz Waldes, dotychczas chowający się za plecami Broka. - Ale trzeciej części Kodeksu Arkanum nie ma. Po prostu nie istnieje. Jako Zwiadowca Kolegium Magna...

- O tym później - przerwał magowi Wisław. - Otóż, La Bantjen zdołał zlokalizować miejsce, gdzie znajdowała się Kolebka Cienia. A przedtem wykradł ze skarbca stylus Carikata. Szezańcy przyjaciele powiedzieli mu, co to jest. Właściwie, tylko on im do tego był potrzebny. Szezańcom i seltońskim wampirom była znana od dawna Kolebka, którą miał dla nich odszukać La Bantjen. Ale wejść do niej i aktywować Źródła Mocy nie mogli - nie pozwalało na to zaklęcie Carikata i Wajdorzy. Sekta kapłanów-wojowników, przez wieki chroniąca Monsalidar. Kiedyś, ich założyciel Carikat, zapieczętował świątynię Cienia, a klucz przekazał królom Seltonii, jako dar. Jak rozumiem, taki dar miał symboliczne znaczenie - bo nałożył zaklęcia tak, by zdjąć go mógł tylko Seltończyk. Ale to tylko moje przypuszczenie. La Bantjen ukradł klucz. Zbyt nie ryzykował, komu przysłoby do głowy podejrzać o kradzież samego Protektora Najjaśniejszego Trybunału?! Został jeden problem - Wajdorzy. La Bantjen doskonale rozumiał, że kapłani Welirry nie zgodzą się na żadne rokowania. Zabezpieczył się, biorąc ze sobą marszałka de Fortana i jego Orków. Liczył, że Wajdorzy nie zechcą rozlewu krwi i ustąpią przed siłą. W tej przejażdżce, La Bantjenowi towarzyszyła bardzo dziwna osoba - homunkulus, stworzony z części ciał zabitych w Ergalocie kobiet i dzieci. Marszałek de Fortan i jego Orki widziały ją, więc świadków mamy.

- I gdzież jest ten, homunkulus? - zapytał de Lass.

- O, Nienarodzona okazała się największą niespodzianką dla naszego Protektora! Szezańcy nauczyli naszego maga-mordercę, jak stworzyć martwą powłokę Milczącej, tę nekromancką obrzydliwość, ale już sekretu ożywienia nie ujawnili. Zaopatrzyli go tylko w szczególny, ożywiający komponent, sam nie wiem jaki. Mogę tylko powiedzieć jedno - w podziemiach Monsalidaru homunkulus przekształcił się w potwora - zacienionego robaka, który zabił swojego twórcę La Bantjena. Potem, w walce z nim zginął La Mar.

- Homunkulus zabił tego, który go stworzył? - Brok zaśmiał się pogardliwie. - Monarcho, zmęczyłem się tymi idiotycznymi opowieściami i złośliwymi

oszczerstwami biednego La Bantjena. Awier był zbyt silnym magiem, żeby nie dać rady jakiemuś zacienionemu robakowi.

- Twoje szczęście, że nie widziałeś tego robaka supermagistrze - zauważył Wisław. – Przechodzimy teraz do następnej pieśni naszego długiego poematu. Porozmawiamy o wampirach.

- Otóż to! - krzyknął Brok. - Kluczowe słowo – „wampiry”, które czyni bezsensownym majaczeniem wszystko, o czym opowiedział ten szalony obcokrajowiec. Spróbuj nas przekonać, szlachetny amatorze bajek, że wampiry istnieją, a z przyjemnością posłuchamy twoich argumentów!

- Proszę bardzo, supermagistrze. Tej nocy, kiedy Aren La Mar przybył do Ergałoty na listowną prośbę Ardelina, spotkał się ze Śledczym Trybunału Ormonem de Lassem. Oczywiście, mistrz de Lass będzie wszystkiemu zaprzeczać, ale to nieważne. Istotny jest temat rozmowy. De Lass zaproponował La Marowi współpracę - w odróżnieniu od nas, prostych i nieokrzesanych śmiertelników, magowie Kolegium Magna doskonale wiedzieli, czym on zajmował się. Widocznie, Kolegium zaczynała jednak niepokoić wzrastająca aktywność Nocnego Braterstwa. Na krótko przed przyjazdem do Ergałoty, La Mar zrealizował kontrakt nadwornego maga księcia Norringi, Aksela, na zniszczenie gniazda wampirów. Wiedziało o tym Kolegium Magna, Etsel kontaktował się z nimi, zanim zdecydował się na tak poważny krok. Mistrz Etsel jest gotów potwierdzić ten fakt. Dotychczas wampiry i ci, którzy powinni byli niszczyć to diabelstwo, byli wierni przyjętym zobowiązaniom, określonym w Pergaminie o Miłości Ciała i Cienia, o którym mistrz Waldes mówi, że nie istnieje. Ale La Bantjen nieprzypadkowo zaakceptował zniszczenie wampirów w Norrindze, cynicznie naruszył porozumienie - był człowiekiem bardzo przenikliwym, zrozumiał, że Braterstwo planuje coś bardzo poważnego. Przyszła mu więc do głowy świetna myśl – wykorzystać La Mara w swoich intrygach. Z nadania Trybunału, La Mar spotkał się w Ergałocie z jedną bardzo wpływową postacią Braterstwa - z Galerią War-Smarten.

- Z dziwką z burdelu - powiedział de Lass pod zgodny śmiech gości. – Wspaniała wampirka!

- Ale, dziwki bywają różne, dostojny Śledczy! Ta, była podwójnym agentem, pracowała dla książąt Braterstwa i dla Protektora Trybunału. Zmarły La Bantjen wyróżniał się podejrzliwością. Nikomu nie ufał - i miał rację. Wampir, zawsze będzie wampirem, nawet, jeśli wydaje się szykowną dziwką z drogiego burdelu. Nie sądzę, żeby Galerię War-Smarten i La Bantjena łączyły jakieś amory. A ktoś w Kolegium Magna naiwnie przypuszczał, że obcowanie z dziewczynami może przynosić tylko radość. Nawet, jeśli to wampirka.

- Wszystkie baby, to wampirki - wypalił Osłomysł. - Wszystkie piją z nas krew.

- O czym ty mówisz? - Brok mimo woli cofnął się o krok od Wisława.

- Nie o czym, a o kim, najmiłszy supermagistrze. O tobie. Przecież spałeś z Galerią?

- Nikczemnik! - Brok omal nie udusił się z wściekłości. - Jak ty...

- Spałeś, supermagistrze i to nieraz. Pani Galeria miło i zalotnie pokąsywała cię podczas waszych miłosnych uniesień. Zapomniała tylko uprzedzić, że ukąszenie najwyższego rangą wampira, nieuchronnie zakaza porfirią. Do czasu udawało ci się ukrywać chorobę, Solanusie Brok. Poza tym, nie od razu zorientowałeś się, na co jesteś chory - pomyślałeś, że zaczęły się ataki febry falistej. Zanikł apetyt i zjawiała się bezsenność, oczy stały się wrażliwe na światło, a skóra zaczęła się łuszczyć. Ale, kiedy porfiria osiągnęła stadium prawdziwego wampiryzmu, wystraszyłeś się nie na żarty. I wtedy, w twoim otoczeniu, zjawiał się Awier La Bantjen - człowiek szerańskich

magów. Wiedział już, od sprawczyni zarażenia, co się z tobą dzieje i dał ci nadzieję. Opowiedział o korzeniu salwarii, którego ekstrakt likwiduje nabyty wampiryzm. Ucieszyłeś się i zrobiłeś wszystko, by dla własnego ratunku, wywyższyć szerańskiego szpiega i nekromantę. Wyznaczono go na posadę Protektora. Rozumiem cię, rzeczywiście mu ufałeś.

- Bogowie! - Brok spąsował, potem zbladł, z szumem wypuścił powietrze z płuc. - Nigdy nie słyszałem podobnego majaczenia. Monarcho, ten człowiek - jesteś niebezpiecznym szaleńcem. Przepędźcie go stąd, nim zarazi nas swoim wariactwem!

- Jedno słowo, wasza światłość - powiedział Wisław, zauważywszy, z jakim gniewem patrzy na niego Aszler. - Chętnie przyjmę każdą karę, ale proszę pozwolić mi coś powiedzieć i pokazać wam. Nigdy nie oskarżyłbym supermagistra Broka, gdybym na pewno nie wiedział, o czym mówię. Zamierzam to udowodnić. Błyskotliwa kariera Awiera La Bantjena stała się możliwa właśnie dlatego, że dał szanowanemu przełożonemu Kolegium Magna nadzieję na uzdrowienie. Zaopatrzył go w lek od wampiryzmu, Elik sir Czystej Krwi, wytwarzany z korzenia salwarii. Ale tę roślinę spotyka się niezwykle rzadko w Seltonii. To południowa roślina i drogocenna roślina. Próby znalezienia większej ilości do przygotowania leku tu, w Ergałocie, okazały się bezskuteczne. Pomogli szerańscy mecenasowie La Bantjena i supermagister otrzymał pierwszą partię leku.

- Majaczenie! - warknął Brok. - Bogowie, proszę ukarać tę gadułę!

- Na pewno ukarzą. Ale najpierw trochę o tobie. Ile dawek Eliksiru Czystej Krwi otrzymałeś od La Bantjena? No, oczywiście, nigdy tego nie powiesz. Nie przyjmowałeś leku chroniącego od wampiryzmu. Przecież nie jesteś wampirem, one po prostu nie istnieją, a ja, jestem tylko żalonym wariatem! Tymczasem choroba postępuje i wkrótce nie będziesz znosić słonecznego światła. Potem zaczniesz się to, co w starodawnych książkach nazywa się ichoromanią – straszliwym, nienasyconym pragnieniem krwi. Potem zniknie twój cień. Wreszcie, bez dostępu do żywej krwi, zaczniesz rozkładać się żywcem. Możliwe, że cię to nie martwi. Póki żył La Bantjen, nie musiałeś zabiegać o swoją przyszłość. Ale La Bantjena już nie ma, leku też nie będzie. Do uleczenia z pierwotnego wampiryzmu, potrzeba minimum sześć dawek Eliksiru Czystej Krwi - tak zapisał w swoich papierach La Bantjen. - Wisław ponownie sięgnął do szkatuły zmarłego Protektora. - A teraz uwaga. La Bantjen był przezorny albo szalony i w odróżnieniu od was, łaskawi panowie, wierzył w istnienie wampirów. Przygotował się do następstw spotkania z Braćmi w Monsalidarze. W jego szkatule znalazłem sześć flakonów eliksiru salwarii, które zachował dla siebie. Ponieważ jestem obłąkanym fantastą, jak La Bantjen, te flakony nie mają zupełnie żadnej wartości. Więc postąpimy z nimi tak, jak na to zasługują!

Wyjął buteleczkę i rzucił ją na podłogę - cienki kryształ się rozbił i w powietrzu rozpląnął się korzenny, odurzający aromat egzotycznych kwiatów. Twarz Broka pozieleniała.

- Jaki kruchy flakon! - krzyknął Wisław z udanym żalem. - Może, następny będzie trwalszy?

Żałośnie brzęknęło rozbite szkło. Wydawało się, że Broka porazi epilepsja.

- To mi się bardzo podoba! - zawołał Oślomysł, tupiąc nogami. - Mogę też coś rozbić?

- Rozbijmy jeszcze trzeci, dla równego rachunku - Wisław rzucił trzecim flakonem. - Trzy rozbiły się, trzy zostały. Przedłużymy zabawę?

- Wystarczy! - zachrypiał Brok. - Wstrzymaj się!

- Co słyszę, wielbny? Żal ci tego nieprzydatnego płynu? A ja dopiero się rozkręciłem!

- Wystarczy - Brok popatrzył na Wisława ponurym, nienawidzącym spojrzeniem. - Proszę cię...

- Co to znaczy, Solanusie? - zapytał zdumiony książę. W jego oczach pojawił się strach. - Ty...

- Tak, niech was wszystkich przeklnie Maranis! - wyprostował się, głośno westchnął, jakby brakło mu powietrza. - Ten człowiek ma rację. Rzeczywiście, zaraziłem się. Ten nikczemny twór zaraził mnie. Cztery razy przyjmowałem Eliksir Czystej Krwi. Potrzebne są jeszcze dwie dawki. Wystarczy, zaprzestań tych tortur. Proszę, zostaw mi nadzieję.

- Straż! - pisnął Aszler, chowając się za oparcie tronu. - Brać go!

- Jeszcze jedno słowo, monarcho! - krzyknął Wisław. Teraz, tylko on stał obok Broka, pozostali goście, w przerażeniu odsunęli się od supermagistra, jak od zadżumionego. - Jedno słowo! Supermagister nie ponosi żadnej winy. Stał się ofiarą tego diabelskiego planu, który został opracowany przez księżęta Braterstwa i ich szerańskich mecenasów. Właśnie teraz, kiedy magowie Czaszy zamierzają zawrócić świat do czasów Cienia, Braterstwo zdecydowało, że nadeszła ich godzina. Pora zerwać porozumienie zawarte niegdyś z ludźmi i przekształcić całą północ w królestwo krwi i przerażenia. Wampiry zawsze będą wampirami. Na szczęście, rozprawiono się z Braterstwem w Seltonii. I proszę was - o miłosierdzie!

- Co? - Aszler wytrzeszczył oczy. - Prosisz o łaskę... Dla kogo?

- Tak, monarcho. Mój zmarły przyjaciel La Mar, pewnego razu zlitował się nad dziewczyną-wampirem i nadszedł dzień, kiedy ta dziewczyna uratowała mnie, moich przyjaciół, a także wszystkich was. Powstrzymała potwora, którego nikt nie byłby w stanie zatrzymać. Przez pamięć o La Marze, chcę dać Solanusowi Brokowi nadzieję. Proszę wziąć - Wisław podał supermagistrowi szkatułę La Bantjena. - Proszę wziąć i pamiętać, że swój ratunek zawdzięczasz właśnie Arenowi La Marowi. Człowiekowi, którego ścigaliście i prześladowaliście przez wszystkie te lata.

Brok przyjął szkatułę, spojrzał na Wisława. W jego oczach była taka ciemność, że Reszyjec przeraził się.

- Dziękuję ci - niedosłyszalnie powiedział supermagister. Wisław zauważył na dłoniach maga czerwone półkola od paznokci. Jeszcze przed chwilą zaciskał mocno pięści.

- Straż! - wydawało się, że książę stopniowo przychodził do siebie. - Aresztować Broka, natychmiast. Salem, proszę, żebyś odprowadził aresztowanego do celi.

Brok tylko uśmiechnął się słabo i z rezygnacją. Strażnicy z obawą zbliżyli się do niego, ale supermagister nie zamierzał sprzeciwiać się. Ruszył za de Fortanem do wyjścia z sali, przyciskając do siebie drogocenną szkatułę. Po wyprowadzeniu go, jeszcze parę chwil wszyscy milczeli w przynębieniu i dopiero potem, pałac wypełniło westchnienie niesamowitej ulgi.

- Przysięgam na Hawana! - Aszler uniósł się na swoim tronie i po chwili bezsilnie opadł. - Ale się udał dzisiejszy bal! Proszę łaskawie powiedzieć, jak o tym wszystkim dowiedziałeś się?

- Coś-niecoś opowiedział mi nieżyjący La Mar, dopowiedziała dziewczyna-Sidka, o której mistrz de Lass powiedział, że nie istnieje. Pomógł mi także mag Ardelin. Reszty domyśliłem się i zrozumiałem sam. Teraz, wszystko za nami, wasza wysokość. Mam nadzieję, że wampiry nie będą więcej niepokoić waszego królestwa.

- A ja..., wiem, co powinienem zrobić! - znalazł w sobie tyle siły by wstać, dając znak Wisławowi, by się zbliżył. - Niech wszyscy usłyszą naszą wolę. Od dziś, aż do powołania nowego kierownika Kolegium Magna, na czele stanie mistrz

Waldes. Protektorem Najjaśniejszego Trybunału wyznaczam Salema de Fortana. A tobie, mój przyjacielu - zwrócił się do Wisława - dziękuję za to, co uczyniłeś dla Seltonii. Nadaję ci tytuł rycerza i dziedzicznego para Seltonii. I jeszcze, proszę przyjąć ten prezent - ściągnął z pulchnego palca pierścień z dużym szmaragdem i podał Wisławowi. - To nagroda za stylus, który zwróciłeś.

- A ja nadaję ci tytuł najlepszego przyjaciela durniów - wtrącił Osłomysł.

- Dziękuję, wasza wysokość - wziął pierścień i z przyjemnością wsunął na palec. - To honor dla mnie. Ale, szczerze mówiąc, nie jestem godzien tak wysokiego zaszczytu. Należałby się on Arenowi La Marowi, szkoda, że nie żyje. Jest jeszcze godna tego wojowniczką, która była razem z nami w Monsalidarze - Lejda Elea Kasta. Seltonka, wasza wysokość. Ale ona poszła inną drogą i nie ma jej teraz w granicach waszego królestwa. Przyjmuję tę nagrodę, także w ich imieniu.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Nieźle wino mają w tej tawernie, pomyślał Wisław, dopijając szósty puchar. Zupełnie nieźle. Żałuję, że nie zaglądałem tu wcześniej. Teraz, chociaż wiem, gdzie w Ergalocie można napić się świetnego wina.

- Jeszcze? – urocza, czarnooka karczmarka rzuciła na Reszyjca czarujące spojrzenie.

- Proszę - przysunął gospodyni opróżniony puchar. - Ale to ostatni.

- Nie wolno tak mówić, panie. - Trzeba powiedzieć: „Na dzisiaj ostatni”. Chociaż nie bardzo rozumiem, co przeszkadza panu nadal rozkoszować się moim winem i gościnnością.

- Rzeczywiście - zaczępnie popatrzył na karczmarkę - co przeszkadza?

- Nic - obdarzyła Reszyjca jeszcze jednym czarującym uśmiechem. - Przyjemnego wieczoru, panie.

Podniósł puchar do ust i odwrócił się, żeby popatrzeć, co się dzieje w tawernie. Przybyło trochę nowych gości. W kącie, kilku dostojnych starszuchów grało w jakąś nieznaną grę, rozkładając na stole czarne i białe kostki. Jakiś wędrowny poeta, manierycznie wyjąc i nadmiernie gestykulując, deklamował wiersze grupce młodych ludzi. Dwie mieszcanki w wielkich białych czepcach zajadały się ostrygami. Żołnierze z miejskiego garnizonu, rozlokowani przy największym stole, aktywnie przepijali tygodniowy żołd i zalecali się do kelnerki. Sielankowy, uroczy obraz. I wino świetne. Przykro, że trafił do tej tawerny dopiero w dzień odjazdu.

- Wybacz spóźnienie - powiedział Ardelin, podchodząc do bufetu. Mag był zdyszany i wyglądał na wzburzonego. – Słyszałeś już? Brok skończył ze sobą.

- Dlatego się spóźniłeś?

- Próbowałem się dowiedzieć, jak do tego doszło. Nie zechciał czekać na sąd. Zdecydował, że takie wyjście będzie najlepsze.

- Trucizna? Czy sznur?

- Przecież on był magiem, Wisławie. Zatrzymał serce zaklęciem. Zostawił list, w którym zażądał, by spalono jego ciało. Widocznie, nie bardzo ufał eliksirowi La Bantjena.

- Jesteś roztrzęsiony.

- Żal Broka. Dobrze go znałem. To mój promotor w latach nauki na Uniwersytecie. Był konfliktowym człowiekiem, ale nie zasłużył na taki los.

- Pokój jego zwłokom. Wina?

- Lepiej konchobaru. Okropnie zmarzłem. Na ulicy sypie śnieg.

- Co to za śnieg? W mojej ojczyźnie, to dopiero śnieg - w Ergalocie takiego nigdy nie widywaliście. Co jeszcze powiesz ciekawego?

- Dzisiaj w preceptorium Kolegium Magna wywieszono listę kandydatów na posadę supermagistra - zaczerwienił się. - Moje imię też tam jest.

- Gratuluję. Z jakiegoś powodu jestem przekonany, że właśnie ty zostaniesz supermagistrem.

- Z czego wnioskujesz?

- Intuicja - podniósł puchar. – Wypijmy za La Mara. W mojej ojczyźnie, za tych, co odeszli, piją stojąc i nie trącając się.

- Bardzo będzie nam go brakowało.

- Masz rację.

- Mówiłeś, że masz do mnie jakąś sprawę.

- I to bardzo ważną - podał Ardelinowi testament La Mara. - Tam, w Monsalidarze, Aren prosił mnie, bym został wykonawcą jego woli. Powinienem znaleźć w Szyleo lichwiarza Oklera, zabrać od niego oszczędności La Mara i przekazać Wioli. Chciałem zająć się tym sam - wola zmarłego, to świętość. Ale coraz częściej myślę o Kaście. Może teraz jej, jest bardzo potrzebna moja pomoc? Mnie, w Ergalocie, po prostu ziemia się pali pod nogami, nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do Bursztynowego Portu i udam się do Gale. Dlatego dzisiaj wyjeżdżam. Proszę cię, byś zajął się sprawami La Mara. Ale jeśli odmówisz, nie obrażę się. Aren, polecił to przecież mi.

- Z przyjemnością wykonam to zadanie, tym bardziej, że z Oklerem załatwia sprawy mój daleki krewny. Tylko, gdzie jest Wiola?

- Otóż, tego sam nie wiem, mój przyjacielu. – Zmieszany rozłożył ręce. - Zaraz po bitwie, Ennid zabrała dziewczynę ze sobą. Może Wajdorzy coś wiedzą? Wybacz, lepiej gdy zajmę się tym sam.

- Nie-nie, wypełnię wszystko, przysięgam! To tak niewiele, co mogę zrobić w imię pamięci o La Marze. Znajdę dziewczynę!

- Wspaniale – rozpromienił się. – Wobec tego, spełnij jeszcze jedną moją prośbę. Weź to - zdjął z palca szmaragdowy pierścień, prezent księcia Aszlera. - Oddaj go Wioli, na pamiątkę ode mnie.

- Oczywiście, Wisławie. - Wziął od Reszyjca pierścień i testament La Mara. – Czy coś jeszcze?

- Wypijmy.

- A jednak nie mogę uwierzyć, że La Mara już nie ma. - Nic nie powiedziałem Barnasowi. Staruszek lubi go, niczym syna.

- I nie mów. Nie trzeba. Dawaj jeszcze po jednym.

- Wybacz moją ciekawość, ale ta kobieta, o której cały czas mówisz, Kasta - jaka ona jest?

- Niezwykła. - uśmiechnął się i seltoński mag zauważył w oczach Reszyjca młodzieńczy zachwyt. - Nie mogę ci jej opisać, Ardelinie. Powiem tylko, że szalenie ją lubię. Jestem gotowy oddać za nią życie.

- Sądząc po tym, co opowiedziałeś nam z Barnasem, to rzeczywiście nieprzeciętna kobieta. Chcielibyśmy jej pomóc. Kiedy opowiadałeś o Zapomnianych Bogach i o waszych przygodach, przypominałem sobie coś o relikwiach Zapomnianych. Dokładniej, o jednej z relikwii - o magicznej tarczy bogini Najnawy. Weź to – podał zwitek pergaminu. - Przepisałem dla ciebie fragment z jednej starodawnej książki. Jeśli wierzyć tym zapiskom, tarcza Najnawy powinna być gdzieś na wyspie Chealad, na zachód od Seltonii.

- Dziękuję, Ardelinie. Jeśli spotkam się z Kastą - zrobił pauzę, próbując pokonać nagle ogarniającą go tęsknotę - obowiązkowo jej o tym powiem. Chociaż, jeśli tarcza jest tam, gdzie mówisz, nie pomyłę się, gdy powiem, że wola Zapomnianych rzuci nas i na tę wyspę. Niewiele z tego wszystkiego rozumiem, Ardelinie, ale powiem szczerze - Bogowie nie pomylili się, czyniąc Kastę swoim narzędziem. Ona... zgoda, wystarczy o tym. Na mnie czas.

- Dziękuję Reszyjcu za pomoc - Ardelin wyciągnął rękę. – Strach pomyśleć, co by się zdarzyło w Seltonii, gdyby nie wy.

- Żegnaj, Ardelinie - uściśnął wyciągniętą dłoń i skierował się do wyjścia.

- Tego pana spotkało nieszczęście? - szeptem zapytała karczmarka, kiedy Wisław opuścił tawernę. - Taki interesujący mężczyzna i taki smutny!

- Smutny? - Ardelin uśmiechnął się. - Nie, siostro. Po prostu jest bardzo mocno zakochany. I nie zazdroszczę mu.

Poranny śnieg stopniał do obiadu. Pochmurne, szare niebo, zimny wiatr znad morza, rozmiękła droga, ubogie chałupy na poboczach - Bursztynowy Port wydał się Reszyjcowi jeszcze bardziej ponurym miejscem, niż piętnaście dni temu, kiedy odjeżdżał stąd z Kastą i biednym La Marem, a teraz, wrócił tu sam.

Zostawił swego konia w tawernie Klotana, ustalił z gospodarzem jego dalszy los i skierował się do portu. „Wąż Morski” nadal stał przy drewnianej przystani, nie pasując do szarego miejscowego widoku. Doryjski marynarz, stojący na wachcie, szczerze ucieszył się, kiedy zobaczył go na przystani.

- Panie Wisławie! - wykrzykiwał, opuszczając się po trapie. - Nareszcie! Kapitan Fasis nie mógł się pana doczekać. Witamy!

- Dziękuję, Legasie - wszedł po trapie, uściśnął marynarzowi dłoń. - Gdzie kapitan?

- W ładowni, panie... Hej, pan Wisław wrócił!

Reszyjec odprowadził spojrzeniem marynarza, który pobiegł do wejścia na dolny pokład, zrzucił z ramienia worek i pokrowiec z łukiem. Usiadł na stopniu schodów. Teraz się zacznie, pomyślał. Kiedy na śródkręciu ukazał się kapitan Fasis, poczuł ulgę - przynajmniej na początek, porozmawiają o sprawach.

- Witam ponownie! - Fasis podszedł do Reszyjca, mocno go objął, spojrzał w oczy. - Chwała Bogom, wróciłeś. A gdzie pani Kasta?

- Nie martw się, jest żywa.

- Ranna? - przestał się uśmiechać.

- Długo trzeba by wyjaśniać, kapitanie. Musimy podnosić kotwicę i płynąć do Gale. To, rozkaz Kasty.

- Rozumiem - westchnął. - Sam dostaję kolki od postoju w tej dziurze. Już myślałem, że będziemy musieli tu zimować. Ja... - zamilkł, widząc wchodzącego na pokład Leodana.

- Pozdrowienia, przyjacielu - powiedział Wisław, uśmiechając się. - Jak widzisz, wróciłem.

- Pójdę, przygotuję statek do odpłynięcia - powiedział Fasis i zszedł na dolny pokład.

Wisław ruszył w kierunku Leodana. Młodzieniec nadal stał, chowając się w ogromnym bezkształtnym kożuchu. Zrobił jeszcze krok, rozłożył ramiona - Leodan wywinął się spod jego rąk, znów zastygł w milczeniu.

- Rozumiem, jesteś obrażony na mnie, maluchu - powiedział, zrozumiałwszy, w czym sprawa. - Ale tak trzeba było. Wybacz, że nic ci nie powiedziałem. Moja wina. Wybaczasz?

- Minęło piętnaście dni – odezwał się Leodan, smutnie patrząc na Reszyjca. - Przez te piętnaście dni nie zaznałem ani minuty spokoju. Niepokoilem się o ciebie - gdzie jesteś, co się z tobą dzieje, jesteś żywy, czy martwy? Nie mogłem ani jeść, ani spać. Jesteś nieczułym nikczemnikiem, Wisławie.

- Poprosiłem o przebaczenie. Co by się zmieniło, gdybym powiedział ci, dokąd i po co się wybieram? Najważniejsze, że wszystko się zakończyło i znów tu jestem.

- Na długo? Kasta znowu coś wymyśli i pobiegiesz za nią, jak piesek na smyczy.

- Przestań. Jest mi bardzo przykro, kiedy tak mówisz.

- Przykro! A mi było przyjemnie? - oczy Leodana zabłyśły. – Zostawiliście mnie tu samego, nic mi nie mówiąc. Kim jestem dla was - rzeczą, bezdusznym bydlęciem? Nieczułym cymbałem, któremu wszystko jedno, co z wami będzie? To świństwo, Wisie. Nigdy ci tego nie wybaczę.

- Wszystko powiedziałeś? - Wisław poczuł rozdrażnienie. - Długo ćwiczyłeś scenę spotkania. Jesteś przecież aktorem, by cię pożarły wilki Lurusa! Teraz marsz na dół, do kajuty, tam porozmawiamy.

- Przez piętnaście dni, każdego ranka wychodziłem na ten pokład i czekałem na ciebie - powiedział, ocierając łzy. - Nie czułem ani chłodu, ani wiatru. Teraz wróciłeś i nawet teraz nie możesz zrozumieć, co narobiliście z Kastą. Nienawidzę jej. Nienawidzę ciebie za to, że jesteś taki... Drewniany.

- Poczekaj chłopaku, nie trzeba rzucać tak ostrymi słowami. Nie masz racji. Dawno zamierzałem ci powiedzieć, że zachowujesz się głupio i dziwnie. Twoja miłość do mnie... To jest nienormalne, rozumiesz? I nieprzyzwoite. Są granice przyzwoitości, przysięgam na Cwira. Myślisz, że nie widzę, jak odnoszą się do nas inni? Jak uśmiechają się za naszymi plecami, jak poszeptują, widząc nas razem? Bogowie świadkami, że bardzo ciebie cenię. Zbyt dużo razem przeszliśmy, chłopaku. Ale teraz, rozmawiasz ze mną tak, jakbyś miał do mnie jakieś prawa. To mi się nie podoba. - podszedł do Leodana, tknął go palcem wskazującym w pierś. - I nie trzeba tak mówić o Kaście. Ta kobieta uratowała nam obu życie. Mamy wobec niej ogromne zobowiązanie. Możesz ją lubić lub nie, ale bądź uprzejmy odzywać się o niej z szacunkiem.

- Moja miłość nienormalna? Nieprzyzwoita? - zacisnął wargi. - A co wobec ciebie jest normalne, Wisie? Przyzwoite?

- Jesteś mężczyzną i ja nim jestem. Między nami nic nie może być. Zapisz to na swoim łbie. Odnoszę się do ciebie, jak do dobrego przyjaciela, jak do młodszego brata, wreszcie. Lubię cię, ale zupełnie nie tak, jak mogą pomyśleć pozostali, patrząc na to, jak się zachowujesz. Przynosisz mi hańbę, jeśli nie rozumiesz? I sobie też.

- Ja wcale nie chcę, byśmy z tobą... No, rozumiesz. Jestem świadomy, że to jest niemożliwe. Ale nic nie mogę poradzić ze swoją miłością. W tobie jest sens mojego życia, Wisławie. Jeśli z tobą cokolwiek się zdarzy...

- Dość tego! - ryknął Reszyjec. - Idź na dół. Zbyt się zmęczyłem, by roztrząsać drobiazgi.

- Oczywiście, dla ciebie to drobiazgi. - machnął rękoma i powlókł się do schodów. Wisław odczuł coś bardzo podobnego do gryzącego sumienia.

- Zaczekaj! - krzyknął i skierował się do młodzieńca. - Nawet nie zapytałeś mnie o Kastę. Przecież wróciłem tylko sam.

- Zauważyłem.

- I wszystko ci jedno, gdzie ona jest, co się z nią dzieje?

- W miłości wszyscy są trochę egoistami, Wisławie. Wiem, że lubisz tę kobietę. Dlatego nie lubię jej. Jestem zazdrosny o ciebie. I zapamiętaj - ona ciebie nie lubi. Wcale. Ona w ogóle nikogo nie lubi. Dlaczego powinienem się martwić o nią?

- Jesteś po prostu mały, rozdrażniony wyrodek - wypuścił powietrze Wisław. – Gdybym wiedział, że jesteś taki, wyrzuciłbym rekinom na pożarcie jeszcze tam, na sarnackiej łajbie.

- Miło mi to słyszeć - gorzko się uśmiechnął. - Jeszcze nie jest za późno, Wisie. Co ci przeszkadza, by wyrzucić mnie ze statku właśnie teraz?

- Idź precz! Nie chcę cię widzieć...

- Wzajemnie, mój drogi. Wzajemnie.

Ledwie się doczekał, kiedy młodzieniec zejdzie na dół, z wściekłością ruszył po pokładzie, nie wiedząc, na czym wylądować złość. No nie, co za poganin! Wygadał się wreszcie, wywinął swoją obrzydliwą duszyczkę na lewą stronę. Gdyby nie Kasta...

Pojawienie się marynarzy wysłanych przez Fasisa do stawiania żagli, odciągnęło go od mrocznych myśli. Kapitan był z nimi, wydawał jakieś polecenia.

- Hej, Fasisie! - krzyknął. - Musimy porozmawiać.

- Widzę, chłopak mocno cię czymś rozzłościł - powiedział, uśmiechając się. - Nie gniewaj się na niego, Reszyjcu. Jest dziwny, przysięgam na brodę Akwina, ale dobry. Wiesz, jak się męczył przez te wszystkie dni?

- Pluję na niego. I proszę o twoje pozwolenie, bym mógł spać z twoimi marynarzami w kubryku.

- O, to nawet tak? - przestał się uśmiechać. - Smutne, że pokłóciliście się.

- Fasisie, od dawna już nie jestem młodzikiem i byłem w różnych sytuacjach, że nie chce się wspominać, ale dzisiaj zrozumiałem – nadal nie znam się na ludzkich charakterach.

- Rób jak uważasz, Reszyjcu. Ale myślę, że nie masz racji. Niepotrzebnie złościsz się na chłopaka.

- Fasisie, zmęczyłem się i chcę odpocząć. Porozmawiamy później.

- Jak sobie życzysz.

Jeszcze przed zachodem słońca, „Wąż Morski” wyszedł z Bursztynowego Portu. Wisław leżał na łóżku w kubryku i myślał o Kaście. Wspominał jej oczy, włosy, uśmiech, jak do twarzy jej było w sidskiej zbroi Łaeki. Właśnie tam, w podziemiach Mennarachanu wreszcie zrozumiał, jak szalenie i beznadziejnie ją kocha.

Leodan siedział w pustej kajucie i czekał, kiedy za drzwiami zaskrzypią stopnie i Wisław wejdzie do kajuty. Przesiedział tak do nocy, ale się nie doczekał.

- Wszystko jedno i tak cię kocham - wyszeptał młodzieniec, patrząc na drgający płomień oliwnej lampy. - I udowodnię ci to. Chcesz czy nie, Wisie, ale pewnego dnia będziemy razem. Nie wiem, jak to się stanie, ale stanie się na pewno. To twój i mój los. I wtedy zrozumiesz, jak twardy i niesprawiedliwy byłeś wobec mnie. Ale wybaczę ci. Już wybaczyłem, Wisie. Życzę ci spokojnej nocy!

Ognik lampy zgaś, wypuściwszy strużkę dymu.Leodan usnął - uśpiło go lekkie kołysanie i ciche poskrzypywanie sprzętów. „Wąż Morski”, na zawsze opuszczał Seltonię.

KONIEC DRUGIEGO TOMU

Załączniki

SELTOŃSCY BOGOWIE.

Gawan – seltoński bóg wojny. Miał postać wojownika w hełmie z rogami i toporem w rękach. Główna świątynia Gawana znajdowała się w Ergalocie, dawnej stolicy Seltonii. Święte zwierzę Gawana - czarny kozioł.

Beris - bogini miłości, piękna, księżycy i macierzyństwa. Uchodziła za żonę Mannara. Miała postać obnażonej kobiety z kołowrotkiem albo kwiatem magnolii w rękach. Święte zwierzę Beris - sarna. Główna świątynia Beris znajdowała się w Cerunii.

Orius - bóg słońca i światła. Początkowo przedstawiany jako orzeł, potem - młodzieniec z pochodnią w ręce. Święte zwierzę Oriusa - kogut. Główna świątynia znajdowała się w Eponarze.

Jowannon - bóg ognia i kowalskiego rzemiosła, patron zbrojmistrzów i ogólnie rzemieślników. Pomocnikami Jowannona były demony metali - salwy. Miał postać mężczyzny z młotem w rękach. Święte zwierzę - dzięcioł. Główna świątynia znajdowała się w Ergalocie.

Szante - bogini sztuki, muzyki, tańca, żeńskiego uroku, miłosnych gier i magii. Czczona przede wszystkim przez kobiety. Ukazywana jako młoda kobieta wierzchem na byku. Święte zwierzę Szante - ryś. Główna świątynia Szante znajdowała się w Agrianumie.

Kannas - bóg-patron handlarzy, złodziei i podróżników. Miał wygląd skrzydlatego młodzieńca. Święte zwierzę Kannasa - wiewiórka. Główna świątynia znajdowała się w Iłładanie.

Mannar - personifikacja księżycy, bóg nocy, brat Oriusa. Miał postać sowy, następnie młodzieńca z tarczą i krzywym mieczem. Święte zwierzę Mannara - nietoperz. Główna świątynia znajdowała się w Eponarze.

Boz - bóg-patron bydła i dzieci. Miał postać pasterza, albo mężczyzny, trzymającego za rękę dziecko. Święte zwierzę Boza - pies. Świątynia znajdowała się w Cerunii.

Kaja - bogini zemsty i sądownictwa, wyobrażana jako naga dziewczyna z mieczem i ludzką głową w rękach. Uważano ją także za boginię chorób i uzdrowienia. Święte zwierzęta Kai - kotka i kozodoj. Główna świątynia znajdowała się w Legałocie.

Nekrian - bóstwo podziemnego świata, personifikacja śmierci i przyszłego zmartwychwstania, opiekunka spokoju zmarłych. Miała postać kobiety z krzywym nożem i czaszką w rękach. Święte zwierzęta Nekrian - wilk i kruk. Świątynia Nekrian znajdowała się w Gatulonie.

Maranis – gospodarz demonicznego świata Gułchanda, władca potworów i istot wrogich człowiekowi. Uważano, że nie powinno się nawet wymawiać imienia Maranisa. Miał postać istoty bez oblicza; uważano, że twarz Maranisa jest tak okropna, że nie wolno jej przedstawiać. Święte zwierzę Maranisa - gigantyczna stonoga. Świątynia Maranisa znajdowała się w Gatulonie.

Nataja - bogini myśliwych, opiekunka dzikich zwierząt, przedstawiana jako dziewczyna z jastrzębiem na ramieniu. Święte zwierzęta Natai - skowronek, jastrząb i niedźwiedź. Świątynia Natai znajdowała się w Agrianumie.

BOGOWIE DARNACKIEGO I SZURRECKIEGO PANTEONU

Igierabał (Igieraboal, Weł-Chus) - naczelne bóstwo w Darnacie, uosobienie bezkresnego oceanu, światowego porządku, królewskiej władzy i państwowości. Miał postać byka ze skrzydłami gryfa. W Gielamie, Igierabał był znany pod imieniem Niebłu (Igierabał-Niebłu) i był bratem-bliźniakiem boga wojny Giesztana. Króla nazywano "synem Igierabała". Egzekucja przestępców była uważana za ofiarę składaną Igierabałowi. Największą świątynią Igierabała, była świątynia w Darnacie.

Jonubas (In-Nubas) - bóstwo księżyca w Szurrecie i Gielamie. Uważany był za brata boga słońca Imiesza. Miał postać chłopca z sierpem we włosach. Centrum kultu Jonubasa, była świątynia w Eriwonie.

Imiesz (Szesz) - Bóg słońca w Szurrecie i Gielamie. Czasami identyfikowano go z Igierabałem lub z Bagiem. W epoce Południowego Imperium, kult Imiesza był praktycznie zakazany.

Kzu - bóg magii i okultyzmu, mądrości, pisma i rachunku. Miał postać ogromnego oka. Kzu patronował astrologom, wróżbitom, czarownikom i uczonym a także aktorom i tancerkom. Główna świątynia Kzu znajdowała się w mieście Szedar.

Kua - w Gielamie i Szurrecie, bogini miłości. W późniejszej epoce, identyfikowała się z Chefteriesz-Szemmier i uważana była za żonę boga Kzu. Opiekunka małżeństwa, domu, obrończyni dzieci i nowożeńców, równocześnie była opiekunką rozpusty, prostytucji i zboczenia płciowego. Były jej poświęcane szczególnie domy publiczne. Miała postać kobiety z fallusem albo nożem położnej w rękach. Personifikacją Kui była gwiazda Wenus.

Giesztan - bóg wojny w Szurrecie i Darnacie. Miał postać smoka. Główna świątynia znajdowała się w Darnacie.

Szat-Cebu był bóstwem żywiołów, handlu, krasomówstwa i rzemiosł, patron marynarzy, handlarzy, dyplomatów, kapłanów i podróżników. Był jednym z głównych Bogów Darnatu. Miał postać człowieka-ryby lub węża. Świątynia Szat-Cebu znajdowała się w Darnacie.

Mammu-Asztenet - bogini macierzyństwa, karmienia piersią, opiekunka dzieci i biedaków. Kult tej bogini, był popularny zwłaszcza wśród biednej ludności. Miała postać kobiety, karmiącej niemowlę piersią.

ZAPOMNIANI BOGOWIE

Bag (Bagus, Baga, Mechra-Bagim) - bóg porządku, harmonii, słońca i państwa, naczelny bóg szurow w epoce Nin. Pseudonim Baga - "Obdarowujący życiem". Baga uważano także bogiem sprawiedliwej wojny. Święte zwierzę Baga - gur (gryfon).

Ninawa (Najnawa) - bogini świata i światła, opiekunka małżeństwa i rodziny, z pseudonimem „Obdarowująca płodnością”, żona Baga. Często nazywała się po prostu "Matką" (Aszszai). Była także bóstwem uzdrowienia i białej magii. Święte zwierzę Ninawy - biały baran.

Diwini - bogini zmian pór roku, opiekunka zwierząt, niezamężnych dziewczyn i dzieci. Była także czczona przez myśliwych i hodowców bydła. Pseudonim – „Obdarowująca pięknem”. Święte zwierzę - wilczyca.

Dowlad - bóg ognia, kowalstwa, rzemiosła i budownictwa, patron wszystkich warsztatów i rolników. Pseudonim – „Obdarowujący kunsztem”. Święte zwierzę Dowlada - orzeł.

Ajwari - bogini leczenia i uzdrawiania, opiekunka lekarzy i chorych. Jej pseudonim „Obdarowująca zdrowiem”. Święte zwierzę Ajwari - pszczoła.

Angusz - bóstwo księżyca i gwiazd o pseudonimie „Obdarowujący światłem w ciemności”. Był także patronem białej magii, przeciwnikiem Ciemnego świata. Święte zwierzę Angusza - małpa.

Łaeka - bogini sądownictwa i prawa, sprawiedliwej wojny, uczciwej umowy i handlu. Jej pseudonim „Obdarowująca sprawiedliwością”. Była opiekunką pobożnych sędziów, wojowników, urzędników, kupców i podróżników. Święte zwierzę Łaeki - jastrząb.

Mommek – bóg mądrości, sztuki i pisma, patron uczonych, studentów i kapłanów. Jego pseudonim „Obdarowujący mądrością”. Święte zwierzę Mommeka - lampart.

Pantar – bóg radości, sztuk pięknych, oszustwa, patron aktorów, muzyków i poetów. Był uważany za jednego z głównych bogów. Jego pseudonim „Obdarowujący radością”. Święte zwierzę Pantara - jaskółka.

RESZYJSCY BOGOWIE

Atał - bóg-twórca, władca wszechświata, patron żywiołów i bóstw pór roku. Dni przesilenia i równonocy liczyły się świętymi datami, poświęconymi Atałowi, w ten dzień składano mu ofiary i wznosiło się szczególne modlitwy o protekcję Atała.

Cwir - bóg ognia, podziemnego świata, magii i ochrony przed nią. Był patronem guślarzy i czarodziejów, wynalazcą pisma i rzemiosł, zwłaszcza kowalstwa.

Bielag - bóg losu, władca czasu i życia, bóstwo, karzące grzeszników. Jemu w szczególności składano prześlągalne ofiary, każdego pierwszego dnia miesiąca. Jego sługami byli sudnicy - demoniczne istoty, główni rejestratorzy dobrych i złych czynów każdego człowieka i wymierzający karę, jeśli złych czynów było znacznie więcej.

Swach - bóg słońca, światła, letniego ciepła, patron roślin i zwierząt. Był uważany za jednego z głównych Bogów.

Inika - bogini nocy, żeńskiej magii, poczęcia i macierzyństwa. Istniał obyczaj, że pierwsza dziewczynka, przychodząca na świat w rodzinie, była poświęcana bogini i stawała się jej kapłanką do momentu zamążpójścia. Narzeczoną, powinien być zapłacić wykup kapłanom bogini, albo wypełnić, zgodnie z ich wolą, jakiegolwiek polecenie.

Agana - bogini-matka, opiekunka wszystkich żyjących, bóstwo miłości, rodzinnego szczęścia i domowego ciepła. Żona Atała.

Łurus - bóg wojny. Uważało się, że bogu towarzyszy świta demonicznych istot, które po bitwie pożerają ciała niepogrzebanych wojowników. Święto ku czci Łurusa, obchodzono w trzecią noc po dniu zimowego przesilenia: w ten dzień, było przyjęte, obdarowywanie mężczyzn bronią albo rytualnymi amuletami, chroniącymi właściciela w bitwie.

Chwart - bóg morza, morskich żywiołów, patron żeglarzy i rybaków.